



**JOANNA RACEWICZ
KIARA ULLI**

**SYPIAJĄC
Z PREZESEM**

HISTORIE KOBIET
W PRZEMOCOWYCH ZWIĄZKACH

JOANNA RACEWICZ
KIARA ULLI

SYPIAJĄC
Z PREZESEM

HISTORIE KOBIET
W PRZEMOCOWYCH ZWIĄZKACH

Purple
BOOK
WYDAWNICTWO

Spis treści

Wstęp

Kinga

Opowieść Kingi

Ewelina

Opowieść Eweliny

Barbara

Opowieść Barbary

Joanna

Opowieść Joanny

Dorota

Opowieść Doroty

Sonia

Opowieść Soni

Beata

Opowieść Beaty

Ewa

Opowieść Ewy

Karolina

Opowieść Karoliny

Anna

Opowieść Anny

Alicja

Opowieść Alicji

Daria

Opowieść Darii

Posłowie

Kinga i Marek – osobowość schizoidalna, wycofany samotnik

Ewelina i Fryderyk – wywyższający się socjopata

Barbara i Paweł – niedojrzały narcyz

Joanna i Piotr – niedojrzały ekstrawertyk, Nikodem Dyzma

Dorota i Darek – infantylny, niedojrzały, agresywny bachor

Sonia i Roman – narcyz

Beata i Karol – kontrolujący egocentryk

Ewa i Krystian – egocentryk, seksoholik

Karolina i Wiktor – osobowość chwiejna (borderline), impulsywny, niestabilny egocentryk

Anna i Karol – chłodny emocjonalnie psychopata

Alicja i Krzysztof – egocentryczny narcystyczny psychopata

Daria i Kamil – egocentryczny introwertyk
Przypisy

Przedstawione w książce historie zostały zainspirowane prawdziwymi wydarzeniami. Bohaterowie są postaciami fikcyjnymi, wymyślonymi na potrzeby fabuły, a zbieżność faktów z rzeczywistymi wydarzeniami jest przypadkowa.

Copyright © for the Polish Edition by Purple Book Wydawnictwo, Warszawa 2023

Copyright © by Kiara Ulli, Joanna Racewicz, 2023

Copyright © Posłowie by Jan Gołębiowski, 2023

ISBN 978-83-8310-356-3

Purple Book Wydawnictwo
ul. Hankiewicza 2
02-103 Warszawa

Dyrektor Zarządzająca: Iga Rembiszewska

Wydawca: Anna Kubalska

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska

Digital i projekty specjalne: Tatiana Drózdź

Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 601 457 030), Beata Trochonowicz (tel. 506 626 661)

Redakcja: Joanna Kostyła

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki i stron tytułowych: Maciej Szymanowicz

Zdjęcie na I stronie okładki: unsplash.com / Noah Buscher

facebook.com/purplebookwydawnictwo

instagram.com/purple_book_wydawnictwo

www.purplebook.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

WSTĘP

Czy słyszeliście kiedyś o syndromie gotującej się żaby? Wrzucona do wrzątku zawsze wyskoczy, ale jeśli woda będzie podgrzewana powoli, ugotuje się w niej i umrze.

We wszystkich opisanych w tej książce historiach kobiety, jak te biedne płazy, pozwalały się ugotować. Każda z naszych bohaterek, jeśli zobaczyłaby się w magicznym proroczym zwierciadle, wyskoczyłaby natychmiast z małżeństwa pełnego przemocy, poniżeń, niedoceny i łez.

Ale temperatura w ich związkach była podnoszona powoli, elegancko. Nie zauważały tego, siedząc w ekskluzywnej wannie z bąbelkami szampana za kilka tysięcy euro.

Opowieści te jednych mogą przyprawić o dreszcze, innych o mdłości, a łączy je niemal archetypiczna postać zadowolonego z siebie prezesa, onnipotentnego narcystycznego pana i władcy, któremu wydaje się, że świat stworzony jest po to, aby jemu było dobrze, a wszyscy inni muszą się temu podporządkować.

Dorzućmy do tego rezydencje z basenami, garaże pełne luksusowych aut, jachty, drogie hotele, stroje od kreatorów mody, buty znane z czerwonych dywanów, panie z eskorty, kawior na śniadanie, polityków, dygnitarzy, prywatną ochronę, luksusowe domy publiczne, azjatyckie masażystki, liczne utrzymanki... i mamy pełen obraz przemocowych związków, dla których tłem były bogate wnętrza i liczne gadzety.

Prezentując poszczególne historie, chcieliśmy naświetlić pewne zjawisko społeczne i znaleźć odpowiedź na szereg pytań. Postaramy się między innymi wspólnie zobaczyć, co prócz perspektywy ekscytującego i dostatniego życia sprawiło, że te kobiety tak łatwo stały się ofiarami. Czy

miały konkretne cechy, dzięki którym dały się zmanipulować partnerom?
Czy po wyjściu z relacji przemocowych wybierały sobie po raz drugi ten sam typ mężczyzny?

Na te pytania odpowie nam profiler i psycholog Jan Gołębiowski.

Wszystkim kobietom, które los
doświadczył przemocowymi historiami.
Pamiętajcie, że najlepszym mieczem
i tarczą obronną
są miłość i przebaczenie.
Dla siebie – na pierwszym miejscu.

Kiara i Joanna

Książkę tę dedykuję ukochanej siostrze,
bez której nie wyobrażam sobie życia.
I mojemu mężowi,
który zawsze mnie wspierał w pisaniu,
przejmując opiekę nad dziećmi,
oraz był pierwszym czytelnikiem
i pomysłodawcą tytułu.

Kiara

Moim duchowym siostrom,
które stały się inspiracją i nadzieją,
że istnieje nowe życie.

Joanna

KINGA

– Dzień dobry, nazywam się...

– Tak, wiem, czekałam na ten telefon. Gosia mnie uprzedzała. Kiedy się widzimy?

Kinga ma jasny, radosny głos. Dużą energię. Niezwykłe, jak na kogoś, kto jeszcze niedawno miał założoną Niebieską Kartę dla ofiar przemocy domowej. Chyba wyczuwa moje zaskoczenie.

– Spodziewałaś się smutnej kobiety? Mam nadzieję, że cię nie rozczaruję, ale od jakiegoś czasu mam to już przepracowane. Nie musisz być wobec mnie aż tak bardzo ostrożna. Mogę o tym rozmawiać całkiem spokojnie. To kiedy?

Spotykamy się w piękny jesienny dzień. Kinga jest wcześniej. Zajmuje stolik w ogrodzie, nieco oddalony od pozostałych. Przyszła z psem. Ten nie odstępował jej na krok.

– Zula jest ze schroniska i po przejściach. Została zabrana gospodarzowi, bo trzymał ją na krótkim łańcuchu przy budzie. Głodził, bił i poniewierał. Spojrzałam jej w oczy i już wiedziałam, że nie wrócę bez niej do domu. Wcześniej byłoby to niemożliwe. Marek nie znosił psów. W ogóle nie lubił zwierząt. Mówił, że tylko z nimi zamieszanie, że brudzą, smrodzą i sam kłopot. Długo odpuszczałam w imię spokoju i dobra rodziny. Dzieci prosiły, ja perswadowałam, że jeszcze nie teraz, może za rok. Wiele czasu musiało minąć, zanim zrozumiałam... no dobrze, zaraz wszystko ci opowiem.

Zamawiamy kawy, duże. Przydadzą się. To będzie historia dwudziestu ośmiu lat małżeństwa – od zauroczenia, szczęścia aż do zawirowań i upadku. Od małego studenckiego mieszkania do gigantycznej willi pod wielkim miastem. Od dziewczynskich marzeń o księciu z bajki do... Ale o tym za chwilę.

OPOWIEŚĆ KINGI

Chwilowa cisza była tylko zapowiedzią burzy. Wrócił z czymś, czym zaczął uderzać w drzwi. Coraz mocniej i mocniej. Jakby młotek albo... w każdym razie jakiś twardy metalowy przedmiot. Walił tym jak opętany. Walił i syczał przez drzwi: „Bój się, wykończę cię dzisiaj”.

Szukasz genotypu ofiary przemocy? Jeśli taki istnieje, to chyba jednak go nie mam. Wychowywałam się w szczęśliwej rodzinie. Precyzyjniej – dopiero od pewnego momentu. Mojego biologicznego tatę pamiętam jak przez mgłę. Miałam niecałe sześć lat, kiedy umarł. Od co najmniej dwóch już z nim nie mieszkaliśmy. Tak, był alkoholikiem. Sceny zapisane w moich wspomnieniach z nim to jego pijackie upadki. Późne powroty i spanie na kanapie w dużym pokoju. Mama mówiła, żebym została wtedy u siebie, że tata zmęczony i musi odpocząć. Przypomina mi się też zapach – nieprzyjemny, kwaśno-gorzki. Czułam go rano w całym domu, gdy wstawałam do przedszkola. Wtedy nie wiedziałam, co o tym myśleć. Chyba nawet nie kojarzyłam tego z piciem ojca. Wiele lat później zrozumiałam, że nałóg miał nad nim przewagę, że próbował walczyć, ale brakowało mu siły. W końcu mama podjęła decyzję, że nie chce tak dłużej żyć. Wyprowadziłyśmy się. Dwa lata później ojciec umarł. Dopiero jako dorosła kobieta dowiedziałam się, że to było zatrucie alkoholowe. Zapił się na śmierć. Pracował przy odczynnikach chemicznych, miał dostęp do alkoholu etylowego. Przyjął dawkę, która go zabiła. Co pamiętam z pogrzebu? Niewiele. Głównie pretensje ciotek, sióstr ojca, że nie płaczą. Bardzo były oburzone, że mała, sześciolatka dziewczynka nie rozpacza po stracie taty. Jak miałam płakać? Przecież prawie nic z tego nie rozumiałam. Dookoła ludzie w czarnych strojach, ksiądz, msza, jacyś obcy panowie i trumna. Dla dziecka abstrakcja. Poza tym mój związek z tym człowiekiem był już wtedy raczej luźny. Czy opowieść o pijącym rodzicu będzie miała znaczenie

w dalszej narracji? Chcę, żebyś to sama oceniła. Po tym wszystkim miałyśmy z mamą dobre życie. Szybko poznała Tadzika, znacznie starszego od niej pana. Naszego anioła stróża. Tak go nazywałam. I czasem wyobrażałam go sobie z wielkimi skrzydłami, w których można się schować, i z ogromnym mieczem do odpędzania smoków. Dziecięca imaginacja. Tadeusz, były więzień dwóch obozów koncentracyjnych, był najcudowniejszą istotą na ziemi. Łagodny, spokojny, czuły, troskliwy. Miał świętą cierpliwość i charakter ze stali. Obie wiedziałyśmy, że możemy na niego liczyć. Dożył dziewięćdziesięciu kilku lat, odszedł bardzo niedawno. Do końca byli z mamą przyjaciółmi. Mam pod powiekami obraz, jak idą przez park, trzymając się za ręce. Słowo, naprawdę tak było. Wprowadził w naszym domu pewien zwyczaj. Gdy działo się coś ważnego, konfliktowego, coś, co wymagało ustaleń, mówił: „No, dziewczyny, bierzcie krzesła, siadamy. Trzeba pogadać. Ja zrobię herbatę”. Siadaliśmy i ustalaliśmy wszystko. Bez kłótni, sporów, awantur. Oto mój wzorzec rodziny. Miłość, spokój, bliskość, komunikacja, szacunek.

Markowi obcy był taki model. Oczywiście na początku nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia.

Poznaliśmy się na kursie angielskiego. Od razu wpadł mi w oko. Starszy o dwa lata, postawny, szarmancki, z najpiękniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałam. Od słowa do słowa – zaczęliśmy się spotykać. Kino, spacer, wino w Harendzie. Byłam w maturalnej klasie, miałam osiemnaście lat. Teraz to może się wydać osobliwe, a nawet nierozsądne, ale moja mama któregoś dnia powiedziała: „Córciu, jesteś dorosła, mam do ciebie zaufanie. Czas najwyższy, żebyś spróbowała samodzielności. Weź, tu są klucze od mieszkania na Mokotowie, jest twoje. Mnie też dobrze zrobi trochę niezależności”. Dorosłe życie ogromnie mi się spodobało. Tym bardziej że Marek bardzo szybko się do mnie wprowadził. Moja mama nie była zachwycona – szczególnie gdy wpadała z wizytą i zastawała mojego chłopaka w pościeli. Dla obojga nie była to komfortowa sytuacja. Na szczęście mamę miałam dość otwartą i tolerancyjną. Marudziła, to fakt, ale umiałam ją skutecznie udobruchać. Boże, jaka byłam z Markiem szczęśliwa. Patrzył we mnie jak w obraz. Jego zafascynowanie wydawało się nie mieć końca. Wszystko robił ze mną i wszędzie jeździliśmy razem. Nad morze, na narty, w góry i na konie. Na obiad wystarczały gotowane ziemniaki z masłem i majerankiem, na kolację – wyjście z przyjaciółmi nad Wisłę.

To byli moi przyjaciele. Przymykałam oko na to, że mój chłopak, mimo swoich dwudziestu jeden lat, nie zbudował żadnych relacji. Nawiązywanie znajomości i ich pielęgnowanie zawsze stanowiło dla niego problem. W tamtym czasie wydawało się to bez znaczenia. Liczyła się nasza miłość. Marek przylgnął do mnie i do mojego towarzystwa jak bezpański szczeniak. Chyba mnie to ujmowało. On, taki przystojny i obyty, a jednocześnie – nieporadny i bezbronny wobec ludzi.

Nie obchodziło mnie ani to, że nie przedstawił mi żadnego swojego kumpla (bo takowego nie miał), ani to, że jego rodzina była biedna i żyła na nieporównanie niższym poziomie niż moja, ani wreszcie nadmierna religijność jego bliskich. Nie zwróciłam większej uwagi na pogardę, którą poczęstował mnie przyszły teść, gdy Marek pierwszy raz przyprowadził mnie do rodzinnego domu. Domu... Dwa małe pokoje na przedmieściu, w których wychowywał się z dwiema siostrami. Ciasnota. Ojciec rządził tam niepodzielnie. Wszyscy żyli pod jego dyktando. Od pierwszej chwili czułam, że jestem traktowana jak Panna Nikt. Zostałam odpytana z przyjętych sakramentów, czy wierzę w Boga i jak często chodzę do kościoła. Chwila zastanawiania się nad odpowiedzią była kwitowana ironicznym uśmieszkiem pełnym wyższości.

„Masz braki, moja droga – cedził przez zęby – porządna dziewczyna powinna zawierzyć się Przenajświętszej Panience i wszystkim świętym, wtedy jest bezpieczna”.

„Porządna dziewczyna nie mieszka przed ślubem z facetem” – dodawałam z przekąsem w myśli i jestem przekonana, że tak właśnie uważał ojciec Marka, tylko nie był w stanie powiedzieć tego na głos. Gardził mną z wielu powodów, także dlatego, że moja matka powtórnie wyszła za mąż, a to nie mieściło się w chrześcijańskim porządku jego świata. Absurdalne? Opisuję ci dokładnie tak, jak było.

W ich domu działał następujący mechanizm: jest problem – trzeba się rodzinie pomodlić. Nie – porozmawiać, zastanowić się nad rozwiązaniem, spotkać przy stole w kuchni. Pomodlić. Szukać odpowiedzi u wyższej instancji. Nie twierdę, że to coś złego czy niestosownego. Twierdę, że u mnie było zupełnie inaczej.

Dam ci przykład – najmłodsza siostra Marka mieszkała z rodzicami w tym ich malutkim mieszkanku. Zaszła w ciążę i bała się przyznać. Tyła, a rodzina była przekonana, że to efekt zwiększonego apetytu, bo idzie sroga zima. Powiedziała prawdę mamie dopiero na początku siódmego miesiąca,

gdy brzuch był ogromny. I trudno już było utrzymywać, że jego rozmiar to wynik objędzenia. Wyobrażasz sobie? Mieszkać pod jednym dachem i nie zauważyć, że pod sercem córki rośnie nowe życie? Mieszkać pod jednym dachem i nie mieć zaufania do bliskich, bać się ich reakcji? To nadal nie mieści mi się w głowie.

Pytasz o oświadczenia? Nie była to sytuacja jak z bajki. Któregoś wieczoru leżeliśmy w łóżku, mój chłopak zawstydzony i skrępowany zapytał między jednym a drugim zdaniem: „Słuchaj, a może byśmy się tak pobrali?”. Inaczej wyobrażałam sobie tę chwilę, tak ważną dla każdej dziewczyny, ale byłam po uszy zakochana i – mówiąc szczerze – bardzo czekałam na to pytanie. Zgodziłam się bez wahania. Byliśmy po kilku latach związku i wspólnego mieszkania, miałam pewność, że człowiek, który prosi mnie o rękę, to mężczyzna mojego życia.

Nie zauważałam znaków ostrzegawczych. Inna sprawa, że wtedy jeszcze nie było ich dużo. Raz na jakiś czas, podczas spotkań z przyjaciółmi, Marek miewał napady wściekłości. Jeden, dwa kieliszki wina i spięcie gotowe. Awantura o pietruszkę. Bo powiedziałam coś, co mu się nie spodobało, bo nie zostawiłam płaszcza w szatni, a przecież tak trzeba, bo niewłaściwie odłożyłam łyżkę do salaterki. Unosił się, jakby to była sprawa życia i śmierci, a kiedy próbowałam go uspokoić, zwykle wychodził z hukiem i zniknął na kilka dni. Kiedy wracał, zachowywał się jak gdyby nigdy nic.

„Cześć, co słyszeć?” – pytał w progu. „Marek, musimy porozmawiać” – próbowałam zacząć. „Porozmawiać? Nie ma o czym” – ucinał jak nożem.

Wtedy traktowałam to jak część jego osobowości. Myślałam: „Ten typ tak ma, nie trzeba się przejmować”. Trochę nerwów i tyle. Widocznie musi się uspokoić i potrzebuje dystansu. Kochałam go i akceptowałam bezgranicznie. W końcu te epizody nie były znowu takie częste. Człowiek ma niesamowite mechanizmy przystosowawcze. Chronią przed bólem, ale jednocześnie przyzwyczajają do nienormalnej sytuacji. Tak jak w tym powiedzeniu o żabie, która wrzucona do wrzątku, wyskoczy natychmiast. Ale jeśli woda będzie podgrzewana stopniowo, płaz nie zauważy momentu, kiedy zginie. Podobnie było ze mną. Każdy kolejny wyskok mojego chłopaka, a potem męża, oswajał mnie z jego postępującym szaleństwem.

Pamiętam kolację u naszych przyjaciół na Mazurach. Piękna posiadłość, wystawne przyjęcie, znakomite towarzystwo. Warszawska śmietanka. Po kilku kieliszkach wina Marek nagle wstał od stołu, rzucił mi pod nogi

kluczyki od samochodu i wyszedł, trzaskając drzwiami. Konsternacja. Wybiegłam za nim, prosiłam, żeby nigdzie nie szedł, że już noc, że wrócimy razem, bo odwiezie nas kierowca, ale nie słuchał. Widziałam jego ciemną sylwetkę na tle ostatnich zabudowań. Poprosiłam pana Adama, naszego kierowcę, żebyśmy pojechali za nim. Naprawdę nie było żartów – noc, las, zwierzęta. Różne rzeczy mogły się zdarzyć. Jechaliśmy wolniutko tuż obok niego. Miałam otwartą szybę. „Marek, nie wygłupiaj się. Wsiadaj, proszę. To niebezpieczne. Chodź, wrócimy do domu”.

Zero reakcji. Totalne lekceważenie. I tak przez jakieś dziesięć kilometrów, które dzieliły posiadłość naszych przyjaciół od domu, który właśnie kupiliśmy. Ten zresztą kosztował majątek. Znajdował się tuż przy linii brzegowej; stary, z całym obejściem, pięknie wyremontowany. Perełka. Marek go zdobył, bo nie chciał się czuć gorzej niż kolega, który odziedziczył siedlisko po dziadkach. Tłumaczyłam, że inwestowanie kilku, czy nawet kilkunastu milionów w coś, co będzie nam służyło przez kilka dni w roku jest czystym marnotrawstwem, ale jak grochem o ścianę.

„Stać nas” – stwierdził i nie było dyskusji.

Myślisz, że to kompleks chłopca z biednego domu, milionera w pierwszym pokoleniu? Może i tak. Czasem mam wrażenie, że Marek czuł się przy moich przyjaciółach fantastycznie i do kitu. Jednocześnie. Jedno drugiego nie wykluczało. Któregoś dnia w przypiływie szczerości przyznał mi się, że zawsze chciał mieć krąg dobrych, wypróbowanych znajomych. Co mu nie przeszkadzało, żeby kilka minut później nazywać moje środowisko „tęnym, prostackim blichciarstwem”. To sprzeczność czy normalne zachowanie?

O, miał gest. Kiedyś, po jakiejś awanturze, zadzwonił do mnie do biura: „Kochanie, masz chwilę? Wyjrzyj, proszę, przez okno”. Wyglądam, jak kazał, a na parkingu – piękna, nowa, lśniąca, czerwona alfa romeo 156 w wersji sport. Obwiązana kokardą, obsypana kwiatami. W środku czarna skóra obszyta czerwoną nitką, chromowany kokpit, potężny silnik. Nie, nie myśl, że do prezentu dołączone było słowo przepraszam, o nie. Marek go nie używał.

„Bez powodu – powiedział – to z czystej miłości”.

I możesz się popukać w czoło, ale ja byłam przekonana, że mówi prawdę. Dotychczas jego narowy były incydentami w naszym całkiem szczęśliwym, a na pewno dostatnim życiu. Dziesięć lat po ślubie urodziłam synka, chwilę potem na świat przyszła nasza córka. Kupiliśmy wielki

dom. Ponad sześćset metrów. Każdy miał swoją część mieszkalną – z łazienką i garderobą. Na dole gigantyczny salon, pięknie urządzona kuchnia. Garaż na kilka samochodów. Wkrótce przy nich pojawiła się kolekcja motocykli, bo Marek oszalał na punkcie jednośladów. Szczególnie kochał harleye. Im bardziej odjechane, tym lepsze.

Jakim był ojcem? Cudownym. Przez pierwszy rok to on kąpał naszego Iwusia. Wstawał do niego w nocy, kupował najpiękniejsze zabawki, zabierał nas na świetne wakacje. Identycznie było, gdy pojawiła się Helena. Zniknęły jego napady pijaństwa i agresji. Nic a nic.

Do czasu, gdy coś zaczęło się psuć w firmie. Miał problemy ze współnikami, ktoś ich oszukał, ktoś czegoś nie dopilnował. Pozrywały się kontrakty, zaczęły się straty. Marek wszystkie frustracje zaczął wyładowywać na mnie. Nigdy na dzieciach, zawsze to ja byłam workiem treningowym. Czepiał się o każdy drobiazg. Znacznie bardziej niż kiedyś.

Dasz wiarę, że potrafił się nie odzywać przez sześć miesięcy? Nie przesadzam. Pół roku milczenia za to, że krzywo wstawiłam kubek do zmywarki. Czy to przypadkiem też nie jest jakaś forma przemocy?

Następny przykład – nasze pierwsze wspólne wyjście z domu do ludzi po urodzeniu Heleny. Karmiłam jeszcze piersią, o żadnym alkoholu dla mnie nie było mowy. No, ale tatuś sobie pozwolił. Tego wieczoru upił się tak, że ledwie stał na nogach.

„Kinga, jedziemy” – wybełkotał i pociągnął mnie za rękę. Bolało. Chciał mnie siłą wepchnąć do swojego maserati na fotel pasażera. Zapierałam się, walczyłam. „Zostaw mnie, sam też nie jedź” – próbowałam przekonywać, ale żadnej reakcji. Chyba nawet nie zauważył, że wyskoczyłam z samochodu, zanim zablokował drzwi. I wiesz co? Zamiast zadzwonić na policję, że po szosie porusza się kompletnie pijany gość w piekielnie szybkim samochodzie, ze wstydu schowałam się w krzakach, żeby mnie nikt nie dostrzegł, i z tych krzaków wezwałam taksówkę. Prosiłam, żeby kierowca podjechał tak, żeby nie było go widać ani z okien od frontu, ani od strony podjazdu. Modliłam się, żeby mnie nikt nie zobaczył. Wstydziłam się wstydu...

Kiedy dojechałam do domu, mój mąż w pełnym rynsztunku spał na kanapie w salonie. Samochód, z lekko obtartym bokiem, stał niemal wbity w ścianę letniego domku. Marek nigdy mi nie powiedział, w co uderzył, ani co się właściwie stało. Milczenie i zbywanie były wtedy jego znakiem

firmowym. Każde pytanie kwitował odwróceniem się na pięcie. „O czym ty chcesz ze mną gadać, kobieto?” – pytał z pogardą.

Owszem, czułam się lekceważona, pomijana, nieważna. Bolało. Każdego dnia coraz bardziej. Ale przecież mieliśmy dzieci, rodzinę, dom, wspólne doświadczenia, wspomnienia. Karmiłam się nimi jak głodne zwierzątko i trwałam na posterunku.

Agresja narastała. Szczególnie wtedy, gdy naszych nastoletnich dzieci nie było w domu. Oboje uprawiali sport. Iwo grał w tenisa, Helena była już mistrzynią okręgu w szermierce. Dużo jeździli na nartach. Często byli na zgrupowaniach. Dla mojego męża to był idealny czas, żeby przykręcić mi śrubę.

Pewnego zimowego dnia, wkurzony, że wyszłam na papierosa, bo nie lubił, gdy palę, zamknął mnie na tarasie. Byłam tylko w swetrze i szalu, bo nie przewidziałam, że to zrobi. Mało tego, użył kija od mopa, żeby zablokować klamkę, choć wcale nie było to potrzebne. Dokładnie zaryglował też wszystkie drzwi wejściowe. Stukałam, prosiłam, żeby otworzył, przecież jest mróz. Nie reagował. Usłyszałam tylko, jak wchodzi na górę i włącza głośno muzykę. Sprzęt mieliśmy świetny. Nie miałam szans, żeby się przebić z wołaniem o pomoc. Znalazłam się w beznadziejnej sytuacji. Nie mogłam wejść do domu, ale też nie mogłam wyjść poza ogrodzenie, bo mur mieliśmy wysoki, furtka na pewno była zamknięta, a brama reagowała tylko na pilota, który zapewne leżał na kominku. To zdarzenie nauczyło mnie jednego: żeby zawsze, ale to zawsze, choćby nie wiem co, mieć przy sobie telefon komórkowy.

Przydał się bardzo szybko, kilka dni później, gdy Marek z nieznanego dla mnie powodu wystawił z garażu moją alfę, a kluczyki gdzieś wyrzucił. Widziałam, że zaczyna miotać się po domu jak wściekły byk. Wydawał wtedy charakterystyczny dźwięk. Bardzo głośno wydymuchiwał powietrze nosem. To rzeczywiście brzmiało, jakby był zwierzęciem przed korydą. Wiedziałam już, że dzieje się coś niedobrego, że może chcieć mi zrobić krzywdę. Schowałam się do śmietnika. Byłam pewna, że nie wpadnie na to, żeby mnie tam szukać. Zadzwoiłam do Gosi, średniej siostry Marka. Byłyśmy wtedy dość blisko, nazywałyśmy się przyjaciółkami. Szeptem poprosiłam, żeby po mnie przyjechała. Zrobiła to i zabrała mnie do siebie. Tak, rozmawiałyśmy o tej sytuacji. Wydawało mi się, że jeśli poproszę o pomoc, o interwencję, to ją dostanę. Nic bardziej mylnego. Usłyszałam: „Nie będę się mieszać w wasze sprawy. Do niczego nie będę przekonywać

Marka. Widocznie musi tak być. A może, hmm, trochę przesadzasz, moja droga? Rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale przecież nie musiałaś wchodzić do śmietnika...”. „Co ty wygadujesz, Gośka? Twój brat znęca się nade mną, jakbym zrobiła mu jakąś krzywdę! Wyrzuca mnie z domu, przeklina, gnębi, poniewiera. Naprawdę tego nie rozumiesz?”

Nie rozumiała. Ani ona, ani moi teściowie. Tak, szukałam u nich wsparcia. Po pierwszym pobiciu. Jak to było? Rozmawialiśmy z Markiem o dzieciach, o tym, co na obiad. Zwyczajnie. Miał w ręku kieliszek wina.

„Może lepiej napijemy się wody?” – zapytałam nieopatrnie. Próbowałam otworzyć butelkę z wodą gazowaną. Widziałam, jak mojemu mężowi zaczynają chodzić szczęki. Brnęłam dalej. „Podaj mi szklanki, naleję nam obojgu” – poprosiłam i w tym samym momencie woda wystrzeliła z butelki. Chyba była za bardzo nagazowana, może ktoś nią wcześniej wstrząsnął. Dość, że strumień rozprysł się dookoła, mocząc mu koszulę i włosy.

„Co ty robisz, do kurwy nędzy, łamago? Ja pierdołę, nawet wody nie umiesz otworzyć!? Coś ty zrobiła, noż kurwa jego mać!” „Marek, to tylko woda, tylko woda, przestań, nie mów tak do mnie” – prosiłam. „Co znowu? Jakie: nie mów tak do mnie? Jestem u siebie, ty tępą suko, mogę mówić, jak mi się będzie podobało, a ty właż pod stół, jak ci się nie podoba, bo ci przypierdołę, że się nogami zakryjesz!” „Zlituj się, co to za język?” „Ostrzegałem cię, kurwa, nie słyszałaś?”

Podszedł do mnie bardzo blisko. Dyszał mi w twarz. Odsunęłam go, próbowałam delikatnie, żeby nie zaognić sytuacji, ale to wystarczyło. Złapał mnie z całej siły za ramiona, uniósł z centymetr nad podłogę i walnął mną o ścianę w jadalni. Nie zdążyłam skulić głowy. Głuchy dźwięk rozległ się echem po całym domu.

„Zabolało? – wysyczał. – Masz nauczkę czy chcesz jeszcze?” „Przestań, przestań, co ty wyprawiasz?” „Co ja wyprawiam? Uczę żonę, na czym polega porządek w tym domu. Radzę szybko się przyzwyczać, bo będzie tylko gorzej, zrozumiano?”

I żebym „zrozumiała”, raz jeszcze uderzył mną o ścianę. Osunęłam się jak szmaciana lalka. Kręciło mi się w głowie, nogi i ręce miałam niczym z waty. Dotknęłam potylicy – guz rósł bardzo szybko, był niezwykle tkliwy. Nie miałam siły wstać. Boże, jak mnie wtedy wszystko bolało. Czułam się upokorzona i sponiewierana. Marek zostawił mnie taką i zamknął się w gabinecie. Włączył głośno jakiś rockowy kawałek, jak to miał

w zwyczaju. Nie wiem, ile to trwało. Kiedy wreszcie udało mi się dowlec do łazienki, z lustra patrzyła na mnie zapłakana, zapuchnięta, rozmazana kobieta. Na ramionach widniały odbite palce. Uścisk musiał być bardzo silny. Nie wiedziałam, jak się zachować. Nie miałam początkowo pomysłu, kogo prosić o pomoc. Na Gośkę nie mogłam liczyć. Pomyślałam więc o teściach.

Pojechałam do nich po jakimś czasie z wizytą. Opowiedziałam o tym, co się stało w naszym domu. Pokazałam siniaki, jeszcze tego dnia widoczne. Opowiedziałam o alkoholu, o jeźdzeniu po pijaku, o rzucaniu mną po ścianach, szarpaniu za włosy, zamykaniu na tarasie, o wyzwiskach. Teść krążył wokół stołu. Wydawało mi się to dziwne, bo ten człowiek kojarzył mi się z kimś, kto głównie siedzi w fotelu i ogląda telewizję. Nieczęsto widziałam go w ruchu. A tym razem był wyraźnie zdenerwowany. Nie odzywał się, niczego nie kwestionował. Wysłuchał mnie do ostatniej kropki, a kiedy skończyłam, powiedział: „Jeśli liczysz na to, że odbędę rozmowę pouczającą z moim synem, to się mylisz. To sprawy małżeńskie i dziwię się, że je tu wywlekasz. Chcesz mojej rady? Zaczniście się wreszcie razem modlić. Może posłuchacie nauk w telewizji. Jest taki program, bardzo mądry. Dobra żona sobie radzi. Widocznie ty nie umiesz”.

Koniec ojcowskiego komunikatu. Widzisz, nie słyszeli mnie. Ani wtedy, ani gdy raz jeszcze zadzwoniłam do nich – z bezsilności i rozpacz. Nie pamiętam dokładnie słów, ale sens reakcji teścia był taki: „Zastanów się nad sobą, możesz rzucić kamieniem w Marka dopiero wtedy, gdy się okaże, że sama jesteś bez winy”. Znowu ręce mi opadły. Teść częstował mnie na zmianę Biblią i nakazem rodzinnej modlitwy. Wiedziałam, że kolejne rozmowy nie mają sensu. Po co to zrobiłam? Mój Boże, chciałam ratować to, co się jeszcze da, choć coraz częściej opadałam z sił.

Mówiłam, że najgorzej było wtedy, gdy nasze dzieci były poza domem, prawda? Dziwisz się, że kiedy słyszałam, że muszą wyjechać na kolejne treningi, zgrupowania, mistrzostwa – cierpła mi skóra? Wiedziałam, co widnieje na horyzoncie. Zatrzaskiwały się drzwi za Iwonem i Heleną i zaczynało się moje piekło. Już dawno wyniosłam się z naszej sypialni. Dom był na tyle duży i funkcjonalny, że mogłam wprowadzić się do części gościnnej na dole. Miała osobne wejście. Pierwszego wieczoru, gdy zostaliśmy sami, mój mąż zaszył się w gabinecie. Po pierwszych dźwiękach z płyty *Innuendo* Queen nie miałam wątpliwości, że komórkę powinnam mieć przy sobie i że muszę dobrze zamknąć drzwi. Zrobiłam tak. Chyba

w ostatnim momencie, bo zaraz potem usłyszałam ryk z gabinetu, a chwilę później sapanie pod drzwiami.

„Zamykaj się, taaaak, kurwo jedna, zdiro. Brać kasę z konta na koleżaneczki i pijaństwo to umiesz, a popatrzeć mi w oczy to już nie?”

Jestem ci winna wyjaśnienie – obydwójce pracowaliśmy, obydwójce zarabialiśmy pieniądze. Nie mogłam porównywać mojej wypłaty z pensją prezesa ogromnej międzynarodowej korporacji, ale nie byłam na jego garnuszku. Nie jestem też utracjuszką. Nie wydawałam na ciuchy czy zachcianki. Czasem brałam z konta czterysta, pięćset złotych, gdy wypadała moja kolej płacenia za damskie spotkania. To wszystko. Kiedyś Marek nie miał z tym problemu, przeciwnie, potrafił przyjechać po mnie, gdy zasiedzialiśmy się w knajpce. Wchodził do środka, czarował wyglądem i intelektem, kłaniał się paniom, otwierał mi drzwi do samochodu. Jednak jakiś czas temu coś go odmieniło. Najmniejszy wydatek z mojej karty traktował tak, jakby to była zbrodnia przeciwko ludzkości.

„Przestań się chować, suko! Fajnie mnie okradać? Złodziejkę hoduję pod własnym dachem! Wyłaź wreszcie z nory, szcurze! Na libacje lecis z ogonem do góry jak suka z rują, a teraz co, strach cię obleciał? Ja pierdołę, myślisz, że ci się uda ze mną? Niedoczekanie, kurwa!” – krzyczał wtedy, szarpiąc za kłamkę.

Chwilowa cisza była tylko zapowiedzią burzy. Wrócił z czymś, czym zaczął uderzać w drzwi. Coraz mocniej i mocniej. Jakby młotek albo... w każdym razie jakiś twardy metalowy przedmiot. Walił tym jak opętany. Walił i syczał przez drzwi: „Bój się, wykończę cię dzisiaj”.

Przemogłam się i zadzwoniłam na policję.

„Proszę przyjechać. Mój mąż jest pijany i agresywny. Zamknęłam się przed nim na klucz, ale stoi przy drzwiach i uderza w nie jakimś przedmiotem. Naprawdę się boję”.

Podaliśmy adres, powiedziałam, że otworzę bramę. Cały czas nagrywałam jego wrzaski i walenie. Chciałam mieć dowód, bo przecież trudno uwierzyć, że wymuskany facet, w garniturze szytym na miarę i butach od najlepszego szewca, pachnący i gładko ogolony, w domu zamienia się w oprawcę jak z horroru. Nie wiedział, że wezwałam policję, nie słyszał mojej rozmowy z komisariatem.

„Bój się” – wysyczał jeszcze kilka razy przez zaciśnięte zęby.

Wystraszyły go dopiero niebieskie światła na podjeździe. Radiowóz przyjechał bez włączonego sygnału, za to z pulsującym błękitnym kogutem

na dachu. Mój mąż ulotnił się spod drzwi. Kroki zdradziły, że wszedł po schodach i zamknął się w sypialni.

Przyjechało dwóch miłych, młodych policjantów. Jeden wysoki i bardzo szczupły, drugi z brodą. Tego drugiego widziałam potem u nas jeszcze kilka razy. Widocznie dokładnie wtedy, gdy wzywałam pomocy, wypadała jego służba. Opowiedziałam, co się wydarzyło, odtworzyłam kawałek nagrania. Słuchali bez słowa.

„Gdzie pani mąż?” „Pewnie na górze”. Zastukali kilka razy do drzwi jego sypialni. „Panie Marku, proszę otworzyć, chcemy z panem porozmawiać. Pana żona boi się o swoje bezpieczeństwo. Proszę otworzyć”.

Głucha cisza. Ciemno w pokoju. Spał, a może tylko udawał, że śpi. Panowie odjechali, a ja zostałam z dojmującym wstydem. To naprawdę zadziwiające, jak bardzo ofiara może się krępować powiedzieć prawdę, jak niesamowicie wstydzi się, że była obiektem agresji. Nie masz pojęcia, ile mnie to kosztowało, żeby pierwszy raz wezwać patrol. Jak to? Interwencja mundurowych w naszym pięknym domu z basenem, ogrodem i ochroną? W mojej rodzinie nigdy czegoś takiego nie było, nie miałam ani nie znałam instrukcji obsługi takich sytuacji. Działalam intuicyjnie. Próbowałam rozmawiać, perswadować, potem szukać pomocy u bliskich i wreszcie została ostatnia instancja – policja. Wiesz, co usłyszałam od panów za drugim albo trzecim razem?

„Pani Kingo, proszę się nie krępować i wołać nas zawsze, gdy uzna pani, że jesteśmy potrzebni. My tu naprawdę znamy jeszcze kilku pani sąsiadów od tej strony. To osiedle ma swoje tajemnice. Nie jest pani jedyna”.

Wiedziałam, że powiedzieli to po to, żeby dodać mi odwagi, żebym nie czuła się jak trędowata na naszym „wytwornym” osiedlu. Zaczęłam jednak inaczej patrzeć na okoliczne wille. Na kobiety wyjeżdżające z posesji samochodami z przyciemnianymi szybami, w ciemnych okularach, jakby coś chciały ukryć. Widziałam smutne twarze i podpuchnięte oczy. Wyglądały dokładnie tak jak ja. I tak jak ja, żadna z nich nie chciała powiedzieć słowa o tym, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami ich gigantycznych rezydencji.

Jeszcze jedno – mój mąż, podobnie jak jego ojciec, utrzymywał, że „swoje sprawy załatwia się w domu”, że „brudów nie wynosi się na zewnątrz”. To powtarzał w rozmowach, tego chciał nauczyć nasze dzieci.

Zawsze też słyszałam: „Przestań narzekać, gdzie jest krzywda? Ile twoich koleżanek zamieniłoby się na dom, na dzieci, na wakacje w Stanach, co?”.

Na to pewnie wiele, ale takiego męża raczej żadna by nie chciała. Asia, moja bliska koleżanka, po którejś rozmowie namawiała: „Kinga, daj już spokój, to nie ma sensu. Uciekaj od niego, składaj papiery, przecież on cię kiedyś zamęczy”.

A ja dalej swoje – że rodzina, dzieci, dom, że przecież on potrafi być dobrym człowiekiem. Byłam ofiarą i najlepszym adwokatem swojego oprawcy. Dopiero wiele lat później zrozumiałam, że to klasyka gatunku. Syndrom sztokholmski, który każe poniżanym stanąć po stronie poniżającego.

Bałam się o dzieci. Nie chciałam w żaden sposób wciągać ich do naszego bagna. Wielu z naszych awantur zresztą nie słyszały, bo – jak mówiłam – one zdarzały się dokładnie wtedy, gdy obojga nie było w domu.

Tak działo się na początku. Potem Marek niespecjalnie się hamował. Wydawało mi się, że kiedy kłócimy się na dole, to nasza Helena niczego nie słyszy. Jej pokój znajdował się w odległej części domu, często zamykała drzwi, które były stosunkowo szczelne. Ale ona słyszała doskonale. Nawet przez sen. Była jak najlepszy sejsmograf. Zrobiła się nerwowa, opuściła się w nauce, zaczęły się problemy z rówieśnikami i z dojrzewaniem. Wjechała terapia.

„Widzisz, to twoja wina. Zobacz, do czego doprowadziły twoje pretensje i gorzkie żale” – tak brzmiała diagnoza jej ojca. „Marek, my też powinniśmy iść do specjalisty, nie poradzimy sobie sami” – prosiłam. „Specjalista? Chyba dla ciebie. Mnie nie jest do niczego potrzebny” – ucinał dyskusję.

Zwykle po takich rozmowach zamykał się – dosłownie i w przenośni. Przystawał się odzywać i trwało to tygodniami. Na dzień dobry – nic, przy stole – ani słowa. Zamiast tego – pisał do mnie maile. Masz pojęcie? Mieszkaliśmy wciąż pod jednym dachem, mieliśmy wspólną kuchnię i drzwi wejściowe, a mój mąż porozumiewał się za pośrednictwem poczty elektronicznej.

„Kingo,

informuję, że nie godzę się na wyjazd Heleny na zawody do Berlina. Jako odpowiedzialny ojciec uważam, że powinna skupić się na nauce, za którą – przypominam – słono płacę. Zwracam także uwagę, że powinnaś

porozmawiać z panią Olgą. Jej sprzątanie i prasowanie ostatnio pozostawia wiele do życzenia”.

Albo:

„Nie życzę sobie, żebyś używała filiżanek z serwisu od Kaweckich. To zbyt drogie rzeczy jak na sytuacje bez powodu. Weź to pod uwagę”.

Albo:

„Za dwa dni wychodzimy na przyjęcie do Gumkowskich. Oczekuję, że przygotujesz mi koszulę z monogramem i sama ubierzesz się stosownie. Przypominam, że nasza obecność jest tam konieczna ze względów reprezentacyjnych”.

Itđ., itp. Pisanie miało jednak pewną zaletę – awantury cichły. Niestety nie na długo. Po chwili spokoju wszystko zaczynało się na nowo. Picie, głośna muzyka i agresja.

Rubikon został przekroczony, gdy zapomniał się i puściły mu nerwy w obecności Iwona.

Marek nie zauważył, wpadając z furią do kuchni, że jest w niej też nasz szesnastoletni syn. Wystartował do mnie z pięściami, wyzywając od złodziejek i oszustek i to był moment, kiedy... nie wiem, jak to opisać... to były sekundy, ułamki sekund. Iwo rzucił się na niego. „Zostaw mamę!” – zawył i zwałił ojca na podłogę.

Nigdy w życiu nie myślałam, że kiedykolwiek doświadczę czegoś takiego. Nie sądziłam, że zobaczę, jak moje dziecko rzuca na łopatki swojego podpitego ojca, który chwilę wcześniej był gotowy mnie pobić. Syn oddychał ciężko, próbując wyhamować emocje. Ten dzieciak uświadomił mi, że nie można pozwalać na bycie ofiarą. Że nie mogę już dłużej udawać, że to chwilowe, że wszystko będzie dobrze albo że wcale aż tak nie bolało. Następnego dnia pojechałam na komisariat. Spisałam zeznanie, złożyłam doniesienie do prokuratury o podejrzeniu popełnienia przestępstwa.

„Czas na Niebieską Kartę” – powiedziała dzielnicowa, pani Basia. Silna, rosła kobieta o łagodnych oczach i żelaznym uścisku dłoni.

Przyznałam jej rację. Sprawa trafiła do sądu rodzinnego. Marek dostał stosowne papiery i chyba się przestraszył, bo sam do mnie przyszedł i powiedział: „OK, Kinga, chodźmy na terapię”.

Nie chcę, żeby to wyglądało, że oto nagle przejrzał na oczy, zrobił rachunek sumienia i postanowił ratować rodzinę. Nie. Znał się na prawie, być może też ktoś mu doradzał. Wiedział, że to jedyny sposób, żeby sąd

łaskawiej na niego spojrział. Dostaliśmy wezwanie do sądu. Oboje. Sprawa dotyczyła odebrania praw rodzicielskich. Obojgu. Iwo i Hela dostali nadzór psychologów w swoich szkołach. W związku z Niebieską Kartą został też powołany zespół interdyscyplinarny do zbadania naszego przypadku. Musieliśmy się co kilka dni spotykać i rozmawiać o tym, jak wygląda sytuacja w domu. Marek za każdym razem był opryskliwy i pełen gniewu. Negował wszystko, co słyszał, każde słowo.

„Co pani wygaduje? Jaka przemoc? W każdym domu są konflikty, u pani tylko sielanka? Mam w to uwierzyć? Nasze dzieci mają superzycie, miodu i mleka im nie brakuje, a pani mi tu opowiada o krzywdzie? Jaka krzywda? Każde ma po sto metrów przestrzeni w domu, konto w banku, stopy elektroniki, wszystkie zachcianki spełniane na pstryk. Nonsens całe to spotkanie. Sąd kapturowy, psiakrew”.

Widzisz? Nie było w nim skruchy ani żalu. Tylko gniew i złość.

To był czas, gdy głos swojego męża słyszałam wyłącznie na terapii. W domu panowało milczenie. To bolało chyba nawet bardziej niż uderzenie w twarz. Bardziej niż kopniak wymierzony z całej siły w brzuch. To trwało w nieskończoność i kończyło się równie nagle, jak zaczynało. Marek wchodził do salonu z uśmiechem na twarzy i zaczynał rozmowę o pogodzie, jak gdyby nigdy nic. Wiem, że brzmi to idiotycznie, ale dokładnie tak było. Zaczynał się miesiąc miodowy. Chodziliśmy do kina, teatru, na spacer.

„Zabieram cię na kolację do Mediolanu” – oświadczył któregoś dnia i wieczorem byliśmy już w La Scali, oglądając genialną *Toscę*. Podobnie było z wyjazdem do Nowego Jorku. Wystarczyło, że powiedziałam: „Marzy mi się Metropolitan Opera”, a dwa tygodnie później siedzieliśmy w klasie biznes i lecieliśmy za ocean. Kiedy chciał, potrafił mieć gest. Obsypywał kwiatami, kupował drogie torebki, znów był moim dawnym Markiem, którego pokochałam bez pamięci. Łapałam te okruchy ciepła, pozory normalności jak wygłodniały pies. Cieszyłam się, tak. W duchu miałam nadzieję, że jednak coś się w nim przewartościowało, poukładało.

Nasza terapeutka powiedziała mi: „Pani Kingo, wygląda na to, że sytuacja się poprawia, a ja nie mogę dłużej państwu pomagać, jeśli pozycja małżonków nie jest symetryczna”.

Marek natychmiast to podchwycił: „Jeśli mamy być w terapii i poskładać rodzinę, wycofaj sprawę prokuratorską”.

To był szantaż, to oczywiste. Ale za bardzo zależało mi na nas, na dzieciach, rodzinie. Zgodziłam się. Marek poprosił o zmianę gabinetu. Znalazł dwoje terapeutów pracujących z parami. Spotykaliśmy się we czworo. Najpierw przez rok, potem przerwa i kolejne dwanaście miesięcy. Nasza domowa sinusoida, zamiast się spłaszczą, szybowwała w górę albo spadała na dno. Po dwóch latach huśtawki usłyszeliśmy: „Pani Kingo, panie Marku, doszliśmy do wniosku, że nasza praca już się zakończyła. Nie potrafimy pomóc państwu jako parze. Ogromnie nam przykro. Kręcimy się w kółko, mamy do czynienia ze spiralą zacieśniających się kół. Naszą sugestią są już tylko terapie indywidualne”.

Marek wyszedł bez słowa, ja zgłosiłam się do psychologa.

Wiele mu zawdzięczam. Przede wszystkim świadomość, że w żaden sposób nie uzdrowię mojego męża, że mogę tylko ratować siebie.

Znów mój syn otworzył mi oczy. Pamiętam, kiedy szykował się do wyjazdu na studia do Londynu, stanął przy blacie w kuchni, tuż obok miejsca, na które kilka lat wcześniej zwałił pijane ciało ojca. „Mamo, co masz zamiar zrobić teraz ze swoim życiem, co?”

Podziałało jak kubeł zimnej wody. Nie wiem dlaczego. W tej jednej chwili postanowiłam – koniec z tym. Składam pozew rozwodowy i wychodzę z tej pseudozłotej klatki. Już nie chcę tak funkcjonować, szkoda mi każdego dnia i każdej chwili. Wynajęłam mieszkanie od znajomych, zabrałam rzeczy i w dzień swoich czterdziestych piątych urodzin zaczęłam wszystko od nowa. Wyprowadziłyśmy się z Helą. Czy się bałam? Pewnie. Ale wiedziałam, że to jedyne wyjście, ostatnia szansa, żeby ocalić resztki siebie. Aha, oczywiście wysłałam maila do – jeszcze wtedy – męża. Uznałam, że tak jest w porządku. Tym bardziej że właśnie od dwóch miesięcy znowu się do mnie nie odzywał i już nawet nie pamiętałam z jakiego powodu. Napisałam:

„Marku,

nie chcę i nie mogę dłużej tkwić w toksycznej relacji. To, co się dzieje między nami, od lat truje mnie i nasze dzieci. Ciebie pewnie też. Chcę rozwodu – żeby pokazać Helenie, że kobieta nie może pozwalać sobie na życie w dysfunkcyjnej rodzinie, żeby wiedziała, że nie ma sytuacji bez wyjścia, że każdy zasługuje na miłość i szacunek, którego mi nie dałeś. Chcę, żeby nasza córka szła przez życie z podniesioną głową, bo ja unoszę swoją dopiero teraz. Nigdy nie jest za późno”.

Nie odpisał.

Rozwód braliśmy w samym szczycie pandemii. Zależało mi na tym, żeby to odbyło się szybko, bez ceregieli i orzekania o winie. Byłam zmęczona, potwornie zmęczona. Nie poznałabyś mnie, gdybyś teraz zobaczyła moje zdjęcia z tamtego okresu. Uzgodniliśmy, że opieka nad Helą będzie naprzemienna i tak dość długo było. Aż córka zdecydowała, że chce zamieszkać tylko ze mną. Nasze mieszkanie jest małe, ale nasze. Z widokiem na zieleń, gdy rano otworzymy okna, słyszymy śpiew ptaków. Jestem wolna i szczęśliwa, daleka od przemocowej relacji. Dziś już wiem, że to, co próbowałam „zafundować” Markowi, też było formą przemocy. Chciałam go przekonać do życia po mojemu, a on chciał żyć według jakichś swoich praw. Poznałam je dość dobrze i ani jednego nie akceptuję. Nie chcę i nie muszę. On – chyba tak. Co u niego? Nie wiem. Mieszka w naszym wielkim domu i jest sam. Przyjaciele zostali ze mną.

EWELINA

Ewelina mieszka w pięknej dzielnicy willowej. Sąsiedzi doskonale kojarzą tę blondynkę z ciałem o proporcjach lalki Barbie.

Kiedy zobaczyłam ją pierwszy raz na spacerze z psem – w sportowej krótkiej bluzce i seksownych szortach – nie mogłam uwierzyć, że to ta kobieta, o której czytałam w prasie. Współtwórczyni największej platformy spółek budowlanych w Europie, prezes międzynarodowej firmy deweloperskiej, mówiąca płynnie w czterech językach. Kobieta, która weszła ze swoim przedsiębiorstwem na giełdę. Obecnie zaś zarządzająca firmą z branży coworkingu.

Na okładkach pism biznesowych zawsze występuje w stroju dopiętym pod samą szyję i z poważną miną. Prywatnie – dziewczyna piękna, niezwykle seksowna, za którą uganiają się mężczyźni. Gdy wchodzi się z nią do restauracji czy klubu, pozostałe kobiety automatycznie stają się niewidzialne. W ciągu jednego wieczoru Ewelina potrafi odmówić drinka kilku facetom. Byłam zachwycona tym zjawiskiem, gdy obserwowałam je z bliska, czując się, jakbym grała rolę epizodyczną w jakimś hollywoodzkim filmie...

Spytałam ją, czy z takim wyglądem musi na spotkaniach biznesowych udowadniać swój profesjonalizm? Odpowiedziała twierdząco.

Ale to nie była jedyna rzecz, której musiała dowieść.

OPOWIEŚĆ EWELINY

Nie zapomnę, jak kiedyś w środku nocy trzymał mnie za włosy nad stoliczkiem z rozsypaną koką. Krzyczał: „Ciągnij suko!”.

Fryderyk zawsze otoczony był wianuszkiem popleczników. Ciągle w działaniu. Ciągle z nowymi pomysłami i listą nowych zadań.

W sposób naturalny nasze temperamenty się spotkały. Na początku ta współpraca zdawała się idealna. Podobało mi się w nim to, że szybko myślał, miał doświadczenie (był dwanaście lat starszy) i cięte riposty.

Ja mu zaimponowałam moją znajomością języków i pracowitością oraz analitycznym umysłem. Choć i tak na pierwszym spotkaniu jego wzrok głównie spoczywał na moim biuście. Nawet zwróciłam mu wtedy uwagę...

Mam taką cechę, która po latach mi się przysłużyła – a mianowicie pamiętam wydarzenia z najdrobniejszymi detalami...

Miałam na sobie klasyczną białą bluzkę z kołnierzykiem i do tego czarną ołówkową spódnicę za kolano. Zawsze lubiłam ubierać się kobieco, ale doбираłam strój do okazji, poza tym wiem, że z moimi proporcjami muszę zachować szczególną oszczędność i skromność. Bo jest to czasem temat nawet bardziej drażliwy dla niektórych kobiet niż dla mężczyzn.

To nieprawdopodobne, jak bardzo w Polsce wygląd wpływa na to, jak cię ludzie odbierają, w innych krajach nie zauważyłam takiego szufladkowania, no ale cóż, każde miejsce na ziemi ma swoją specyfikę.

Wróćmy jednak do początku tej historii...

Przygotowywałam się wtedy do matury we francuskiej szkole. Od dwóch lat w związku z chłopakiem z Grecji. Tam też spędzałam wakacje i uczyłam się zachłannie kolejnego języka. Zawsze miałam do tego łatwość, mówiłam już biegle po angielsku, francusku i portugalsku.

Fryderyk był politykiem z wielkimi ambicjami biznesowymi i biznesmenem równocześnie. Kiedy zorientował się, że władam płynnie

kilkoma językami oraz mam siatkę licznych kontaktów zagranicznych, natychmiast zaproponował mi współpracę przy swoim start-upie.

Zaczęliśmy od zatrudnienia sześciu osób – plus sprzątaczką i księgową na pół etatu. Nadzorowałam dosłownie wszystko; pisałam każdy mail, bo okazało się, że Fryderyk angielski znał jedynie na poziomie bardzo podstawowej komunikacji. Pisał i mówił z takimi błędami, że uznałam, że będzie lepiej, żeby nie kontaktował się w tym języku z kimkolwiek spoza firmy. Choć uwielbiał snobować się na swoje międzynarodowe kontakty, to z czasem okazało się, że takowych nie miał. To wtedy kazał wszystkim w pracy, łącznie ze mną, mówić do siebie Fred.

Zaczął się siedzenie w biurze do nocy i wysłuchiwanie opowieści o chorobie psychicznej jego ówczesnej żony. Według niego miała schizofrenię i omamy. Mówił z przejęciem, jaka to biedna jest jego mała córeczka z taką zwariowaną i niebezpieczną matką.

Gdy patrzę na te historie z perspektywy czasu, wiem, że nic z tego nie było prawdą. Po naszym rozstaniu identycznie opowiadał wszystkim znajomym o mnie. Lecz wtedy mu wierzyłam, nie miałam nigdy wcześniej do czynienia z oszustami ani kłamcami, niestety musiałam być dla niego łatwą do zmanipulowania zdobyczą.

Fred spodobał mi się pod względem intelektualnym, ale, co muszę podkreślić, moje kompetencje niczym nie odbiegały od jego, mimo że byłam sporo od niego młodsza. Od dziecka obracałam się wśród elity intelektualnej i niczego nie musiałam sobie udowadniać.

Do swojego start-upu zaprosił mnie jako partnera biznesowego. Praca coraz bardziej mnie zajmowała, miałam mniej czasu na wyjazdy do mojego chłopaka i w końcu miłość z Nikosem zaczęła umierać śmiercią naturalną, związek na odległość przestał się sprawdzać.

Fred narzekał na koszmarną żonę, na to, że go zdradza, a on strasznie cierpi, że krzywdzi jego córkę fizycznie i psychicznie, że robi mu ciągle awantury lub nie odzywa się do niego tygodniami, że jest mało inteligentna i jedyne, co ją interesuje, to nowe ciuchy, że jest prostytutką pochodzącą ze słabej rodziny zupełnie niewykształconych ludzi, że uważa się za nie wiadomo jaką damę, a naprawdę jest zerem... Zszokował mnie, pytałam, dlaczego w takim razie się z nią ożenił, skoro tak źle ją ocenia. Odparł, że małżeństwo z nią to największy błąd jego życia, że nie kochał jej nigdy, ale bał się, że po studiach nie będzie miał już gdzie poznać kogoś innego, więc „brał, co było pod ręką”. Poza tym wokół niego koledzy z roku też się

pobierali, nie chciał więc być gorszy. Tę samą narrację Fred stosuje teraz, pomawiając mnie.

Pewnego wieczoru po pracy zaprosił mnie na kolację i wyznał łamiącym się głosem, że złożył papiery rozwodowe... Zaledwie kilka miesięcy później pokazywał się publicznie z Justyną, dorodną, wysoką blondynką z bardzo bogatej rodziny. Zaczął się z nią fotografować i udzielać wywiadów o tym, jaki jest szczęśliwy u boku nowej kobiety, chadzał z nią na oficjalne rauty i bale.

Po jakimś czasie oznajmił mi, że im nie wyszło, że „to nie było to”, a Justyna zdecydowała się po rozstaniu przeprowadzić do Australii.

Stopniowo zaczęliśmy się spotykać częściej i częściej. Jakże się zdziwiłam, gdy na randce w kinie przypadkowo spotkaliśmy Justynę, która rzekomo mieszkała już w Australii. Była na Freda wściekła, krzyczała, że jest oszustem, złościła się również na mnie, ale z jej wypowiedzi nie wynikało nic więcej niż to, że Fryderyk ją oszukał. Poprosiłam go o wyjaśnienie. Odparł, że niestety Justyna nie jest stabilna emocjonalnie, że ma chorobę psychiczną i że to właśnie było tak naprawdę powodem ich rozstania, a ona nigdy nie zaakceptowała tego faktu i teraz się na nim mści.

Widziałam furię tej kobiety, więc, jak to się mówi, „kupiłam tę bajkę”. Po latach jednak dowiedziałam się, iż emocjonalna reakcja Justyny była jak najbardziej na miejscu, gdyż Fred wcale się z nią nie rozstał, nadal była wtedy jego dziewczyną i nie miała o mnie i naszym związku pojęcia. Oszukiwał nas obie, lecz wtedy naiwnie wierzyłam w jego opowieści i bardzo mu współczułam, że znowu źle trafił, znowu na chorą psychicznie kobietę...

Przez wiele miesięcy Fred zabiegał, żebym zainteresowała się nim jako mężczyzną. Wtedy nie bardzo podobał mi się fizycznie. Dużo bardziej ceniłam go jako inteligentnego rozmówcę, a nie partnera. Porozumienie intelektualne było spoiwem tego związku i moim głównym fetyszem.

Na początku był delikatny i romantyczny, pamiętam kolacje przy świecach i muzykę poważną...

Nie zapaliła mi się żadna czerwona lampka, a przecież po latach okazało się, że Fred realizował liczne perwersje seksualne z paniami z rozkładówek magazynów dla panów, w domu udając pluszowego misia.

Za to dużo przeciwko niemu miała moja rodzina. Mama delikatnie sugerowała, że nie jest on dobrym wyborem. Żartowała, że jako kardiolog zna się na sprawach sercowych. Tata natomiast sprzeciwiał się ostrzej.

Wskazywał na pochodzenie społeczne Freda, jako historyk wiedział, że w przeszłości ojciec mojego ukochanego związany był z partią komunistyczną i splamił swój honor niemoralnymi zachowaniami. Uprzedzał mnie, że Fred może okazać się układowiczem i aferąlem...

Niestety, w krótkim czasie potwierdziły się te obawy i Fred wylądował jako domniemany oszust i złodziej na okładkach wszystkich gazet oraz w głównych wydaniach wiadomości na wszystkich kanałach telewizyjnych.

Firma rozwijała się wyśmienicie. Przepraszam, ja ją rozwijałam ciężką pracą, często po godzinach, dopinałam coraz większe międzynarodowe kontrakty.

Fred natomiast piął się po szczeblach kariery politycznej. A wiesz, jak to wygląda: dużo spotkań, przyjęć i wódki...

Zaręczyliśmy się w Paryżu. Nie stać nas było wtedy na drogie hotele, więc spaliśmy w ciasnym, trzygwiazdkowym, przy jednym z dworców, z dala od centrum, bo na tyle pozwalał nam wspólnie uzbierany na ten wyjazd budżet. Ku mojemu zaskoczeniu Fred oświadczył mi się pod wieżą Eiffla. Nie stać nas było tamtego wieczoru na kolację w restauracji na wysokościach, ale skoczyliśmy do jakiegoś małego i przytulnego bistro...

Ja byłam wtedy młoda, miałam dwadzieścia cztery lata, od pięciu lat wspólnie budowaliśmy firmę, dopiero od roku mieszkaliśmy razem, nie myślałam więc jeszcze o tak szybkim zakładaniu rodziny, ale nie widziałam powodu, aby odrzucać zaręczyny, przecież wydawało mi się, że wszystko jest w porządku, pracowaliśmy razem, budowaliśmy wspólną przyszłość...

Jaki on wtedy był? Fajny i bystry. Jest świetnym aktorem, dopasowuje się do okoliczności tak, aby uzyskać określony cel. Jest bardzo przebiegły, zna się doskonale na metodach manipulacji, z których już wtedy przeszedł liczne szkolenia. Nigdy jednak nie sądziłam, że wiedzę w tym zakresie będzie wykorzystywał przeciwko osobie, z którą planuje przyszłość.

To, co łączy wszystkie jego twarze, to wieczne przebywanie w towarzystwie popleczników i załatwiaczy oraz gotowość do działania wszelkimi, nawet nielegalnymi metodami, ważne, aby skutecznie; ale wtedy jeszcze tych jego innych twarzy nie znałam. Z pewnością gdybym była bogatsza o wiedzę, którą nabyłam na jego temat lata później, wtedy powiedziałabym stanowcze NIE.

Później, gdy już zostałam jego żoną, tak naprawdę na żadnym wyjeździe nie byliśmy sami. Zawsze jechali z nami jacyś znajomi, którzy coś dawali albo załatwiali lub byli po prostu bogaci i mogli się Fredowi do

czegoś przydać. To znajomościami z nimi popisywał się wśród biedniejszych kolegów bądź na Facebooku i Instagramie. Fred interesował się tylko tymi ludźmi, którzy mieli wielki dom, fortunę w banku, prywatny odrzutowiec bądź przynajmniej jacht, innych nazywał „przydatnymi idiotami”. Przyjaźnie były u niego na pokaz, jeśli ktoś okazywał się nieużyteczny, wypadał z orbity.

Oczywiście zawsze udawał przyjaciela wszystkich, z czystego wyrachowania, jednocześnie obśmiewając niektórych za ich plecami. Zapraszał ich na kolacje i lanczyki, za które nigdy z własnej kieszeni nie płacił, gdyż wydatkami obarczał firmę, czyli de facto... niczego nieświadomych akcjonariuszy.

Jedynie do Afryki pojechaliśmy tylko we dwoje. Przez chwilę nawet miło ten pobyt wspominałam... aż do momentu, gdy otrzymałam dowody, że nigdy, nawet w czasie gdy byłam w ciąży, nie byłam jego jedyną kobietą ani jego prawdziwą miłością.

Fred w trakcie trwania naszego małżeństwa utrzymywał stałe relacje jeszcze z dwiema kochankami, naraz. Ja byłam oczywiście dla niego wygodną żoną, którą można śmiało pokazać jako swoją wizytówkę i pochwalić się nią na salonach, ale, jak widać, to mu nie wystarczyło.

Okazał się seksoholikiem, lubił zdradzać. Podobało mu się, że taki jest sprytny w swoich oszustwach, że przez lata o niczym nie wiedziałam. Teraz robi dokładnie to samo swojej najnowszej „oficjalnej” kobiecie.

Do tej pory zdarza się, że któraś z jego kochanek kontaktuje się ze mną przez media społecznościowe, lecz na szczęście teraz pytają o tę kobietę, która była jego kochanką w czasie, gdy my byliśmy razem. Niektórzy nazywają to karmą, ja się cieszę, że nie jest to już mój problem.

Wtedy nawet przez myśl mi nie przeszło, że ktoś, kto ślubował mi wierność, mógłby okazać się tak nie w porządku; to się w ogóle nie wpisywało w mój kanon wartości. Myślałam, że wszystko jest OK, gdyż mierzyłam go swoją miarą. Jednak nic, nawet dobre wspomnienia nie okazały się prawdziwe.

Dziś nie jestem już tak naiwna jak kiedyś, wiem, że świat jest pełen złych ludzi. Nie ufam tak jak kiedyś i nie popełniam tych samych błędów. Doświadczenia z Fredem pokazały mi, że można żyć w iluzji wiele lat. To na zawsze pozostawia skazę w sercu.

Wszystko układało się w doskonałą złotą mozaikę do momentu pierwszego pęknięcia.

Któregoś wieczoru, na jednym z eventów biznesowych, okazało się, że mój Fred ugaduje nie do końca jasny deal, na dodatek za ogromne państwowe pieniądze.

Powoli poznawałam wtedy meandry polityki i nie potrafiłam się z tym światem ułożyć, nie lubiłam tego fałszu i obłudy oraz tego, że tak powszechne jest w nim budowanie kariery na cudzych plecach i z użyciem brudnych gier. Mnie od tego odrzucało zawsze, a ten państwowy kontrakt Freda był idealnym dowodem na to, że wszystko na styku polityki i biznesu jest śmierdzące. Brudny pieniądz nigdy się nie wyczyści.

Fred, na fali sukcesów rozpędzony jak rakietą, myśląc, że jest bezkarny i może wszystko, przejął sporo państwowych środków. Wtedy uważał, że jest nietykalny, a tu noga się powinęła... Z hukiem wyleciał z partii.

Zamknął się w mieszkaniu i zanurzył w depresji. Autentycznie! Po raz pierwszy w życiu widziałam mężczyznę, który klęczy i płacze... Weszłam oczywiście w rolę pocieszycielki strapionych i ratowniczkę. Wszędzie, gdzie bałagan – posprzątam. Gdy ktoś tonie – pobiegnę z ratunkiem, zwłaszcza jeśli tonie człowiek mi bliski.

Czy miałam myśli, żeby go wtedy zostawić? Absolutnie nie.

Owszem, nie podobał mi się brak uczciwości, o czym mu szczerze mówiłam, ale to przecież był mój mężczyzna!

Każdy czasem popełnia błędy. Fred zaklinał się, że nigdy więcej nic takiego nie zrobi. Wierzyłam, że szczerze żałował.

Wybuchła afera korupcyjna. Fred po kilku dniach płaczu wymyślił wraz z prawnikiem dwuetapowy plan działania. W pierwszym, aby prasa go nie zniszczyła, wszystkich, którzy będą o nim pisać prawdę, miał pozywać o naruszenie dóbr osobistych i zniesławienie, w kolejnym miał finansować duże wydawnictwa oraz wspierające je fundacje. Wykupywał roczne pakiety reklamowe (artykuły sponsorskie, ogłoszenia i reklamy), gwarantując sobie w ten sposób nietykalność... Gazeta działa tak, że pod koniec roku bilans musi wyjść na plus, inaczej tytuł się nie broni i upada. Gdy odchodzi duży klient, to nie jest dobrze. Okazało się, że ta strategia podziałała i... działa do dziś. Fred ma w kieszeni wiele redakcji i licznych dziennikarzy.

Jego słynne motto: „Zajebię wszystkich, którzy będą usiłowali podnieść na mnie rękę” teraz dotyczy też mnie.

Kiedy patrzę wstecz, widzę jasno swoje błędy i klapki, które miałam na oczach. Widzę, jak ufałam za bardzo, za bardzo starałam się utrzymać rodzinę i jak nie widziałam żadnych sygnałów ostrzegawczych, bo nawet nie wiedziałam, że w ogóle mogą takie być.

Nigdy nie brałam pod uwagę odejścia od Freda. Dorastałam w pełnej rodzinie, bez rozwodów, gdzie mąż i żona to święta jednostka, gdzie się nie porzuca nikogo w kłopotach, a do końca walczy o to, aby nawrócić małżonka na właściwe tory. I to mnie zgubiło.

Nie brałam udziału w przekrętach Freda, na szczęście działaliśmy w zupełnie innych strefach biznesowych, ale im bardziej widziałam i słyszałam, co robi, i protestowałam przeciwko jego poczynaniom, tym bardziej zły, oschły i okrutny się stawał wobec mnie. Mówił, że albo jestem z nim, albo przeciw niemu, dla tego człowieka nie ma nic pomiędzy.

Albo jesteś jego „pachołem”, jak sam nazywał swoich popleczników, „podnóżkiem” albo wrogiem... i tak w jego ocenie przeszłam na drugą stronę mocy, co miało mnie później wiele kosztować.

Nie mieliśmy przed ślubem intercyzy, bo pobraliśmy się na dobre i na złe. Po aferze chciał wrócić do polityki i zaczął szukać, w jaki sposób ukryć majątek. Postanowił wszystko przepisać na swoją matkę, a potem przenieść własność z powrotem na mnie i na siebie. Tak niestety się nie stało i w wyniku jego machlojek, sfalszowanych przez niego dokumentów i podpisów, zostałam pozbawiona praktycznie całego mojego dorobku... Zostały mi kredyty Freda i trochę oszczędności na kontach akcyjnych, które to pieniądze później zwyczajnie z moich kont ukradł (do dziś toczy się o to sprawa). O mój dorobek, mimo upływu wielu lat, nadal walczę w sądach. Polskie sądownictwo pozostawia wiele do życzenia, moje sprawy ciągną się od pięciu lat i nie widać ich końca. Mimo opinii biegłych sądowych o fałszerstwie żadnych środków nie odzyskałam do dziś.

Działaniami mojego męża związanymi z ukrywaniem majątku i nieprawidłowościami w oświadczeniach finansowych zainteresowało się CBA. Fred bardzo się służb bał, mówił że to koniec, rozważał ucieczkę z kraju.

Kolejna czerwona lampka zapaliła mi się, gdy przeszłam mój pierwszy osobisty potworny dramat – poronienie...

Fred nie tylko nie przyjechał do szpitala, nie usłyszałam żadnych słów wsparcia czy wyrazu jakiegokolwiek empatii, za to wieczorem tego samego dnia kazał mi skosztorysować wielką transakcję. Udawał, że nic się nie stało.

Jakieś dwa miesiące później wyjechaliśmy do Miami, oczywiście z jego znajomymi.

Wynajął jacht, na którym już pierwszego wieczoru pojawiło się trzydzieści dziwek.

Dlaczego tak dużo? Nie wiem...

Dlaczego nazwałam tak jednoznacznie te miłe panie? Dlatego że pierwsze, co zrobiły, to otworzyły szampany, zdjęły bluzki i staniki, i polewały się nim obficie, zlizując go sobie wzajemnie z ciał. Po czym nosiły po pokładzie srebrne tace z kokainą, częstując nią chętnych.

W momencie, kiedy dwie z pań zaczęły robić loda sąsiadowi znajomego z Miami, zesłam z płaczem pod pokład i nie obserwowałam, co dalej się działo. Oczywiście Fred przez wiele godzin nawet nie zauważył, że nigdzie mnie nie ma.

Przy śniadaniu miał do mnie pretensję, że się nie bawiłam, zupełnie nie rozumiał, co mnie tak oburzyło. Tłumaczył, że przecież to nie jemu robiły tego loda...

Byłam bardzo przejęta i szczęśliwa, gdy zaszłam drugi raz w ciążę.

Poród miałam dramatyczny – straciłam bardzo dużo krwi i przytomność. Mało nie umarłam. To mama pomagała mi po wszystkim dojść do siebie i przy Aleksie. Pamiętam, że byłam przez pierwszy miesiąc tak obolała, że nie miałam siły iść do toalety...

Fred zniknął, bo powiedział, że musi się wysypiać. Mieliśmy wtedy jedno mieszkanie w Warszawie, a drugie w Szczecinie.

Po tym najgorszym miesiącu, w którym nie poradziłabym sobie bez pomocy mamy, postanowiłam dołączyć do niego w Szczecinie. Powiedziałam, że rodzina musi być razem.

To było piąte piętro bez windy i każde moje zakupy czy wyjście z wózkiem stanowiło nie lada wyczyn. Jak ja przez to przeszłam? Nie wiem. Ale to była tylko przygrywka.

Pierwszą naszą wspólną Wielkanoc, już we troje, przeplakałam.

Wyszedł w niedzielę „na siłownię” i wrócił w poniedziałek. Nie trzeba być mędrcom, żeby wiedzieć, że siłownie w święta są pozamykane.

Cóż, zaczął się nowy rozdział w moim życiu. Po czasie dowiedziałam się, że jeździł do kobiety, z którą był w regularnym związku. Jej podobno też się oświadczył. Tylko że to ze mną pracował... I chyba byłam bardziej przydatna.

Nie zajmował się dzieckiem wcale. Mówił, że dopiero gdy syn pójdzie do szkoły, to tatuś nauczy go robić interesy. Powoływał się na starą słowiańską tradycję, według której chłopiec pozostawał pod wyłączną opieką matki do ukończenia przez niego dziesiątego roku życia, potem następowały postrzyżyny i dopiero wtedy zaczynał nawiązywać relację ze swoim ojcem.

Fred nie odczuwał potrzeby przebywania z dzieckiem, bawienia się z nim czy nawet zaangażowania w sprawy zdrowotne. Chełpił się wręcz tym, że nigdy nie zmienił pieluchy, bo on nie był od tego, żeby babrać się w gównie. Syn to była moja odpowiedzialność.

Często znikał – czasem na dwa dni, czasem na tydzień, i już na tym wczesnym etapie nie czuł, że musi mnie informować, gdzie się wybiera i kiedy wróci. Nie wiedziałam nawet, w jakim jest kraju. Nie odbierał ode mnie telefonów, nie odpowiadał na SMS-y, a każda próba kontaktu kończyła się tym, że oskarżał mnie o kontrolowanie go. A ja tylko chciałam wiedzieć, że jest bezpieczny i wszystko u niego OK. Każde pytanie o to, jak mu minął dzień, co robił, wywoływało furię i awantury. Krzyczał, że „Nie będzie mi się spowiadał”. Nie wolno mi było pytać, interesować się, chcieć wiedzieć... Zasada ta nie działała jednak w drugą stronę.

Fred uzurpował sobie zawsze pełne prawo do nadzorowania każdej minuty mojego życia. Było to dla niego stosunkowo łatwe, gdyż pracowaliśmy z jednego biura, lecz nawet to mu nie wystarczyło. Zainstalował mi w tajemnicy lokalizator w samochodzie a u operatora komórkowego zamówił śledzenie mojego smartfona i przesyłanie wszystkich danych na jego telefon, wynajmował detektywów, którzy mieli dla niego sprawdzać, gdzie bywam, z kim rozmawiam. Organizował nawet prowokacje, w ramach których wynajmował mężczyzn, którzy mieli zaczepiać mnie na ulicy, prosząc o mój numer i proponując spotkanie. Kilku przyznało, że zapłacił im za to Fred.

Awantury o to, że dotarłam do domu pół godziny później (bo pojechałam po zakupy spożywcze) były na porządku dziennym. Kazał mi

gadać ze sobą przez wideorozmowę, tak aby kontrolować, gdzie jestem, a gdy nie zdążyłam odebrać telefonu po pierwszym sygnale, szukając go w panice w torebce, miałam już kilka SMS-ów pełnych agresji i oskarżeń.

Szczytem wszystkiego było wyzwanie mnie w czasie wideorozmowy, w obecności obcych ludzi, od „dziwek, które zamiast wracać do domu, pieprzą się na mieście”, gdy kupowałam bułki. Poprosiłam, żeby przestał na mnie krzyczeć, że widzi przecież, że jestem w piekarni koło domu, a on wkurzył się jeszcze bardziej i zaczął wrzeszczeć: „Puknięcie się z jakimś gachem zajmuje pięć minut, więc na pewno poszłaś po bułki już po wszystkim, żeby zrobić sobie alibi!”.

To był koszmar, a sytuacje tego typu zdarzały się często. Fred miał obsesję na moim punkcie. Wtedy, w piekarni, jakaś kobieta, która stała ze mną w kolejce, powiedziała: „Ten mężczyzna jest psychopata, on zrobi pani krzywdę, jeśli pani nie zgłosi sprawy na policję”. Miała rację.

Zanurzał się coraz bardziej w dealach, pieniądzach i zepsuciu. Wracał z przyjęć nie tylko pijany, ale i naćpany.

Zdarzały się takie sytuacje, że na przykład pojawiał się z jakąś parą ludzi ze świata mediów i sadzał sobie żonę kolegi na kolanach, a ja dostawałam propozycję seksu grupowego. Kolejny raz zastanawiałam się, czy to się dzieje naprawdę.

Każde moje zachowanie niezgodne z jego rozkazami i scenariuszem do tego stopnia mu się nie podobało, że wzbudzało gniew, furję i agresję.

Mówił mi w takich chwilach: „Mam już twoją kopię na twoje miejsce, a ciebie zakopię w lesie”. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, co to ma właściwie oznaczać. Wątki połączyłam dopiero później, gdy rzekoma kuzynka Freda – Kiki – po kilku operacjach plastycznych podejrzanie zaczęła przypominać mnie samą. Z dość przeciętnej brunetki z wielkim nosem, nagle stała się blondynką o bardzo podobnych rysach. Zaczęła nawet kupować identyczne ubrania jak ja, w tych samych sklepach. Kopiowała zdjęcia z moich social mediów, pozapisywała się na te same kursy i szkolenia, mimo iż edukację zakończyła na szkole średniej, więc nie były one odpowiednie dla jej poziomu wykształcenia. Ona po prostu chciała stać się mną i przejąć moje życie.

Od sąsiadów dowiedziałam się, że pod moją nieobecność, gdy byłam z Alekssem u rodziny w Szczecinie, Fred potajemnie przeprowadził do naszego domu Kiki wraz z jej psem, mimo że Alex ma bardzo dużą alergię na sierść. Gdyby nie to, że psu nie bardzo podobał się pomysł

przeprowadzki i kilkakrotnie uciekał do sąsiadów, pewnie nigdy bym się o tym nie dowiedziała.

Po jakimś czasie wyszło na jaw, że Kiki jest pracownicą branży seksualnej od wielu lat i że nie jest wcale kuzynką Freda. Opowieść o pokrewieństwie, którą Kiki i Fred szeroko rozprowadzili w towarzystwie, miała być jedynie alibi wymyślonym przez tę dwójkę, żeby nikt nie doniósł mi o romansie. Fred w świetle reflektorów wprowadził Kiki na salony jako swoją rzekomą rodzinę.

Po jakimś czasie od rozstania ponownie zobaczyłam Kiki... tym razem na opakowaniach produktów z sex shopu, zakupionych jako śmieszny upominek przez jedną z uczestniczek wieczoru panieńskiego. Prezent przypadł w udziale przyszłej pannie młodej, a wspólną decyzją zgromadzonych mi przydzielone zostały pudełka z rozneglizowaną Kiki. Dobrze, że je zachowałam, gdyż Kiki, mając niezwykle tupet, przy Fredzie poczuła się bardzo mocna dzięki cudzym finansom i zdecydowała się pozwać mnie o naruszenie dóbr osobistych! Na szczęście sąd stwierdził, że jeśli ktokolwiek naruszył czyjekolwiek dobra osobiste, to Kiki swoje własne, pracując dla branży erotycznej i fotografując się dla sex shopów.

Myślę, że to właśnie przez kokainę Fred stał się agresywny i seksualnie, i werbalnie.

Nie zapomnę, jak kiedyś w środku nocy trzymał mnie za włosy nad stoliczkiem z rozsypaną koką. Krzyczał: „Cięgnij, suko!”. Po seksie pełnym agresji, a czasem też przemocy, nie mogłam zrobić obdukcji. Przecież natychmiast jego cała kariera by się zawaliła. Myślałam, że jeśli przestanie brać, wszystko wróci do normy. Przepraszał, tłumaczył, że na trzeźwo nie zrobiłby tego, że to już się nie powtórzy, ale niestety niewiele później napadł mnie w nocy, palcami całymi w kokainie otworzył mi usta i wsypał pół woreczka do buzi. Bałam się, że mnie zabije. Wtedy słowa o zakopaniu mnie w lesie nabrały innego znaczenia.

Fred powiedział mi, że jeśli złożę na niego doniesienie, to on wsypie mi w nocy do ust całą paczkę koki, a na moim pogrzebie będzie płakał i opowiadał, jak ubolewa z powodu mojej śmierci. Wszyscy będą mu współczuć, że „miał taką żonę ćpunkę”. Powiedział, że będzie im mówić, że próbował mnie ratować, ale nałóg okazał się silniejszy.

Byłam naprawdę przerażona, że osierocę Aleksa, nagrałam Freda, jak przyznaje się do wszystkiego i przeprosza mnie za to, co zrobił. Sprawę zgłosiłam policji. Założona została Niebieska Karta.

Postanowiłam skończyć z przemocą i zawalczyć o bezpieczeństwo synka i swoje. Zgłosiłam także gwałty, których dokonywał na mnie wściekły i totalnie naćpany. Nie mogłam pozwolić na to, aby moje dziecko w przyszłości prześladowały obrazy krwawiącej i nieprzytomnej matki.

Po jednym z gwałtów wylądowałam w szpitalu; zaczęłam puchnąć i dostałam krwawych ran na całym ciele. To były takie wielkie czerwone pęcherze rozlane wszędzie na skórze, szczególnie na brzuchu. W szpitalu zarządzono po oględzinach tygodniową hospitalizację. A ja płakałam i tęskniłam za pięcioletnim wtedy Alekssem.

Te czerwone wrzody na skórze okazały się wysypką na tle nerwowym. Miałam spotkanie z psychologiem i zaczęłam dużo czytać o przemocowych związkach i syndromie ofiary.

Zdecydowałam wtedy, że już nigdy nikomu nie pozwolę na takie traktowanie. Musiałam zostać przykuta do szpitalnego łóżka, aby zrozumieć, że nic się nie zmieni, i powiedzieć temu stop.

„Zniszczę cię zawodowo, prywatnie i jako kobietę – powtarzał mi Fred wielokrotnie. – Zniszczę cię za to, że wystąpiłaś przeciwko mnie, będziesz izolowana społecznie, zostaniesz sama, bez znajomych, bez przyjaciół, unicestwiona w biznesie. Staniesz się ludzkim gównem, od którego każdy się odwraca, bo śmierdzi. Doprowadzę do tego, że będziesz mieszkać na ulicy i jeść ze śmietnika i nie spocznię, dopóki tak się nie stanie, nawet jeśli będę musiał poświęcić na to resztę życia”.

Fred jest w swoich niszczycielskich działaniach konsekwentny i wytrwały, ale nie spodziewał się, że trafił na silną kobietę.

Od czego zaczął? Od panów, którzy mieli o świcie wyprowadzić mnie i Aleksa z domu, boso i w piżamach. Mieli dokonać dzikiej eksmisji metodami czyszcicieli kamienic. Panowie spędzili z nami niemal trzy miesiące. Pod koniec nawet się ze mną zakolegowali. Na tyle, że dowiedziałam się, że za zlecenie napaści na mnie i wyrzucenie nas z domu dostali sto tysięcy złotych.

Musiałam zgłosić sprawę w prokuraturze i wygrać sprawę cywilną, żeby się wynieśli, lecz trwało to miesiące, w czasie których byłam non stop nagrywana we własnym domu jak w *Big Brotherze*, przez obcych wytatuowanych osiłków, których mocno się baliśmy oboje z synem. Spali

w moich łózkach, jedli w mojej kuchni, używali moich toalet. Dostali też zlecenie na zagazowanie nas, abyśmy wylądowali z zatruciem w szpitalu, co w tajemnicy przekazał mi jeden z najemników Freda. Na szczęście z pomocą policji udało się zablokować wizytę speców od klimatyzacji, do której miał być wpuszczony trujący gaz. Próbowali jeszcze kilka razy. Po tym, jak zostali przeze mnie nagrani i wylegitymowani przez policjantów, musieli zrezygnować z realizacji tego planu.

Od tego momentu baliśmy się z Alekssem nawet jeść produkty, które mieliśmy w lodówce, z obawy przed zatruciem ich przez ludzi Freda. Jedliśmy wyłącznie rzeczy kupione przed chwilą, które nie miały kontaktu z żadną osobą trzecią. Żyliśmy w ogromnym stresie, bojąc się nawet zasnąć.

Fred balował wtedy z Kiki na Ibizie, sącząc drinki z palemką, zdalnie nadzorując napaść na dom i z satysfakcją oglądając filmiki przesyłane im przez najemników.

Na szczęście przyjechał do nas mój ojciec, który mieszkał z nami przez cały okres napaści. Nie mieliśmy nawet kluczy do własnego domu, gdyż napastnicy Freda wyważyli drzwi i zmienili zamki. Gdybym wyszła, nie miałabym już jak wrócić, na zmianę więc z ojcem chodziliśmy po jedzenie, na zmianę spaliśmy, tak aby dziecko i dom były bezpieczne, o ile można mówić o jakimkolwiek bezpieczeństwie, gdy się żyje ze zbirami pod jednym dachem.

Jeden z najemników wrócił do mnie po jakimś czasie, przekazując informację, że jego kolega z Ukrainy dostał zlecenie na potrącenie mnie samochodem. Ponieważ nie udało się mnie wyrzucić z mojego domu, miałam zginąć. Mężczyzna, który przekazał mi informację, powiedział, że mówi mi o tym, bo nawet w „jego branży” to już za wiele i dlatego że mam dziecko. Uczulił mnie, abym uważała, gdyż zlecenie na mnie poszło w świat.

Natychmiast informację przekazałam policji, a Freda poinformowałam, że wiem, co zaplanował, oraz że policja też już o tym wie, więc jeśli cokolwiek mi się stanie, trafi prosto za kraty jako zleceniodawca. Myślę, że ta szybka reakcja mnie uratowała, gdyż przy takim obrocie spraw zleceniodawca byłby jednoznacznie identyfikowalny, a Fredowi nie uśmiechała się zamiana miejsca zamieszkania z tropików na więzienie.

Mam pięćdziesiąt jeden spraw w sądzie.

Z tych najbardziej absurdalnych – o kradzież obrazów, które osobiście licytowałam na galach charytatywnych, do których mam certyfikaty potwierdzające autentyczność, co jest w obliczu prawa dokumentem własności na okaziciela. Miała być to według Freda nie tylko kradzież, ale kradzież z włamaniem do własnego domu. Absurd na absurdzie!

A z tych najbardziej bolesnych – zgłoszenie Freda: „Żona jest chora. Cierpi na depresję i schizofrenię. Okalecza się. Nie jest w stanie spełnić podstawowych funkcji życiowych i społecznych oraz stanowi zagrożenie dla siebie i dla dziecka. Dlatego wnoszę o jej zamknięcie na oddziale psychiatrycznym bez jej zgody i wcześniejszego informowania”.

Wyobraź sobie, że tylko to – bez moich badań czy choćby jednej rozprawy – sprawiło, że sąd wydał nakaz wyprowadzenia mnie z domu w kajdankach i kaftanie bezpieczeństwa bez podania dnia ani godziny. To jest oczywiście zabieg celowy, bo jesteś wtedy zastraszona i nie wiesz, czy twoje dziecko będzie świadkiem, jak panowie skuwają i zabierają jego mamę...

Natychmiast złożyłam skargę do prezesa sądu i odwołałam się do Rzecznika Praw Obywatelskich.

Do wykonania nakazu nie doszło, ale cały ten czas żyłam w lęku, czy to dziś mnie zabiorą i bez najmniejszego powodu zamkną w wariatkowie, czy nie. Mimo że nigdy nie byłam chora, nie leczyłam się psychiatrycznie, a nawet w mojej rodzinie nie ma i nigdy nie było żadnych tego typu przypadków. Wystarczyło oskarżenie i pomówienia Freda, który w piśmie, choć nie mieszkał ze mną już od kilku lat, opisywał siebie jako załamanego i kochającego męża, niepokojącego się o stan zdrowia żony.

Prawda jest taka, że była to kolejna próba siłowego usunięcia mnie z domu, aby w ten sposób przejąć nieruchomość oraz aby totalnie zrujnować mnie przed sądami, moją pozycję zawodową i opinię wśród znajomych – jako wariatki, schizofreniczki i osoby niegodnej zaufania... Cóż, historia lubi się powtarzać i podzieliłam los moich poprzedniczek, które również przedstawiał jako kobiety chore psychicznie.

Oczywiście sprawa, mimo braku dowodów na rzekomą chorobę psychiczną, była kontynuowana. Fred przegrał dopiero po tym, gdy biegli sądowi po przeprowadzeniu stosownych badań stwierdzili, że nie cierpię na żadną chorobę psychiczną oraz że nie było żadnej podstawy do takich przypuszczeń.

Równocześnie byłam zastraszana telefonicznie i wszędzie śledził mnie detektyw. Znajdowałam martwe nutrie z urwanymi głowami oraz z wnętrznościami na wierzchu przy garażu domu i furgonce...

Alex, mimo ustalonych przez sąd widzeń z ojcem, nie ma z nim żadnego kontaktu. Fred stwierdził, że spotkania z synem źle wpływają na jego własną psychikę, gdyż dziecko krzyczy, że nie chce się z nim spotykać, a jego to stresuje. Z widzeń zrezygnował i od kilku lat nie stawiał się na żadne spotkanie. Nie płaci też zasądzonych przez sąd alimentów, jednocześnie udając dobroczyńcę ludzkości, przekazując w świetle reflektorów pieniądze na Ukrainę czy licytując przedmioty za setki tysięcy na aukcjach charytatywnych...

Przed sądem jednak jest bankrutem utrzymywanym przez ludzi dobrej woli. Fred zeznał pod przysięgą, że zarabia tysiąc złotych miesięcznie, nie ma nic, mieszka u Kiki w jej mieszkaniu służbowym (co oczywiście nie jest prawdą, przecież aby mieć mieszkanie służbowe, najpierw trzeba mieć zawód). Mieszkanie jest na Złotej 44, czyli w najdroższym budynku w Polsce.

W przeszłości w czasie sporadycznych widzeń z Fredem Alex był tak zestresowany, że dostawał gorączki i wymiotował z nerwów. Od czasu napaści na dom jest pod opieką psychotraumatologa dziecięcego i psychologa, odzywają się w nim również traumatyczne wspomnienia z czasów przemocy domowej.

Alex jest już nastolatkiem. Pięknie się rozwija. Jest mądrym i dojrzałym chłopcem. Obserwuje mnie szczęśliwą i silną. W nowym dobrym związku.

Richard, mój partner, jest światowym ekspertem od przedsiębiorczości, wykładowcą, mentorem i pisarzem o międzynarodowej sławie – zupełnym przeciwieństwem przemocowca.

Poznałam go na jego wykładzie w Londynie. To była miłość od pierwszego zamienionego przez nas zdania. Jest kulturalnym i delikatnym człowiekiem. Ma świetną więź z Alekssem, która cały czas zyskuje na sile.

Dlatego Richard zdziwił się bardzo, gdy któregoś wieczoru w czasie kolacji mój synek powiedział: „Bardzo cię lubię Rich. I cieszę się, że nie chcesz zabić mojej mamy”.

BARBARA

Przy kawiarnianym stoliku siedzi wysoka brunetka. Włosy starannie spięte w koński ogon. Dziewczęca fryzura, ledwie widoczny makijaż. Dżinsy, biała koszula, trampki. Wygląda jak nastolatka. Jest sama, w rogu sali, zamyślona. Przyszła na miejsce sporo przed czasem. Jeszcze mnie nie widzi. Popija kawę z małej filiżanki, chyba espresso. Na stoliku przed nią gazeta, notes i długopis. „Nie wierzę w zapiski w telefonie – powie za chwilę – wszystko muszę mieć na kartce. Ostatnio utopiłam komórkę w kilku kroplach morskiej wody. Siedziałam na plaży, przyszła fala i po sprawie”. Jeszcze nie znam jej historii, ale nie wygląda na dziewczynę, która dała sobie dmuchać w kaszę. Zdecydowane ruchy, mocny, pewny uścisk dłoni. Szczere spojrzenie. Niewiele osób wytrzymuje wzrok przy powitaniu. Ona – tak. Od razu dziesięć punktów w kategorii zaufanie. Zamawiamy jeszcze po jednej kawie. Nasze pierwsze spotkanie potrwa znacznie dłużej niż wcześniej planowane dwie godziny.

OPOWIEŚĆ BARBARY

Lubił dominację, ale nie był fanem udawanej przemocy. Wtedy tego nie widziałam, dziś wiem, że szczególnie podniecałam go sponiewierana. Bezsilna.

To było małe, prowincjonalne miasteczko. Grajdoł jakich wiele. Wszyscy się znają, każdy wie wszystko o każdym. „Załatwić” to dyżurne słowo. Jeśli znasz małomiasteczkową wierchuszkę, nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych. Na czwartkowe wieczory pokerowe – rytuał moich rodziców – przychodził dyrektor szpitala, ordynator chirurgii, proboszcz i największy biznesmen w okolicy, właściciel kurzej fermy.

Miałam piętnaście lat, podobałam się chłopakom, ale wtedy jeszcze bez reszty zakochana byłam w ojcu. Nie, to już nie ten czas, gdy dziewczynka święcie wierzy, że weźmie z tatą ślub, z tego już dawno wyrosłam.

Ojciec był wzorem niedoścignionym. Wysoki, z pięknie zarysowaną linią brwi. Dodawały spojrzeniu ostrości i zdecydowania. Gdy się złościł, ścigał je w jedną kreskę, oczy zwężał w szparki. Pamiętam ten wzrok doskonale. Spojrzał na mnie tak, kiedy pierwszy raz przyszłam zbyt późno do domu po którejś dyskotecie. Nie działał argument, że „wszyscy zostali i wracaliśmy całą grupą z osiedla”. Nie słuchał tłumaczenia. „Jaka była umowa? Ponad pół godziny po czasie! Na kwadrans jeszcze bym przymknął oczy, ale przesadziłaś, córcia”. Tata był bardzo zasadniczy. Może czasem za bardzo. Po tym spóźnieniu zrobił mi szlaban na miesiąc i boczył się drugie tyle. Cały on. Zawsze w nienagannie wyprasowanej koszuli, krawacie i pulowerze, na który lubił wkładać tweedową marynarkę. Takim go pamiętam. Byłam jego ukochaną córeczką, oczkiem w głowie. Wiedziałałam, że mogę mu powiedzieć absolutnie wszystko. To on pierwszy wiedział, że dostałam okres. On wysłuchiwał historii o kłótniach z koleżankami i pierwszej randce z Patrykiem. Znosił szloch w mankiet

i narzekania na nauczycieli. O TYM nie byłam w stanie mu powiedzieć. Długo.

Była wczesna jesień, wieczór, jeszcze ciepło i całkiem widno. Wracałam od koleżanki przez park. Nie lubiłam tamtędy chodzić, bo ciągle słyszało się o ekshibicjonistach, którzy rozchylają płaszcze przed młodymi dziewczynami. Takie czasy. Wczesne lata 90. Nikt wtedy nie słyszał o miejskim monitoringu. Nigdy wcześniej nie widziałam nagiego mężczyzny, na pewno nie chciałam go zobaczyć w takich okolicznościach.

Szłam dość szybko, pewnym krokiem. Wiedziałam, że to dużo lepsze niż „skradanie się”. Napastnik wybiera na potencjalną ofiarę kogoś, kto na nią wygląda, a nie kogoś, kto może mu przyłożyć. Tyle teoria. Tym razem się nie sprawdziła. Na ławce siedziało trzech chłopaków. Wydawali mi się znajomi, ale nie chciałam się przyglądać. Podobno patrzenie w oczy to dążenie do konfrontacji. Podobno. Jeszcze przyspieszyłam kroku. „Nie, spokojnie – myślałam w duchu – przecież jeszcze widno, to nie noc”. Niby racja, choć oddech znacznie się skrócił.

„E, mała!” – to był głos Mariusza. Znałam go dobrze. Kiedyś przychodził do nas z ojcem na tego nieszczęsnego brydża. Od lat już nie, ale świetnie pamiętałam wspólne układanie klocków w wieże i zamki. Dzieci przecież musiały być cicho, kiedy rodzice rzucali karty na stół. Dawali nam zajęcie i wszyscy byli zadowoleni. Mariusz wtedy był małym, chyba trochę zakompleksionym okularnikiem. Teraz wyglądał inaczej. Włosy postawione na żel, ciało wyrzeźbione na siłowi. Inny chłopak.

„Spadaj” – wycedziłam, bo nie miałam najmniejszej ochoty na gadanie o niczym. Nie wiedziałam, że to jedno krótkie słówko tak ich rozsierdzi.

Poczułam uderzenie w twarz i cios w plecy. Któryś z nich podciął mi nogi. Tak się to nazywa? W każdym razie upadłam z głuchym hukiem. Zapach potu i niestrawionego alkoholu. Ktoś wykręcił mi rękę. Trzasnęły kości. Poczułam lepkość ziemi i wilgoć trawy na twarzy. I czyjeś twarde kolano na plechach. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Nie mogłam krzyczeć. Jakby wołanie o pomoc było wstydem, jakbym się bała, że ktoś zobaczy moją rozdartą kurtkę i to, że mam ściągnięte majtki. To było takie... żenujące. Dokładnie pamiętam rozrywający ból, liczne uderzenia – w twarz, głowę, podbrzusze. I to uczucie bezsilności wobec tego, co się dzieje. Penisy w moich ustach. Jeden po drugim. Wpychali je prawie do gardła. Zwymiotowałam. Cuchnęły moczem i były lepkie od białej mazi. Nie miałam pojęcia, jak smakuje sperma. Nie było o tym nic w książce do

biologii. Przecież grzeczna dziewczynka i dobra uczennica przeczytała już cały podręcznik, ale o tym nie znalazła nawet wzmianki. Zamknęłam oczy, najmocniej, jak się da. W głowie tylko jedna myśl – nie widzieć wykrzywionych wściekłością twarzy. Nie patrzeć na nie. Wygumkować. Poddałam się. Przestałam się bronić. Ludzka padlina. Leżałam w błocie i kałuży krwi. Chciałam, żeby to się skończyło. Ja, ich ścierka, kurwa, wycieraczka, zdzira. „Popamiętasz, suko, to swoje spadaj. Popamiętasz, wywłoko jedna, dziwko jebana. Rodzona matka cię nie pozna, kurwa, nikt cię nie pozna, jak cię przedmuchamy, pizdo jedna!”

Ile to trwało? Nie mam pojęcia. Dla mnie całą wieczność.

Było już ciemno, gdy dowlokłam się do domu. Mama krzątała się w kuchni. Zawsze, gdy słyszała, że wracam, wychodziła mi naprzeciw. Nie tym razem. Pamiętam zapach kawy zbożowej i podgrzanych bułek. Słodycz, która stawała w gardle na granicy torsji. Mieszała mi się ze wszystkim, co przed chwilą musiałam połykać wbrew woli. Chciałam wszystko z siebie zmyć, ale nie miałam siły. Położyłam rękę na klamce drzwi do łazienki, ale opadła bezwładnie. Położyłam się, właściwie padłam na łóżko. Schowałam głowę pod kołdrę. Może łzy przyniosłyby wtedy ulgę. Może. Nie umiałam ich z siebie wydobyć.

Policja, zeznania, konfrontacja. Miasteczko huczało od plotek. To było nie do zniesienia. Badawcze spojrzenia sąsiadów, szepty na podwórku. „Patrz, to ona? To ta, co ją zgwałcili? Jakaś taka niewyględna. Na co oni polecieli?” To jeszcze nic. Najgorsze były docinki w szkole. Dwa dni po tym, jak wróciłam na lekcje, ktoś krzyknął za mną na korytarzu: „E, a chociaż fajnie ci było?!”. Czułam się jak zaszczute zwierzę. Ja, ofiara, wstydziałam się, że nią byłam. Myślałam tylko, żeby zapaść się pod ziemię. Przestałam wychodzić z domu, przestałam jeść. Siedziałam w pokoju. Po co? Świat mnie przemielił i wypluł, a potem jeszcze unurzał w błocie. Nic dobrego na mnie nie czekało. Czy winni ponieśli karę? W tej dziurze, gdzie ręka rękę myje? Mariusz wyjechał na studia, podobno do Warszawy, syn prokuratora zmienił szkołę. Nie znaleźli spermy tego trzeciego. Wycofałam zeznania. Musiałam. Zrobiłam to, choć nikt mnie o to wyraźnie nie poprosił. Ani mama, ani tata. Widziałam jednak, jak wieczorami siedzą w ciemnym pokoju, prawie bez słowa. Jak się do siebie odzywali, to tylko szeptem. Ojciec bardzo zmizerniał. Cień człowieka.

„Tato” – zaczęłam kiedyś. „Tak, córeczko? Jak się czujesz?” Patrzył nieobecny wzrokiem. Myślałam, że mój widok sprawia mu przykrość, jak

dławiający wyrzut sumienia.

„Dawno nie graliście w brydża...” „Już nigdy nie zagramy” – uciął rozmowę. W tym zdaniu nie było złości na ojców moich oprawców. Była rezygnacja człowieka, którego uwikłanie było silniejsze, niż mogłam pojąć swoim nastoletnim rozumem.

To dlatego poszłam na policję i powiedziałam, że niczego nie pamiętam. Zaraz potem w zagadkowy sposób pojawiły się wątpliwości co do materiału dowodowego. Badania śladów zaginęły, testy DNA już nie były takie jednoznaczne. Sitwa zadziałała. Wiedziałam jedno – tata nie może stracić pracy. Tak jest w małych miejscowościach. Prawo dżungli. Jeśli się „zadziera” z miejscowymi prokuratorem i biznesmenem, to jakby się szło z motyką na czołgi. Zero szans na zwycięstwo.

Musiałam wytrzeć do czysta pamięć. Musiałam, żeby przetrwać. Trzeba było jeszcze usunąć ślady z ciała. Zaufany lekarz z Lidzbarka obejrzał mnie dokładnie. Moja pierwsza wizyta u ginekologa. Dostałam coś na uspokojenie i uśmierzenie bólu. Nawet nie poczułam nici, którą zszywano moje popękane krocze. Nie wiedziałam, kiedy lekarski wziernik penetrował mnie tam, gdzie jeszcze długo nie powinno być mężczyzny. Moje dziewictwo zostało bezpowrotnie utracone. Moje dzieciństwo też. Dorosłam w sekundę. I już wiedziałam, że dorośli wiele zamiatają pod dywan. Nie chcę już dłużej o tym mówić. W domu temat gwałtu też nie wracał. Nasze rodzinne, mroczne tabu. W moim życiu jeszcze wróci. W niespodziewanym momencie.

Pawła poznałam na planie filmowym. Byłam nie tak długo po studiach, miałam być asystentką scenografa i kostiumologa. Ja, smarkula, oszołomiona i szczęśliwa. Warszawa, plener, aktorzy, których zdjęcia wklejałam do zeszytu, no i ten reżyser. Nawet nie wiesz, jaki on był wtedy przystojny. Siedział na krzeselku z nazwiskiem i ledwie rzucał spojrzenia. Kręciliśmy scenę w kawiarnianym ogródku, takim jak ten za oknem. Paweł chciał, żebym wymieniła filiżanki, bo te, które przyniosłam, mu się nie podobały. Uparłam się, że tego nie zrobię. Że są całkiem w porządku, pasują do sceny i w ogóle – nie ma sensu ganiać po inne. Oponowałam z pasją nowicjuszki, aż sama się sobie dziwiłam, że mam odwagę postawić się gwiazdzie polskiej reżyserii. Patrzył tylko na mnie bez słowa. To ja dawaj dalej te swoje wywody początkującej pani od wyglądu planu. Trwało

to dłuższą chwilę. Ekipa się przyglądała z rosnącym zaciekawieniem. Awantura wisiała w powietrzu. Nagle, bez uprzedzenia, brwi Pawła złączyły się w jedną długą kreskę, tak jak u mojego taty. Normalnie skarcił mnie samym wzrokiem. W tym spojrzeniu było wszystko: wyższość, władza, stanowczość i nieznoszące sprzeciwu: „wiem lepiej, słuchasz się albo wylatujesz”. Zatkąło mnie. A on wtedy wycedził: „Proszę wykonać polecenie”. Tylko tyle.

Imponował mi. Potrzebowałam kogoś, kto będzie moim mistrzem, dzięki komu rozwinę skrzydła, kto sprawi – zabawne, ale naprawdę tak wtedy myślałam – że będę mogła wrócić do domu i powiedzieć: „Tato, możesz być ze mnie dumny”. Cholerny gen „nie dość dobrej” dziewczynki. Wieczna potrzeba zasłużenia na pochwałę, nagrodę, lody po spacerze w niedzielę i gumę z Donaldem w peweksie. Dygnij, uśmiechnij się, pamiętasz ten wierszyk o babci? Zdejmij łokcie ze stołu, przywitaj się z wujkiem. Czwórka? A dlaczego tak słabo?

Patrzyłam na psa przyjaciółki proszącego o kość i widziałam samą siebie. Mieszanina współczucia, żalu i zażenowania.

„Przestań tak hałasować. Przeszkadzasz. Chichoczesz jak jakaś małolata” – to był drugi w ogóle, a pierwszy dłuższy komunikat Pawła skierowany do mnie. „Wkurza mnie to. Serio, nikt ci nie powiedział, że na planie obowiązuje cisza?” Znów marszczył brwi i wyglądał jak mieszanka mojego ojca i naburmuszonego chłopca, któremu ktoś pokrzyżował szyki.

Zgoda, byłam temperamentna. Lubiłam Wojtkę, głównego scenografa. Uwielbiałam się śmiać. Tym razem robiłam to pewnie trochę głośniej, bo... Prawda jest taka, że cholernie chciałam, żeby on, ten wielki Paweł, zwrócił na mnie uwagę.

Byłam już wtedy żoną i matką małego chłopca. Głupota i błąd młodości. Kiedy wychodziłam za Adama, miałam około dwudziestu lat i Krzyśka pod sercem. Tak się o tym mówi? Pusty śmiech mnie bierze, gdy teraz o tym myślę. Uczucie między nami wypaliło się szybciej niż zapałka. Adam był smarkaczem pod każdym względem i nic mnie bardziej nie wkurzało niż długie wieczory z nim przed telewizorem. Chciało mi się rzucić nim o ścianę, rozerwać koszulę, wypiąć tyłek podczas wieczornych wiadomości – byle tylko na mnie popatrzeć. NA MNIE, do cholery, a nie tylko kaszki, smoczki i wyparzanie butelki. Zniknęłam dla niego dokładnie w chwili, gdy pokazałam test ciąży z dwiema kreskami. Wiesz, jaka była jego reakcja? „O, cholera, to ty nie bierzesz tabletek? Nie? Kurwa, mogłaś mi

powiedzieć”. Dupa nie romantyk, co? Nie powiedziałam. Ani o tabletkach, ani o moich planach. Choć wtedy nie do końca je sobie uświadamiałam. Rok wcześniej zrobiłam maturę i już bardzo chciałam być dorosła, samodzielna, z własną rodziną. Rozumiesz? No dobrze – brutalna prawda jest taka, że chciałam „wpaść”. Miałam dosyć pilnowania mnie przez tatę, odpytywania z tego, gdzie byłam, co robiłam. Potrzebowałam decydować za siebie i kogoś. No i proszę. Mówisz – masz. Stało się.

Adam kupił mały złoty pierścionek z cyrkonią i poprosił rodziców o moją rękę. Taki zwyczaj. Nie chcesz wiedzieć, jak zareagowali. Siekiere można było w domu powiesić. Jedyna córeczka, inwestycja w edukację, ambicje na wyjazd z Bartoszyca – a tu taki kwiatek. Wieść o mojej ciąży rozeszła się migiem. Pozamiatane. Musiał być ślub. I był. Biała, trochę opięta sukienka, długi welon i bukiet z frezji. Gości setka, skromnie jak na miejscowe zwyczaje. „Wystarczy, że muszę cię oddać temu darmozjadowi – powiedział ojciec po kielichu – niedoczekanie, żebym jeszcze płacił za góralskie wesele”. Skromne, nieskromne – wesele trwało do rana. Adam się oczywiście upił z kumplami i zamiast nocy poślubnej miałam męża z głową w wiadrze, bo chyba mu te toasty za młodą parę trochę zaszkodziły.

Zresztą wszystko mu przeszkadzało. I to, że chodził do pracy, i to, że z niej wracał. Wyjścia do baru i siedzenie ze mną w domu. Wiecznie skwaszony, z permanentnym fochem. Źle znosiłam ciężę. Miałam dosyć porannych mdłości, spuchniętych nóg i wiecznych zachcianek. Mój mąż nie pomagał. Kompletnie nie dojrzał do roli partnera i ojca. Niewiele było trzeba, by rozpętać awanturę. O byle bzdurę. Kończyło się płaczem, zamykaniem się w łazience i jego waleniem do drzwi, żebym wyszła, bo przecież „nie jestem sama w tym mieszkaniu, do cholery”.

Kilka miesięcy później zdmuchiwałam dwadzieścia jeden świeczek na torcie. Chwilę potem czułam się martwa. Żywy trup. Bez radości, pasji, uśmiechu. Babski robot zredukowany do roli gigantycznego inkubatora. Adam stawiał przede mną jedzenie na stole i mówił: „Musisz jeść, mama zrobiła kopytka i kotlety, ma to zniknąć z talerza”. Nie pytał, czy to lubię, czy w ogóle mam na to ochotę, jak się czuję. Przez dziewięć miesięcy może jeden raz zainteresował się moim samopoczuciem. Koszmar, co? Widział tylko czubek własnego nosa, nic więcej. Smarkacz i egoista.

Papiery złożyłam, gdy Krzyś miał trochę ponad pół roku. Nie było sensu ciągnąć dłużej fikcji. Adam nawet się nie zdziwił. O dziecko też nie

walczył. Na pożegnanie, jeszcze przed ostatecznym przypięczeniem rozvodu, podaliśmy sobie ręce i było po wszystkim. Bez żalu.

Praca przy filmie była dla mnie ocaleniem. Jakby ktoś po dusznej, burzowej nocy nagle otworzył okno. Paweł mi się od początku cholernie podobał. Dojrzały, przystojny, z burzą jasnych włosów. Każdym słowem i gestem mówił: „Jestem na swoim miejscu, wiem, czego chcę i co tu robię, a jak ktoś ma z tym problem – fora ze dwóra”. Dokładnie tak go wtedy odbierałam. Do tego czułam, że i ja mu się podobam. To dawało poczucie bezkarności.

Któregoś dnia, kiedy był dla mnie wyjątkowo przykry, wybiegł za mną i powiedział: „Przepraszam, może przesadziłem. Zachowałem się jak dupek, twoja scenografia była całkiem OK. Nie chciałem cię urazić. Wypijesz ze mną kawę? Fajnie się z tobą pracowało. Musimy się tylko postarać, żebyś nie była taka pyskata”.

Wtedy się uśmiechnęłam. Intuicja siedziała cicho. Nie ostrzegła, że to zapowiedź temperowania mojego charakteru, piłowania zębów i pazurów. Wiesz, co mam na myśli? Od zawsze miałam swoje zdanie, byłam raczej krnąbrna, charakterna i wyrazista. Idealne wyzwanie dla psychotycznego pigmaliona, który zrobi wszystko, żeby złamać takiej kilka kości i poukładać je tak, jak jemu będzie wygodniej.

Umówiliśmy się dwa dni później na spacer w Łazienkach. Wzięłam Krzysia w wózku. Celowo. Może chciałam Pawła trochę odstraszyć, może pokazać – bez cienia wątpliwości – że jesteśmy z synkiem w pakiecie. Tak, zachowałam się ekscentrycznie i ryzykownie. Jak reżyserka castingu na ewentualnego partnera. I chyba nie do końca logicznie. Czy się denerwowałam? Chyba nie... Zależało mi na tej znajomości, ale daleko było jeszcze do zauroczenia, nie mówiąc o miłości. Wtedy nie było to dla mnie aż tak ważne. Nie pokazałam zaangażowania, a to podobno tylko nakręca męskie zainteresowanie. Dobrze mówię?

Paweł zachowywał się modelowo. Spytał, czy może się przywitać z moim synkiem, kupił dwie kawy i watę cukrową. Chodziliśmy przez prawie trzy godziny, było przemiło. Miałam przed sobą eleganckiego i szarmanckiego dorosłego faceta, z czarującym uśmiechem i nienagannymi manierami. A nie siuśmajtka, który nadal miał mleko pod nosem i nie wyrósł z krótkich spodenek. Kobiety oglądały się za Pawłem. Tak, to przyjemnie łechtало moje ego, że wybrał właśnie mnie. Przynajmniej na

razie. Przy pałacu Na Wodzie zapytał, czy może mnie zaprosić na kolację i czy mam z kim zostawić Krzysia. Ideał.

Zauroczył mnie niezwykle szybko. Co bym powiedziała sobie wtedy, gdybym miała taką wiedzę jak teraz? Powiedziałabym – spieprzaj. Byle dalej i szybciej. Szkoda, że nie można cofnąć tego filmu.

Wtedy Paweł był świeżo po powrocie ze Stanów. Nie, nie było w nim nieznośnej maniery zapominania „ej, jak to było po polsky?”, ale pachniał luksusem, towarzyskim blichтром i zapowiedzią świata znacznie lepszego niż zapyziała polska prowincja, którą mi potem wypominał. I jeszcze jego nonszalancko rozchełstana koszula... Miał coś z Janusza Głowackiego, przy którym kobiece serca padały niczym muchy. Ech...

Potem nie mógł mi wybaczyć, że zatrzymałam go w kraju, że nie wrócił do Ameryki. Wyrzucał mi, że został przeze mnie i dzieci. Zarzut wracał jak bumerang niemal w każdej kłótni. Kłótni o nic i bez powodu.

Ale po kolei. Chronologia jest ważna, bo na początku było całkiem miło. Robił zakupy po pracy, zabierał nas na weekendy za miasto, chodziliśmy do kina i do teatru. To zdecydowanie nie jest typ, który zasypuje kobietę kwiatami, ale po moim poprzednim związku, gdzie byłam sprowadzona do roli matki karmicielki i mopa do podłogi, sytuacja, w której Paweł robił mi rano kawę, zabierał do restauracji i pytał, co sądzę o jego filmie, była darem z nieba. Wreszcie czułam się ważna i zauważona. Niewiele mi było trzeba do szczęścia.

Znasz powiedzenie, że historia lubi się powtarzać? Nigdy dosłownie, ale przecież mechanizm jest ten sam. Dwa razy byłam z nim w ciąży i za każdym razem robiłam się wtedy dla niego przezroczysta. Już nie było rozmów przy stole ani wypraw do kina. Na początku pod pretekstem, że „taki jestem zajęty, muszę zarobić na rodzinę”, a potem „o jakiej wycieczce ty do mnie mówisz, siedź, dziewczyno, na tyłku, jesteś w ciąży, hoduj dziecko”. Masz pytania? Znów byłam maszyną do wydawania na świat potomstwa. Wtedy chyba jeszcze tego aż tak wyraźnie nie widziałam. Bielmo nie spadło z oczu. Ej, moim partnerem był ten znany Paweł, zdobywca prestiżowych nagród. Ten, za którym uganiały się stada aktorek w nadziei, że spojrzy na nie łaskawym okiem i obsadzi w roli stojaka do lampy. Żartuję.

Lepiej mi poszło z zauważeniem chorobliwej zazdrości Pawła. Nie akceptował nikogo, kto był związany z moim życiem. Wkurzało go, gdy wychodziłam z domu, wściekał się, gdy wyjeżdżałam do pracy. Nie daj

Boże, żeby mnie zobaczył w wersji „wyjściowej”. Odpalał wtedy tryb kompletnego świra. Nie lubił w takich momentach mojego towarzystwa i złościło go moje imprezowanie. Nie umiałam tego wyjaśnić. O akceptacji w ogóle nie było mowy. „Po cholere się szlajasz, pytam? Miejsce baby jest w domu” – to słyszałam po kilka razy każdego dnia. Składałam to na karb różnicy wieku – był starszy ode mnie o piętnaście lat – i zazdrości, która – jak wiadomo – jest koronnym dowodem na miłość. No dobrze, to sarkazm. Ale ja, wówczas dwudziestokilkuletnia siksa, nie miałam o tym pojęcia.

Jeszcze nie używał inwektyw. Chyba się trochę hamował. Tak, na początku liczył się ze słowami. Przynajmniej tak mi się wydawało. Jeszcze nie byłam suką, mendą, krową czy zdzirą. Strofował w białych rękawiczkach, pouczał, stawiał do kąta, lżył i poniżał, choć nigdy nie był to poziom rynsztoka, do którego zjechał kilka lat później. Wychowywał mnie na każdym kroku jak gówniarę. W końcu był moim mistrzem, a to zobowiązuje. Krytykował wszystko. To, jak pracuję, i to, jak prowadzę jego trzystumetrowy dom na Żoliborzu. Najgorzej było, gdy zaczynał nowy film. Nigdy nie wiedziałam, czy wróci wieczorem, czy za miesiąc. Kiedy stawał w progu, jego dzień dobry brzmiało: „Co tu, do kurwy nędzy, taki syf?” „Jaki syf?” – próbowałam się bronić. „Przecież sprzątałam cały dzień, na kolanach, kurze, podłogi, jechałam na ścierze od rana. Paweł, co ty gadasz? Jest czysto, specjalnie dla ciebie”. „Pewnie, nawet sprzątać nie umiesz” – cedził przez zęby, po czym słyszałam tylko trzask drzwi i szcęk klucza w zamku. Zamykał się w swoim pokoju. Nigdy nie miałam odwagi spytać, dlaczego tak się od nas odgradza.

Miał pozycję, dorobek, charyzmę, przyjaciół w branży, wiedzę, doświadczenie. Długo nie miało to dla mnie znaczenia. Ale gdy zaczynał o tym gadać, nie mógł przestać.

„Kim ty właściwie jesteś, dziewczyno?” – wiesz, ile pogardy było w tym pytaniu?

Albo to: „Coś ty właściwie osiągnęła? Że mebelki ustawisz do zdjęcia? Serio? To ma być twórcza praca przez wielkie tfu? Nie, no kurwa, bez przesady! I studia do tego potrzebne? Ja pierdolę! Zejdź mi z drogi, bo słabo mi się robi, jak muszę na ciebie patrzeć”.

Po tylu latach nie wiem, co go właściwie we mnie kręciło. Dlaczego na początku tak bardzo o mnie, o nas walczył. Zależało mu. Tego jestem pewna. Tego się nie da zagrać, nawet jak jest się megazdolnym reżyserem, który prowadzi megazdolnych aktorów. Starał się, żeby było nam dobrze.

Potrafił przynieść śniadanie do łóżka. Potrafił zaskoczyć jakimś drobiazgiem, prezentem, gdy wracał z wyjazdu. Zasypialiśmy przytuleni. Rano gładził mnie po głowie. „Lubię te twoje skrzydła kruka” – powtarzał, gdy przyciemniłam włosy. Otwierał drzwi do samochodu, bez słowa płacił wszystkie rachunki. Wystarczyło, żebym któregoś dnia powiedziała: „Marzą mi się greckie wakacje”, żeby trzy tygodnie później siedzieć w samolocie na Santorini. Myślałam, że złapałam Pana Boga za nogi.

A potem mu przeszło. Jak nożem uciął. Skończyły się śniadania, głaskanie, otwieranie drzwi, o wakacjach w Grecji mogłam zapomnieć. Przestał mnie nawet lubić. Przestał akceptować wszystko, co ma związek ze mną. Zaczął go wkurzać każdy skrawek mojego życia – poza dziećmi. Do nich potrafił wstawać w nocy. Mnie nie podałby nawet szklanki wody. Nawet gdybym poprosiła.

Dopiero teraz, po latach, widzę satysfakcję, jaką sprawiało mu potępienie w czambuł mojej pracy. Wtedy byłam ślepa, głucha i zakochana do granic. Uważałam, że ma prawo wyrażać swoje zdanie na mój temat. Byłam przekonana, że to uprawniona krytyka. Faktycznie czułam się gorsza. Z kim się miałam równać? Z gościem, któremu świat kłaniał się w pas? Z kimś, kto co roku zgarniał większość filmowych nagród? Z kimś, kogo gąże szybowały w kosmos?

Miewał przebłęski. Byłabym nieuczciwa, gdybym powiedziała, że nie. Potrafił być kochany, troskliwy, czuły. Pod warunkiem że siedziałam w domu. Lubił, jak nosiłam sukienki i płaskie buty. A kaptcie to już w ogóle. Wtedy był najbardziej zachwycony. Myślisz, że to jakiś chory fetysz? Dopóki byłam kurą domową – było w miarę w porządku. Zdarzało mi się wtedy nawet usłyszeć jakieś dobre słowo.

Kiedy o tym myślę, wydaje mi się nawet, że przez pierwszych dziesięć lat naszego wspólnego życia to właśnie dobrych słów było więcej. Myślisz, że koloryzuję, próbuję go bronić? Chyba nie... Przecież nie zakochałabym się w kimś, kto od początku byłby psycholem. Upłynęło wystarczająco dużo czasu, żeby się przywiązać, urodzić dzieci. Miałam sporo powodów, żeby wpaść po uszy.

Tak mi zostało. Nawet wtedy, gdy zaczęło się psuć. Kiedy? Wtedy gdy zaczęły się pojawiać dzieci – to raz. Dwa – w dniu, kiedy założyłam pracownię projektową i zaczęłam odnosić sukcesy, mieć własne pieniądze. Przestałam go bezkrytycznie podziwiać i nie słuchałam już jego wywodów jak prawdy objawionej. Powiedziałam „dość” pouczeniu i połajankom.

Umiałam się wreszcie postawić. Parę groszy we własnej kieszeni działa cuda. Nie myśl, że wcześniej byłam potulną pierdołą. Koty darliśmy od dawna. Widziałaś *Wojnę państwa Rose*? z Kathleen Turner, Dannym DeVito i Michaeliem Douglasem? Wczesne lata 90. – historia o parze, która po miodowym początku zaczyna walczyć o wszystko: luksusowy dom, dzieci. Nikt nie przebiera w środkach. To była, kopiuj-wklej, nasza opowieść. Pamiętam, kiedy pierwszy raz zobaczyłam ten film, powiedziałam do Pawła: „Życie”. Niezłe, co? Najlepszy dowód na to, że trzeba uważać, co się mówi, bo słowa rzucone w eter potrafią się sprawdzić.

Paweł uwielbiał mnie kontrolować, a nagle stracił na to przyzwolenie i sterowność. Dokładnie wtedy, gdy ja ją zyskałam. Wypadły mu lejce z ręki. Doszliśmy do momentu, gdy przestałam słuchać jego uwag i zaczęłam iść własną drogą. Teoretycznie facet powinien kibicować swojej kobiecie, bić brawo, wspierać, ale u nas wtedy właśnie piekło zaczęło się na całego.

Dobrze, wiem, już dziś wiem, że przemocowe epizody zdarzały się znacznie wcześniej, ale tamto to była tylko przygrywka. Uwertura. Orkiestra zagrała tusz dopiero teraz. Wściekle zazdrosny Paweł zaczął mieć pretensje o wszystko. O to, że za późno wracałam albo że nie dość obyczajnie byłam ubrana. O obcisłe spodnie, zbyt krótką sukienkę albo za głęboki dekolt. Moja praca też go wkurzała. Wpadał do gabinetu, tłukł palcem w papier i szydził: „Serio? Myślisz, że tak to powinno wyglądać? Przecież to się zawali, projektantka od siedmiu boleści”.

Na sprzeciw reagował rejteradą. Tak samo, gdy kończyły się argumenty. Kiedy mu coś nie pasowało, to mnie zostawiał. Wychodził i nie wracał. Różnie. Czasem to trwało kilka dni, czasem kilka tygodni. Pamiętaj, że mówimy o epoce przed telefonów komórkowych. Nie było szansy, żeby go znaleźć, zapytać, gdzie jest, namierzyć w aplikacji. Co miałam robić? Zgłaszać zaginięcie, biegać po znajomych? Pół biedy, kiedy zniknął, gdy pracowałam. Wtedy było za co żyć. Miałam kasę. Gorzej, gdy rozpływał się w powietrzu podczas mojego urlopu. Brałam go w każdej ciąży. Dlaczego? Bo Paweł o to prosił. Zapewniał, że będzie o wszystko dbał. Prosił, żebyśmy zajęła się sobą i dzieckiem. I chyba o tym zapominał. Jak długo to trwało? Dopóki nie schudłam do 49 kilogramów. Przy wzroście prawie 180 centymetrów wyglądałam jak wcielona anoreksja. Kto wie, czy jej nie miałam. To mnie maksymalnie wykańczało. Wiesz, jak to jest mieć ściśnięty żołądek? Jakby ktoś związał go sznurkiem i okręcił wokół własnej

osi. Nie mogłam jeść, nie mogłam spać. Z miasta dowiadywałam się, że mój kochany ma właśnie kolejną – za przeproszeniem – dupę i chodzi z nią za rączkę po restauracjach. Jakoś mu nie przeszkadzało, że w domu byliśmy ja i trójka małych dzieci. Zupełnie sobie nie radziłam, a od zawsze miałam problem, żeby poprosić kogoś o pomoc. Lepiej mi szło z obcymi ludźmi, z terapeutami. Przyjaciół zostawiałam na lepsze czasy. Zabawne... kiedyś policzyłam, ile wydałam w życiu na wszelkiej maści terapię. No cóż, zebrało się tego na całkiem niezły bliźniak pod Warszawą.

Pierwszy raz trafiłam do psychiatrii, gdy miałam dwadzieścia trzy lata, już podczas związku z Pawłem. To był kolejny odcinek serialu pod tytułem „Pan ma dosyć i wychodzi z domu”. Diagnoza brzmiała: zaawansowana depresja. Wyglądałam niczym śmierć. I wtedy zjawiał się pan i władca. „O, jak dobrze wrócić do domu. Wiesz, jak ja bardzo lubię chude kobiety” – mówił od progu. I to był jedyny komentarz, na jaki było go stać. Rzeczywiście lubił drobne kobiety. Podniecały go małe cycki, małe tyłki. Kręciły go słabe, uległe dziewczyny.

Seks z nim doprowadzał mnie do płaczu. W łóżku potrafiło być dobrze, ale zawsze po wszystkim znajdował pretekst, żeby mnie za coś opieprzyć. Argument był gotowy znacznie wcześniej. Zapamiętywał sobie coś, co mu nie pasowało, i wyciągał jak królika z kapelusza, kiedy tylko wstawał do łazienki. Po seksie starannie się mył. Raziło mnie to. OK, rozumiem, higiena. Ale kiedy się odrywał ode mnie jak oparzony zaraz po wytrysku, czułam się, jakbym była trędowata. Jakbym miała jakąś chorobę skóry, a on musi ją szybko z siebie zmyć. Rozumiesz mnie, prawda? Jedni zapalają papierosa albo idą spać, Paweł cały się szorował, a potem mieszał mnie z błotem. Powód nie miał znaczenia. Mogło być na przykład to, że nie wywiesiłam prania albo źle wyprasowałam kołnierzyk jego ulubionej koszuli. „Baśka, ty naprawdę jesteś jakaś ułomna czy tylko tępa? Pokazywałam ci kiedyś, że nie trawię zaprasowanych mankietów, to takie trudne, żeby zapamiętać? Potrzebuję tej niebieskiej na rano, rusz dupę i popraw, coś sknociła”. To w miarę łagodny przykład.

W moim rodzinnym domu nigdy nie było kłótni. Rodzice bardzo się kochali, tata wielbił mamę. Ustępował jej we wszystkim, był niezwykle szarmancki. Nigdy, przenigdy nie zostawił jej samej. Nie słyszałam w ich wykonaniu żadnej ostrej wymiany zdań. Przewiska? Nie było mowy. Jak już mieli jakiś punkt zapalny – zapadała raczej cisza. No i to nasze tabu. Tak, chodzi o gwałt. Miałam do nich żal, że zamietli sprawę pod dywan.

Tysiąc razy chciałam wykrzyknąć: dlaczego? Nigdy nie wystarczyło odwagi...

Cofnijmy się na chwilę w mojej historii związku z Pawłem, dobrze? Opowiem ci o naszej pierwszej wspólnej ciąży. Brzmi uroczo, jak z tandetnej reklamówki o idealnej rodzinie. Ale takie nie było.

Dwie kreski na teście zobaczyłam w listopadzie. Paweł ucieszył się, gdy mu powiedziałam. Dostałam nawet małą srebrną bransoletkę. To było miłe. W grudniu jeszcze pojechaliśmy do Zakopanego na narty ze znajomymi i tam dopadły mnie wszystkie ciążowe przypadłości. Rzygałam każdego poranka i kilka razy w ciągu doby. Trzeciego dnia dostałam krwotoku. Karetka, potem śmigłowiec i wylądowałam w szpitalu. „Jeśli się pani choć ruszy, nic nie będzie z tego dziecka” – usłyszałam od lekarzy.

Paweł wyjechał na siedem miesięcy, bo właśnie miał ważny plan zdjęciowy. A ja leżałam. Dosłownie. Jeśli ktoś wie, co to znaczy nie móc wstać do łazienki, nie móc absolutnie nic, to rozumie, jaki to koszmar. Miałam wtedy obok siebie tylko rodziców. Mama zajęła się Krzysiem. Tata przychodził prawie codziennie, przynosił mandarynki i mówił: „Basiulka, wytrzymasz, jesteś silna. Moja córeczka. Paweł się nie przejmuj, jest zajęty, pracuje na was, zarabia na dom. To facet. Samiec. Ty skup się na sobie i dziecku. Będzie dobrze, zobaczysz”. Ech, tatusiowe zaklęcia.

Siedział przy mnie niczym rycerz. Czytał na głos książki, trzymał za rękę. Dopiero po jakimś czasie zobaczyłam, jak bardzo wyręczał wtedy mojego partnera. Jak zasłaniał jego egoizm własnym poświęceniem. Kochany tata. Chciał dobrze, ale zamydlał mi oczy. Opóźniał wiele procesów. Owszem, moje dojrzewanie też. Wydaje mi się, że przez niego nie widziałam wielu draństw ojca moich dzieci. Nie, nie winię taty. Ot, po prostu opisuję sytuację. Nic więcej.

Pawła nie było przy narodzinach naszego pierwszego synka. I przez pierwszy miesiąc życia Patryka też nie. Kręcił film we Francji. Oczywiście, że mógł przylecieć, choć na chwilę. Miał całą ekipę do swojej dyspozycji, spory budżet. Pewnie odbierał gratulacje z powodu pierworodnego, ale nie ruszył tyłka. Nie zrobił tego. Ze szpitala odebrał nas mój tata. Potem na zmianę z mamą pomagali mi przy małym. Dawali mi duże wsparcie, ale ja nocami płakałam w poduszkę. Miałam dwadzieścia pięć lat i byłam samotną, nikomu niepotrzebną kobietą. Gdyby nie Krzyś i teraz Patryk, najchętniej poszłabym nad Wisłę i rzuciła się z mostu. Szlag mnie trafiał, gdy widziałam rodziny w komplecie na spacerze z dziećmi. Pękało serce,

gdy kolejny raz pokazywali reklamę pieluch dla niemowląt z idiotycznie uśmiechniętą mamą i tatusiem, który podrzuca dziecko do góry. Sporo oglądałam wtedy telewizji. Odbiornik bębnił na okrągło. Patryk był wiecznie głodny, położna kazała karmić na żądanie. W jego przypadku to znaczyło bez przerwy. Znajomi dzwonili, pytali – jak się mam, czy synek zdrowy, jak sobie radzę z dwójką łobuzów. A jak miałam sobie radzić? Zaciskałam zęby i darłam rzeczywistość pazurami. Rano karmiłam i ubierałam obu, czekając, który z nich pierwszy zacznie ryczeć albo odmawiać współpracy. Po półtoragodzinnej szarpaninie wywlekałam nas wszystkich z domu, żeby odprowadzić Krzysia do przedszkola. Na początku był dramat. Synek trzymał się kurczowo spódnicy i za skarby świata nie chciał zostać. „Do domu, mama, do domu!” – krzyczał. A gdy wrzeszczał jeden, do chóru dołączał drugi. Koncert na dwa głosy. Po trzech tygodniach takiej szarpaniny byłam strzępem nerwów. Najpierw – nieprzespana noc, potem – poranny koszmarny rytuał. Raz w tygodniu przychodziła moja mama, jakoś wtedy to było. Ale moje zniecierpliwienie zaczęło buzować jak w kotle.

Paweł dzwonił co kilka dni. „Hej, jak się masz?” – pytał zdawkowo tym swoim miękkim barytonem. Pewnie spodziewał się równie uroczego: „Ach, kochanie, super. Twój synek rośnie jak na drożdżach, śpi na okrągło, a ja mam czas na czytanie książek i ploteczki z psiapsiółkami”. Zamiast tego dostawał litanię wkurzenia i żalu. Miałam udawać? Grać jak któraś z jego wyfiokowanych francuskich aktoreczek? One, takie śliczne, chude i pachnące kontra ja – urobiona po pachy, ze sporą nadwagą i cyckami do pasa? Nie byłam wtedy wyobrażeniem ze snu o cudownej życiowej partnerce. Naprawdę nie miałam siły udawać. Nawet za cenę tak zwanego – jak mówiła moja mama – świętego spokoju. Rozmowy kończyły się więc raptownie: „Wystarczy, Baśka. Mam dosyć, kurwa, tego wiecznego narzekania, zadzwonię później”. Dzwonił po kilku dniach i historia się powtarzała.

Gdy wreszcie stanął w progu, nie chciałam na niego patrzeć. Powiedziałam, że to nie ma sensu, że tylko się nawzajem nakręcamy i trzeba skończyć ten teatr. A on na to, że przecież jesteśmy razem, że trzeba o siebie zawalczyć i nie można odbierać dzieciom rodziny. Dzieciom! Rozumiesz tę hipokryzję? Ty teraz na pewno tak, ale ja wtedy wciąż miałam z tym kłopot. Po chwili buntu znów kładłam uszy po sobie i w naszym serialu zaczynał się kolejny sezon.

Rok po Patryczku znowu byłam w ciąży i przeżywałam to samo, jak w jakimś upiornym refrenie. Znowu zostawiłam pracę i wzięłam urlop, bo Paweł obiecał, że zajmie się wszystkim, a ja powinnam tylko dzieckiem, ale oczywiście standardowo wyjeżdżał „w sprawach zawodowych”. Nie do końca nawet wiedziałam, czy na plan zdjęciowy, czy na jakiś kolejny „arcyważny festiwal”. Wiesz, co się dzieje w takich miejscach. Wóda, impreza i dziwki. Łatwe panienki, którym się wydaje, że znany pan reżyser otworzy im drogę do Hollywood. Głupie gęsi.

Ta ciąża też była zagrożona, po raz kolejny posłusznie leżałam. Tata znowu przy mnie siedział. Przynosił owoce, czytał książki i pocieszał, że „wszystko się ułoży”.

Tę scenę zapamiętam do końca życia. Miesiąc przed terminem porodu otwierają się drzwi mojej sali na położnictwie, wchodzi mama ubrana na czarno, a za nią Paweł z grobową miną. Jeszcze poprzedniego dnia rozmawialiśmy przez telefon i mówił, że jest gdzieś w Skandynawii. A tu wkracza do środka, podchodzi do łóżka, obejmuje mnie i mówi: „Basia, twój tata odszedł”. „Jak to, odszedł? Dokąd? Był tu chwilę temu, co ty gadasz?” Nic do mnie nie docierało. Jakbym grała w filmie o mnie samej. Nie mogłam zrozumieć, co się stało. „Tata umarł”. Po tych dwóch słowach świat mi się zawalił.

Mówiłam ci już? Tata bardzo lubił Pawła. Bardzo go szanował. Byli w jakimś sensie do siebie podobni. I jednocześnie kompletnie inni. Łączyło ich zdecydowanie i charyzma. Odróżniała – odpowiedzialność i stosunek do życiowych partnerek. Tylko że to wyszło na jaw znacznie później. Ojciec zobaczył w nim swojego następcę w roli opiekuna. To głupio brzmi? Może. Zawsze byłam córeczką tatusia. Całe życie chciałam mu imponować, chciałam, żeby był ze mnie dumny. Nie miał syna. Próbowałam mu choć trochę go zastąpić. No dobrze, powiem. Ojciec był naukowcem, z pozycją i dorobkiem. Może podświadomie szukałam kogoś, kto będzie do niego podobny. Paweł taki się wydawał. Podkreślał – wydawał. Pamiętam słowa taty: „On robi z tobą i dla ciebie to wszystko, czego mnie się nie udało”. Wręcz pokochał Pawła. Jakby poczuł, że przy nim dorosnę. Uwierzyłybyś, że wcale się nie pomylił? Dorosłam, ale proces był drogą przez mękę.

Nie chcieli wypuścić mnie na pogrzeb. Wybłągałam. Pojechałam na wózk, w asyście Pawła, z przykazaniem, żeby w razie najmniejszych kłopotów natychmiast wzywać karetkę. Wszystko pamiętam jak przez mgłę, byłam chyba na jakichś prochach. Nie mam pojęcia, jak przesłam

„ostatnie pożegnanie” taty, aż do momentu opuszczenia trumny do grobu. Pamiętam tylko, że następnego dnia mój drogi partner wyjechał. Wrócił na zdjęcia. Mówił, że to megaważne i bardzo pilne, że leci kasa i terminy, a na nim „wisi” cała ekipa i nie może jej zawieść. Jej – nie. A mnie – tak. Nie robiły na nim wrażenia moje błagania, że przecież zaraz kończy się ciąża, rodzi się nasza córeczka. „Przecież tak chciałeś dziewczynkę, więc właśnie ci ją daję”. Na nic. Wtedy jeszcze niczego nie podejrzewałam, ale wkrótce kropki same zaczęły się łączyć.

Kiedyś, kiedy Paweł przez chwilę mieszkał w domu, przejrzałam jego telefon. Biorąc go do ręki, powtarzałam sobie w myślach: „Boże, jak ja nie chcę niczego znaleźć”. Niestety znalazłam. Czego tam nie było! „Kochanie, jestem cała twoja” – pisała jakaś kurewka. „Mmmm, lubię, jak tak mówisz, dawaj dalej” – odpisywał. Przepraszam, nie chcę cytować więcej. Poszłam za ciosem. Otworzyłam też jego komputer – wtedy jeszcze nie blokował niczego hasłami. Zatkąło mnie. Same strony z twardą pornografią, głębokie gardła, ostre laski i takie tam. Adresy warszawskich burdeli i opinie o najlepszych prostytutkach. Ze zdjęciami. On, który lubił chude, nagle emocjonował się takimi z wielkimi cyckami i silikonem w tyłku. Kiedy ja leżałam w szpitalu na podtrzymaniu ciąży, on uganiał się za kurewkami z pigalaka. Jak się poczułam? A jak mogła się poczuć kobieta z dwudziestokilową nadwagą, po kolejnym ciężkim porodzie i serii nieprzespanych nocy? Rzygać mi się chciało. Ja leżałam na metalowym szpitalnym łóżku, z podpiętą kroplówką, a on wyciągał pieniądze i płacił jakiejś warszawskiej dziwce za seks. Różne myśli przelatywały mi przez głowę. Jak to się odbywało? Miał erekcję? Ona była uległa? Dyszał, gdy w nią wchodził? Całował jej usta? Uda? Przywiązywał do łóżka? Nie wytrzymałam. Wypaliłam mu prawdę prosto w twarz. „Wiem o wszystkim!” – ryczałam na całe gardło. A ten drań – ku mojemu zaskoczeniu – przyznał się do zrad i żarliwie za nie przeproszał. Leżał na podłodze i powtarzał: „Jestem idiotą, jestem idiotą”. Nie miałam ochoty zaprzeczać. Dostał ataku hysterii. Zaczął walić głową we framugę drzwi i przypalać sobie ręce papierosem. Nie próbowałam go powstrzymać. Patrzyłam na to jak na teatr. „Paweł, nie wiem, co z nami będzie. Wystarczy tego przedstawienia. Na razie masz natychmiast zrobić badania. Jeśli mnie czymś zaraziłeś, muszę to wiedzieć. Muszę mieć pewność, czy jestem bezpieczna, czy mam się leczyć, jak mam ochronić dzieci”. Mówiłam w miarę spokojnie i bez emocji. W każdym razie – bez ich pokazywania.

Posłuchał mnie. Kiedy przyszła informacja, że wyniki są do odebrania, prosił, żebym z nim pojechała. Jak mama z dzieckiem. Żał mi go wtedy było. Kopertę otwiera się w asyście psychologa. Chwila grozy. Uffff. Czysto. Żadnego HIV, żadnej choroby wenerycznej. A ponieważ trzeba było powiedzieć, że badanie jest z powodu ryzykownych zachowań, wszyscy wiedzieli, o co chodzi. „Ma pan mądrą partnerkę – powiedziała pani psycholog – niech pan tego nie zmarnuje. Proszę wyciągnąć wnioski”. Wyszliśmy z kliniki. „Jestem głodny, chodźmy coś zjeść” – powiedział. Usiedliśmy w restauracji, zamówił górę żarcia. Ja nie byłam w stanie nic przełknąć. „Muszę pobyć sama” – tylko tyle powiedziałam. Wysłałam i zamknęłam za sobą drzwi. Nie poszedł za mną.

Druga sytuacja? Mija kilka miesięcy względnej normalności. I znów zaczynają się późne powroty, zamykanie w pokoju, ściszone rozmowy. Znów przeglądam komputer i telefon.

Znajduję korespondencję z panią, która zachwycała się jego głosem i talentem, a zaraz potem wysyłała zdjęcia w bieliźnie. Tym razem wszystkiego się wyparł. Powiedział, że to, co przeczytałam, to fragment dialogu z filmu, nad którym pracuje, oraz castingu do głównej roli kobiecej. Dostałam po łapach i jeszcze zrobił mi awanturę, że włożę do jego korespondencji bez pozwolenia i czytam bez zrozumienia. Wysłałam na tępadzidę. Był obrażony przez kilka dni, a potem – możesz mi to wyjaśnić? – znów zaczęła się sielanka. Wracał o normalnych porach do domu, bawił się z chłopakami, kupował zabawki Karoli, jeździł po zakupy. A ja byłam szczęśliwa, że jest mój. Cieszyłam się, że jestem ważna, że przecież to do mnie wrócił. Kochałam go bardzo. Już nie chciałam pamiętać o tamtych dziwkach. Raczej miałam paranoję – co będzie, jak on zachoruje albo nie wróci do domu, albo coś mu się stanie. Kat i ofiara. Kładliśmy się wieczorami do łóżka i nawet potrafił być czuły. To znaczy – seks nie wymagał uprzedniego upokorzenia. Stawał mu na sam widok moich cycków. Były wtedy trochę mniejsze, bo znowu schudłam.

Żebyś nie myślała – nie było różowo. Huśtawka na całego. Chwile względnej dbałości o dom przeplatały się z napadami agresji i katonizmu. Tak nazwałam Pawłową tendencję do oceniania mnie z pozycji swojej wstrętnej wyższości. Któregoś dnia niestety przegiął z krytyką. Sam do bólu pedantyczny, dokładny, składający wszystko w kosteczkę, zrugął mnie od góry do dołu za to, że próbowałam mu dorównać. Coś było nie tak jak trzeba. Już nie pamiętam, o co chodziło. Pewnie o pierdołę. Poczekaj...

Wiem. Robiliśmy z Patrykiem kasztanowe ludziki do przedszkola. Użyliśmy kleju i trochę spadło na podłogę. A ponieważ pan i władca był uprzejmy chodzić boso po domu, to pewnie poczuł się niekomfortowo, gdy nadepnął na kawałek klejącej się deski. Wystarczyło. Wybacz, szkoda mi czasu, żeby opisywać stek wyzwisk, którymi zostałam obrzucona. Chcesz? OK: „Ty łajzo, kretynko, zdziro, pizdo, niechluju, pierdolona prowincjuszko”. Tak, wszystko przy dziecku. Nie wytrzymałam. Poprosiłam, żeby się wyprowadził. Przeniósł się do mojego panińskiego mieszkania, sycząc na odchodnym: „Teraz to ty będziesz mi płacić za mieszkanie w moim domu”. Nie skomentowałam. Przypominam, że mieliśmy już troje dzieci i podobno wszystkie kochał tak samo.

Cisza trwała kilka tygodni. Potem chyba zateśknił za swoją ofiarą. Czatował na mnie pod domem na Żoliborzu. Pamiętam, jak któregoś dnia wyjeżdżałam z garażu. Podjazd był stromy, niewiele było widać. Należało bardzo uważać, żeby nikomu z przechodniów nie zrobić krzywdy. Wyrósł przed samochodem jak spod ziemi. Nie wiem, jak długo na mnie czekał. Próbowалаm go ominąć. Nie dawał za wygraną. Biegł za autem aż do światła. Było czerwone, musiałam się zatrzymać. „Myślisz, że będziesz sobie ze mną pogrywać, suko jedna?” Wykrzywiona wściekłością twarz tuż przy szybie. I nagle brzdęk – potężne uderzenie z łokcia. Szkło, na szczęście hartowane, pokruszyło się w drobną siateczkę, ale nie rozpadło. „Tobie się wydaje, że masz do czynienia z dupkiem? Siuśmajtkiem? Półmózgiem? Aktorzyną z prowincji? Chyba cię pojebało, tania suko! Ty kurwo jebana! Wypierdalaj!” Przechodnie odwracali głowy, ale nie zareagował nikt. Kiedy zmieniło się światło, kilku kierowców zaczęło trąbić, żebym szybciej wrzuciła jedynekę, bo hamuję ruch. Zero pomocy.

Potem znów nastąpił miodowy miesiąc. Pawełek przyszedł skruszony, przyniósł kwiaty, dobre wino. „Wybacz, nie wiem, co mnie opętało” – skamlał. „Daj mi jeszcze szansę”. I głupia dawałam.

A po kilku tygodniach znów miałam karczemną awanturę na ulicy, bo nie dopilnowałam terminów i przegapiłam dzień, w którym byliśmy zaproszeni na uroczystą premierę filmu jakiegoś jego równie znanego kolegi. Kiedy się zorientował, stanął na środku chodnika i zaczął wrzeszczeć, że jestem beznadziejna, że tępa kura ma więcej rozumu, kurwa, bo nie robi pod siebie, a ja właśnie nasrałam mu w karierę i zawałam coś, na czym mu zależało.

Po którymś z takich ulicznych spektakli z ojcem moich dzieci w roli głównej wylądowałam w szpitalu psychiatrycznym. To było wtedy, gdy zdradził mnie z jedną panią z telewizji. Przeczłołgało mnie. Zobaczyłam na własne oczy, jakiego pokroju osoba była ważniejsza niż ja i dzieci. Żenada. Klasyka gatunku. Wszyscy wiedzieli, tylko nie ja. Musiałam zobaczyć ich romans na własne oczy na jednej z towarzyskich imprez, żebym uwierzyła. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Naprawdę wierzyłam w jego przemianę. Byłam pewna, że wreszcie dojrzał i docenił rodzinę. Gówno prawda. Kiedy poprosiłam, żeby z nią zerwał, znów usłyszałam: „Wypierdalaj!”. Była noc. Dzieci spały. Co miałam robić? Budzić je? Poszłam spać na strych. Na podłodze. Spałam tam przez kilka tygodni. Albo wyjeżdżałam z domu o północy i jechałam do nocnego supermarketu. Dlaczego? Żeby przeczekać do rana. Trzy, cztery godziny pobłąkać się między półkami, a rano pojechać do domu i jakby nigdy nic zrobić dzieciom śniadanie. Nie wiedziałam, gdzie się podziać. Byłam wtedy na ostatnich nogach, skrajnie wyczerpana. On? On jeszcze spał. Zamknięty na klucz w naszej sypialni. Dlaczego to znosiłam? Choćby po to, żeby każdego wieczora kąpać i kłaść spać małą Karolkę. Co ona była temu winna?

Dlaczego wreszcie uciekłam? Chcesz posłuchać? W którymś momencie zaczęłam go nagrywać. Zaczęło się w dniu, gdy zarzucił mi, że jestem wulgarna, że jestem złym człowiekiem, a moje dzieci są żenujące po mnie. Postanowiłam mieć dowód, jaki naprawdę jest ten szanowany pan z burzą szpakowatych włosów. Wciąż jeszcze go kochałam. Myślałam – nagram, posłucham, kiedy opadną emocje. Może to moje głupie uczucie zabiera mi ostrość widzenia.

Pewnego dnia przyjechał do mnie jego najlepszy przyjaciel. Siedzimy, gadamy. Po dwóch kieliszkach wina puściłam mu kawałek nagrania.

„Baśka, tego się nie da słuchać! Kryminał! Już od dawna nie mogę na to patrzeć. Nie zasługujesz na ten rynsztok. Błagam, skończ. Wyślę ci pieniądze na konto, są dla ciebie, wykorzystaj je. To sprawa między nami. Tylko – proszę – wyjdź z tego koszmaru. Ratuuj siebie i dzieci”.

Rozpadłam się. Upiłam. Wróciłam do naszego wielkiego domu. On tam był. Nie wiem, jak to się stało. Wciągnął mnie do łóżka. Czułam się sponiewierana, wykorzystana, beznadziejna. Może było mi to potrzebne. Takie przewrotne katharsis. Następnego dnia włożyłam czerwoną sukienkę, zrobiłam sobie megamake-up. Puściłam post na Facebooku: „Jeśli ktoś chce się ze mną bawić, jestem tu i tu, zapraszam”. Przechodziłam z rąk do rąk.

Chciałam się upodlić do samego spodu. Całowałam się jak opętana. Musiałam się sponiewierać bardziej niż poprzedniego wieczoru. Nie, nie było przygodnego seksu. Na to byłam, cholera, zbyt porządna. Potrzebowałam tylko poczuć, że komuś na mnie zależy. Nawet jeśli to miała być iluzja. Wtedy Paweł znów miał romans. Z Beatą, charakteryzatorką. I robił jakiś film. Nie pamiętam który. Lepiej pamiętam imiona kochanek niż tytuły jego produkcji. Po wszystkim wzięłam z szuflady garść tabletek nasennych. Chciałam spać. Chciałam się nie obudzić. I wtedy on mnie dopadł w łóżku, tym razem pijaną i na lekach. Wykorzystał moment rozzalenia, potrzebę przytulenia, akceptacji. Nie wiem, nie pamiętam, czy się broniłam, czy nie. Czułam się jak ostatnia wywłoka. Dokładnie tak, jak mnie traktował. Chcesz wiedzieć, jakie miałam wtedy myśli? Rozglądałam się po domu i sprawdzałam, gdzie mogę powiesić sznur. Albo rozpędzałam samochód na maksa i patrzyłam, gdzie mogę przywalić w ścianę. Dziesiątki razy byłam o krok. I wtedy przychodziło opamiętanie: „A dzieci? Co z nimi? Przecież nie mogę im tego zrobić”.

Kiedy wychodziłam ze szpitala psychiatrycznego – nie pamiętam – za drugim czy trzecim razem, Paweł po mnie nie przyjechał. Standard. Miał zdjęcia. Droga od Sobieskiego do domu była najdłuższą i najtrudniejszą, jaką przeszłam. Na piechotę. Zastanawiałam się tylko: mam zostać z tym człowiekiem czy nałykać się pigułek. Skutecznie. Zapewniam, nie chodziło o pusty gest.

Paweł znikał z domu także w innych sytuacjach. Poprosiłam go kiedyś, żeby skręcił szafę, którą w pudle wtargałam do domu. Zrobił to, ale szafa się chwiała. Nie dokręcił jakiejś śruby. Poprosiłam, żeby to zrobił, bo mebel się rozpadnie. Walnął pięścią i naprawdę się posypała. „Sama sobie poskładaj” – wycedził. Nie było go tydzień. Nie odbierał telefonów. Nie wiedziałam dlaczego. Ktoś „z miasta” mi powiedział, że zamieszkał z jakąś aktorką, która ma dobre serce i właśnie go przygarnęła. Nie pierwszą, nie ostatnią.

Mechanizm powtarzał się kilka razy. Znikał, ja szalałam z rozpacz, chudłam, wyglądałam jak śmierć, lądowałam u lekarza, brałam psychotropy, a on wracał. Znów się zachwycał moją chudością i znów lądowaliśmy w łóżku. Dlaczego go przyjmowałam za każdym razem? Bo go strasznie kochałam. Był moim wszystkim, ojcem moich dzieci.

Chciałam mieć dom. Z nim, moim mistrzem. Po cichu studiowałam na kilku kierunkach, żeby mu dorównać.

Nie pytaj, jak można kochać kogoś, kto cię kopie słowami każdego dnia. Można. Dokładnie tak, jak kocha podwórkowy Burek, który codziennie dostaje od pana w skórę, a i tak merda ogonem na jego widok i cieszy się, gdy ten czasem rzuci mu coś do michy. „Jesteś tak tępa, że szkoda gadać” – słyszałam niczym refren. I, żeby zasłużyć na ochłap łaskawszego spojrzenia, gotowałam obiady, sprzątałam, uczyłam Krzysia literek, ubierałam Patryczka w jego ukochane marynarskie wdzianko, bawiłam się lalkami z Karolą. A wieczorami wbijałam się w pończochy, które rwał na mnie, żeby potem wepchnąć mi je do gardła. To go najbardziej kręciło.

Lubił dominację, choć nie używał zabawek z sex shopu. Nawet kiedyś kupiłam mu pejczyk przewiązany czerwoną wstążką, ale mnie wyśmiał. Nie był fanem udawanej przemocy. Wtedy tego nie widziałam, dziś wiem, że szczególnie podniecałam go sponiewierana. Bezsilna. Już to mówiłam? Opieprzał mnie po seksie. To mu sprawiało przyjemność. Albo na odwrót. Wciągał mnie do łóżka, gdy wcześniej zwymyślał za niedomyte szklanki albo nieposkładane rzeczy w szufladzie. Każdy pretekst był dobry, żeby wywalić zawartość szafki z kosmetykami albo półki z bielizną.

„Jak ty możesz trzymać gacie w takim chlewie, kurwa, nie wstyd ci? Nikt ci w tej twojej bartoszyckiej dziurze nie pokazał, jak to powinno być poskładane?” – ryczał i wygarniał rzeczy na podłogę. Przysięgam, nigdy nie było tam bałaganu. Może nie wszystko leżało w kosteczkę i pod sznurek, ale przecież to nie powód, żeby robić kipsisz jak kapral w wojsku.

Nie miałam siły powiedzieć „nie” i chyba to moje nieśmiałe „proszę, przestań” wkurzało go jeszcze bardziej. Byłam ofiarą i tak się czułam. Moja chwila niezależności z czasów, gdy pracowałam i miałam własne pieniądze, uleciała jak mgła. Wróciło stare. On, wielki pan i władca, ostateczna instancja i autorytet. Spec od wyciskania łez u widzów i pilnowania porządku w chałupie. Rozładowywał się w łóżku. Schemat był upiornie przewidywalny – powrót do domu, zjebka za bzdurę, ja zaryczana, on podniecony. To był moment, kiedy skracał mu się oddech, wypychały spodnie i już wiedziałam, jak to się skończy. Trwałam. Dlaczego? Bo potrafił być też ujmujący. To mnie trzymało przy życiu. Krótkie, choć piękne przejaśnienia podczas niekończącego się sztormu.

Któregoś razu porwał na mnie koszulę, wściekły, bo poprosiłam, żeby przestał wreszcie krzyczeć. Już nawet nie pamiętam, o co poszło. Płakałam do poduszki. Wyłam. Upokorzona i sponiewierana. Próbowałam nieporadnie zasłonić piersi, skulona na łóżku. Wziął mnie wtedy taką zapłakaną. Moje „nie” nie miało znaczenia. Wtedy jeszcze raz, standardowo obudziły się w nim resztki sumienia, bo następnego dnia rano kupił bułki na śniadanie i bukiet żółtych tulipanów. Lubiłam żółte. Kojarzyły się z wiosną.

„Przepraszam, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Wiesz, cholera, ciężki czas na planie. Producent wierzga, gonią mnie terminy. Może byśmy pojechali gdzieś na weekend?” – zgrana płyta, prawda? Nabierałam się nie wiem który już raz na te dobre chwile, wierząc, że trzeba ratować rodzinę, że Paweł mnie kocha, że mu na nas zależy. Miałam przed oczami obraz moich rodziców. Czy go idealizuję? Nie. Oni naprawdę bardzo się szanowali. Kochali. Dbali o siebie. Lubiłam patrzeć, jak wychodzą na spacer, jak godzinami rozmawiają.

Pamiętasz, jak ci mówiłam, że mój tata pokochał Pawła, bo liczył, że przy nim szybciej dorosnę? Nie pomylił się. Moim Rubikonem dorosłości był dzień, kiedy zaprosił mnie na premierę swojego filmu. Duża sala, mnóstwo gości, czerwony dywan i tłum fotoreporterów. Usiadłam daleko od niego, no bo reżyser ma przecież miejsce przy swojej ekipie. Gasną światła. Na ekranie – wieczorna scena w parku. Samotna młoda dziewczyna i trzech podchmielonych wyrostków. Mówić dalej? Tak, nie mylisz się. Dopadli ją i zgwałcili. Aktorka leżała na ziemi, jak ja kiedyś. Przyjmowała ciosy. W tej samej chwili skulona na kinowym fotelu ja też czułam się gwałcona i bita. Nie patrzył nikt, a ja miałam wrażenie, jakby patrzyli wszyscy. Jakby wszyscy wiedzieli. Czułam słodki smak krwi w ustach, jak kiedyś. Tylko że tym razem gwałcił i bił mężczyzna mojego życia, mój partner, ojciec moich dzieci, wielki artysta, któremu kiedyś opowiedziałam o rodzinnym tabu, bo przed nim nie chciałam mieć tajemnic. Teraz on raz jeszcze wepchnął mnie do parku, o zmierzchu, w ból i upokorzenie.

Nie doczekałam do napisów końcowych. W domu zapytałam tylko: „Paweł, jak mogłeś mi to zrobić? Dlaczego mi nie powiedziałeś? Dlaczego nie uprzedziłeś? Jak...”. „O co ci chodzi? Myślisz, że to o tobie? Że tylko ciebie ktoś sponiewierał w parku? Czego ty chcesz ode mnie?”

Już niczego. Nie chciałam już niczego. Następnego dnia zabrałam dzieci, kilka potrzebnych rzeczy i przeniosłam się do mojego mieszkania na

Bemowie. Zmieniłam zamki. Czy jestem szczęśliwa? Jestem wolna. Nikt nie poniewiera mną z powodu nierozwieszonego prania albo za zimnych kartofli do obiadu. Nie słyszę codziennej litanii o swojej beznadziejności. Nikt nie krzyczy na dzieci. Bezczenne, prawda?

Wróciłam do pracy, mam fajną propozycję współpracy przy dużym filmie. Tak, przyjmę ją. I może kiedyś nakręcę film o nas. To nie będzie komedia romantyczna.

JOANNA

Joanna na spotkanie przyjechała srebrzystym mercedesem klasy S z otwieranym dachem.

Z wilanowskiej kawiarenki nie tylko ja patrzyłam z zachwytem, jak piękna brunetka w obcisłej beżowej sukience i w kapeluszu wysiada z samochodu i, jakby w zwolnionym tempie, podchodzi do mojego stolika. Wyciąga zadbaną dłoń z bardzo długimi, starannie polakierowanymi paznokciami i przedstawia się, ozdabiając swój wizerunek perłowym uśmiechem. Zęby ma niczym z reklamy najlepszej pasty.

Taka kobieta niewątpliwie jest marzeniem każdego mężczyzny. Na początku rozmowy ciężko mi się było skupić. Podziwiałam jej torbę, apaszkę, pierścionki i kolczyki...

Takiej jak ona nie mogło zdarzyć się nic złego. Była po prostu idealna. Do tego pewna siebie, dowcipna i bardzo kontaktowa, konkretna i inteligentna.

OPOWIEŚĆ JOANNY

Ten okres wspominam bardzo boleśnie. Cała ciąża była moją samotną drogą, a potem walką o przeżycie dziecka i samotnym cierpieniem.

Na początku stanowił uosobienie ideału każdej kobiety: szarmancki, przystojny, wysportowany, wykształcony i zaradny, do tego patrzył mi głęboko w oczy, jakby w nich znajdował cały sens wszechświata.

Zgadywał w mig moje potrzeby i uwielbiał spełniać moje nawet najdziwniejsze zachcianki. Szeptał do ucha, że całe życie czekał na taką kobietę jak ja i że jesteśmy dwiema połówkami tego samego mango. A owocem tym zajadaliśmy się podczas naszej pierwszej wspólnej romantycznej podróży na Wyspy Kanaryjskie.

Błyskawicznie piął się po szczeblach kariery, czym lubił się chwalić. Mówił, że niedługo cały Wrocław będzie jego. No i przedstawiał mi scenariusz na jego „Projekt szczęście”, w którym ja – zadbana i piękna – oraz nasze przyszłe liczne grono uśmiechniętych dzieci mieliśmy zagrać oczywiście główne role.

W łóżku czuły i swobodny, bywał dziki i nie do zdarcia! Mógł i mógł, i mógł... Ten typ może przecież wszystko! Czy jakakolwiek kobieta oparłaby się takiemu supermanowi?

Haczyk połknęłam szybko i zgodnie z jego planem, bo ten typ tak ma. Wszystko musi być szybko: awans, ślub i pierwsze dziecko. Z naszej pierwszej wspólnej podróży wróciłam pijana ze szczęścia i miłości.

Gdy się poznaliśmy, byłam właścicielką centrum SPA, do którego on regularnie uczęszczał na strzyżenie, manikiur, pedikiur plus masaż. Dziewczyny nazywały go TrzyPe – Przystojny Prezes Piotr.

Swój pierwszy biznes otworzyłam tuż po studiach. Był to maleńki salon kosmetyczny – dwa pokoje w bloku, w mieszkaniu po babci. Bardzo mi

wtedy pomagał mój chłopak Emil. Za co jestem i będę mu wdzięczna do końca życia.

Dlaczego branża beauty?

Wychowywałam się bez ojca. Kiedy miałam dwa lata, zostawił mamę i tym samym mnie, i nigdy już nie wrócił. Podobno założył rodzinę w Szwecji i ma dwie nowe córki. Ja w swoich marzeniach zawsze chciałam być tą córką najlepszą i najładniejszą. Taką, że jeśli kiedyś mnie spotka, to pożałuje, że nas zostawił.

Może dlatego właśnie zawsze przykładam wielką wagę do wyglądu. Od czternastego roku życia regularnie ćwiczę i dbam o siebie. Marzenie, aby zarządzać biznesem związanym z urodą, było tego naturalną konsekwencją.

To SPA, które mam dziś, to owoc bardzo ciężkiej pracy i moja wielka duma. Mogę powiedzieć o sobie, że jestem niezależna i nigdy nie będę przeżywać takich stresów jak moja mama.

Pamiętam, jak patrzyłam na wystrojone i umalowane mamy moich koleżanek. Moja była wiecznie zapracowana, z szarą skórą i krótkimi, praktycznymi, niepomalowanymi paznokciami. Włosy też miała przystryżone krótko – z tych samych powodów. Mama rzadko kiedy zakładała sukienkę czy jakiś inny kobiecy strój. Najczęściej chodziła w spodniach i golfie lub koszuli i swetrze. Często cierpiała na migreny, a głowa potrafiła ją boleć po trzy dni. Zaciemniałyśmy wtedy jej pokój, a ja dbałam, żeby piła i jadła. Czasem leki nie pomagały, a ona z bólu płakała. Niestety przez te wszystkie lata mojego dorastania mama nie ułożyła sobie życia z żadnym mężczyzną.

SPA otworzyłam tuż przed trzydziestką. Znalazłam inwestorkę, swoją klientkę, i razem prowadzimy ten biznes. Mamy podobny gust i podobne cele – od początku szło nam dobrze, i bez większych stresów.

Piotr pojawił się w salonie jakby znikąd. Nie był umówiony. Jego szofer wszedł któregoś jesiennego dnia – pamiętam tę chwilę dokładnie, bo byłam przeziębiona i, co mi się rzadko zdarza, w dresie... ładnym, kremowym, ale jednak w dresie – i spytał, czy jest teraz możliwość wykonania masażu. Z naciskiem na TERAZ.

W słowniku Piotra „nie” praktycznie nie istniało. Dostawał wszystko to, co chciał, i to w trybie natychmiastowym.

Monika, jedna z moich pracownic, miała dwie godziny luzu, idealnie się więc złożyło.

Piotr – świadomy swojej atrakcyjności – wszedł pewnym krokiem, w doskonale skrojonym garniturze. Stałam akurat w wejściu i musiał mnie wziąć za masażystkę. Powiedział coś w stylu: „Cieszę się, że na panią trafiłem”, a ja odpowiedziałam, prostując plecy: „Trafił pan na Monikę. Moją najlepszą masażystkę”. I taki był nasz pierwszy dialog...

Ten zabójczo przystojny blondyn o nordyckich rysach i zimnych oczach zaczął przyjeżdżać regularnie. Najczęściej w poniedziałki – limuzyną z tym samym kierowcą. Potem ten właśnie kierowca przekazał mi białe róże i liścik. Do dziś pamiętam jego treść:

„Joanno, nie mogę zapomnieć Twoich oczu i ciepłego dotyku.
Umów się ze mną na kolację.
Twój Piotr”

Twój Piotr? Jakiego dotyku? Na przywitanie?

Wiesz, jaki był pisk, gdy to przeczytałam moim przyjaciółkom? No i, oczywiście, takiemu mężczyźnie się nie odmawia... Naturalnie więc rozpoczęła się seria spotkań i prezentów, których liczba rosła w błyskawicznym tempie.

Pamiętam, jak moja mama się ożywiła. Głowa przestała ją boleć chyba na dobrych kilka miesięcy. Bardzo polubiła Piotra i za każdym razem pełna podziwu przekonywała mnie: „To wspaniale, że taki cudowny mężczyzna jak Piotr jest z taką zwyczajną dziewczyną jak ty! Będziesz mogła dać swoim dzieciom wszystko to, czego ja wam dać nie mogłam”.

Tak więc wskoczyłam w relację z uwodzicielskim Piotrem, jakbym skakała na główkę z wysokiej trampoliny... I z początku wydawało mi się, że potrafię w powietrzu robić podwójne salto.

Już po kilku miesiącach znajomości czułam coś dziwnego... Nie jestem w stanie dokładnie ci tego opisać. Chodzi o to, że przy Piotrze jakbym nie była sobą. Udawałam kogoś innego. I momentami czułam, że ten związek mi nie służy... Ale czułam też, że jestem od Piotra uzależniona pod każdym względem. Do tego nie mogłam zrobić zawodu mojej mamie... Ona tak go uwielbiała i tak dobrze się przy nim czuła.

Poza tym wszystkie dziewczyny mi zazdrościły i moje opowieści o tym, gdzie to ja z nim nie byłam i gdzie to nie mieliśmy seksu, należały do głównych atrakcji naszych spotkań. To, co wcześniej nazywałam seksem,

okazało się jedynie marnym preludium. Teraz usłyszałam prawdziwy koncert z orkiestrą.

On naprawdę potrafił rozpalić kobietę, nie tylko erotycznie, ale też emocjonalnie. Wiedział, co zrobić, żeby idealnie wstrzelić się w moje upodobania.

W czasach mediów społecznościowych nie ma przecież nic prostszego, niż sprawdzić profil swojej wybranki, żeby wiedzieć, co jej napisać i gdzie ją zaprosić.

Okazało się, że kochamy podobną muzykę – co za przypadek! Nie zapomnę, jak cieszyłam się z biletów na koncert Coldplay w Berlinie. Niezwykle dla mnie było odkrycie, że uwielbiamy podobne książki. To musi być przeznaczenie: obydwójce zaczytujemy się w kryminałach! Mamy to samo spojrzenie na polityków, nieprawdopodobne, ba, nawet uwielbiamy podobne restauracje, w których on zamawiał te same dania i drinki co ja! On też całe życie marzył, żeby polecieć na Karaiby!

Ja natomiast profilu Piotra nie znalazłam. Poinformował mnie, że dawno przestał się bawić w Facebooka, że ma ważniejsze sprawy na głowie niż takie tam głupoty...

Na przykład swoją miłość życia – czyli mnie. Bo wymarzył mnie i wyśnił, i jesteśmy jak dwie pasujące do siebie kostki domino...

I jak tu się nie zakochać...

Gdy zaprosił mnie na naszą pierwszą randkę do kina na film, na który od dawna chciałam pójść, jak tylko usiedliśmy w ostatnim rzędzie i zaczął się seans, zaczęliśmy się całować. Miałam wrażenie, że nigdy tak namiętnie z nikim się nie całowałam.

Po jakiejś pół godzinie całowania jego dłoń powędrowała do moich majtek i wystarczyło jedno naciśnięcie i dosłownie kilka małych ruchów, żebym miała swój pierwszy orgazm w kinie... To był początek serii orgazmów z moim ukochanym w nietypowych miejscach. Piotr ciągle potrzebował podwyższonej adrenaliny. A ja bardzo chętnie brałam udział w tej grze...

Zawsze taka pilna, najlepsza uczennica, ogarnięta i kontrolująca, a tu proszę – nareszcie poznałam smak szalonej miłości. Miałam wrażenie, że gdyby wtedy powiedział mi: „Wejdz nago do ogniska”, zrobiłabym to.

Scenerię naszego rozkwitającego romansu mieliśmy bardzo filmową. Na początek wspomniane Kanary, potem afrykańskie safari. Niezapomniane chwile w butikowym hotelu położonym przy wodopoju

zwierząt, kiedy to o zachodzie słońca obserwowaliśmy leniwe lwy czy spragnione zebry.

Potem poleciliśmy do Hotel de Paris w Monako. Z jakim rozbawieniem odkryłam, że mają tam w minibarze naszą żubrówkę! Po dniu pełnym wrażeń na plaży Mala i po wieczorze w słynnej dyskotecie Jimmy'z zaprosiliśmy dwie piękne dziewczyny do naszego pokoju. Tam zresztą wystarczy pstryknąć i natychmiast masz towarzystwo. Zrobiliśmy więc użytek z tej żubrówki z sokiem jabłkowym. Naszym amerykańskim koleżankom spodobało się na tyle, że nie wiem kiedy, zaczęliśmy się całować... Dobrze, że w pewnym momencie się ocknęłam i je wyprosiłam. Piotruś był zachwycony perspektywą seksu z trzema kobietami, ale ja wiedziałam, że po czymś takim kac byłby o wiele za duży i bardziej dojmujący niż po zwykłej szarlotce.

Pamiętam też nasz lot helikopterem do jego ulubionej knajpki z najlepszymi truflami na Riwierze Francuskiej... Nigdy nigdzie nie jadłam takich ravioli.

Ochota na musical? Nie ma sprawy – szybki skok do Londynu na *Mamma Mia!* I zapewnienie Piotra, że następnym razem zabierzemy moją mamę...

„Chcesz tańczyć na stole?”, spytał kiedyś, patrząc mi głęboko w oczy i rozpinając mi koszulę... Lecimy na Mykonos!

Oj, Grecja, aż się uśmiecham, wspominając tamte wakacje. Pamiętam, jak kupił mi błękitne kolczyki, opowiadając, że mają w sobie tamtą wodę... I jak ściągał ze mnie kostium w morzu podczas porannego pływania. Pamiętam smak sałatki z halloumi i pośpieszny seks podczas popołudniowej drzemki, żeby zregenerować się po plaży i nabrać sił na kolację i tańce przez pół nocy... Pamiętam uśmiechniętych Greków, jazdę na skuterze i zimny jogurt ze słodkim miodem.

A gdy przychodziła zima, to: „Kochanie, koniecznie na narty” i „Skarbie, tylko w Madonna di Campiglio”.

Gdy wracaliśmy do stolicy, też nie mogłam narzekać na nudę... Wyjścia w Warszawie zawsze były tylko ze ściśle określonymi ludźmi – najczęściej współpracownikami Piotra. I najczęściej mieliśmy VIP room, tak, aby nikt nas nie widział. A tam... hulaj dusza: szampany, kawior, tancerki i kreski. Tak, gdybym tylko chciała, kreskę mogłam wciągać codziennie, ale to nie w moim stylu. Jestem chyba zbyt obowiązkowa i nie lubię utraty kontroli. Napawa mnie to lękiem.

Kochaliśmy się w toaletach naszych dwóch ulubionych restauracji: francuskiej i sushi.

Raz było śmiesznie, bo kiedyś w tej japońskiej byliśmy jedynymi gośćmi. Tuż po złożeniu zamówienia ulotniliśmy się do toalety i nie było nas dłużej. Personel musiał mieć ubaw.

Uprawialiśmy szybki i ostry seks w biurze jego znajomego. W jego biurze nigdy nie byłam, a jak pytałam, to ucinął: „Zajmuję się rozwijaniem małych firm i przekształcaniem ich w wielkie. Chcesz ze mną rozmawiać o pozycjach w Excelu czy omówimy naszą pozycję w samochodzie? Bo mam plan, żeby cię dziś wywieźć do lasu i zgwałcić na masce porsche”.

Piotr miał ciągle chęć i nowe szalone pomysły... Często prosił, abym się przebierała. Kim to ja nie byłam... Kochał akcesoria z sex shopu. Kajdanki, dildo, nawet dla par homoseksualnych...

Sprawdzał, jaką garderobę zabierałam na wyjazdy, a przed każdym wyjściem ze znajomymi kazał mi pokazywać, co na siebie włożę. Często zabierał mnie na zakupy. Robił wrażenie na wszystkich ekspedientkach, kiedy mówił: „Ona jest moją królową i ona decyduje. Proszę jej wszystko ładnie zapakować”. Ale i tak kupowaliśmy zawsze to, co się jemu najbardziej podobało.

Czułam się szczęściarą.

Nasz miodowy czas skończył się, gdy tylko zaczęłam pytać, kiedy razem zamieszkamy. Owszem, miałam na palcu pierścionełk zaręczynowy kupiony u najlepszego złotnika w Wenecji...

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Wczesna wiosna – za oknem pączkujące drzewa, młoda, jeszcze nieśmiała, ale już soczysta w kolorze trawa sprawiła, że zmienił się cały pejzaż miasta smutnego od miesięcy. Ja też poczułam w sobie tę wiosnę i radość. Nie dowierzałam testowi i umówiłam się do mojego lekarza na USG. Potwierdził. Pamiętam, jak wracałam skrótem przez park do domu, wewnątrz jeszcze cała rozedrgana i pełna emocji. Rozmyślałam, w jaki sposób obwieszczę nowinę mojemu narzeczonemu, może napiszę w miłosnym liście albo sprezentuję test w małym białym pudełeczku, a wcześniej ugotuję jego ulubione zielone curry, na deser zrobię mango sticky rice.

Poszliśmy w końcu do naszej ulubionej tajskiej knajpy. Na deser zamówiliśmy mleko kokosowe z sezamem i bananem na ciepło... To był mój ulubiony deser, jednak wtedy jadłam go po raz ostatni.

Piotr na informację, że jestem przy nadziei, najpierw zbladł, potem odpowiedział, że przecież biorę pigułki antykoncepcyjne – tak właśnie było – a potem, że jest to nieplanowane z jego strony i informacją tą skomplikowałam mu życie.

To było niczym kubeł lodu na głowę wymieszany z pomyjami...

Mówiąc w skrócie – bo mój dramat mogłabym spokojnie opisać w długiej książce – po tym, jak zaszłam w ciążę i badania po pierwszym trymestrze wykazały, że nasz synek będzie niepełnosprawny, okazało się nie tylko, że jestem już niepotrzebna Piotrowi, ale również że niepotrzebny jest mu nasz syn.

Najpierw kazał mi tę ciążę usunąć. Nawet wszystko zorganizował. Kiedy się nie zgodziłam, to zaczął podawać w wątpliwość swoje ojcostwo. Byłam oburzona jego zachowaniem i z początku nie chciałam go znać. Potem ustaliliśmy, że znowu spróbujemy być razem, ale...

Piotr stał się coraz bardziej zajęty, oddalony, opryskliwy. Wtedy dopiero zdałam sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nie wiem, gdzie on pracuje. Ciągłe padało hasło: firma we Wrocławiu. Zaczął na coraz dłużej wyjeżdżać i przestał odpowiadać na moje SMS-y. Czasem nie odbierał telefonu. Wykręcał się przez całą moją ciążę od tematu wspólnego zamieszkania.

Ten okres wspominam bardzo boleśnie. Cała ciąża była moją samotną drogą, a potem walką o przeżycie dziecka i samotnym cierpieniem.

Miałam mdłości, na skórze wszędzie wyszły mi plamki. Dermatolog powiedział, że ze stresu. Ale pewnego dnia, jak już lekarz sugerował mi leki, a ja zaczęłam rozważać antydepresanty, zebrałam się w garść. Przyszło do mnie, chyba z nieba, jakieś olśnienie.

Tak naprawdę ten zastrzyk energii dostałam od mojej przyjaciółki Kasi i jej męża Pawła. Wyszliśmy razem do naszej osiedlowej pizzerii. Oczywiście wyciągnęli mnie na siłę. Okazało się, że Paweł od kilku miesięcy pracuje jako detektyw. I oni właśnie namówili mnie, żebym sprawdziła Piotra „dla świętego spokoju”. Gdy byliśmy przy tiramisu, wszystko mieliśmy już zaplanowane.

I mój stan z fazy męczennicy przeszedł w fazę Meridy Walecznej.

Do tej pory pamiętam, że tamta pizza i deser to była pierwsza kolacja, którą od wielu tygodni zjadłam ze smakiem.

Tylko jeden raz w ciąży napiłam się wina i nie zapomnę tego dnia do końca życia. To było wtedy, gdy Kasia z Pawłem pokazali mi zdjęcia

Piotra.

Patrzyłam na mojego faceta w objęciach z szykowną, krótko ostrzyżoną blondynką. A kiedy zobaczyłam go na wycieczce rowerowej z piękną brunetką i na oko ośmioletnią dziewczynką – poszłam zaparzyć sobie melisę...

Wystarczyło dosłownie kilka dni obserwacji Piotra plus jeden mały chip lokalizacyjny w jego samochodzie i okazało się, że ma dwie inne dziewczyny!

Jedną w Piasecznie, a drugą we Wrocławiu. A co najgorsze – mieszkał z każdą z nich...

Okazało się, że ta pierwsza, Monika, obsługiwała piarowo jakieś przedsięwzięcie Piotra. Tak się poznali. Ma córeczkę z pierwszego małżeństwa. Pod wpływem romansu z zabójczo przystojnym klientem opuściła ojca swojego dziecka, kiedy jej dziecko miało cztery lata.

A skąd to wiem? I tu cię zaskoczę...

Zaprzyjaźniłam się z nią.

Paweł jest świetny w tym, co robi, i bez problemu w ciągu doby załatwił mi do niej numer telefonu.

Spotkałyśmy się w gruzińskiej knajpie na Ursynowie.

Pamiętam, jak nienawistnie patrzyłam na nią na początku naszego spotkania. Z jaką zazdrością i pretensją... Do momentu, gdy okazało się, że ona nie miała o niczym pojęcia.

Była zdruzgotana. Nie tylko informacją o mnie, ale również zdjęciami Piotra z dziewczyną z Wrocławia, które jej pokazałam. Takie objęcia i pocałunki dowodziły związku z pewnością trwającego od jakiegoś czasu.

Monika jest wspaniałą kobietą, elegancką, piękną, wysportowaną i kontaktową. Od dziesięciu lat prowadzi własną firmę i zatrudnia kilku pracowników. Nie dziwię się, że Piotr totalnie się w niej zakochał.

Pokazywała mi ich wspólne zdjęcia z podróży.

Aż mnie coś kłuło w piersi. Przez chwilę nie mogłam złapać oddechu.

Wyobraź sobie, że każdą z nas zabrał do tego samego hotelu w Paryżu. To jest zwyczajna bezczelność. Nie wiem, co on sobie wtedy myślał.

Siedziałyśmy na tym samym wózku, z tą różnicą, że ona miała córeczkę i wierzyła, że Piotr ją zaadoptuje, a ja miałam pod sercem naszego niepełnosprawnego synka, którego on nie chciał...

Jakie to było uczucie, kiedy dowiedziałam się prawdy? To tak, jakby spaść z bardzo wysokiej drabiny. Po upadku nie wiesz, czy w ogóle żyjesz,

potem sprawdzasz, czy oddychasz, ale wciąż się nie ruszasz. Potem z sekundy na sekundę odzyskujesz czucie w poszczególnych częściach ciała.

Widziałam, jak głęboko te wszystkie rewelacje przeżyła Monika.

Dopiero za drugim czy trzecim spotkaniem odważyliśmy się porównać WhatsAppy. No i – tak jak przewidywałyśmy – Piotrek był mistrzem kopiuj – wklej. Nic dodać, nic ująć.

Monika chyba jeszcze bardziej niż ja przejęła się Wiktoria.

Widziałam, jak się popłakała na widok ich wspólnych zdjęć, a potem poszła do toalety. Długo tam siedziała. W efekcie – wiem, że to dziwnie zabrzmiało – pocieszałam ją, mówiąc, że znajdzie sobie kogoś lepszego. A to przecież ja nosiłam jego dziecko – nie ona!

Postanowiłyśmy skontaktować się z Wiktoria. Oczywiście dopomógł nam w tym niezawodny Paweł.

Okazało się, że „ta trzecia” była wielką wygraną Piotra w jego życiowej loterii. Dziedziczka wielkiej rodzinnej fortuny, która sponsorowała mu słynne „interesy” oraz... opłacała jego kierowcę.

A że jest jednocześnie spełnioną kobietą, tuż po rozwodzie, z dwójką dzieci, prowadzi fundację, która uświadamia ludzi, jak żyć eko, pisze, jest działaczką i filantropką z kilkoma domami na całym świecie, to dużo podróżuje i po prostu przeoczyła, czym jej narzeczony zajmuje się w tym czasie.

To, co z pewnością Piotr robił najlepiej, to dobre wrażenie.

Zawiadywał funduszem Wiktorii z wielką gracją. Później dowiedziałyśmy się, że obsadził na najwyższych stanowiskach kilku swoich kolegów i że fundusz pod jego kierownictwem bardzo dużo stracił.

Podobno Wiktoria, zorientowawszy się w sytuacji, odwołała go z tego stanowiska...

Ale ze stanowiska partnera swojego życia nie odwołała go do dziś... Mimo naszego listownego ostrzeżenia – bo postanowiłyśmy do niej napisać, żeby spadły jej klapki z oczu.

Ale wiesz, jak to jest... Niektórzy dla bezpieczeństwa wolą całe życie niedowidzieć i chodzić w zaparowanych okularach.

Moja historia z Piotrem skończyła się gorzko.

Ustaliłam z Moniką, że przez pierwsze dwa tygodnie każda z nas będzie udawała, że nic nie wie. Z niecierpliwością czekałyśmy na odpowiedź Wiktorii.

Po tygodniu otrzymałam bardzo formalny list, w którym dziękowała za informacje oraz utrzymywała, że tego typu listy dostaje bardzo często, ponieważ jest osobą publiczną, która wzbudza czasem kontrowersje, a czasem zazdrość. Że wierzy, iż jej sprawy prywatne dalej takimi pozostaną, i że życzy nam wszystkiego dobrego. Tak więc na nią nie mogliśmy liczyć.

Na początku karmiłyśmy się wizją wielkiego objawienia Piotrowi, że wszystko wiemy. Planowałyśmy kilka scenariuszy. W najbardziej spektakularnym miałyśmy kupić w teatrze trzy bilety na sztukę o facecie, który miał dwie żony.

A z biegiem czasu po prostu na tyle skupiłyśmy się na sobie, że Piotr stał nam się obojętny i już nie wzbudzał aż tak intensywnych emocji.

Zaprosiłam go do siebie na kolację, zamówiliśmy sushi i... przyszła Monika. Trzeba było to nakręcić, bo mina Piotra, jak ją zobaczył na progu, była absolutnie bezcenna.

Wiesz, że się na nas wkurzył? Chciał natychmiast wyjść! Tacy to są śmieszni niektórzy faceci. A on jest mistrzem przekręcania faktów i manipulowania informacją tak, aby wybielić siebie i postawić innych w złym świetle.

Miesiąc po urodzeniu syna wywalczyłam od Piotra alimenty. Tak, musiałam udowodnić jego ojcostwo przed sądem.

Gdy mały skończył pół roku, dowiedziałam się z prasy o ślubie Piotra.

A wiesz, że to małżeństwo nie przetrwało nawet roku?

Zapewne jakaś inna życzliwa osoba zdjęła Wiktorii z nosa różowe okulary. Możliwe, że ktoś pokazał jej zdjęcia męża z kolejną naiwną.

Co ja mam z tej przygody prócz gorczy w sercu i lekcji życia?

Najcudowniejszą istotę na ziemi – mojego syna.

Jest już ze mną osiem lat. Jest moim nauczycielem mindfulness i szczęścia. Kwintesencją radości i eliksirem życia. Nie wyobrażam sobie, żeby miało być inaczej. Zyskałam też przyjaciółkę, która została jego chrzestną mamą – moją kochaną Monikę.

Połączył nas Piotr i... szok. A teraz jesteśmy dla siebie jak siostry.

Razem jeździmy na wakacje, gotujemy, planujemy. Monika fantastycznie wsparła piarowo mój salon. Jestem w tej chwili w takim momencie życia, że mogę sobie pozwolić na więcej przyjemności i luzu.

A mężczyzna?

Oj, jak się z pewnością domyślasz, obie znacznie zniechęciłyśmy się do płci przeciwnej...

Co do mojej obecnej sytuacji... szalu nie ma. Owszem, kręci się kilku chętnych raczej do mojej alkowy niż ręki... Oczywiście żaden już nie jest tak spektakularny i efektowny jak Piotr. Ale nie tracę nadziei, że spotkam kiedyś właściwego, a przede wszystkim uczciwego mężczyznę. Takiego, który pokocha mnie i mojego syna.

Wiesz, jedyne, czego bym potrzebowała do idealnego życia, to prawdziwej miłości i związku. Tylko życie idealne przecież nie istnieje, może jedynie w hollywoodzkich produkcjach.

Nie chcę, żeby jakikolwiek związek mnie definiował czy uzależnił.

Choć miło byłoby mieć się do kogo przytulić w nocy. Resztę potrafię sobie sama załatwić i dostarczyć. No i mam to, co najważniejsze – syna i przyjaciółkę z jej córką.

Praktycznie nie ma dnia, żebym za nich nie dziękowała.

DOROTA

– Jestem przy bramie, mogę tu zaparkować?

– Już otwieram, wjedź do środka – słyszę w słuchawce.

Piękny ogród. Szpaler topoli, droga wysypana drobnymi białymi kamieniami, starannie przystrzyżona trawa, perfekcyjnie zadbane klomby i dom tonący w winorośli. Rozłożysty, przeszklony, okazały. Drzwi otwiera drobna blondynka ze związanymi włosami. Przytrzymuje stado psów. Dwa cavaliery, buldog francuski, dog i chyba kundelek. Ogon tego ostatniego merda tak, jakby jego właściciel miał ochotę wyskoczyć z radości ze skóry. Nie sposób się nie uśmiechnąć.

– One zawsze muszą się przywitać. Nie przeszkadzają ci?

– Pewnie, że nie, pozwól im. Uwielbiam takie.

Trochę jednak mijam się z prawdą. Nie tylko uwielbiam „takie”. Uwielbiam wszystkie. Wygląda, że ta zgraja świetnie to czuje.

– Ej, dosyć, na miejsca! – Dorota próbuje być stanowcza. Jak ja to znam. Pacyfikacja udaje się na chwilę, gdy psy zostają w ogrodzie, a za nami zamykają się drzwi do salonu. Po chwili jednak wszystkie żądają powrotu do środka.

– Muszę je wpuścić, bo nie dadzą spokoju. – Dorota się uśmiecha.

To, co widzę, wygląda na szczęśliwy dom. Na stole paruje już herbata w czajniku, pachnie ciasto ze śliwkami i malinami. Kwiaty w wazonie, kryształowe kieliszki w podświetlanej gablocie. Piękne, stare meble, bibeloty. Za chwilę poznam Kacpra i Agatę, dzieci Doroty. Oboje przytulają się do mamy, widać ciepło i wspaniałą więź między całą trójką. Nikt nie pomyślałby, że salon, w którym siedzimy, jeszcze tak niedawno był miejscem rodzinnego dramatu.

OPOWIEŚĆ DOROTY

Tak jak kiedyś o więzieniu i burdelach mówił z dumą, tak teraz chełpił się, że jest w grupie „wybrańców”, którzy mają na łapach krew swoich żon i partnerek.

Kiedy na mojej drodze stanął Darek, byłam samodzielną mamą Kacpra. Nie szukałam faceta. Nie czułam się też porzuconą, samotną kobietą po przejściach. O, nie. Wszystko, co do tej pory mi się przydarzyło, stało się na moje własne życzenie. To ja zrezygnowałam z małżeństwa. Trochę z głupoty, trochę z niedojrzałości.

Kiedy wychodziłam za Marka, miałam dwadzieścia lat, robiłam to głównie dlatego, że bardzo już chciałam być dorosła, samodzielną, oderwaną od rodziców. On mi to wszystko dawał. Wspaniały, emocjonalnie dojrzały, niesamowicie stabilny człowiek.

Ślub odbył się w sobotę; piękny, wystawny, na cały tłum gości. A ja już w niedzielę chciałam uciekać. Marek był dla mnie zbyt dobry. Szanował, chciał nosić na rękach, zasypywać kwiatami i komplementami. Mnie? Przywykłam do popychania w rodzinnym domu i rugania na każdym kroku? Kompletnie nie wiedziałam, jak się znaleźć w takiej bajkowej rzeczywistości, więc postanowiłam ją rozwalić. Zajęło mi to około roku, ale się udało. Marek nie wytrzymał mojego wariactwa, biegania po imprezach i szukania bad boys.

„Dorota, wybacz, to nie dla mnie” – powiedział któregoś dnia i bardzo kulturalnie, bez scen i awantur, całując mnie w rękę na do widzenia, zabrał walizkę i wyszedł. Po kilku miesiącach dostaliśmy kościelne stwierdzenie unieważnienia małżeństwa z powodu „niepodlegającej dyskusji głębokiej niegotowości pani Doroty do podjęcia stabilnego życia rodzinnego”. Tyle.

Dwa lata później poznałam ojca Kacpra. No, to był naprawdę ktoś z moich snów. Drań, lawirant, łotr spod ciemnej gwiazdy. Piekielnie przystojny chłopczyk z bogatego domu, wieczny Piotruś Pan, do którego

stała kolejka panienek, przebierał w nich jak w ulęgawkach. A on wybrał mnie. Dobrana była z nas para. Świetne wspólne imprezy, bale do białego rana, trochę drobnych awanturek, ale w granicach rozsądku, i nieustanne iskrzenie na łączach.

Teraz wydaje mi się to irracjonalne, że rozbiłam małżeństwo z cudownym Markiem, a rzuciłam się w wir związku z podłym Piotrem. Dziś już wiem, że szłam po śladach wyznaczonych przez moje rodzinne wzorce. Potrzebowałam kogoś, kto będzie mnie poniżał, szarpał i zdradzał, bo taką rzeczywistość znałam od podszewki. Takie sceny pamiętałam z domu.

Nigdy nie spełniłam oczekiwań mojej mamy. Zawsze byłam: „Za głupia, za gruba, niezdarna, o, nawet nogi masz jak kolumny, kretynka”. Niezła wiązanka, prawda? Tylko pozornie byliśmy wzorową, dobrą, katolicką rodziną. Znam na pamięć zdania: „Dzieci i ryby głosu nie mają” oraz „Siedź cicho, gówniaro, ja decyduję”. Nikt się nie liczył z moimi uczuciami, potrzebami. Nie byłam ważna ani dla mamy, ani dla taty. Bolało, ale myślałam, że właśnie tak ma być. Że tak wygląda świat i we wszystkich domach jest podobnie. Teraz rozumiesz, dlaczego coś mi się nie zgadzało w życiowym schemacie, gdy Marek zaczynał dzień od: „Dzień dobry, kochanie, na co masz dziś ochotę? Jak się czujesz? Wyspana? Może pojedziemy za miasto, co ty na to?”. Nie potrafiłam odnaleźć się w takim miodzie. Topiłam się, traciłam grunt.

Zdecydowanie lepiej znałam gorycz i ból. Piotrek potrafił do mnie powiedzieć: „Ty głupia pindo, chodź tu”. I to było dla mnie OK. Czasem klepnął w tyłek albo pociągnął za rękę i też nie widziałam w tym niczego zdrożnego. Czujność już była uszpięta. Wszystko mi się w nim podobało i jemu we mnie też, do momentu, aż pokazałam mu dwie kreski na teście ciążowym. Nie, nie podskoczył z radości i nie wziął mnie na ręce. Zamiast tego wycedził – wybac, zacytuję: „Spierdalaj, idiotko”.

Zrobiłam według rozkazu. Zbyt byłam dumna i ambitna, żeby próbować zawalczyć o ten związek. Zresztą, jaki związek? Byliśmy parą dobrą do tańca, bo do rózańca nie nadawało się żadne z nas. Zostałam sama z Kacprem. Na wiele lat. Dość czasu, żeby dorosnąć i okrzepnąć w samodzielnym macierzyństwie. Powtarzam – nie szukałam partnera.

Zjawił się sam. Dokładnie pamiętam ten dzień. Siedziałam na podłodze w biurze u rodziców. Bawiłam się klockami z małym i trójką dzieci zabranych z domu dziecka. Taki miałam zwyczaj, że często, na święta,

wakacje, weekendy zapraszaliśmy dzieciaki z bidula. Chciałam, żeby poczuły się lepiej choć przez chwilę i żeby mój synek dorastał ze świadomością, że los nie dla każdego jest tak łaskawy, żeby obdarzyć go dostatnim, całkiem dobrym życiem, nawet bez ojca.

Prawda jest taka, że za pracę w rodzinnej firmie ojciec nie płacił mi za wiele, ale nigdy nie żałował pieniędzy, gdy potrzebowałam na wyjazdy, atrakcje czy nawet całkiem niezłe zakupy. Miałam poczucie – jak to się mówi – że siedzę w jego kieszeni. Czasem mi to z matką wypominał. „Bez nas nie dałabyś sobie rady”. Ale przecież zawsze tak do mnie mówili. Dorastałam w przekonaniu, że sama nie jestem nic warta, że tylko rodzice trzymają mnie przy życiu, a tak w ogóle to jestem nieudacznikiem. Poprzysięgam sobie, że Kacper i wszystkie moje następne dzieci nigdy nie poczują się tak unieważniane.

No więc otwierają się drzwi biura i wchodzi on. Wysoki, co najmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, świetnie zbudowany. Miał na sobie szary płaszcz, szary sweter założony na błękitną koszulę i dobrze dopasowane dzinsy. Wyglądał bardzo dobrze. Powiedział tylko „dzień dobry” i poszedł dalej. Wyglądało na to, że doskonale wiedział, dokąd ma się kierować, nie był tu pierwszy raz. Nie padło między nami żadne słowo ponad to zdawkowe powitanie, ale i tak już zaiskrzyło między nami.

„Co to za facet?” – zapytałam ojca.

„Darek Dobrowolski, właściciel wielkiej firmy deweloperskiej. Podoba ci się? Z tego, co wiem, jest rozwiedziony, ma sporego, odchowanego już syna. Ktoś mi tylko mówił, że prowadzi się z jakąś bogatą, starszą od siebie panią doktor, grubo po pięćdziesiątce. Może i ty będziesz miała szansę? Ktoś by cię w końcu wziął na utrzymanie”.

Udałam, że nie słyszę tatusiowego „żartu”. Potrafił wsadzić szpilę. Ta zresztą nie była szczególnie ostra. Zdarzało się i mocniej. W tym też celowała mama. Może ci o tym potem opowiem. Na razie zostanmy przy Darku.

Od tamtego dnia nie widzieliśmy się przez dwa lata, a ja nie mogłam zapomnieć o tym pięknym mężczyźnie z błękitnymi oczami. On też powiedział mi kiedyś, że często o mnie myślał, bo też wpadłam mu w oko. Nigdy nie był specjalnie dobry w uwodzeniu, brakowało mu finezji, więc takie „od razu wpadłaś mi w oko” to w jego wykonaniu i tak wirtuozeria. Ale po kolei.

Jest rok 2005. Spotykamy się znów w biurze u rodziców po długiej przerwie i wtedy wszystko wybuchają jak gejzer. Spacer po Starym Mieście, kawa, niekończąca się rozmowa. Nie mogliśmy się rozstać. Miałam wrażenie, że to jest właśnie człowiek, którego szukałam całe życie. Wszystko mi się zgadzało – te same książki, filmy, muzyka, wartości, poglądy na świat. Darek wydawał się mężczyzną niebywale dowcipnym, z fenomenalnym wyczuciem sytuacji, zabawnym. No i ten szelmowski uśmiech, którym rozbrajał mnie jak saper bombę. Był silny. I fizycznie, i mentalnie. Emanował pewnością siebie, jakby mówił: „Ej, nawet nie próbuj wchodzić mi na głowę”. Nie był typem faceta rzucającego płatki róż pod stopy. Nie nosił na rękach i nie zasypywał czułymi słówkami. To mi odpowiadało. Pamiętasz? Mówiłam, że miałam w sobie genetycznie zakodowaną słabość do łobuzów i drani, dla których dżentelmeneria to raczej obce słowo. Darek pasował do mojego portretu pamięciowego. Z tego wieczoru zostały mi wspaniałe wspomnienia i mój SMS do niego: „Lubię świat, w którym żyję, i słowa, które w nim słyszę. A to wszystko dzięki Tobie”.

Oświadczył mi się dwa miesiące po pierwszej randce. Nie, to nie była elegancka restauracja i pierścionek utopiony w kieliszku do szampana. To nie była gondola w Wenecji ani taras na wieży Eiffla. Przyjechałam na chwilę na plac budowy jednej z jego inwestycji niedaleko Magdalenki. Zobaczył mnie, uśmiechnął się, podszedł, z całej siły przycisnął ciało do maski samochodu i zapytał: „Wyjdiesz za mnie, ślicznotko?” Nie żartował. Pytał całkiem serio. „Dobrze – odpowiedziałam – ale interesuje mnie tylko ślub kościelny”.

Pięć tygodni później, 22 października, zagrali nam Mendelssohna. Dwie dwójki to zresztą moja szczęśliwa data. Jestem urodzona dwudziestego drugiego, podobnie jak Kacper. Kiedy myślę o tym dniu, też mam wrażenie, że wszystko układało się jak po sznurku. Cudowna projektantka właśnie miała właściwy materiał i czas, żeby zaprojektować i uszyć najpiękniejszą suknię świata. Uznałam, że welon po trzydziestce to może przesada, więc zamiast niego miałam ekstremalnie długi, muślinowy szal spływający z dekoltu i ciągnący się za mną obok trenu. Bajka. Cudem znalazł się wolny termin na wynajęcie całego hotelu Polonia w centrum Warszawy. Wyobrażasz sobie? Rezerwować z dnia na dzień wymarzone miejsce i trafić w dychę? Mieliśmy wspaniałą uroczystość, orkiestrę jak ze snu.

Otrzeźwienie przyszło gdzieś około północy. Siedzieliśmy obok siebie we czworo – ja z moim już wtedy mężem i koleżanka ze swoim. Andrzej coś zapalczywie tłumaczył i w ferworze kilka razy delikatnie uderzył mnie ręką w kolano. To nawet nie było uderzenie, raczej poklepanie. Kompletnie niewinny gest. I tu na scenę wszedł Darek, cały na czarno: „Zostaw, kurwa! Zaraz ci przypierdolę, jak natychmiast nie zostawisz mojej żony!”.

Zbaraniałam. Oni też. Nic nie zapowiadało wcześniej takiej reakcji. Zero znaków ostrzegawczych. Nie był pijany. Nigdy zresztą nie widziałam go pod wpływem alkoholu. Naprawdę, nic nie tłumaczyło tego nagłego wybuchu agresji. Chciałam to jakoś załagodzić, wiesz – wesele, najważniejszy dzień w życiu. Obróciłam sytuację w żart i chyba się udało, a może tylko tak mi się wydawało. To był czas, kiedy zamazywałam rzeczywistość.

Dokładnie tak samo zrobiłam na obiedzie z jego matką, około dwóch tygodni przed ślubem. Przy stole siedzieliśmy my obydwój, matka Darka i jego syn z pierwszego małżeństwa, Daniel. Rozmowa zeszła na jakieś aktualne tematy, w tym ustawę o planowaniu rodziny, bardzo wtedy dyskutowaną na forum. Przyszła teściowa, poprawiając spływające z oparcia krzesła futro z szynszyli i roleksa na nadgarstku, gdzieś między kremem z borowików a kotлетem mielonym mówi tak: „Ech, jak byłam młoda, młodsza niż wy teraz, to zachodziłam w ciążę jak króliczka i musiałam się skrobać co chwila”.

Konsternacja. Uwaga przeszła bez komentarza z żadnej strony. Mnie nie wypadało, Darek pochylił głowę nad talerzem. Niewiele wtedy wiedziałam o jego korzeniach i o nim. Mimo przegadanych godzin nie miałam świadomości, że to rodzina z totalnego marginesu, że mój chłopak siedział w więzieniu, a majątek państwa Dobrowolskich zaczął się od polowego łóżka rozstawionego na Stadionie Dziesięciolecia. Nie miałam pojęcia, że przyszła teściowa wychowała się w domu dziecka, odrzucona przez tatę i mamę, że była bita przez ojca Darka, alkoholika, i wyrzucała syna z domu pod byle pretekstem. Nie wiedziałam, a może nie chciałam wiedzieć, że wchodzę w „układ” – szynszyle, rolex i rysztoł. Nie wiedziałam, a może nie chciałam wiedzieć, że mam do czynienia z maglem i bezrozumną agresją unurzaną w sosie samotności.

Ze strony Darka na ślub i wesele przyszła tylko garstka ludzi. Jeden wujek z rodziną i dwóch kumpli. Tyle. „Nie ma przyjaciół? – przeleciało mi

przez głowę – nie, to niemożliwe, pewnie gdzieś wyjechali”. Jeszcze wypierałam myśl, że nikt nie chce mieć z nim nic do czynienia...

Tuż po ceremonii zaczęła się kanonada wiadomości od teściowej z gatunku: „Ty gołodupcu, co sobie myślisz? Nigdy nie dostaniesz naszych pieniędzy, zapomnij!”. W ślad za nią uaktywniła się była żona Darka, znana producentka telewizyjna: „Właż do budy, skąd przyszedłeś, Darek i tak kiedyś wróci do mnie”.

Pokazałam mu te SMS-y. Myślisz, że się oburzył albo chciał odbyć z obiema paniami jakieś rozmowy? O, nie. Tematu nie było. Gumka myszka. Żadnej reakcji. I wiesz co? Łykałam to niczym bocian żabę. Sytuacje się powtarzały, ja prosiłam o interwencję, a mój szanowny małżonek nabierał wody w usta. Powoli standardem stały się też jego wybuchy gniewu. Bez powodu i uprzedzenia.

Jest 6 lutego, moje imieniny. Impreza w domu dla kilku osób. Tańczę z kolegą, znajomym jeszcze ze szkoły. Żadne przytulanki, ot, zwykły taniec, nawet bez trzymania się za ręce. A Darek wpada w dziki szał. Biegnie na piętro, po drodze wali pięściami w ściany, zrzuca wazony, tłucze szybę w drzwiach. „Kurwa, ja pierdołę, trzymaj się z daleka, bo ci łeb rozjebię, gnoju!” – wrzeszczy do siebie, bo adresat złorzeczeń już dawno wyszedł. Goście się rozpierzchają. Nikt nie chce być świadkiem domowej awantury z tłuczonym szkłem w roli głównej. Powtórzę – nie był pijany. Wypił może jeden kieliszek wina, choć nawet nie jestem pewna, czy do końca. Rano – nie zaskoczę cię – tematu nie było. Wstaliśmy, ja od razu zabrałam się do sprzątania szkła, żeby nikt nie skaleczył się w stopy, i po sprawie.

Kilka miesięcy po ślubie zrobiłam test. Dwie kreski. Pokazałam Darkowi, pełnia szczęścia. „No, żeby tylko to był syn” – dokładnie pamiętam te słowa.

Miałam ponad trzydzieści lat, ale całkiem dobrze znosiłam ciążę. Znacznie gorzej późne powroty męża z pracy, zapach obcych perfum na ubraniach i podrapane plecy. Wiedziałam od ludzi z jego firmy, że właśnie obraca jakąś młodą sekretarkę, której kupuje apaszki od Hermès a i zabiera na weekendy do naszego domu na Mazurach.

Któregoś dnia Darek wchodzi z przytupem. Uśmiechnięty od ucha do ucha, pachnący intensywnie i obco. Jest pora obiadowa. Obiecywał, że będzie w domu około jedenastej, bo mieliśmy pojechać do lekarza.

„Gdzie byłeś? Dlaczego wracasz dopiero teraz? Czekałam na ciebie”. „Miałem sprawy. A teraz mnie zostaw. Jestem zmęczony”. „Jakie zostaw, Darek? Byliśmy umówieni do ginekologa, miałeś ze mną pojechać, pamiętasz?” „Zostaw, rozumiesz?”

I w tej samej chwili z całej siły chwyta mnie za kołnierz bluzki i rzuca na ścianę. Uderzam głową i osuwam się na podłogę. On jeszcze łapie za dwa złote łańcuszki z medalikami, które nosiłam na szyi. Czuję, jak naprężone niczym struny wrzynają mi się w kark i oba puszczają. Truchleję. Nie wiem, co mnie jeszcze czeka. Darek stoi nade mną, wielki, silny i władczy. Resztki biżuterii rzuca w kąt. Dyszy z wściekłości.

„Czy ja cię, do cholery, nie uprzedzałem? Mówię – zostaw, znaczy – zostaw. Czego, kurwo, nie rozumiesz?”

Pierwsze uderzenie skórzanego buta ślizga się po policzku i ląduje gdzieś w okolicy obojczyka. Kolejne z głośnym dźwiękiem rozbija żebra. Raz, drugi, trzeci. Przestaję liczyć. Leżę zwinięta w pozycji embrionalnej, próbując zasłonić rękami brzuch. „Darek, przestań, dziecko”.

Nie chodziło mi o mnie. Chyba nawet nie czułam bólu, bo wszystkie myśli, cała moja uwaga skupiła się na małej fasolce, której czarno-białe zdjęcie, cień właściwie, wciąż miałam przed oczami. Słowo „dziecko” chyba go jakoś otrzeźwiło. Wybiegł z domu, nie zamykając drzwi. Ja za nim. Tak, biegłam za swoim oprawcą, bo... bo go kochałam. Irracjonalne, prawda?

Ten człowiek był dla mnie pępkiem świata, gwiazdką z nieba, jedynym gwarantem mojej niezależności od rodziców. Od nich słyszałam zawsze: „Jesteś beznadziejna, za słaba, żeby dać sobie radę bez nas”. Od niego – dokładnie to samo. Młot albo kowadło. Miałam do wyboru: być przy nich albo przy nim. Nie widziałam trzeciej drogi. Nie wierzyłam w siebie ani w to, że potrafię być samodzielna. Wmawiano mi od zawsze, że potrzebuję protezy, żeby funkcjonować. Odejście od męża nie mieściło mi się w głowie. Rozbicie drugiego małżeństwa? Bałam się piekła, które pewnie zgotowałyby mi matka. Ona zresztą zawsze była po stronie Dareczka. Uwielbiała zięcia nad życie. „Darunio, Daruś nasz kochany” – mówiła. Nie miała pojęcia, jak mnie traktuje, gdy zamykają się za nami drzwi. I nawet nie chciałam się skarżyć, bo przecież i tak nikt by mi nie uwierzył. „Darek cię bije? Obudź się, dziewczyno, albo zmień tabletki” – jestem pewna, że usłyszałabym dokładnie coś takiego, gdybym tylko spróbowała powiedzieć, jaka jest prawda.

Dogoniłam go przy drodze. Złapałam za brzeg kurtki, gdy był już na przystanku. Myślisz, że się opamiętał i przytulił? Nie. Wyrwał się, popchnął mnie na ziemię i znów zaczął kopać. Dokoła stali ludzie, co chwilę ktoś przejeżdżał. Nie zareagował nikt. W biały dzień duży facet walił z buta zwiniętą w kłębek kobietę. Nie widać było po mnie jeszcze ciąży, ale przecież to chyba bez znaczenia. Podjechał autobus, na odchodne dostałam jeszcze ostatniego kopa w żebra i usłyszałam tylko charakterystyczny dźwięk zamykanych drzwi podmiejskiego. Nie pamiętam, jak dowlekłam się do domu. Pamiętam, że bardzo bolała mnie cała prawa strona ciała. Zadzwoiłam do lekarza, który mnie prowadził. „Przyjeżdżaj natychmiast” – zarządził.

USG wykazało połamane dwa żebra i trzecie pęknięte z drobnym odpryskiem. Lekarz zapytał, co się stało. Powiedziałam. „Dlaczego tego nie zgłosisz?” „To się więcej nie powtórzy” – stwierdziłam.

Bzdura. Dziś wiem i chcę, żeby wiedziały to wszystkie dziewczyny, które kiedykolwiek poczują cios na twarzy, plecach lub którejkolwiek innej części ciała – że ten cios nigdy, przenigdy nie będzie ostatni. Pierwszy – tak. Ostatni – nie.

Ja nie zgłosiłam pobicia, pan ginekolog też nie. Zamiast tego po wyjściu z gabinetu zaczęłam dzwonić do Darka. Jak nakręcona, raz za razem. Chciałam mu powiedzieć, że dziecko żyje, żeby się nie martwił, że wszystko jest dobrze. Chciałam przeprosić, że go tak zdenerwowałam, i namówić, żeby wrócił do domu. Tak, wiem, jak to brzmi. Ofiara błaga kata o wybaczenie i o kolejną karę, nawet odroczoną. Odebrał po tysięcznym razie. Łaskawca.

„Darek, wróć, proszę. To nie ma sensu”. „Pod warunkiem że przestaniesz mi wyrzucać zdrady”. „Przecież nie wyrzucam”. „I dobrze. Ja cię nie zdradzam”.

Oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda. Ale wolałam żyć w iluzji niż bez niego. Wrócił. Przez kilka dni było prawie normalnie. Aż przyszedł termin następnego USG. Pojechał ze mną. Pierwszy i jedyny raz, kiedy mi towarzyszył podczas badania. Lekarz położył mnie na kozetce, posmarował brzuch żelem, przyłożył sondę.

„Gratuluję. Będą państwo mieć piękną, zdrową córeczkę. – Uśmiechnął się do monitora. – Chcą państwo, żebym wydrukował zdjęcie na pamiątkę?”

Ze wzruszenia nie mogłam złapać tchu. Spojrzałam na Darka. Miał stężałe rysy, głęboką zmarszczkę na czole. Zawsze była zapowiedzią wiszącej w powietrzu awantury. Widziałam, jak chodzą mu szczęki. Nie odezwał się ani słowem. Wybuchnął dopiero wtedy, gdy wyszliśmy z gabinetu. Wsiadł pierwszy do samochodu, poczekał, aż zajmę miejsce pasażera. Nigdy nie wpuszczał mnie pierwszej. Uważał, że otwieranie kobiecie drzwi to durna zachcianka.

„Córka? Serio? Jaka córka, kurwa, pytam, co? Miał być syn! Ja robię wyłącznie synów! Kurwa jego mać!” – wrzeszczał, waląc pięściami w kierownicę niczym rozkapryszone dziecko, któremu ktoś nie dał obiecanej zabawki. Staliśmy tak dłuższą chwilę. On się wściekał, ja słuchałam. Z rosnącym poczuciem winy. Faktycznie. Zawiodłam mojego męża. Przecież wiedziałam, jak bardzo chciał mieć drugiego męskiego potomka. Daniel, syn z pierwszego małżeństwa, miał zdiagnozowany znaczny stopień niepełnosprawności, spore spektrum choroby psychicznej. Mówiąc wprost – ojciec nie był z niego dumny. Wiele razy widziałam, jak nim pogardza, jak pozwala sobie na niewybredne komentarze.

Kiedyś, w domu u rodziców, Daniel z niewiadomego powodu schował się pod fortepianem, a Darek do niego: „Dobrowolski, łamago, ty tchórze jeden, wyłaż, do cholery!”. „Darek, to dziecko jeszcze, nie mów tak do niego” – prosiłam nieśmiało. „Nie będziesz mi dyktować, jak mam mówić do własnego syna – uciął dyskusję. – Łajza z niego i tyle”.

Pogarda była stale obecna w języku mojego męża. Tylko do swojej matki i moich rodziców zwracał się z szacunkiem. Oni zresztą nie mieli pojęcia, że moja ciąża nie przeszkadzała mu znikać na całe dnie i czasem nocie. Że często czułam na nim flakony obcych perfum (celowo?) i widziałam ślady babskich pazurów w różnych miejscach ciała. „To przejściowe – zaklinałam rzeczywistość – pewnie dlatego, że odmawiam mu współżycia z powodu ciąży. Facet ma swoje potrzeby”. Tak myślałam. No, ale któregoś dnia nawet ja miałam dosyć.

„Karol, wypisz mi skierowanie do szpitala – poprosiłam lekarza pierwszego kontaktu – potrzebuję trzech dni wakacji”. Spakowałam kاپcie, piżamę i pojechałam na Wołoską na położnictwo. Sama. Myślisz, że mój mąż zadzwonił choć raz, żeby spytać, gdzie jestem, jak się czuję? Nie. Po co? Natomiast moja matka nie omieszkała mnie odwiedzić i zasypać pretensjami. „Wstyd przynosisz rodzinie, Dorota. Mówiłam tyle razy, że nie wynosimy domowych spraw poza cztery ściany. A ty co? Wywlekasz brudy,

jakieś skargi uprawiasz. Że co? Żle ci? Męża masz dobrego, bogatego, dba o ciebie. Kto ci mercedesa kupił, kiecki ci funduje, wczasy? Zacziesz być choć trochę wdzięczna? Ale czego się po takiej spodziewać. Nas nigdy nie doceniałaś i Dareczka nie umiesz” – powiedziała i klap drzwiami. Wyszła, zostawiając mnie samą z tysiącem myśli. No tak. Mieliśmy piękny, ogromny dom z basenem w Magdalence, jeździliśmy po całym świecie, twarz mojego męża co jakiś czas pojawiała się na kredowym papierze magazynów dla biznesmenów, ilustrując wywiady z człowiekiem, który osiągnął w życiu sukces i zarządza firmą „z ludzką twarzą”. Ludzka twarz... W domu miał twarz despoty i okrutnika. Tylko wciąż tego do końca nie dostrzegałam, wciąż nakładałam filtr na prawdę. Z miłości do kata i ze strachu przed samotnością.

Samochód? Kiedyś mnie spytał, jaki mi się podoba. Powiedziałam. I za kilka dni dokładnie taki stał na podjeździe. Wow! Wreszcie ktoś mnie słuchał, wreszcie dla kogoś były ważne moje marzenia. To było miłe. Osładzało codzienność.

„Dokąd masz ochotę pojechać na wakacje?” – spytał, kiedy byłam jeszcze na początku ciąży. Tuż po niesławnym skopaniu mnie w domu i na przystanku.

„Pojedźmy na kilka dni do Portugalii, nigdy jej nie widziałam” – poprosiłam i miałam Portugalie. Było pięknie. Kolacje nad oceanem, spacer po Lizbonie. Próbowalam nie dostrzegać, że mój mąż ma oczy dookoła głowy. Kiedyś powie o tym z rozbijającą szczerością: „Jestem prawdziwym pozeraczem cipek”.

Kiedyś. Jeszcze nie teraz. Kiedyś też usłyszę od jego syna, Daniela, wypowiedziane z dumą zdanie: „Mój ojciec jest pies na baby, wiesz? Raz widziałem, że jak mu jakiś fagas próbował wejść w drogę, to ojciec skuł mu ryj, a potem jeszcze wyjął, co trzeba, i palanta obsikał. Zajebicie, co?”.

Osobliwy język. I ojca, i syna. To wszystko jeszcze przede mną, tylko ci sygnalizuję. Na razie jestem w połowie ciąży i odpoczywam w szpitalu od mojego domowego „raju”.

Kiedy wróciłam, wakacje się skończyły. Darek znów nie pojawił się na noc. Wsiadłam do tego cholernego mercedesa i pojechałam przed dom jego matki. Widziałam, że w pokoju, który zwykle zajmował, pali się światło. Zadzwoiłam, odebrał.

„Darek, jesteś u mamy? Wyjdz, pojedziemy razem do domu” – prosiłam. Nie spodziewałam się, że słuchawkę wyrwie jego matka

i wyrzuci z siebie kwiecistą wiązanekę: „Wywalaj stąd, szmato, co ty robisz z moim synem, że on nie chce wracać do domu? Wiedziałam, że ty jesteś z takich, co życie marnują, mówiłam mu. Czego nie rozumiesz? Zabieraj grubą dupę i gruby brzuch i wypierdalaj stąd, bo wezwę policję!”.

Popłakałam się. Nie byłam w stanie ani wyjść z samochodu, ani ruszyć. Po kilku minutach podjechał patrol z agencji ochrony. Dwóch młodych chłopaków. Jeden zapukał w szybę. Otworzyłam. Byłam rozrzucona, nie mogłam opanować spazmów. Któryś z nich podał mi chusteczkę. „Niech mnie pani uważnie posłucha, musimy teraz udać, że panią pouczamy i wyrzucamy stąd, przepraszam. Taka dobra rada: niech pani odjedzie i da sobie spokój z tą rodziną. Pilnujemy tego domu od dawna, wiemy co nieco. Dla pani zdrowia. O, Boże, pani jest w ciąży? Proszę się przesiąść, ja pokieruję. Kolega pojedzie za nami. Odstawimy panią w bezpieczne miejsce”.

Gdybyś uważała, że ten incydent nauczył mnie rozumu – to nie. Niestety. Znowu uprosiłam Darka, żeby wrócił do domu, i znowu mnie posłuchał. Za każdym razem, gdy trzaskały za nim drzwi, czułam, jakbym była rybą, którą ktoś wyrzuca na brzeg. Miałam wrażenie, że nagle brakuje mi powietrza. Oddech wracał, gdy pan i władca zasiadał w swoim fotelu z gazetą i cygarem.

Znajomi? Niewielu ich mieliśmy, bo wykruszali się za każdym razem, gdy wpadał w szal. Grono kurczyło się z imprezy na imprezę. Ci, którzy trwali, nie widzieli prawdziwej twarzy Darka. Mieli obraz niemal idealnej pary. Trzeba przyznać, że mój mąż w towarzystwie potrafił zasypywać mnie komplementami. Powtarzał, jaką ma piękną, mądrą, wspaniałą żonę, dzięki której jego biznes idzie nieustannie w górę.

Chcesz wiedzieć, jaka była prawda? Rzeczywiście, pomagałam mu w firmie. Siedziałam w biurze, wyszukiwałam tereny pod inwestycje, rozmawiałam z partnerami, a potem też sprzedawałam domy i apartamenty. W zasadzie za darmo. Nie dostawałam nawet grosza prowizji. Płacił mi stałą, niewygórowaną pensję i nie chciał słyszeć o tym, że warto wynagrodzić moje zaangażowanie w sukces firmy.

„Przecież masz dobre życie, czego ci mało? Od kiedy ty jesteś taka rozrzutna, co? Masz dychę do ręki i jeszcze źle?”

Ta „dycha” miała wystarczyć na szkoły, przedszkola dla dzieci, rachunki za dom i zakupy. A pan oczekiwał, że w lodówce obowiązkowo będą mule, krewetki i wszystkie składniki na ulubione dania. Miałam za to kupować

ubrania, buty dla wszystkich i benzynę do samochodu, który palił jak opętany. Uwierzysz, jeśli powiem, że był czas, gdy brałam kredyty? Tak, musiałam ubiegać się o chwilówki, żeby zapłacić za obóz narciarski Kacpra albo nowy wózek dla Agatki, bo ze starego właśnie wyrosła.

Darek o tym wiedział. „Twój problem, jak nie umiesz rozporządzać kasą. Chcesz wyciągać łapę po pieniądze – wyciągaj, tylko nie pod moim nazwiskiem, bo ci łeb urwę”.

Chlipałam w poduszkę i żyłam z nim dalej. Przecież potrafił też być dobry. Tak ładnie mówił o mnie przy ludziach. Czasem mieliśmy fajne dni, wyjazdy.

O, mimo niezadowolenia z tego, że urodzi się córka, a nie syn, zawiózł mnie do szpitala i zdecydował, że będzie na sali porodowej do końca. Agatka nie spieszyła się na świat. Nie działała próba w wannie, na piłce ani na drążkach. Udało się dopiero w czwartej godzinie, gdy Darek usiadł w fotelu, a ja oparłam się plecami o jego kolana. Pierwszy krzyk naszej córeczki był jednym z najpiękniejszych momentów w moim życiu. Chwila, gdy lekarka położyła mi ją na piersi, malusieńką, jeszcze całą we krwi i moich wodach... Boże, ile szczęścia. Płakałam i śmiałam się na przemian. Darek też. Mam przed oczami obraz, gdy bierze Agatkę na ręce i tuli do zielonego, lekarskiego fartucha, który kazano mu włożyć. Moment wart wszystkich upokorzeń.

Przed nami było kilka naprawdę pięknych tygodni. Darek siedział w domu, potrafił nawet zająć się małą i być całkiem czuły dla mnie. Uchwyciłam się tych chwil i oglądałam każdą pod światło jak drogocenny kamień. Skończyły się nocne eskapady, nie było wybuchów wściekłości i walenia talerzami w ścianę. Sielanka, daję słowo. Dałam się jej oswoić. Pomyślałam: „Może uda się też jakoś poukładać relacje z teściową?”. Uwierzyłam w to tym mocniej, że zaprosiła nas na święta.

Agatka miała prawie miesiąc, ja powoli dochodziłam do siebie. Wyszukowałam wszystkich uroczyście, pojechaliśmy. Jakież było moje zdziwienie, gdy przed jej domem zobaczyłam samochód byłej żony mojego męża. Tej samej, która potrafiła zasypywać mnie obraźliwymi wiadomościami.

„Co to znaczy? Co ona tu robi?” – spytałam oburzona. „To nie ja, to matka” – zabrzmiała odpowiedź. „OK, zdecydowałam się podać rękę twojej matce, usiąść z nią do wigilijnego stołu, ale nikt mnie nie uprzedzał, że

będzie tu też Anka. Nie, nigdy w życiu. Nie mam ochoty dzielić się z nią dziś opłatkiem”.

Chcesz wiedzieć, jaką wiazańką oberwałam od Darka 24 grudnia? Wywalał z siebie najbardziej obraźliwe słowa, jakie wymyślił świat. Przy Kacprze i maluteńkiej Agatce. Ona nie rozumiała niczego. On – wszystko. Miał wtedy 12 lat.

„Dobra, kurwa, wracamy, dopięłaś swego. Co za zdzira, ja pierdołę, zjebałaś właśnie święta”.

Na któryśś świątecznych Kacper wybiegł z samochodu. Uciekł. „Nie chcę, nie chcę!” – krzyczał tylko. Pobiegłam za nim. Nie byłam w olimpijskiej formie, ledwie zdjęli mi szwy, jeszcze plamiłam po porodzie. Szczęście w nieszczęściu – potknął się o krawężnik czy o zaspę, upadł. Złapałam go w ramiona i zaczęłam tulić mocno, mocno. Miał skostniałe ręce i twarz mokrą od łez. „Mamo, nie chcę tak żyć, dlaczego on ciebie tak traktuje, dlaczego?” – łkał.

Nie umiałam odpowiedzieć. Ani dziecku, ani sobie. Chora miłość? Strach? Syndrom sztokholmski? Wszystko naraz?

Tego wieczora usiedliśmy do stołu razem z moimi rodzicami. Bez słowa o tej sytuacji, zgrabnie zamiatając całość pod dywan. Boże, jak tam się kotłowało! Matka o nic nie pytała, ale patrzyła na mnie bez większej przychylności, ojciec tak samo. Do tego zaraz po kolacji zadzwoniła teściowa i usłyszałam: „Toś nam urządziła Wigilię, nieźle. Oddaj tę bozię, bo twój gnój nic nie będzie miał ode mnie!”.

„Bozia” – to o złotym medaliku z wizerunkiem Matki Boskiej, który Agatka dostała od babci „na szczęście”. A „gnój” – to oczywiście o niej. O córce jej syna. Znasz inną babunię, która tak się wyraża o czterotygodniowym maleństwie?

Wszyscy powoli odkrywali przede mną karty. O, taka sytuacja. Styczeń, zaraz po słynnej wigilii. Pojechałam po Darka do biura. Jedziemy Puławską.

„Skręć tutaj w prawo, pokażę ci dom mojej dawnej dupy, która chciała mnie złapać na bachora, ale się nie dałem”. „Oszalałeś? Po co? Po co mam oglądać jakiś dom? Nawet nie chcę o tym słyszeć, nie!”

„Nie” nie mieściło się w słowniku mojego męża. Powiedzieć o jego ówczesnym stanie „furia”, to nic nie powiedzieć. Zaczął kopać w pulpit, walnął w przednią szybę. Pokruszyła się w drobną pajęczynę. Wrzeszczał i walił butami gdzie popadło, bałam się, że trafi we mnie, a wtedy

spowoduję wypadek. Zjechałam na pobocze, wyszłam z samochodu, wypięłam Agatkę. Siedziała z tyłu w nosidełku. Postaliśmy chwilę. Zobaczyłam, że Darek powoli się uspokaja. Zajrzałam do środka. „Kochanie, przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować, wybacz”.

Naprawdę to powiedziałam. Wtedy i dziesiątki razy jeszcze. Zawsze brałam winę na siebie. Zwykle naprawdę czułam się odpowiedzialna za jego napady.

Chcesz posłuchać o tych „odkrywanych kartach”? Krótco po przyjeździe na świat naszej córki Darek zaczął mi opowiadać o swoim życiu. O tym, że rodzinna fortuna zaczęła się od tego, że był największym importerem skarpetek na Stadionie Dziesięciolecia. O tym, że ma w sobie kulę i że siedział rok we francuskim więzieniu skazany za przemyt samochodów. O tym wreszcie, ile miał kobiet i jak łatwo je zaliczał. Ani historia za kratkami, ani opowieści o burdelach nie były zresztą dla mojego męża powodem do wstydu. Uważaj: przeciwnie. „Prawdziwy facet powinien choć raz siedzieć w pierdlu i wiedzieć, jak obracać dziwkę – wtedy jest prawdziwym samcem”. To jego słowa.

„Proszę, nie opowiadaj mi o tym, nie chcę tego słuchać”. Im bardziej prosiłam, tym częściej on zasypywał mnie pikantnymi opowieściami. Wiedziałam wszystko o francuskich kabaretach i wieczorach w warszawskich teatrach. Znałam z imienia i nazwiska aktorki, które przeleciał, i intymne szczegóły budowy ich wagin.

„Błagam, przestań” – mówiłam, gdy pewnego razu z wanny pełnej piany z lubością perorował o kolejnych podbojach. „Dlaczego mi to opowiadasz? Nie znęcaj się nade mną. To mi sprawia przykrość”. Nie słuchał. Kompletnie nie wiedział, o co mi chodzi. Nie wiedział, co to empatia. Nie potrafił zrozumieć uczuć drugiego człowieka. Jak rasowy socjopata pozbawiony umiejętności współodczuwania brnął dalej.

„Żona powinna wszystko wiedzieć o mężu. Powinnaś się cieszyć, że nie mam przed tobą tajemnic. Szczerość ponad wszystko”.

Traktował mnie w tej spowiedzi jak kumpla, jak faceta, nie jak kobietę. I od razu próbował mnie wciągnąć do łóżka. Jakby go ekscytowało opowiadanie mi o innych kobietach. Darek zaczynał dyszeć z podniecenia, a ja nie byłam w stanie go dotknąć w żaden sposób. Nie byłam w stanie oddać mu ciała, gdy przed chwilą wysłuchiwałam, jak dobrą kochanką była pewna znana polska seksbomba.

Zresztą mój mąż w łóżku zachowywał się totalnie egoistycznie. W najmniejszym stopniu nie chodziło mu o wspólną satysfakcję, a wyłącznie o własny wytrysk. Choć sądził, że jest mistrzem w tej strefie, tak naprawdę zachowywał się jak kawałek mięsa, który rzuca się na drugi kawałek mięsa. Dokładnie tak się czułam z nim w sypialni.

To, co działo się poza nią, doprowadziło do tego, że kilka lat po ślubie spałam zwinięta w kłębek. Nie chciałam, żeby mnie dotykał żadną częścią ciała. Jego dotyk kojarzył mi się zawsze z bólem, jego obecność z przykrością.

Myślisz, że mną manipulował? Wbijał w nieustanne poczucie winy? Teraz dopiero dostrzegam między nami jakieś chore wzajemne uzależnienie.

Opowiem ci o pewnej naszej wyprawie na Mazury. Jechał z nami także Wojtek, przyjaciel Kacpra. Podróż minęła bez przygód. Na miejscu jak zawsze zajęłam się noszeniem rzeczy, Darek zasiadł na tarasie i podziwiał widoki. Już nawet nie prosiłam, żeby mi pomógł, wołałam zrobić to sama. Chłopcy trochę mnie odciążyli. Krzątania chwilę trwała. Darek niezmiennie na tarasie, tym razem z książką. Przełożyłam klucz do zamka od środka i zamknęłam drzwi na klamkę. Widziałam przez okno, że mój mąż nie ruszył się z miejsca. OK. Kiedy po kilku chwilach wyjrzałam drugi raz, już go nie było. Rozglądałam się, biegam dookoła domu, wołam na całe gardło. Zero odzewu. Dzwonię do niego – tradycyjnie nie odbiera. Tysiąc myśli. Coś mu się stało? Jakaś napaść? Porwanie? Wiem, że to głupie, ale w tym czasie słyszało się o różnych rzeczach, czasem brutalnych porachunkach „biznesowych”, musiałam wszystko brać pod uwagę. Przeszukałam całą okolicę, dzwoniłam bez przerwy – do niego, do swoich rodziców. Wybrałam nawet numer jego matki. „Darka nie ma” – warknęła i rzuciła słuchawką.

Odchodziłam od zmysłów. Myślałam, żeby pójść na policję. Kilka godzin później dzwonię raz jeszcze do mojej mamy: „Mamo, wariuję, nigdzie nie ma Darka”. „Właśnie wszedł do domu” – usłyszałam.

Nasze domy w Magdalence sąsiadują ze sobą, mogła widzieć bardzo dokładnie, co się dzieje na naszym podjeździe.

„Coś ty mu zrobiła, Dorota? Wrócił taksówką na dziwnych numerach. Znowu byłaś dla niego podła?”

Zabolało mnie to oskarżenie. Zapakowałam dzieci do samochodu, powiedziałam, że musimy pilnie wracać, i ruszyliśmy. Pędziłam jak głupia,

złamałam chyba wszystkie przepisy. Bałam się, że nasze małżeństwo właśnie obraca się w ruinę, a za żadne skarby nie chciałam do tego dopuścić. Wciąż kochałam tego człowieka i truchlałam na myśl, że faktycznie mogłam sprawić mu przykrość. Kiedy dotarliśmy do domu, Darek spał w swoim gabinecie. Rano, pełna obaw, schodzę z sypialni i pytam: „Dlaczego tak nagle zniknąłeś? Czym cię uraziłam?”.

No i się zaczęło. Wykrzyczał mi, że jest dla mnie nikim, że się nie liczę z jego emocjami, że nie słucham, co do mnie mówi. Wiesz dlaczego? Kiedyś faktycznie opowiadał mi, że jego matka miała zwyczaj zamykania przed nim drzwi na klucz. Robiła to ostentacyjnie, zawsze, gdy zrobił coś, co jej nie odpowiadało. Nawet drobiazg, głupotę. Trzask i przekręcała zamek. Moje zamknięcie drzwi w domu na Mazurach i przełożenie klucza skojarzyło mu się z dziecięcą traumą i zachował się tak, jak musiał robić kiedyś, żeby nie spać na schodach. Tylko że ja jedynie zatrzasnęłam drzwi, nie były zamknięte. Mimo to poczułam się winna. Odświeżyłam mu w pamięci nieprzerobione sytuacje, obudziłam jego dziecięce demony. I co zrobiłam? Tak, właśnie tak. Przeprosiłam.

Przepraszałam zawsze i po każdej awanturze. Także wtedy, gdy z całej siły złapał mnie za gardło. Zastanawiam się, dlaczego to zrobił... Nie pamiętam.

Byłam w trzecim miesiącu ciąży. Wiedział o tym. To ja chciałam tego dziecka, zależało mi, żeby Kacper i Agatka mieli jeszcze rodzeństwo. Tego dnia świat się zatrzymał. Kiedy rękami wielkimi jak bochny chleba przyciskał mnie do ściany, życie przebiegło mi przed oczami. Brakowało mi tchu i myślałam, że to koniec. Próbowałam się bronić, oderwać jego łapy od swojej szyi, ale byłam bez szans. Puścił mnie w ostatniej chwili. Upadłam bezwładnie na ziemię. Długo nie mogłam złapać powietrza. Miałam ciemno przed oczami. Nie zainteresował się, co ze mną. Rozluźnił żelazny uścisk i po prostu odszedł. Guzik go obchodziłam. I ja, i dziecko.

Prowadziłam ciążyowy kalendarz i zapisałam w nim pod datą 15 września: „duszenie”. Chciałam pamiętać. Miałam złe przeczucia. Dwa tygodnie później pojechałam do lekarza. Czternasty tydzień, obowiązkowe badanie. Ginekolog długo oglądał obraz na USG. „Dorota, strasznie mi przykro. Serduszko przestało bić”, usłyszałam. Krew mi odpłynęła. Boże... Jak to? Czy to może...? „Potrafisz określić, kiedy to się stało?” „Bardzo dokładnie. Jest martwe od dwóch tygodni. Zmarło gdzieś około połowy września”.

Połowa września... Może to była chwila, gdy i mnie brakowało powietrza i śmierć zaglądała w oczy. Powiedziałam o tym Darkowi.

„Bzdura. Dusilem ciebie, nie dziecko” – to jego jedyny komentarz. Nie zapytał, jak się czuję, nie pojechał ze mną na zabieg. Ani wtedy, ani rok później, gdy umarło we mnie nasze kolejne maleństwo. Mój doktor powiedział wtedy: „Zabraniam ci zachodzić w ciążę. Nie z tym facetem. Dostaniesz tabletki albo wkładkę, co wolisz. Tylko już przynigdy nie ryzykuj swojego i nowego życia”.

Od pamiętnego momentu duszenia zapisywałam w kalendarzu „ważne daty”. Następną to 5 grudnia 2009 roku. Darek, jak zawsze, wrócił późno do domu. Ja siedziałam na górze w naszej sypialni z trzyletnią wtedy Agatką. Trzymałam w ręku jej kolorową miseczkę z kaszką. Słyszałam, że wszedł do kuchni. Słyszałam brzęk tłuczonego talerza i jego siarczyste: „Kurwa jego mać!” Potem kroki na schodach i otwierane z impetem drzwi.

„Nikt cię nie nauczył, jak się odstawia naczynia, suko? Ile jeszcze marnotrawstwa w tym domu, co?” „Ale...” – próbowałam oponować, załagodzić. Na próżno.

Wyrwał mi z rąk miseczkę, roztrzaskał ją o ścianę. Kaszka spłynęła po tapecie. Resztę pamiętam jak przez mgłę. Mocny chwyt za włosy owinięte wokół nadgarstka i twarde krawędzie schodów na plecach. Próbowałam się uwolnić, wiłam jak piskorz, ale nie miałam szans ze stukilowym, wielkim i wściekłym facetem. Dowłókł mnie do jadalni, rzucił z całej siły na podłogę i zaczął kopać. Dostałam w brzuch, twarz, w oko, po żebrach. Tam najbardziej. Ból rozsadzał mi czaszkę. Krzyczałam. Chyba jednak bardziej – skomlałam. Czułam się jak ostatnia ściera. Przyjmowałam tylko ciosy i już nie miałam siły na obronę.

„Przestań bić mamę. Dzwonię po policję”.

To był głos Kacpra. Stał na schodach, z Agatką w ramionach i komórką przy uchu.

Patrol przyjechał za kilka minut. Dwóch facetów. Spisali nasze personalia. Ten młodszy zapytał, czy potrzebny mi lekarz. Wyglądałam koszmarnie. Posiniaczona twarz, rozbity łuk brwiowy, spuchnięte oczy, nabrzmiały prawy bok. Zawsze obrywałam w żebra po tej stronie. Rentgen wykazywał już znaczne zrosty.

„Chce pani złożyć doniesienie?” – zapytali policjanci.

Nie chciałam. Bałam się mieszać prokuraturę do naszego życia. Dziś to wydaje mi się niepojęte, ale wtedy nie czułam się gotowa na – jak to

nazywała moja matka – „publiczne pranie brudów”. Byłam nauczona zaciskania zębów i trwania, cokolwiek się wydarzy. Przecież sakramentalny związek małżeński jest, „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Tego dnia naprawdę była blisko. Darek tak się zapamiętał w biciu, że pewnie długo jeszcze by nie przestał. Może to Kacper uratował mi życie?

Na podłodze – kałuże mojej krwi, buty Darka pokrwawione, miazga na mojej twarzy. Radiowóz już odjechał. Wchodzi ojciec, pewnie zwabiony niebieskimi światami policji.

„Dorota, Jezu, coś ty zrobiła Darkowi, że tak cię skopał?”

Nie, nie żartuję. Taka była reakcja mojego taty na to, co zobaczył. On, który nigdy nie uderzył mamy, uznał, że jego córce należała się nauczka. Rozumiesz teraz? Byłam sama, beznadziejnie sama z moim upokorzeniem, poniżeniem i bólem. Nie miałam się komu poskarżyć, znikąd pomocy. Młot i kowadło. Jak miałam się wyrwać? Jedyne rozwiązanie, jakie przychodziło mi do głowy, to skończyć ze sobą. Raz na zawsze.

Taka scena – jadę moim pięknym, szybkim mercedesem. Most Siekierkowski. Rozpędzam go do ponad dwustu kilometrów. W głowie huczy tylko jedna myśl – ostatnia prosta i przęsło. Już nic nie będzie boleć, już nikt mnie nigdy nie uderzy, nie skopie, nie nazwie kurwą, zdziwą i szmatą. W jednej mikrosekundzie skończy się cały koszmar. Ulga. Boże, jaka to będzie ulga.

Widzę już to ostatnie przęsło, zbliża się piekielnie szybko. I nagle stają mi przed oczami Kacper i Agata. Moje dzieci. Co z nimi? Co się stanie z moimi skarbami? Nie, nie wolno mi zrobić sobie krzywdy, to potwornie egoistyczne. Jezu, nie chcę, żeby ojciec teraz znęcał się nad nimi, żeby moja matka złamała Agatkę tak jak mnie kiedyś. Nie, nie wolno mi.

Złapałam mocno kierownicę, jakbym łapała się na powrót życia, przeniosłam nogę z gazu na hamulec.

„Muszę żyć, za wszelką cenę” – pomyślałam. Zjechałam z trasy na Saską Kępę. Nie wiem, co i jak doprowadziło mnie do gabinetu poradni psychologicznej. Pamiętam, że ktoś od progu wziął mnie za rękę i posadził przed jakimiś drzwiami.

„Proszę się stąd absolutnie nie ruszać” – usłyszałam.

Chwilę później siedziałam w fotelu przed bardzo zacną i znaną panią terapeutką, do której – to wiem na pewno – czeka się w kolejce przez długie tygodnie. To ona pierwsza powiedziała mi: „Jest pani w przemocowym związku. Napady agresji męża – fizycznej i słownej – to nie jest pani wina.

Nie pani powinna przepraszać. Proszę nie liczyć, że jeśli będzie pani omijać mielizny i dbać o dobrostan męża, on nie będzie atakować. Jeśli zrobił to jeden raz, zrobi kolejny. Jedyne rozwiązanie, to opuścić toksyczną relację. Jeśli chce pani pomóc jemu – należy pomyśleć o terapii dla przemocowców”.

Nawet nie wiesz, ile znaczyła dla mnie ta rozmowa. Była bezcenna. Otworzyła mi oczy, dała przekonanie, że to ja jestem ofiarą, a nie inaczej. Umówiliśmy się na cykl spotkań. Musiałam wiele spraw jeszcze przepracować. Wysłałam z poradni jako zupełnie inny człowiek.

Darek też poszedł na terapię. Nigdy mi nie powiedział, czy to była jego własna wola, czy rodzaj przymusu, żeby „uciec” od konsekwencji po ostatnim pobiciu. Mniejsza z tym.

Dość, że już nigdy potem nie podniósł na mnie ręki. Zamiast tego „podkręcił” mocno przemoc psychiczną. Wiesz, że chyba była dla mnie gorsza? Słowa, przekleństwa, wyzwiska, pogarda – to raniło do szpiku kości. On nawet nie musiał mnie obrażać. Wystarczyło wycedzone z nienawiścią: „No i co, komu się dziś poskarżysz, Dorotko?”. Wiedział, gdzie i jak celować. Ćwiczenie zrobiło go mistrzem. Kiedy wracał wkurzony do domu, traktował mnie niczym powietrze. Nie istniałam dla niego. To też przemoc, prawda?

Chodził na terapię dla sprawców przemocy raz na tydzień. W środy. Wracał nabuzowany i dumny jak paw: „A wiesz, kogo tam spotkałem? Jest dyrektor wielkiego banku, prezes holdingu przemysłowego. Dziś był też ten znany aktor. No, powiem, niezłe towarzystwo”.

Tak jak kiedyś o więzieniu i burdelach mówił z dumą, tak teraz chełpił się, że jest w grupie „wybrańców”, którzy mają na łapach krew swoich żon i partnerek. Myślisz, że to normalne, zdrowe podejście?

Nasz związek dogorywał. Resztką sił podsycalam nadzieję, że terapia otworzy mu oczy, że wreszcie zrozumie, że przemoc to nie tylko jego but odbity na mojej twarzy. Była na to szansa. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale po kolei.

Poszłam do spowiedzi. Wyznałam grzech nienawiści. Nie, nie do męża. Do mojej teściowej. „Zrobiła mi wiele krzywdy, dała popalić. Szczerze jej nienawidzę i w nienawiści staję się do niej podobna. Nie chcę tego. Ojczy, pomóż mi się od tego uwolnić”.

Pomoc przyszła bardzo szybko. Z samej góry.

„Dorota, przyjedź tutaj. Jestem u matki” – głos Darka był smutny. Łagodny. Inny niż zwykle. Jego matka umierała.

„Wejdz na górę, proszę” – użył słowa, którego nigdy nie słyszałam w jego ustach. Na pewno nie w stosunku do mnie.

Nie chciałam, nie mogłam. „Jeśli mam pomoc, znieś mi recepty, wykupię leki. Albo przywiozę doktora” – powiedziałam. „Nie, proszę cię, wejdz. Trzeba umyć mamę. Nie dam rady tego zrobić”.

Weszłam. Wzięłam z łazienki ręcznik, miskę z wodą, zapas mokrych chusteczek. Umyłam tę kobietę. Słabą, odchodzącą, bezbronną kobietę. Umyłam delikatnie i bardzo starannie. I – wiesz co – to był wielki prezent dla mnie. Moje modlitwy zostały wysłuchane. W przedziwny sposób w jednej chwili skończyły się wszystkie złe emocje. W kął poszła nienawiść i pamięć o złych słowach, którymi raczyła mnie przez lata. Zostało tylko przebaczenie. Ja też go potrzebowałam. „Przepraszam, że nie umiałam cię kochać” – wyszeptałam jej do ucha.

Odwiedziła mnie kilka dni później, we śnie, już po śmierci. Dwa razy. Sama nie wiem, czy to był sen, czy jawa, bo wydawało się to niesamowicie realne. Za pierwszym razem przyszła naga, łagodnie uśmiechnięta. Nie powiedziała ani słowa. Bałam się jej. Za drugim razem usiadła koło mnie na ławce. Zaczęła się przysuwać. W pewnym momencie jej usta ułożyły się w słowo, na które tyle lat czekałam: „Przepraszam. Przepraszam, Dorotko”. Tylko tyle i aż tyle.

Sprawy w moim życiu powoli zaczynały się domykać. Kolejną przysługę oddał mi Daniel, syn Darka z pierwszego małżeństwa. Miał jakieś problemy z matką, więc powiedziałam: „Zamieszkać z nami. Kacper wyjeżdża na studia, zwalnia się jego pokój. Jakoś się wszystko ułoży”. Tak też się stało.

Zaczęłam obserwować co najmniej dziwną więź między ojcem a synem. Daniel miał niemal trzydzieści lat, był potężnym mężczyzną o umyśle dziecka i z potrzebą pełnego zawłaszczenia taty. On, wielki i zwalisty, potrafił siadać Darkowi na kolanach, a ten to akceptował.

Kiedy o tym myślę, przypomina mi się taka scena. Grand Hotel, Sopot, za chwilę sylwester. Gigantyczny i luksusowy pokój 227 z widokiem na morze. Wchodzę do sypialni i zastaję Darka z Danielem leżących na wielkim małżeńskim łóżu, splecionych w uścisku, który wydał mi się aż niesmaczny. Obaj w ubraniach, ale wczepieni w siebie rękami, zapleceni nogami. Jakiś obłąd.

Daniel miał sam ze sobą spory kłopot i często to sobie uświadamiał. Potrafił w środku nocy poprosić, żeby go zawieźć do szpitala psychiatrycznego na Sobieskiego, bo ścigały go „złe myśli i upiory”. Sytuacja w związku z tym robiła się w naszym domu coraz bardziej nieznośna i napięta. Wiedziałam, że za kilka dni Kacper przyjedzie do domu i pokój będzie mu potrzebny. Wiedziałam, że chcę poprosić, żeby Daniel się wyprowadził, i byłam pewna, że to będzie oznaczać także, że wyniesie się również Darek. Uznałam, że będzie najlepiej, jeśli powiem to przy mamie. Żeby nie robiła mi wymówek, że wyrzucam z domu takiego „dobrego człowieka, jakim jest mój mąż”. Użyłam fortelu, to prawda. Powiedziałam, że mama prosi o pomoc w rozpaleniu kominka. Udało się.

Scena jest następująca: mama, wierna fanka mojego męża, siedzi w fotelu, on poprawia drewno w kominku, już się pięknie zapala.

Ja: „Darku, za dwa dni przyjeżdża Kacper, a Daniel, jak wiesz, zajmuje jego pokój. Myślę, że już wystarczająco pomogliśmy twojemu dorosłemu synowi. Może wracać do mamy”.

On: „Jeśli tak uważasz, ja także się wyprowadzam”.

Ja: „W porządku”.

Zonk. Konsternacja. Takiej reakcji nie spodziewał się ani on, ani moja mama. Coś się we mnie dokonało. Tyle razy widziałam, jak się pakuje i teatralnie wynosi, i tyle razy biegłam za nim, błagałam, prosiłam, dzwoniłam... Teraz powiedziałam „dość”.

Już nie chciałam niczego ratować. Tyle razy siedziałam do trzeciej, czwartej nad ranem na wannie w górnej łazience, bo stamtąd widać bramę i podjazd. Tyle godzin i dni na niego czekałam, aż wreszcie uznałam, że to koniec.

Tego dnia – 6 marca 2020 roku – już ich nie było. Kolejna data w kalendarzu. Najważniejsza dla tej historii. Kiedy dwa dni potem przywiozłam mu do biura resztę rzeczy, powiedział: „W porządku, Dorota, niech to się skończy. Ale masz taki ładny samochód. Widzę, że go lubisz. Jeśli chcesz go zachować, musisz mi oddać w rozliczeniu sto tysięcy. To i tak ułamek jego wartości”.

„Dobrze” – stwierdziłam w pierwszym odruchu. Wiedziałam, że będę miała sporo gotówki, sprzedawałam właśnie działkę. Ale w drugim pomyślałam sobie: „Z jakiej racji mam płacić za coś, co miało być prezentem od męża dla żony?”. Pojechałam do wypożyczalni, wzięłam fordą focusa. Na moje potrzeby wystarczy. Wystawiłam mojego

wypasionego merca przed bramę domu i wróciłam do Darka do biura. Weszłam do gabinetu. On patrzył na mnie z triumfem, bo pewnie uważał, że wyjmę za chwilę z torebki kasę i położę na stole. A ja zamiast stu tysięcy rzuciłam mu kluczyki z gwiazdą. „Darku drogi, chyba cię rozczaruję, nie chcę twojego samochodu. Dasz go sekretarce”.

Wiesz co? Dla tego jednego jedyne wyrazu twarzy warto było to zrobić. Miał szczękę na podłodze i oczy jak spodki. Odwróciłam się na pięcie i postukując obcasami, wyszłam bez słowa. W tej jednej krótkiej chwili zostawiłam za sobą wszystko. Lata poniewierki, bólu i nadziei. Próbę sklejanego wszystkiego na siłę. Zostałam tylko ja i moje dzieci.

Kiedy Agatka przyszła do mnie i spytała: „Mamo, czy mogę zmienić nazwisko? Nie chcę nosić nazwiska ojca, chcę twoje. Mogę?”, popłakałam się. „Tak, córeczko, oczywiście. Musisz tylko mieć jeszcze zgodę ojca. Poproś o nią szybko”.

Znałam go. Wiedziałam, że wciąż działa efekt szoku po przeprowadzce i po samochodzie, więc trzeba działać niezwłocznie. Rzeczywiście, zgodził się. Może bezrefleksyjnie, może „na wkurzeniu”. Mniejsza z tym. Kilka tygodni później Agatka miała nowe dokumenty, włącznie z paszportem. Narodziła się nasza wolność i niezależność.

Rozwód był bez orzekania o winie. Nie zależało mi na tysiącu rozpraw i batalii o alimenty. Sąd zasądził półtora tysiąca na nieletnią jeszcze córkę. Nic nie szkodzi. Damy radę. Mam pracę i ochotę, żeby wreszcie żyć. Darek się do nas nie odzywa. Już prawie rok. Też nie szkodzi. Cierpi tylko Agata, bo – mimo ran – kocha ojca. Jej nigdy nie uderzył, ale potrafił być brutalny w słowach, niemal tak samo jak wobec mnie.

„Co ty, nawet puszki nie umiesz otworzyć, łamago!” – wykrzyczał do niej kiedyś, gdy skaleczyła się prawie do kości, otwierając jedzenie dla psów. Mogłabym mnożyć podobne występy. Tylko... Tylko po co. Nikt z nas już nie chce do tego wracać.

Opowiedziałam teraz naszą historię, żeby pokazać dziewczynom, że jest trzecia droga, że zawsze jest wyjście nawet z największego klinczu.

I jeszcze jedno – jestem wdzięczna za to, co mnie spotkało. Cieszę się, że los zetknął mnie z moim oprawcą. Gdyby nie Darek, nie poradziłabym sobie z wmówionym mi strachem. Gdyby nie on, nie przestałabym bać się życia po swojemu, na własnych zasadach. To on zakończył moją totalną niewiarę w siebie. Pan Dobrowolski mnie wyzwolił. A my wyzwoliliśmy się od niego. To naprawdę możliwe. Trzeba tylko uwierzyć.

Niech wiedzą...

O tym, że byłeś
Że obok śniłeś
Nie tęsknię
O twoim uśmiechu
Twoim oddechu
Nie tęsknię
Za twoje „kocham”
Połykam procha –
Już nie chcę!

Niech wiedzą, że każdy brylant
Nagrodą miał być za ból
Jaguar, rolex, Shangri La –
Gdy brak już było mi tchu...

Dotyk twej dłoni
Znów mnie dogonił:
Wyłam jak pies
Gdzieś na dywanie
Leżę, mój Panie,
Czy tego chcę???
Pęknięte żebro
Już wszystko jedno
Czy to dzieje się???

Niech wiedzą...

Aniela – żyje
Julian, Rozalia –
Nie...
Gdzie była Miłość???
Gdzie Wy byliście???
Gdzie???

Niech wiedzą...

Strach przed tym życiem
Kazał mi gnać
do mostu wprost
Gdy byłam blisko
Ocalił mnie
Mych Dzieci głos:
Gdzie będę, mamó
Z kim będę, mamó
Gdy braknie cię???
Z chmur nie obronisz,
zła nie przegonisz.
Zostań TU więc.

Niech wiedzą...

Nikt mi nie pomógł
Bo ich oślepił
Brylantów blask
W głośnym „kochaniu”
Moje wołanie
Nie miało szans.
Gdzie byłaś mamó?
Gdzie byłeś tato?
Gdy zeber mych trzask?
Nie pomogliście
Bo was oślepił
brylantów blask.

Niech wiedzą...

Oczy otwieram:
Czysto tu teraz!
Czy to był sen?
Zrośnięte zebra
Ogromny brylant
Zdjęcia z Paryża
Mówią, że nie...

Niech wiedzą...

(Dorota)

SONIA

Sonia w latach dziewięćdziesiątych była na tyle rozchwytywaną modelką, że jej twarz uśmiechała się z okładek gazet i reklam telewizyjnych. Podbiła Paryż, Mediolan i Nowy Jork.

Gdziekolwiek się pojawiła, wzbudzała zachwyt swoją urodą. Delikatne, szlachetne rysy, długie nogi, blond włosy i skóra jasna niczym u księżniczki.

Pamiętam, z jaką klasą się ubierała, i jak dystyngowane były jej ruchy. Oszczędna w słowach i gestach stała się marzeniem mężczyzn.

Z pierwszego spotkania z Sonią wyszłam wstrząśnięta, choć chętnie opowiadała o początkach swojej kariery i początkach małżeństwa, a do traumatycznych przeżyć wracała ostrożnie. Jednak już to, co zdążyła mi powiedzieć, szokowało. Sonia, widząc moją minę, powiedziała: „W zasadzie to jeszcze nie opowiedziałam ci najgorszego. Musimy się spotkać jeszcze raz”.

OPOWIEŚĆ SONI

Najstraszniejsze było kopanie w brzuch, kiedy byłam w ciąży. Miałam wtedy obdukcję... Zresztą pierwszą z całej serii.

Ja po prostu przyciągam niewłaściwych mężczyzn... Często zastanawiam się, co takiego we mnie jest, że daję się tak zwodzić. Bo gdy się później przyglądam tym sytuacjom, to dopiero po fakcie zauważam, że moje ciało wysyłało mi znaki mówiące, że to niewłaściwy facet. Na sygnały związane z Romanem z początku byłam szczególnie zamknięta. Albo je po prostu zignorowałam.

Od osiemnastego roku życia zawsze byłam w związku.

Pierwszą moją wielką miłość poznałam na konkursie miss. Michał jest znanym aktorem i został zaproszony do zasiadania w jury. Na przyjęciu po gali natychmiast między nami zaiskrzyło. Od razu po tym, jak weszłam do finału, dostałam propozycję z dużej agencji modelek w Nowym Jorku. Przyjęłam ją. Tak więc na początku nasza miłość rozwijała się na odległość i to nie było jakąś, bo przez ocean.

W Stanach bardzo dużo pracowałam. Praktycznie od drugiego dnia miałam już największe zlecenia. Michał dzwonił do mnie po nocach z pracy. Pamiętam, że potem w biurze dziwili się, że rachunek wyszedł taki wysoki.

Gdy wróciłam, nie miałam co narzekać na moją karierę, stałam się bardzo cenioną i rozchwytywaną modelką. Propozycje przychodziły zewsząd. Po trzech latach pracy mogłam już kupić sobie mieszkanie i samochód.

Świat modelingu bardzo szybko odślonił przede mną swoje kulisy. Okazał się esencją powierzchowności, próżności i zepsucia. W mojej ocenie stolicą grzechu był Paryż.

Bogaci panowie, których nazwisk nie wymienię z uprzejmości, wybierali dziewczyny z różnych agencji na kolacje z prominentnymi

znajomymi z zagranicy. Właśnie w Paryżu odbywało się mnóstwo takich ustawianych spotkań. I chodziły na nie naprawdę piękne i inteligentne modelki.

Na tej samej zasadzie dziewczyny były zapraszane na rejsy jachtami. Nie uwierzyłabyś, ale organizowali je często faceci, których żony nie miały o niczym pojęcia. Chowały ich małe dzieci i dolatywały na przykład na ostatni tydzień wakacji.

Jeden bogaty pan, właściciel pięknego jachtu, wykazywał się szczególnie wybujałą wyobraźnią. Zresztą mocno inwestował nie tylko w kobiety, ale też w sztukę. Na przykład życzył sobie, aby wszystkie hostessy na jachcie przechadzały się po pokładzie topless. Koleżanki opowiadały, że wybierał sobie zawsze długonogą blondynkę, a jego sypialnia była podobno obstawiona lustrami.

Oj, tych opowieści słyszałam mnóstwo. Myślę, że w dzisiejszych czasach wszystkie dobre agencje stronią od tego typu pośrednictwa. Ale nie oszukujmy się, przecież zawsze na przyjęciach po pokazach mody aż się roi od prominentnych mężczyzn. I dziewczyny często wchodzą z nimi w związki, pewno czasem są to dobre relacje...

Ja nie wyobrażam sobie przygody seksualnej dla zysku, a tym bardziej związku...

Ale jestem w stanie uwierzyć, że można się zakochać w bogatym i niewłaściwym facecie. Tak, sama tego doświadczyłam.

Z Michałem byłam trzy lata. On skupiał się przede wszystkim na swojej karierze. Bardzo uważał, żebyśmy nie mieli dzieci. Bał się, że zepsułoby mu to przyszłość. Pewnego dnia wymienił mnie na nowszy model... Pamiętam, jak w pośpiechu pakował moje rzeczy w worki na śmieci. Ale i tak związek z nim mimo kilku cieni wspominam dobrze... Nawet czasem się uśmiecham...

Kilka miesięcy po rozstaniu z Michałem koleżanka zmusiła mnie, żebyśmy poszły na przyjęcie do domu słynnego radcy prawnego. Jak dziś pamiętam, że nie chciałam iść... Ale przeznaczenie zdecydowało inaczej. Tam poznałam Romana.

Roman kupował mi bukiety kwiatów wielkości krzesła... Pamiętam, że ich nie chciałam... Jeden wyrzuciłam nawet na śmietnik. Tłumaczyłam mu, że nie będziemy razem...

No i proszę, jak skończyłam...

Nie zapomnę pierwszego razu, gdy mnie spoliczkował. To było w Miami. Zatkalo mnie.

Ale od początku....

Wiesz, ja bardzo winię siebie. Przede wszystkim za to, że postawiłam moje dzieci w tych wszystkich ciężkich sytuacjach. Bo dwukrotnie wybrałam sobie partnerów, którzy mną manipulowali i byli agresywni.

Z pierwszym mężem mam dwoje dzieci, a z drugim córeczkę, Sarę Wiktorię.

Wiktorcia jak zwycięstwo... Moje macierzyństwo jest z pewnością moim zwycięstwem, jak i to, że mimo stronniczości sądu nie poddałam się i broniłam do skutku.

Nie, skutkiem nie były żadne kary dla Romana, skutkiem było to, że sąd przyznał, że w naszej rodzinie dochodziło do przemocy.

Ciężko czasem uwierzyć w bezczelność mężczyzn. Jego świadkiem była jego kochanka. Ta sama, która wydała potem wspomnienia z ich romansu. Zresztą ta dziewczyna opisała swoje erotyczne przygody z Romanem jeszcze bodajże w dwóch książkach.

Nawet tego nie skomentuję. Choć, jak wiemy z historii, od zawsze kochanki panów i władców miały się świetnie. Były wręcz hołubione. A niektóre rodziły im następców.

Cóż, mnie nie udało się tak łatwo zastraszyć i wyeliminować.

Z perspektywy czasu wiem, że byłam po prostu inkubatorem na dzieci i dobrą ich opiekunką. Obraz pełnej rodziny był mu potrzebny do kampanii wyborczej.

Roman potrafi być czarujący. Zawsze nienagannie ubrany, przystojny – brylował na warszawskich salonach. I ja oczywiście w pewnym momencie uległam jego urokowi.

Pracowałam wtedy w agencji reklamowej. On przyjeżdżał z wielkim bukietem, rozsiadał się naprzeciwko mojego biurka i opowiadał. A mówił kwiecieście – jest w końcu prawnikiem i politykiem. Oni potrafią człowieka zarazić swoją wizją przyszłości. Nie sądzisz?

Ja się pięknie nabrałam. Jak płotka, która dopiero po długim czasie zdaje sobie sprawę, że zawsze była złotą rybką.

Bo cóż może być lepszego niż partnerka z mieszkaniem i samochodem, niezależna, pracowita, reprezentacyjna. Ba, wręcz reklamowa.

A w tamtych czasach pieniądze z reklamy były olbrzymie. Wielkie koncerny z Zachodu zaczęły lokować w wolnej już Polsce swoje produkty, a ja na jakikolwiek casting bym poszła, to go wygrywałam. Za każdy kraj, w którym dany produkt reklamowałam, dostawałam dodatkowe i to duże pieniądze. Tak więc z jednej takiej kampanii można było żyć na niezłym poziomie przez rok.

Oświadczył mi się po dwóch latach. Najbanalniej – w restauracji. Dostałam wtedy pierwszy z kolekcji diamentów. Nie sądziłam, że kolejne będą bonusami za bicie...

Ślub mieliśmy skromny, a wesele było po prostu obiadem w domu. Ja nigdy nie chciałam wielkiej, głośnej uroczystości. Sytuacje, w których przyciągałam uwagę, zawsze wprawiały mnie w delikatne zażenowanie. A w pracy modelki miałam ich mnóstwo.

Mam wrażenie, że ten ślub, o którym Roman powiedział: „Masz to, co chciałaś”, był cezurą oddzielającą życie w bajce od życia w koszmarze.

Bo on naprawdę przez te pierwsze dwa lata narzeczeństwa był wspaniały.

Nie zdarzały się między nami żadne konflikty, nigdy nie podniósł na mnie ręki. Przede wszystkim mnie szanował. Mam mnóstwo pozytywnych wspomnień z nim związanych.

Nasza pierwsza wspólna podróż do USA, Wenecja... Mój zachwyt nad nim – że taki mądry i taki wspaniały, i najlepszy – był więc autentyczny. A on się zapewne pławiał w tych moich zachwytach nad nim.

Po ślubie i tych pięknych dwóch latach tak jakby nabył akt własności mojej osoby, oczywiście na wyłączność. Miałam spełnić swoją rolę w rodzinie i dać mu następców tronu.

Kilka miesięcy później dowiedziałam się od teściowej, że mój mąż nie może mieć dzieci. Tak, on mi tego nie powiedział, tylko jego mama... Ponieważ Roman był już wcześniej żonaty, to miał przetarty szlak medyczny i zamiar na klinikę in vitro w Tel Awiwie.

Podczas jego pierwszej kampanii wyborczej spędziłam tam ponad miesiąc. A serię zastrzyków z estrogenami, które zwykle serwuje się kobietom co miesiąc, mnie dawano dzień w dzień...

Owszem, było ciężko, ale nie wiedziałam, że najcięższe chwile dopiero przede mną.

Zacząłam czuć po ślubie, że stałam się inwestycją i pracownikiem, który musi zrealizować to, co zaplanuje jego prezes.

Na przykład kazał mi kupić sobie płaszcz Diora za dziesięć tysięcy euro. Wzięłam od niego te pieniądze, ale taka kwota na płaszcz wydała mi się abstrakcją... Stwierdziłam, że mam kilka płaszczy i bardziej przydadzą mi się bluzki i spodnie, kupiłam więc kilka sztuk ubrań zamiast jednego płaszcza. To wywołało wielką awanturę. Roman zamierzał się bowiem chwalić wszystkim wokół, że nowo poślubiona żona chodzi w płaszczu od Diora za niebotyczną kwotę...

Miałam go reprezentować na licznych spotkaniach towarzyskich i rautach z ludźmi z jego towarzystwa... Nie z hołotą. Hołotą nazywał tych zarabiających poniżej jakiejś tam kwoty. Tę poprzeczkę stawiał bardzo wysoko.

Kiedyś pojechałam na weekend do rodziny poza Warszawę, gdy wróciłam, zastałam go pijanego, w szlafroku. W takim samym stanie jak dwa dni wcześniej, kiedy wyjeżdżałam. Płakał, bo chciał być miliarderem jak Kulczyk, a nie jakimś tam tylko bogaczem...

Po raz pierwszy spoliczkował mnie, tak jak już mówiłam, w Miami.

Pamiętam, że na przyjęcie założyłam obcisłą białą sukienkę i czerwone szpilki. Spojrzał na mnie i powiedział: „Po co ci to? Wyglądasz nie jak moja żona, tylko jak kurwa”. Kazał mi zmyć z ust czerwoną szminkę... Zrobiłam to dla świętego spokoju.

Przyjęcie było wspaniałe – piękna willa, super DJ, mnóstwo pięknych półnagich kobiet... Naprawdę nie wyróżniałam się jakoś specjalnie.

W taksówce Roman był milczący. Myślałam, że przysypia po dużej ilości alkoholu... Ale w naszym hotelu, gdy tylko weszliśmy do sypialni, powiedział, że „bawiłam się jak dziwka”, i spoliczkował mnie tak mocno, że upadłam na łóżko.

Awantury zdarzały się coraz częściej i były coraz intensywniejsze.

Raz próbował złamać mi prawą rękę, na szczęście nieskutecznie. Do dziś mam ślad...

Zaczął mnie sprawdzać. Miałam mu raportować, z kim się spotykam i w jakim celu. Stał się obsesyjnie zazdrosny. Na przykład, gdy jechałam na drugi koniec Polski na spotkanie biznesowe z dyrektorem hotelu, kazał mi wracać jeszcze tego samego dnia. Tłumaczył, że z pewnością tamten będzie chciał się ze mną przespać.

Po jakimś czasie nawet nie krył, że jeździ za mną detektyw. Dla świętego spokoju.

Kiedyś, podczas lotu, Roman tak strasznie zaczął na mnie krzyczeć, że najpierw zwracały mu uwagę stewardesy, a potem przyszedł kapitan i powiedział, że jeśli się nie uspokoi, to zarządzą lądowanie awaryjne i każą mu opuścić samolot.

Konsultowałam się z psychologiem, który doradził mi nie reagować na jego ataki. Ale miało to jeszcze gorszy rezultat.

Chyba trudniej zaczęło być po drugim dziecku. Roman stwierdził, że nie mogę pracować, bo dom potrzebuje gospodyni, a dzieci mamy. „Masz wszystko, czego byś mogła chcieć”, powtarzał. Przecież zawsze marzyliśmy o dzieciach...

Nie zapomnę pewnej sytuacji... Dzieci miały wtedy po kilka lat, a ja pracowałam w firmie dostarczającej designerskie meble do hoteli. Dopinałam bardzo ważną umowę opiewającą na kwotę z wieloma zerami... Roman wszedł do mojego biura i coś zaczął opowiadać. Przyznam, że nawet nie pamiętam co, bo byłam skupiona na pracy i nawet nie zareagowałam na jego opowieść. Możliwe, że poczuł się zlekceważony? Niesłyszany? Może powinnam wstać, kiedy wszedł, lub zaoferować mu coś do picia... Nie wiem. Efekt był taki, że mój mąż się wściekł i rozbił mi laptop na głowie...

Najstraszniejsze było kopanie w brzuch, kiedy byłam w ciąży. Miałam wtedy obdukcję... Zresztą pierwszą z całej serii.

Nie potrafię zrozumieć jednego... Dlaczego był o mnie tak chorobliwie zazdrosny, skoro sam mnie zdradzał? Choćby z pracownicą swojej firmy PR-owej, jego własną kuzynką, którą znał od dziecka – zresztą nosiła to samo nazwisko co on i praktycznie tym dzieckiem wciąż była, bo miała zaledwie osiemnaście lat.

Ciężko powiedzieć, co bolało bardziej: zdrady czy ból fizyczny...

Coraz bardziej w tym wszystkim się dusiłam. Czułam się jak ptak uwięziony w złotej klatce, którą on przykrywał grubym materiałem, żebym nie mogła ani widzieć światła, ani oddychać. I powoli skubał mi piórka, żebym już nigdzie nie pofrunęła.

Z czasem zorientowałam się, że mam GPS-a w samochodzie i podsłuch w domu.

Myślę, że liczył na to, że przyłapie mnie na zdradzie, ale bez skutku, bo najzwyczajniej nic takiego się nie działo. Był zazdrosny nawet o mojego

współpracownika, który był gejem... Moją pierwszą własną firmę też regularnie prześwietlał. A biuro mogłam mieć jedynie przy jego kancelarii...

Nie rozumiałam, dlaczego jest wciąż tak nieszczęśliwy i sfrustrowany... A zalewał te frustracje alkoholem.

Obsesyjnie rozliczał mnie z moich obowiązków i pieniędzy... Ale dzieci miały być najlepiej ubranymi dziećmi w Warszawie: spodenki Gucci, buciki Diora i sukieneczki Kenzo.

Kazał mi wpisywać moje wydatki do specjalnego zeszytu. Skrupulatnie co do dziesięciu złotych. Czuł nade mną większą władzę, gdy stawałam się od niego zależna finansowo.

Przed ślubem podpisał ze mną intercyzę, ale namówił mnie na wspólny kredyt i sprzedaż mojego mieszkania. Dlaczego byłam tak naiwna i zrobiłam to, co kazał? Bezgranicznie mu ufałam i nie brałam pod uwagę żadnego czarnego scenariusza...

Rozwód był oczywiście drogą przez mękę – pełną zawiłych umów i wniosków... Sama siebie podziwiam za to, że przeszłam przez to wszystko bez prawniczego wykształcenia. Miałam silne przekonanie, że muszę zawalczyć o siebie i o prawdę.

W efekcie, gdy było już po wszystkim, miałam poczucie zwycięstwa moralnego, bo udowodniłam przemoc i manipulację Romana. Ale finansowo – porażka. Zostałam z dwójką dzieci, bez alimentów i bez mieszkania, które zajął komornik... Za to z dwoma milionami długu, bo oczywiście mój były mąż przestał płacić swoją część kredytu.

Mówi się, że nadzieja umiera ostatnia...

Znając też powiedzenie, że nadzieja matką głupich, po kilkuletniej sądowej batalii wciąż wierzyłam, że spotka mnie jeszcze coś dobrego i pięknego...

I tak się stało. Założyłam rodzinę i urodziłam trzecie dziecko. Córeczkę Sarę Wiktorię. To moje osobiste zwycięstwo...

Jedynie ojciec mojego trzeciego dziecka okazał się osobą, na której nie mogłam w żadnej mierze polegać. Znowu jego wizja nas i naszego życia nijak się miała do rzeczywistości.

Nie wiem kiedy, ale w pewnym momencie zorientowałam się, że go utrzymuję, a on nie robi nic prócz snucia planów bez pokrycia. Kiedy swoje frustracje brakiem sukcesu zaczął odreagowywać na moich starszych dzieciach, a mój syn wpadł w depresję, pożegnałam się z ojcem Sarusi.

Jestem silna jak nigdy dotąd. Mam motywację do pracy i nawet rodzaj wdzięczności za wszystkie doświadczenia, które mnie uformowały.

Z natury jestem pogodna i uśmiechnięta. W mojej kuchni zawsze będzie gotować się coś aromatycznego, a ja będę słuchać mojej ulubionej muzyki soul.

Mam wspaniałe plany, marzenia. Chcę dawać przykład mamy szczęśliwej i kobiety spełnionej.

No i oczywiście mam nadzieję na czasy, które okażą się dla mnie łaskawsze na tyle, że nie będę musiała martwić się o przyszłość. Tak, nadzieja zawsze umiera ostatnia...

Bardzo uważam teraz na to, co mówię, i staram się nie powtarzać, że przyciągam niewłaściwych mężczyzn. Tylko zamawiam sobie tego właściwego.

Obecnie rozwijam biznes, dużo pracuję, jestem niezależna i snuję plany na podróż do takiego małego miasteczka w Szwajcarii, w którym często świeci słońce, a ludzie, popijając pyszną kawę, uśmiechają się do siebie.

Pojadę tam z przyjaciółką, a w samochodzie będziemy nucić: *I am living my life like it's golden* razem z Jill Scott.

A reszta ułoży się sama, kiedy przyjdzie na to czas...

BEATA

Łagodne piwne oczy, ciepłe spojrzenie. Krótkie włosy. Uwielbiam takie fryzury, Beata wygląda w niej fantastycznie. Świetnie podkreśla jej mocne, słowiańskie kości policzkowe. Siateczka zmarszczek wokół oczu – ślad po dobrych myślach i częstym uśmiechu. Niska, drobna, wręcz filigranowa. Granatowy sweter, granatowe spodnie, buty na płaskim obcasie. Jakby jeszcze dodatkowo chciała podkreślić kruchość sylwetki. Mocny uścisk dłoni, ważny sygnał: „Jestem otwarta, serdeczna, uczciwa, gotowa na spotkanie”.

Z Beatą umówiłam się w jej biurze na warszawskim Mokotowie.

Fenomenalny widok na stolicę. Wieżowce, kopuły kościołów, platanina ulic, celująca w niebo iglica Pałacu Kultury. Okna od podłogi do sufitu dają dużo światła. Piękne wnętrza, gustowne bibeloty. Dużo książek. Przebiegam wzrokiem grzbiety: *Jak odbudować siebie*, *Potęga podświadomości*, *Biegnąca z wilkami*. Lektury obowiązkowe świadomych kobiet. I taka właśnie kobieta siedzi przede mną. Uśmiecha się przy każdym słowie. Czy jest pogodzona ze swoją historią? Czy może już powiedzieć: „Znalazłam siebie”?

OPOWIEŚĆ BEATY

Byłam w tym czasie zbyt słaba, żeby się zbuntować. Za bardzo upokorzona, żeby powiedzieć mu, że to, jak mnie traktuje, jest świństwem.

Niemal roku temu usłyszałam, że człowiek, z którym spędziłam dwadzieścia lat, któremu urodziłam troje dzieci, „przejrzał wreszcie na oczy”. I że „zamierza się zestarzeć z kimś innym”. Tak, dokładnie tak powiedział. Jego głos był jak wykuty z kamienia. Jak odlany z metalu. Chłodny, bezwzględny, zimny, bez grama emocji, podobnie jak jego wzrok. Nie miałam cienia wątpliwości, że dokładnie to przemyślał, choć zaskoczyłam go oskarżeniem, że mnie zdradza. Zawahał się tylko przez chwilę. Może jedynie dobierał słowa. Nie wyglądało na to, że podjął decyzję w afekcie, o nie.

Wiesz, o co mam do siebie pretensje? Że zachowałam się niczym pensjonarka. Pękłam, poryczałam się.

„Przestań. Nie poniżaj się, Beata – wysyczał – to nic nie da. Decyzja zapadła”. A ja jak ostatnia kretyńska: „Karol, proszę, jeszcze wszystko można zmienić, naprawić, pomyśl o nas, błagam. Może pojedziemy na wakacje, poukładamy to wszystko, nie odchodź. W czym ona jest lepsza ode mnie?”. „We wszystkim. Koniecznie chcesz wiedzieć? Ma świetne cycki, jędrny tyłek i nie robi awantur. Przyślę kogoś po rzeczy. Nie musisz mnie pakować, zapłacę firmie. Będą pewnie rano”. Drzwi trzasnęły o futrynę. Łup! I koniec małżeństwa.

Jak się poznaliśmy? Karola znałam od zawsze. Od dziecka. Chodziliśmy do jednego liceum w Gdańsku, byliśmy w jednej drużynie harcerskiej. Wspólne zbiórki, obozy, wyjazdy, akcje „Niewidzialna ręka”. Znasz to pewnie. Podobał mi się. Wysoki, wysportowany, z burzą ciemnych włosów. Nosił długą grzywę, musiał mieć specjalne pozwolenie od drużynowego.

Świetnie grał w tenisa. Masz pojęcie? W tamtych czasach, w siermiężnym PRL-u rodzice zadbali, żeby śmigał z rakieta po korcie prawie jak Fibak. O, spokojnie, było ich na to stać. Majątek odziedziczony po dziadku, przedwojennym przedsiębiorcy, kilka kamienic na Długim Targu, ziemia w Sopocie, posiadłość na Mazurach i letni dom na południu Francji.

Ujmowało mnie to, że Karol nigdy nie pokazywał po sobie arystokratycznego pochodzenia ani pieniędzy. Wręcz przeciwnie. Był świetnym kumplem, duszą towarzystwa. Potrafił rozpalić ognisko bez zapalek, rozłożyć namiot w sekundę, poruszał się w lesie bez pudła, podchody w jego grupie zawsze oznaczały wygraną. Był mistrzem szkoły na sto metrów i ulubieńcem pani od matmy, którą wszyscy uważali za kosę. Szarmancki, zawyżał chłopakom standardy. O dziwo, oni próbowali równać do niego. Był kimś w rodzaju lidera.

Imponowało mi to, że do jego domu przychodzili działacze ówczesnej opozycji. W pewnym momencie mieli nielegalną drukarnię, Karol zajmował się kolportażem gazetki Solidarności. To u niego w domu poznałam młodego wtedy Lecha Wałęsę. Nie mogłam się tylko tym chwalić, pełna konspiracja. Wtedy patrzył na mnie wyłącznie jak na koleżankę. Podobała mu się Zośka ze Staszica. Widziałam, gdy chodzili po Sopocie za rękę. Moje szczeniackie zauroczenie dostało w zęby. Czy jakoś to przeżywałam? To było tak dawno... nie pamiętam. Może wtedy nie pozwalałam sobie na emocje? Może wołałam kontrolować uczucie? Przecież widziałam, jak Karol działał na dziewczyny. Ten jego charme, styl, nienaganny francuski i konspiracyjna legenda. To wówczas działało na towarzystwo. Szczególnie wtedy, gdy rodzice byli po drugiej stronie, no wiesz, w partii, a dzieciak właśnie się buntował w ramach dojrzewania. Spotykaliśmy się w naszym gronie jeszcze do matury, a potem każdy poszedł w swoją stronę. Ja na prawo, on – stosunki dyplomatyczne.

Miałam dwadzieścia trzy lata, kiedy wyszłam za Tomka. Miłość z jednego roku. Zachłyśnięcie się studiami, wolnością, dorosłością. Klasyka. Po chwili znajomości zaszłam w ciążę. No i zaczęło się: „Pobierzcie się, jak to tak – panna z dzieckiem”. Wszystkie ciotki i wujkowie bili w nas dobrymi radami jak w bęben. No to była i biała sukienka, i marsz Mendelssohna, choć obojgu nam ochota do żeniaczki znacznie osłabła. „Wszystko się ułoży” – powtarzał niczym mantrę mój tata, jakby koniecznie chciał mnie

już odprowadzić do ołtarza. A, ubawisz się, poprosiłam Karola, żeby był naszym świadkiem na ślubie. Gdy zobaczyłam go w kościele – jego, a nie mojego przyszłego męża, żeby była jasność – nogi mi się ugięły. Boże, jak on wyglądał w tym szarym, nienagannie skrojonym garniturze. Cieniutka wełna najwyższego gatunku, fular na szyi. Młody bóg. Wrócił właśnie ze stażu we Francji i naprawdę prezentował się światowo. Pachniał elegancją i luksusem. Przez całą ceremonię czułam jego wzrok na plecach. Wariactwo... Już wtedy wiedziałam, że moje małżeństwo to niewypał. Ale przecież dziecko, mieszkanko na Stogach kupione w prezencie ślubnym przez rodziców. Itd., itp. Czułam się jak skazaniec idący na ścięcie i powtarzałam sobie w głowie tatowe: „Wszystko będzie dobrze, spokojnie Bacia, wszystko będzie dobrze, to tylko nerwy i hormony”. Wiem, że czekasz na opowieść o Karolu, więc już się streszczam. Z Tomkiem na początku jakoś nawet było. Zainwestowaliśmy w wydawnictwo, to dawało wtedy przyzwoite pieniądze. Ja też od razu zaczęłam pracę w kancelarii. Nawet nam się nieźle wiodło. I może bym wytrzymała w związku, gdybym nie odkryła, że Tomasz mnie zdradza. Bezczelnie, ordynarnie – z panią, która zajmowała się korektą książek. Sygnały pojawiały się już wcześniej, ale udawałam, że ich nie widzę. Któregoś razu wyjechał „służbowo”. Mówił, że do Krakowa na targi książki. Wrócił po trzech dniach ze śliczną sukieneczką dla naszej Klary. Miała metkę włoskiej firmy. „Gdzie kupiłeś?” – spytałam. „A, w jakimś butiku na Rynku” – próbował mnie zbyć. Coś mnie tknęło. Wstałam w nocy, wzięłam jego paszport. Zawsze odkładaliśmy je w to samo miejsce, żeby podczas pakowania nie trzeba było nerwowo szukać. Przybyła nowa pieczętka – Rzym. Magia, co? Obudziłam go, posadziłam przy stole w kuchni i kazałam sobie wszystko wyjaśnić. Zaskoczyłam go. Na początku trochę się krygował, ale zaraz pękł. W drugim czy w trzecim zdaniu powiedział o tej Baśce, korektorce. Przepraszał, obiecywał, że z nią skończy, że to tylko seks, nic więcej. Problem polega na tym, że dla mnie nie ma kategorii: „Seks i nic więcej”. Jeszcze w nocy spakowałam jego walizki i kazałam się wynosić do mamusi. Byłam młoda, odważna, cięta na oszustów. Codziennie w kancelarii spotykałam się z takimi, wielu musiałam bronić. Za to mi płacili. Ale żeby kłamcę mieć w domu – niedoczekanie.

Z kościelnym unieważnieniem też sobie poradziłam raz-dwa. Miałam koleżankę, która zajmowała się takimi sprawami. Napisała kilka podań do kurii, potem wniosok do jakiejś specjalnej komórki w Watykanie. Trwało to

ze trzy lata, ale poszło. Zostałam wolną, niezależną kobietą, z małą córeczką i planem, że zawojuję świat. Zaczęłam iść po swoje. Kancelaria, w której pracowałam, rozrastała się coraz bardziej, dostałam propozycję zarządzania potężną firmą farmaceutyczną, która właśnie wchodziła na polski rynek. Złote czasy...

Któregoś dnia na dworcu w Gdańsku zobaczyłam Karola. Stał na peronie w nieznośnie eleganckim tweedowym płaszczu, wyprostowany jak struna. Włosy zaczesane do góry, twarz gładko ogolona. Też czekał na pociąg do Warszawy. Nasze spojrzenia się skrzyżowały.

„W interesach?” – zapytał, całując mnie w policzek. „Do pracy” – odpowiedziałam.

Przegadaliśmy całą drogę. Wspominaliśmy stare czasy, szkołę muzyczną i liceum, podchody w lesie i wypadki nad morze. Nie przestawaliśmy się śmiać. Ta podróż okazała się naprawdę wspaniałą.

Byliśmy w tym samym punkcie życia – rozwiedzeni, wolni, głodni nowego uczucia. Spełnieni zawodowo. Ja po studiach w Londynie, on po stażu w Paryżu. Ja kierowałam dużym zespołem prawników, on założył jedną z pierwszych w Polsce firm doradczych z zagranicznym kapitałem. Wciąż jeszcze młodzi, poukładani, z miłym bagażem wspólnych wspomnień.

Po miesiącu, dokładnie w moje imieniny, zadzwonił. Myślałam, że tylko z życzeniami, a on pyta: „Zjesz ze mną kolację?”. Umówiliśmy się. Było fantastycznie, domyślasz się, prawda? Wtedy pierwszy raz wziął mnie za rękę. Pamiętam dreszcz, który przebiegł mi przez ciało. Dawne uczucia wróciły na pstryknięcie. Zaczęliśmy się spotykać – kino, teatr, wypadki do knajpek. Zakochaliśmy się w sobie. Tego jestem pewna. Motyle w brzuchu, te sprawy. Mama Karola przywitała mnie jak córkę. Miała co prawda w sobie tę arystokratyczną wyniosłość, no, ale muszę przyznać, że – jak na nią – naprawdę była wylewna. Zapraszała nas na obiady, częstowała ciasteczkami, wypytywała o moją rodzinę. Widać było, że mnie akceptuje, że cieszy się z mojej obecności w życiu jej syna. A kiedy któregoś dnia dała mi starą broszkę, pamiątkę po babci hrabiance, miałam pewność, że oświadczenia Karola są tylko kwestią czasu. Tak, czekałam na ten moment.

Pojechaliśmy z Klarą do „naszego” miejsca, nad jezioro w Borach Tucholskich, gdzie kiedyś jeździliśmy na obozy harcerskie. Pierwszego wieczoru poszliśmy na spacer na pomost. I na tym pomoście Karol klęka, wyjmując z kieszeni paczuszkę z pierścionkiem i pyta: „Beato, moja miłości,

czy zechcesz wyjść za mnie?”. Świat mi zawirował, jakbym wypila butelkę szampana. „Tak, tak, tak” – powtarzałam i skakałam z radości niczym mała dziewczynka. Właśnie spełniało się moje marzenie. Stał przede mną najfajniejszy facet na ziemi i prosił mnie o rękę. Gdybym mogła wtedy latać, pofrunęłabym do innej galaktyki. Zresztą oboje byliśmy bardzo szczęśliwi. Weszliśmy w związek jako dojrzały ludzie, świadomie, pewnie, z wiedzą, co nas czeka i jakiego wysiłku z obu stron trzeba, żeby dom był szczęśliwy. I był.

Karol pokochał Klarę, Klara – Karola. Nazywała go tatą, a on się uśmiechał. „Ojciec, który zostawia rodzinę, porzuca dziecko, nie jest godny, żeby być ojcem” – powtarzał. Proszę, zapamiętaj to zdanie. Będzie ważne w dalszej historii. Pamiętaj, że masz do czynienia z praktykującym katolikiem, bardzo religijnym, z twardymi zasadami. „Zawsze będziecie dla mnie najważniejsi” – to drugie motto, które słyszałam nieustannie. Każda kobieta uwierzyłaby w takie zapewnienie. Szczególnie ta poobijana, głodna miłości i marząca o ułożeniu sobie życia.

Ślub wzięliśmy w katedrze w Oliwie, przy dźwięku organów, wśród przyjaciół. Z wesela zrobił się nieformalny zlot naszego maturalnego rocznika. „Wiedziałam, że prędzej czy później wylądujecie przed ołtarzem” – powiedziała nam wtedy Anka, kumpelka z ławki. A ja myślałam, że tak się dobrze kryłam z moimi maślanymi oczami. Ech...

Mieliśmy dobre życie. Wyjazdy, podróże, fajne towarzystwo, rauty, pikniki. Karol kupował mi ubrania. Miał naprawdę świetny gust i oko. Rozmiar dobierał bezbłędnie, fason, kolor i krój zresztą też. Szybko nauczyłam się chodzić w rzeczach od niego, przyzwyczaiałam się do stylu, który lubił. Nie, wtedy nie widziałam w tym niczego złego. Nie dostrzegałam próby przerobienia mnie i skrojenia na miarę. Nie widziałam także, jak te jego z pozoru niewinne ciuchowe zakupy krok po kroku pozbawiają mnie decyzyjności nawet w najprostszycy sprawach. Ubrania to był tylko początek.

Karol sam zajął się urządzaniem mieszkania. Od góry do dołu. Przenieśliśmy się już wtedy do Warszawy, kupiliśmy dom na Sadybie. Wybierał farby, kolory zasłon, meble, kafelki do łazienek i tapety do pokoi dziewczynek. Dziewczynek, bo właśnie wtedy urodziła się nasza pierwsza córeczka. Moja druga. Sam pojechał do Gdańska po antyki od teściowej, choć mógł przecież wysłać umyślnego. Zależało mu, żeby wszystko było gotowe na czas. Powtarzał, że chce osobiście dopilnować każdego

szczegółu. Szalał ze szczęścia, kiedy wróciłam ze szpitala z małą Anią. Na poduszce w sypialni czekało na mnie morze płatków róż. Obłąd. Marzenie każdej kobiety, prawda?

„Wszystkim się zajmę, Beatko” – mówił i faktycznie wziął na siebie niemal wszystkie decyzje. Od tego nieszczęsnego remontu, po wybór miejsca, gdzie pojedziemy na wakacje i jakie sukienki dziewczynki włożą na Wigilię u babci. Byłam mu nawet za to wdzięczna, bo dzięki temu mogłam zająć się i macierzyństwem, i zdalnym zarządzaniem kancelarią. Ha, można śmiało powiedzieć, że już wtedy zaprawiałam się do pracy w systemie online. Żart, oczywiście.

Wracając do naszego „dobrego życia” – naprawdę na początku było świetnie. Jeździliśmy na wakacje, gdzie tylko dusza zapagnie. Toskania, Singapur, Bali, Tajlandia, Lazurowe Wybrzeże, nawet fiordy w Norwegii. Chodziliśmy na bankiety; zawsze w dobrym towarzystwie. Karol świetnie tańczył, uwielbialiśmy to robić. Szkopuł w tym, że coraz częściej tańczył nie tylko ze mną, ale także z innymi pięknymi paniami z towarzystwa. O zgrozo. Niby widziałam, jaki potrafi być dla nich ujmujący i szarmancki, widziałam, jak uroczo się uśmiecha i przesuwając rękę nie do końca tam, gdzie być powinna. I nic. Zero reakcji. Jakakolwiek interwencja z mojej strony wydawała mi się taka, hmmm, prostacka, niestosowna, mieszczańska. „Ej, Beti, masz męża duszę towarzystwa, faceta z temperamentem. Jest OK. Przecież najważniejsze, że wraca do ciebie. Do twojego stolika i do naszego domu”.

Oboje byliśmy na stanowiskach, ale to Karol zajmował się domowym budżetem. Całkiem sprawnie. Do pewnego momentu. Po Ani urodziło nam się jeszcze dwóch chłopców, niemal rok po roku – Piotruś i Pawełek. I to był chyba moment, gdy życie powoli zaczęło się sypać. Kiepsko znosiłam połów, sporo przytyłam – szczególnie w ostatnich ciążach z chłopcami. Jeszcze nie zdążyłam zrzucić dwudziestu kilogramów po Piotrusiu, już wskoczyło dwadzieścia pięć przy Pawełku. Czułam się niezdarna i nalana. Piersi, brzuch... Ciało kobiety wiele znosi, a ja – zamiast je kochać i utulać – smagałam dietą i ćwiczeniami. Patrzyłam na siebie w lustrze i wołałam je zasłonić. Za to Karol mówił mi wtedy same komplementy – że wyglądam najpiękniej, że macierzyństwo mi służy i nie ma nic bardziej pociągającego dla faceta niż widok kobiety jego życia, mamy jego dzieci.

Zawsze chcieliśmy z Karolem mieć dużo potomstwa, on miał bardzo katolickie podejście do, no wiesz, prokreacji i kontroli narodzin.

Co innego słowa i deklaracje, co innego życie.

W praktyce zarządzanie rodziną, w której jest czwórka dzieci, to już wyzwanie. Chłopcy bez przerwy płakali, mój mąż kiepsko to znosił i znikał z domu na całe dni. Mówił, że ma do konsultacji duży międzynarodowy projekt i ogarnięcie wszystkiego wymaga czasu. Cóż. Ja też przecież pracowałam, ale kiedy podnosiłam ten argument w domowych rozmowach, słyszałam tylko: „Becia, przecież tam wszystko działa bez ciebie, nie przesadzaj. Nawet nie zauważają, że szefowej nie ma w pracy. A na waciki ja zarobię. I ciesz się, że nie musisz myśleć o rachunkach”. Kładłam uszy po sobie. Gdzie ta moja przebojowość z pierwszego małżeństwa, która pozwoliła mi w sekundę spakować absztyfikanta i wywalić go na zбитy pysk?

Co do rachunków – faktycznie, długo nie musiałam o nich myśleć, aż któregoś dnia dzwoni niania i mówi: „Pani Beato, coś się stało. Nie mogę odgrzać dzieciom obiadu, nie ma prądu. Sprawdziłam korki, są włączone”. Korki były włączone, za to elektrownia wyłączyła prąd, bo pan domu od pół roku nie płacił. Zadzwoniłam do nich, posypałam głowę popiołem, zapłaciłam rachunek z odsetkami i karą i następnego dnia przyjechała ekipa. Karola wtedy nie było, właśnie zbawiał świat gdzieś w Trójmieście. Mój pierwszy gniew go ominął.

„Kochanie, nie przesadzaj, nic się nie stało. Zdarza się każdemu. Wielkie mecyje, posiedzieliście przy świeczkach przez jeden wieczór. Spokojnie, jest lato, dzień długi” – tak skwitował moje utyskiwania.

„Każdemu się zdarza”... Jemu coraz częściej zdarzało się zapominać o spłacie kart, zapłaceniu podatków. Któregoś razu naprawdę zabolalo, gdy dwudniowa zwłoka kosztowała nas czterdzieści tysięcy złotych, bo weszły jakieś nowe przepisy i nowy rok podatkowy. Nie wyglądało, że zrobiło to na nim wrażenie.

„Co z tobą, Karol? Co to za ułańska fantazja ci się włącza? Możesz w końcu dorosnąć?”

W najlepszym wypadku słuchał w milczeniu i wychodził z fanfarami. Mam na myśli huk zamykanych drzwi. Lubił tak sobie „ulżyć”. Wychodził, a ja zostawałam – z dziećmi, domem, pracą, którą coraz częściej brałam do domu, i jego życiem ponad stan.

Kiedy dowiedziałam się, że Karol zainwestował nasze pieniądze w zakup klubu sportowego – szlag mnie trafił. Puściły mi nerwy, nie będę cię oszukiwać. Nie byłam specjalnie elegancka w mówieniu mu, co myślę o podejmowaniu takich decyzji bez najmniejszej konsultacji ze mną.

„O co ci chodzi, kochanie, od dawna wszystko robię bez konsultacji z tobą. Czy ja się mylę, czy pozwoliłaś mi na to i nawet było ci z tym wygodnie?”

Szach-mat. W pewnym sensie. Fanaberia Karola kosztowała majątek, ale kontrakt był podpisany na trzy lata i klamka zapadła.

Żeby mnie udobruchać, a przy okazji poświętować moje czterdzieste urodziny, zabrał mnie ze znajomymi na jacht do Chorwacji. Pierwszy raz od dawna, pierwszy raz bez dzieci. Było cudownie. Piękne widoki, ciepło, błękit morza, opalanie na prywatnych plażach, wino. Gdybym mogła cofnąć czas, z przyjemnością wróciłabym dokładnie do tamtego momentu, gdy ja – umęczona codziennością – znów mogłam poczuć się w ramionach mojego męża jak dawniej. Któregoś dnia źle stanęłam na kamienistej plaży, bolało, jakbym skręciła kostkę, a mój mąż bez wahania wziął mnie na ręce, zaniósł na łódkę i zrobił najbardziej profesjonalny opatrunek świata. Gdy chciał, potrafił być perfekcyjny do bólu.

Po powrocie czekał mnie kubek zimnej wody. Właściwie dwa kubły. Potężne. Pierwszy – nowy właściciel kancelarii uznał, że już się zużyłam i że potrzebuje do realizacji swoich planów świeżych ludzi. „Jesteśmy pani bardzo wdzięczni za dotychczasową pracę, doceniamy pani niepodważalne kompetencje i liczymy na zrozumienie, że kancelarii potrzeba ludzi z nowatorskim spojrzeniem. Dostanie pani oczywiście odprawę. Liczymy, że rozstaniemy się w dobrych relacjach” – mówił to z krzywym uśmiechem. Gnojek, prawie mógł być moim synem. Dobra, przesadzam, ale serio – miał mleko pod nosem. Ale do tego papiery z siedmiu uczelni w Stanach i błogosławieństwo bogatego tatusia, który kupił chłoptasiowi nową zabawkę w postaci firmy, którą budowałam od podstaw.

Świat runął mi na głowę. Miałam czterdzieści lat i wylądowałam na bruku. Wtedy byłam przekonana, że bez kancelarii jestem nikim, że moje wykształcenie, wiedza, doświadczenie właśnie zostały wyrzucone na śmietnik i podeptane brudnymi buciorami. Wyłam przez cały czas. Leżałam w sypialni przy zasłoniętych oknach i czekałam na zbawienie. Karol był przy mnie. Tak, muszę przyznać, że wtedy zachował się całkiem

w porządku. „Dasz radę, Beti – powtarzał – nie panikuj, to jeszcze nie kataklizm”.

Myślisz, że to deprecjonowanie moich uczuć? Że Karol, w tym swoim pocieszaniu mnie, umniejszał powód moich łez? Dla mnie utrata pracy była kataklizmem. W sensie ścisłym. Mieliśmy na wychowaniu czworo dzieci, Klara była już na studiach, ale chłopcy mali, zaczynali szkołę. Gdyby ta sytuacja zdarzyła się dziesięć, piętnaście lat wcześniej – spałabym spokojnie, wiedząc, że mam przy sobie męża – prezesa, który spokojnie ogarnie rzeczywistość. I w pracy, i w domu. Ale teraz coraz częściej widziałam w nim żyjącego na kredyt utracjusza, narcyza, któremu do życia potrzebne było nieustanne cukrowanie. Tysiące razy próbowałam z nim o tym rozmawiać – bez rezultatu. Zawsze machał ręką i bagatelizował. „Nic się nie dzieje. Nie zwracaj sobie tym głowy”.

Czekasz na ten drugi kubek zimnej wody? Będzie o nim za chwilę. Najpierw jeszcze o skutkach mojego zwolnienia. Karol dwa tygodnie, może dziesięć dni później odciął mi dostęp do rodzinnego konta. „Nie zasilasz, nie wydajesz” – stwierdził.

Dostałam tylko pewną pulę z odprawy na niezbędne rzeczy i tyle. Dwa tysiące miesięcznie. Na zakupy spożywcze, chemię i panią do sprzątania. Wszystkie pozostałe wydatki były po stronie Karola. Jeśli chciałam kupić coś dla dzieci – musiałam prosić. Jeśli spodobała mi się sukienka, a mieliśmy spotkanie u znajomych – musiałam prosić. O kurtki, buty na zimę, ferie i klocki lego – jak wyżej.

„Cała szafa ciuchów, zabawek, skończ z tą rozrzutnością wreszcie” – syczał i zniknął w swoim gabinecie z paczką cygar i koniakiem. Na to sobie nie żałował. Na nowe rakietki do tenisa warte majątek też.

Byłam w tym czasie zbyt słaba, żeby się zbuntować. Za bardzo upokorzona, żeby powiedzieć mu, że to, jak mnie traktuje, jest świństwem. Od czasu do czasu potrafiłam się tylko zdobyć na nieśmiałość: „Nie poznaję cię, Karol. Byłeś inny”.

„Wszyscy się zmieniamy” – to była jego jedyna odpowiedź.

To jeszcze nie koniec koncertu upokorzeń. Zabrał mi kluczyki od mojego mercedesa. Swoje porsche sprzedał.

„Nie stać nas teraz na dwa samochody” – orzekł i nie czekał na to, co powiem. Wiesz, jak to wtedy wyglądało? On woził tyłek moim czarnym GLK, a ja jeździłam z dziećmi na zajęcia czerwonym miejskim autobusem. Zacisnęłam zęby, postanowiłam to wytrzymać.

To wszystko, co robił mój mąż, nie przeszkadzało mu w chodzeniu co niedziela do kościoła, w wieczornych modlitwach i wygłaszaniu krytyki w każdej sytuacji, gdy słyszał o romansach wśród naszych bliższych i dalszych znajomych. Aż pewnego dnia przestało mu to aż tak przeszkadzać. Byliśmy na obiedzie u znajomych, zeszło na kryzys u sąsiadów i nowy związek pana domu. Rodzina była przykładna, majątna. Duży dom, dwoje dzieci, dwa psy, dom na Mazurach. Byli ze sobą siedemnaście lat i chwilę po rocznicy ślubu żona nakryła męża z kochanką w ich sypialni. Karol, zwykle bardzo surowy w sądach i chętny do potępienia – milczał. Wcześniej pewnie grzmiałby, że to draństwo i kurewstwo, teraz przy stole nie powiedział nic. Już nie wygłaszał tego swojego słynnego: „Ojciec, który porzuca rodzinę i dzieci, nie jest godzien być ojcem”. I co? I oczywiście nie zwróciłam na to uwagi. Mnie to umknęło. Ale przyjaciółkom – nie. Kilka dni później na babskiej posiadówce naszego „kwartetu” Gośka zapytała: „Beti, czy twój Karol przypadkiem kogoś nie ma? Przyjrzyj się temu, co się dzieje w tym jego klubie sportowym”.

Zaczęłam łączyć kropki. Karol zmienił styl, schudł i zapuścił zarost. Wełniane garnitury poszły w ką, kupił sobie za to całą szafę dżinsów, koszul i kurtek. Tak na marginesie – mnie od dawna nie kupował nic. Mój dostęp do konta wciąż był zablokowany. Do tego jeszcze częste wyjazdy, znikanie wieczorami pod pretekstem oglądania treningu siatkarzy, no i ta jego zmiana frontu w sprawie zdrad małżeńskich. Siedziałam jak na bombie. To moje cholerne dobre wychowanie... Nie byłam w stanie tak po prostu zadać mu pytania, które chodziło mi po głowie. Drżały mi ręce, gdy otwierałam mu drzwi. Witął mnie, ledwie muskając policzek, a przecież jeszcze tak niedawno nosił mnie na rękach. Bałam się tych powrotów. Nie, nigdy mnie nie uderzył, na to by się nie zdobył. Zamiast tego robił awantury z byle powodu. Przeszkadzał mi mój płaszcz na wieszaku w przedpokoju, bo robił bałagan, niedosolone ziemniaki, dwójka Piotrusia z polskiego albo zaciek na lusterku w łazience. Dasz wiarę, że zdarzało mi się zrzucać to na karb nerwowej sytuacji w firmie albo tego, że teraz to on musi zapracować na cały dom? O, z całą pewnością finansowo świetnie sobie radził. Na osiemnaste urodziny kupił Ani mini morrisa, chłopcy dostali po telewizorze i PlayStation, na majówkę zabrał dzieci na Lazurowe Wybrzeże do przyjaciół. Całą czwórkę, włącznie z Klarcią.

„Będzie lepiej, jak zostaniesz w domu, z psami” – powiedział, a ja, głupia, łyknęłam ten powód. Wiesz, czułam się podle – bezrobotna i bezużyteczna. Do tej pory sama byłam szefem, z dobrą pensją. Mogłam występować wobec Karola jak partnerka. Moje pieniądze – choć sporo mniejsze niż jego – dużo znaczyły w domowym budżecie. No dobrze, nie mogłam się równać z nim, ale przynajmniej miałam prawo bez wyrzutów sumienia używać wspólnej karty i wystarczyło na wszystkie zachcianki. Teraz o każdy grosz musiałam prosić. Jak to brzmi, prawda? Uwierzysz, że długo nie widziałam w tym niczego dziwnego? „Nie zarabiasz, nie wypłacasz” – słyszałam za każdym razem i myślałam, że to całkiem uzasadnione. Teraz, kiedy wracam wspomnieniami do tamtego czasu, wydaje mi się to nieprawdopodobne, ale – przed terapią – dawałam po sobie jeździć w każdą stronę. Najstarsza, Klara, już z nami nie mieszkała, ale za każdym razem, gdy wpadała na obiad, brała mnie na bok i pytała: „Dlaczego, mamuś, na to pozwalasz? Dlaczego tata traktuje cię jak pomoc domową? Sorry, ale widzę, że dla pani Lesi ma więcej serca”.

Dlaczego? Karol utrzymywał cały dom. Płacił rachunki. Tak, zawsze po czasie, ale płacił. Za panią Lesię, która przychodziła raz na miesiąc umyć okna. Płacił za wynajem mieszkania Klary, choć nie była jego biologiczną córką. Byłam mu zresztą bardzo wdzięczna, że nigdy, przenigdy nie dał jej odczuć innego traktowania. Dałam się zapędzić w kozi róg. Pozwoliłam się ubezwłasnowolnić i upokorzyć. Tak, czułam się jak utrzymanka. Jak kula u nogi, która nie pozwala Karolowi rozwinąć skrzydeł. Dlaczego tak mówię? W jednej z awantur wykrzyczał mi, że gdyby nie ja i moje zachcianki, zostałyby we Francji, założył tam firmę i nie ciągnął „tego polskiego wozu drabiniastego”. Wóz drabiniasty – czyli nasza rodzina.

„Robisz mi zarzut, że się zakochałeś i oświadczyłeś?” – zapytałam. Nie odpowiedział.

Dziś mogę ci śmiało powiedzieć, że bez terapii nie odważyłabym się na to, co zrobiłam w walentynki. Zwykle tego dnia dostawałam od niego kwiaty. Z każdym rokiem bukiet był coraz mniejszy, ale był. Tym razem – nic. Zapomniał? Nie zauważył? Chciał mi coś pokazać? Coś udowodnić? Myśli kotłowały mi się w głowie. Przelatywały z prędkością światła. Ta jego zmiana w wyglądzie, późne powroty, napięta atmosfera i wreszcie nieszczęsny 14 lutego.

Znów wrócił późno, posepny jak chmura gradowa. Przebrał się w piżamę i położył obok mnie. Mówiłam ci już, że od kilku miesięcy tylko się przy mnie kładł? Nie uprawialiśmy seksu od mojej afery z pracą. Najpierw ja nie miałam ochoty, potem on też przestał inicjować. Jakoś tak zostało. Temat na inny wątek.

„Teraz albo nigdy” – pomyślałam i wypaliłam: „Wiem, że masz kogoś. Powiedz mi sam”. Zbaraniał. Patrzył na mnie znad okularów i milczał. „O czym ty do mnie mówisz, Beata” – zaczął grać na czas. „Karol, widzę, co się dzieje. Skończmy tę ciuciubabkę”. Szłam za ciosem, sama dziwiąc się własnej odwadze. „Wiem, kto to jest!” – zablefowałam. Podziałało. Usiadł na łóżku plecami do mnie i wypalił: „Masz rację, nasze małżeństwo jest fikcją. Nasze małżeństwo nie istnieje. Jola ma dwadzieścia pięć lat, jest świetną siatkarką, ale to już pewnie doskonale wiesz. Daje też radę w tenisa. Ułatwiłaś mi zadanie. Rozstańmy się bez scen. Idę się spakować”.

Obiecałam sobie, że nie pęknię, ale pękłam.

„Karol, zastanów się, mamy dzieci, co im powiesz?” – płakałam i próbowałam wziąć go za rękę. Odsunął się ode mnie jak od natrętnej muchy. „W czym ona jest lepsza niż ja, co? Ma młodsze ciało, lepsze cycki? Nogi? Mówi ci, jaki jesteś wspaniały?” – wyłam i wywaląłam z siebie kaskady słów. Jakby napięcie kumulowane podczas miesięcy siedzenia w kącie musiało znaleźć ujście. Prosiłam, żeby został, na zmianę z miotaniem przekleństw i złorzeczeń. „Jak mogłeś mnie oszukiwać, ile to trwa, jak ci nie wstyd? Ty, taki katolik, co to za suka?” Suka – to najmocniejsze, co powiedziałam, choć miałam ochotę wypalić z grubej rury. Chyba jeszcze wtedy nie byłam gotowa. Ja – w szale, on – zimny jak kawał lodu. Krążył między garderobą a walizką i ze stoickim spokojem pakował rzeczy.

„Spójrz na mnie, do cholery! Przynajmniej na mnie popatrz!” – wyłam.

Spojrzał. Nigdy nie zapomnę wyrazu pogardy w jego oczach. Znasz wzrok mówiący: „ty żenująca, beznadziejna babo”? Chciałam jeszcze wziąć go za ramiona, potrząsnąć, sprowadzić na ziemię, zatrzymać – nie reagował. „Przestań się poniżać, Beata” – to jedyne, na co zasłużyłam. Po urodzeniu trójki dzieci, po dwudziestu wspólnych latach, mimo obietnicy: „Będę cię kochać zawsze”.

„Już cię nie kocham” – powiedział w drzwiach. I dodał jeszcze to, jak świetnie wygląda jego nowa partnerka. To o cyckach, tyłku i w ogóle.

Głuchy trzask zamykanych drzwi był jak policzek wymierzony z impetem. Usiadłam na podłodze i nie mogłam przestać płakać. Boże, ile żalu, gniewu, smutku... Wyłam jak ranne zwierzę. W imię ratowania rodziny pozwalałam się poniżyć i upokarzać, a na koniec zostałam kopnięta w kąt jak zwykły śmieć. Nie spałam całą noc. Rano z zapuchniętymi oczami zesłam do kuchni. Ani aż szklanka wypadła z ręki. „Co się stało, mammo? Gdzie tata?”

I to był moment, kiedy z oczami jak szparki, z potarganymi włosami, udręczona i sponiewierana musiałam powiedzieć, że tatuś się wyprowadził.

„Jak to? Dlaczego?” – padły tysiące pytań.

Zbiegli z góry chłopcy. Pęka mi serce, kiedy przypomnę sobie, jak bardzo płakali. Tata był ich bohaterem, guru, królem, rycerzem bez skazy. Piotruś, łkając, pytał: „Czy ty zrobiłaś tacie coś złego? Przecież by nas nie zostawił! Co mu zrobiłaś? Nakrzyczałaś na niego? On tego nie lubi”.

Usiedliśmy we czwórkę na kanapie. Długo rozmawialiśmy, choć – uwierz mi – kompletnie nie miałam na to siły. Łyknełam xanax i podłoga zaczęła mi uciekać spod stóp. Kręciło się w głowie. Ze zmęczenia, głodu, nerwów. Wiesz, jakie to trudne, wyjaśnić dzieciom, że ich ukochany tata wybrał inną rodzinę? Wiesz, jak trudno dobiera się słowa, gdy miota tobą wściekłość, żal i poniżenie, a jednocześnie nie chcesz wplątywać nikogo więcej w swoje emocje? Kiedyś byłam świadkiem rozwodu znajomych i tego, jak oboje pogrywali uczuciami synka. Koszmar. Tata obwiniął mamę, mama – tatę. A mały był w środku cyklonu i nie wiedział, w którą stronę iść. Za wszelką cenę chciałam tego uniknąć.

Tego dnia wszyscy zostaliśmy w domu. Obiecałam, że zrobię naleśniki i pyszny obiad i jakoś przez to razem przejdziemy. Myślisz, że włączyła mi się harcerska „sztuka przetrwania”? Może.

Musiałam się na chwilę położyć. Spojrzałam przez okno w sypialni – na podjeździe nie było mojego samochodu. Zabrał mercedesa, choć mógł sobie kupić co najmniej dziesięć podobnych. Czy zadzwoniłam? Zadzwoniłam. Nie odebrał telefonu.

No to wybrałam numer do teściowej.

„Co ty za bzdury opowiadasz, Beatko”, stwierdziła. „Karol kogoś ma? Wyprowadził się? Przecież to niemożliwe, to na pewno jakieś nieporozumienie. Pewnie niepotrzebnie zrobiłaś dramę. Porozmawiam z nim”.

„Nie, mam, to nie drama. On sam się przyznał, że ma kochankę. Młodsza ode mnie o połowę”.

Odłożyła słuchawkę. Nie miała nic do powiedzenia. Na co liczyłam? Na kobiecą solidarność, interwencję, dobre słowo, choć oburzenie tym, co zrobił jej arcykatolicko wychowany syn? Długo się nie odzywała, aż przyszedł list, w którym – nasza dystygowana pani – radziła, żebym się modliła, oddała bożej opiece, bo w takich sytuacjach to Bóg i Matka Boska najlepiej układają sprawy. To nie koniec. Pisała: „Karol z Jolą mieszkają z nami w domu. Szykują sobie dom w Magdalence. To potrwa. Możesz więc mi współczuć, że mijam się w kuchni z obcą kobietą”. I jeszcze: „Bądź tak dobra i odeślij nam sekretarzyk po babuni Steni oraz sztucce z grawerem – to pamiątka rodzinna, powinny wrócić na miejsce. U was były tylko w depozycie. Mam nadzieję, że Karol ci to uświadomił”. Tyle. Kobieca solidarność! Szlag! Choć – kto wie, czy ten list nie sprawił, że postanowiłam ruszyć z kopyta. List teściowej i ze sto sesji terapii, na które wydałam majątek. Było warto.

Pół roku po wyprowadzce Karola pojechałam do tego jego klubu. Wiedziałam, że treningi są dwa razy w tygodniu – we wtorki i czwartki, jechałam na pewniaka. Znow z galopadą myśli. Taka jestem dobrze wychowana, że nie byłam w stanie nazwać flamy męża tak, jak na to zasługuje – „kurwą”, nie byłam zbyt silna, żeby o siebie zawańczyć, to teraz uznałam: „najwyższa pora”. Zawsze żałowałam, że nie dałam w pysk pani od korekty, kochance mojego pierwszego męża. Zgoda, to niezbyt eleganckie, ale przynajmniej uwalniające. W domu mnie uczyli, że emocje trzeba trzymać na wodzy, że łzy to objaw słabości, a gniew – braku kindersztuby.

Usiadłam na trybunach. Postronnym nie wolno wchodzić podczas treningu, ale panowie na bramce świetnie mnie znali. Mieli co prawda zbaraniałe miny, ale mnie wpuścili. Ona mnie zauważyła. Od razu. Usiadłam tuż przy wyjściu z boiska, tak żeby „pani Jola” musiała przejść obok mnie. Nie było drogi ucieczki. Ha! Nie powiem, żebym się nie denerwowała. Widziałam ją już wcześniej w internecie, wiedziałam, że jest ładna, młoda, piekielnie efektowna. Długie włosy spięte w koński ogon, piersi na swoim miejscu, nieziemsko długie nogi. Obiektywnie rzecz biorąc, nie miałam przy niej żadnych szans. Zbliżałam się do pięćdziesiątki. Mój biust po wykarmieniu czwórki na pewno nie wyglądał jak ta jej miseczka DD. Zresztą – skóra, ciało, cała reszta. „Stój! – powiedziałam do

siebie – nie możesz tak myśleć! Jesteś matką, żoną, oddałaś temu człowiekowi dwie dekady życia. A po boisku biega pinda, która rozbiła twoją rodzinę”. Tego kobieta nie robi drugiej kobiecie.

Serce waliło mi jak młotem, kiedy usłyszałam gwizdek trenera. Koniec meczu. Stanęłam za barierką. Widziałam, że unika mojego wzroku, pewnie jeszcze myślała, co zrobić. Kiedy była na wyciągnięcie ręki, popatrzyła na mnie i wycedziła: „Jestem Jola”. „Jesteś dziwka” – rzuciłam i trzasnęłam ją w twarz z całej siły. Klasnęło, aż echo rozniosło się po całej sali. Zaraz potem poszedł szept. Zabawne, ktoś nawet ze cztery razy dał brawo. Nie widziałam kto. Flama złapała się za twarz, aż przysiadła. Tak ją zostawiłam. Poprawiłam torebkę na ramieniu i wyszłam bez słowa. Ależ miałam satysfakcję! OMG. Nie uwierzysz, ile znaczył dla mnie policzek wymierzony tej zdzirze. Tak, tak ją nazywam. Wreszcie. Pożegnałam grzeczną dziewczynkę, która nie była w stanie nazwać rzeczy po imieniu i składała się w scyzoryk, jak trzeba było powiedzieć mocniejsze słowo. Basta! Jednym gestem, jednym ruchem odbiłam sobie niezłałatwioną sprawę z panią korektorką i panią siatkarką. I obiecałam sobie, że nigdy, przenigdy nie pozwolę, żeby ktoś mnie skrzywdził.

Jakież było moje zdziwienie, gdy tydzień po tym incydencie dostałam SMS-a od kochanki mojego męża.

„Nadszedł moment zmierzenia się z gorzką rzeczywistością, szanowna Pani. Już po wymierzonym mi publicznie policzku widzę, że brak Pani klasy i dobrego wychowania. Zdziwię Panią – po chrześcijańsku nadstawię drugi policzek i tym samym zakończę długi etap hipokryzji w Pani życiu. Pani mąż postanowił nieodwołalnie spędzić resztę życia ze mną, o czym informuję Panią nie bez satysfakcji”.

Szczęka mi opadła. Ileż tupetu, bezczelności i pewności siebie trzeba mieć, żeby „wysmażyć” taką wiadomość?

Nie odpowiedziałam, więc z jej strony zaczął się nalot totalny.

„Droga Pani, milczenie tylko Panią pogrąża. Nie mam już złudzeń, że brakuje Pani godności, i mam pewność, dlaczego Karol wybrał mnie. Niniejszym pragnę poinformować, że weszłam w posiadanie kamienicy przy Długim Targu. Sprawa jest potwierdzona notarialnie. Nic Pani nie wskóra”.

Zapomniałam ci powiedzieć, że to kamienica, której remont ja sponałam – bo tak się umówiliśmy. Byliśmy też dogadani, że podzielimy ją między dzieci, na cztery równe części. Zaznaczam: „byliśmy dogadani”

absolutnie dżentelmeńsko, bez papierów, bo komu by w małżeństwie, kochającym się małżeństwie, przyszło do głowy spisywać umowy. Błąd, jak widać. Mój mąż okradł nasze dzieci i bez mrugnięcia okiem posługiwał się tą wywłoką, żeby mi o tym komunikować. Boże, jakie to wszystko było do niego niepodobne. Do tego pięknego, szlachetnego, uczciwego, religijnego w końcu człowieka, który ślubował miłość, wierność i uczciwość.

Któregoś dnia chłopcy napisali list do taty. Sami. Ani trochę im nie pomagałam:

„Drogi Tato,

nie mów, prosimy, że mama Cię nie kocha, bo to nie jest prawda. Przecież zawsze Cię wspierała i zawsze była po Twojej stronie. Pamiętasz nasze wspólne wakacje? Wypadki na łódki? Przecież zawsze mówiłeś, że jak facet opuszcza rodzinę, to nie jest godny nazywania siebie ojcem, pamiętasz? Przecież to wszystko, co mówisz teraz do tej pani, powinieneś mówić do mamy. Może jeszcze można wszystko naprawić?”

Nie, już nic nie można było naprawić. Krótco potem dostałam poleconym pozew rozwodowy. Miał być z mojej winy. Karol dowodził, że zanieczyściłam jego, dzieci i dom, że musiał zatrudniać niańki i gosposie, bo ja w tym czasie wyjeżdżałam na narady i kongresy. Przytoczył argument, że zanieczyściłam nawet siebie i gdyby nie on – mój wygląd pozostawiałby wiele do życzenia. Perfekcyjnie wykorzystał to, co kiedyś robił z taką ochotą, prawda? Tak wypomnieć zakupy w Max Marze może tylko taki ktoś jak Karol.

Przeszłam przez piekło świadków i zeznań. Przez publiczne pranie brudów i emocje, o których nawet nie chcę już opowiadać. Wykosiałam tłum znajomych, którzy zapewne z powodów towarzyskich i biznesowych zostali przy panu prezesie, choć znali prawdę i doskonale wiedzieli, kto kogo zdradził. Przecierałam oczy ze zdumienia, gdy słyszałam w sądzie: „Beata bardzo skupiała się na swojej karierze zawodowej, do tego stopnia, że jej mąż, po całym dniu wyczerpującej pracy polegającej na zarządzaniu dużym zespołem ludzkim i na olbrzymiej odpowiedzialności finansowej był zmuszony zadbać o posiłek dzieci, ich wyprawkę do szkoły, a także o sprawunki własnej żony”.

Sprawa się jeszcze ciągnie. Ciekawi mnie, co będzie dalej. Ale teraz jestem już dużo silniejsza. Teraz skupiam się na dzieciach. Czasem boli, gdy muszę wytłumaczyć, dlaczego tata przestał płacić alimenty i wstrzymał opłacanie lekcji tenisa. Kiedyś mówił, że to takie ważne dla rozwoju młodego człowieka, że kształtuje charakter i nienaganną postawę. A tu pewnego dnia dzwoni do mnie trener i stwierdza: „Pani Beato, bardzo mi niezręcznie, ale zajęcia Ani i chłopców są nieopłacone od dwóch miesięcy. Wiem, że zajmował się tym tata, ale nie odbiera telefonu. Proszę mi wybaczyć”.

Dzwonię, chcę spytać, co się stało. Odebrał chyba po setnym razie. „Nie wiem, czy zauważyłaś, ale jest kryzys. Tenis to zbytek. Ja przestałem jeździć na kort – dzieci też mogą. Nic się nie stanie. Ani Świątek, ani Nadala z nich nie będzie. Żadna strata. A jak chcesz, żeby grali, zajmij się tym sama. Założyłaś przecież firmę, prawda?” I łup słuchawką.

Zrozumiałabym, gdybym miała do czynienia z wrednym prostakiem, który nie liczy się z uczuciami innych. Gdybym wiedziała, że Karol jest sknerą i w nosie ma pasje dzieci. Ale nie. Przecież dwadzieścia lat temu wychodziłam za wspaniałego, szarmanckiego mężczyznę, który obsypywał kwiatami, otwierał drzwi, fundował wakacje i spełniał wszystkie zachcianki świata.

Nie wiem, to robota dla psychologa. Ja jestem teraz pewna, że mam dość siły, żeby przez to przejść. Wiem, że wszystkie świństwa, które robi człowiek, z którym dzieliłam życie i sypialnię – to opowieść o nim, a nie o mnie. To jego niedostatki, jego niepokładane kawałki wzięły górę.

Zastanawiam się czasem tylko, gdy wieczorem usiądę w fotelu, w którym on lubił czytać gazety: kiedy mój mąż był prawdziwy? Wtedy, gdy posypał mi poduszkę płatkami róż? Gdy włożył pierścionek na palec nad naszym jeziorem? Czy gdy tańczył ze mną i szeptał, że jestem najpiękniejszą kobietą na świecie i że jest szczęściarzem, że spędza przy mnie życie? Czy może wtedy, gdy porzucił dom, dzieci, złamał własne zasady, kazał rozliczać się z każdego grosza i miesiącami prowadził podwójne życie? Za kogo wyszłam? Za mężczyznę z marzeń czy faceta z koszmaru?

EWA

Minęło pięć lat, odkąd pierwszy raz zobaczyłam Ewę, a dziś wygląda, jakby minęło ich dwadzieścia. Zapewne ona też tak się czuje.

Nie mogłam uwierzyć, że tamta elegancka, uśmiechnięta i pewna siebie dziewczyna tak szybko zmieniła się w zniszczoną, załęczoną i schorowaną kobietę.

Ewa wyznaje mi, że wyszła z domu po raz pierwszy od kilku tygodni.

Spotkałyśmy się w jednej z krakowskich kawiarni, w jej dzielnicy. W pewnym momencie dostrzegłyśmy, że przy stoliku obok siedzi milczący młody człowiek w ciemnym ubraniu. Nie zerka w telefon, jak to robią typowi kawiarniani klienci. Patrzy w ścianę i jednym uchem jest z nami. W kieszeni ma zapewne sprzęt nagrywający.

– O, znowu dziś mam ogon – mówi Ewa.

Dla jej byłego partnera, prezesa banku i doradcy rządu zarabiającego około ćwierć miliona złotych miesięcznie, zatrudnienie takiego „ochroniarza” dla byłej partnerki to drobnostka.

Ewa przestała udzielać się towarzysko i niełatwo było mi ją przekonać do spotkania. Dwa miesiące temu zachorowała na nowotwór, nie może pracować. Rzadko wychodzi, chyba że z dziećmi, i to jeśli je dostanie na kilka dni w miesiącu.

Dzieci odebrano jej w bardzo fachowy i przemyślany sposób...

Ale po kolei...

OPOWIEŚĆ EWY

Po trzech miesiącach wreszcie zauważyłam, że to, co serwuje mi w łóżku, to głównie gwałt.

Gdy go poznałam, wydawało mi się, że dużo wiem o życiu i mężczyznach. Okaleczona, po siedmioletnim związku z alkoholikiem i po ciężkim poronieniu, kiedy to lekarze powiedzieli mi, że nigdy nie będę mogła już zajść w ciążę, zaczęłam piąć się po szczeblach kariery, zapewne, aby zagłuszyć w sobie cały ból z przeszłości.

Krystian był całkowitym przeciwieństwem mojego typu. Ani wysoki, ani szczególnie przystojny i w dodatku potwornie mnie denerwował... Spotykaliśmy się na stopie zawodowej.

Pracowałam wtedy na kierowniczym stanowisku w olbrzymim koncernie, powierzono mi przeprowadzenie fuzji z siostrzaną firmą. On był wówczas COO niedużego prywatnego banku.

A ponieważ jego ego było dużo większe niż ten bank, Krystian spóźniał się na spotkania i nie szanował współpracowników. Jego zachowanie było na tyle nieprofesjonalne, że poprosiłam jego centralę, aby przysłano kogoś innego na jego miejsce. Z perspektywy czasu myślę, że to musiała być dla niego wielka podnieta; od razu postanowił udowodnić mi, że jest najlepszy.

Ja wtedy miałam już swoje mieszkanie i samochód, świetną pensję, obietnicę wejścia do zarządu i zero chęci na jakikolwiek nowy związek.

Dlatego z rozbawieniem przyjął jego zaproszenie do Paryża na koncert Madonny. Pomyślałam sobie: „A co tam! Przecież życie jest tak krótkie. Należy z niego korzystać”.

Dlatego dla czystej rozrywki i bez zobowiązań postanowiłam się z Krystianem zabawić również w sypialni.

Już kilka dni po powrocie z wyjazdu, z mieszanką zażenowania i zdziwienia przyjął jego słowa, że od dziś będę tylko jego suką, ale że nie zamierza się ze mną wiązać ani do niczego zobowiązywać.

Zaproponował mi układ czysto erotyczny. Miał nas łączyć tylko ostry seks. Weszłam w to. Nie wiem, czy z nudów, czy z ciekawości.

Bałam się jednak, że mimo wszystko mogę się zaangażować, postanowiłam więc go sprawdzić. Spytałam go, czy jest alkoholikiem – oczywiście odpowiedział, że nie, na drugie pytanie, czy zdradza swoje partnerki albo chodzi na dziwki, również odpowiedział przecząco. „OK – pomyślałam – jest bezpiecznie”.

O tym, jak bardzo seks będzie ostry i jak bardzo satysfakcjonujący tylko jedną stroną, nie miałam oczywiście pojęcia.

Krystian w seksie był nie do zdarcia. Choć najchętniej wybierał pozycje dominujące i momenty, w których akurat ja nie miałam chęci na zbliżenie. W skrócie – mój brak ochoty podkreślał jego pragnienia.

Lubił wiązać mi ręce, dawać klapsy, wyzywać w czasie stosunku, nazywać mnie swoją „małą dziweczką”. Często kazał się czołgać, chodzić na czworakach, miauczeć albo szczekać, zakładać skórzane ubrania. Lubił zmuszać mnie do seksu oralnego.

Mam wrażenie, że z czasem jakby uzależniłam się od takiego seksu...

Czy dlatego, że w domu byłam bita przez ojczyrna? Nie znam odpowiedzi na to pytanie...

Ale wierz mi, że moją największą podniecią i przyjemnością było sprawienie przyjemności mojemu partnerowi. I on o tym dobrze wiedział. Fakt, że nie zawsze miałam orgazm, nie stanowił dla niego najmniejszego problemu.

Zawsze traktował mnie z wyższością, ale po kilku tygodniach znajomości wyraźnie zaczął być chamski i silnie skoncentrowany na sobie. Zupełnie nie interesowały go moje sprawy, więc ta relacja coraz bardziej przestała mi się podobać.

Generalnie dzielił ludzi na dwie grupy: na tych, którzy mogą mu się przydać, i na tych, którymi może manipulować. A! Była jeszcze grupa trzecia, tych, którzy orientowali się, z kim mają do czynienia. Ich szybko eliminował ze swojego otoczenia; nawet w najbardziej okrutny sposób.

Po trzech miesiącach wreszcie zauważyłam, że to, co serwuje mi w łóżku, to głównie gwałt.

Wtedy jeszcze miałam na tyle zdrowego rozsądku, że chciałam zakończyć nasz związek. Jednak okazało się, że jestem w ciąży. Ja –

kobieta po ciężkim poronieniu, której lekarze patrzyli w oczy, zapewniając, że nigdy nie będzie mogła mieć dzieci...

Pamiętam, jak w gronie naszych przyjaciół rozważałam, czy poinformować go o dziecku. Mąż mojej przyjaciółki doradzał mi, żeby powiedzieć, a moja przyjaciółka zachęcała, żeby nic nie mówić, i pocieszała, że dam sobie radę jako samotna matka.

Niestety posłuchałam rady jej męża...

Krystian natychmiast wyczuł, jak wielkim marzeniem było dla mnie macierzyństwo i jaką dzięki temu będzie miał nade mną kontrolę. Zastrzegł, że nigdy ślubu ze mną nie weźmie. I uprzedził, że na jednym dziecku się nie skończy, że oczekuje pięciorga.

Mimo obaw, dla dobra dziecka i zgodnie z moją wyidealizowaną wizją rodziny zostałam z nim, i to na kilka długich lat.

Jeszcze jak byłam w połogu, odbywał ze mną stosunki, które trzeba nazwać gwałtami, i w ten sposób już w trzy miesiące po urodzeniu pierwszego dziecka byłam w kolejnej ciąży.

Poroniłam, ale w poczuciu winy szybko zaszłam w kolejną ciążę.

Znałam to poczucie winy od zawsze, razem ze współzależnieniem i toksycznością z poprzedniego związku; prowokowały we mnie wielką chęć naprawy.

Krystian traktował mnie z góry, stanowczo, ale jednocześnie dawał poczucie bezpieczeństwa.

Nie przeproszał, bo według niego nie miał za co. I nie prosił, bo mu się wszystko należało.

Po urodzeniu pierwszego dziecka, córki, postanowiłam zostać mamą na sto procent, porzucając swoją karierę bez żalu. Tym bardziej że nasza rodzina się powiększała. Na świat przyszło jeszcze dwóch synów.

Stałam się wzorową gospodynią, która brak zainteresowania partnera, jego chłód i władczość może sobie odbić pedantycznym wysprzątaniem domu, ugotowaniem zdrowej zupy i wypraniem wszystkiego wokół łącznie z dywanami i kapą na sofie.

Dlaczego wytrzymałam tyle lat? Bo przez większość czasu nie było go w domu. Moja relacja z nim przypominała wirus komputerowy – póki nie otwierałam załącznika, mój dysk był bezpieczny, a problemy chowałam do folderów.

Jaki program antywirusowy sobie włączyłam? Jeden z częstszych mechanizmów obronnych partnerek, żon i matek władczych mężczyzn –

mechanizm idealizowania dręczyciela.

Krystian zapewniał mnie, że zawsze będzie się mną opiekował i włos mi z głowy nie spadnie – po pięciu latach wręczył mi nawet kartę z moim nazwiskiem, oczywiście do swojego konta, i powiedział, że daje mi ją w zamian za trzecie dziecko.

Miałam klapki na oczach, mimo że koleżanki starały się mną wstrząsnąć i mówiły: „Ewa! To jest przemoc finansowa, nie daj sobie tego robić!”.

Przykładów takiej przemocy było więcej.

Krystian, zarabiający wtedy jakieś dwieście tysięcy miesięcznie, rano rzucał na stół trzysta złotych i mówił: „Posprzątaj, ugotuj i ogarnij dom, bo masz zarobić na to, co dostajesz”.

Kiedyś wracaliśmy z lotu balonem w Kapadocji. Na lotnisku w Stambule mój starszy synek zobaczył w butiku zegarek za niecałe sto euro i powiedział: „Mamo, idealny dla ciebie”.

Pomyślałam wtedy, że zaryzykuję i bez konsultacji z Krystianem kupię sobie ten zegarek. Gdy wyszedł z toalety i to zobaczył, zrobił mi awanturę przy dzieciach, pytając, czy myślę, że pieniądze leżą na ziemi i czekają tylko, aż coś z nimi zrobię.

Ja jednak myślę, że ten wyidealizowany obraz doskonałych dzieci i wspaniałego ojca, który zapewnia dzieciom utrzymanie i perspektywę, trzymał mnie wtedy przy życiu. Moja mama często mi powtarzała: „Dziecko, możesz dać swoim dzieciom to, czego ja nigdy nie mogłam. Zaciśnij zęby i trwaj”.

Trwałam, choć mnie nie przytulał – za to bardzo chętnie moje koleżanki na przyjęciach. Zaciskałam te zęby, gdy kazał mi kupić sztucznego penisa i regularnie używać go podczas seksu z nim, udając mężczyznę.

Owszem, przejęłam się, kiedy życzliwy kolega z pracy Krystiana poinformował mnie, że od dziesięciu lat ojciec moich dzieci jest w seksualnym związku z jednym ze współników...

Zęby przestałam zaciskać, gdy Krystian rzucił naszym dwuletnim Tadzkiem o ścianę.

Było to tydzień po tym, kiedy zamknął go w pralni za to, że ten nie umył zębów.

Na oczach mojej najstarszej córki zepchnął Mateuszka ze schodów.

Zmuszał naszą Paulinkę do trenowania gimnastyki artystycznej, mimo że tego nie lubiła i na jednym z treningów złamała rękę. Gdy tylko lekarze zdjęli gips, kazał jej wrócić na treningi.

Kiedy Paulinka, wówczas dziesięcioletnia, przyjechała z obozu harcerskiego i powiedziała, że ma ochotę się zabić, bo tatuś nie pozwala jej płakać, gdyż płaczą tylko mięczaki – miarka się przebrała. Powiedziałam, że chcę odejść.

O dziwo wtedy Krystian obiecał poprawę i zaczął mnie lepiej traktować. Choć wciąż zachowywał się wobec mnie z wyższością jak władca absolutny.

Zatrudnił gosposię i moje życie przez moment stało się jakby lżejsze. Pozwolił mi nawet wyjechać z przyjaciółką – która zresztą opłaciła ten wyjazd – do Grecji.

Ponieważ już wtedy mój organizm był totalnie rozstrojony i miałam chore nerki, bardzo utylałam i czekała mnie operacja na przepuklinę, pomyślałam: „Dlaczego mam nie wyjechać? Przecież należy mi się odpoczynek”.

Nie przyszło mi do głowy, że decyzja o wakacjach będzie jednym z największych błędów mojego życia.

W Grecji dowiedziałam się, że w naszym domu pękła rura, więc natychmiast należało zrobić remont. W związku z tym Krystian zorganizował przeprowadzkę na czas prac – zapominając poinformować mnie, że przeprowadza się sam z dziećmi, a mnie lokuje pod innym adresem. Po czasie dowiedziałam się, że historia z pękniętą rurą była misternie utkanym planem odcięcia mnie od dzieci i wyrzucenia mnie z naszego domu.

Zmienił zamki i nigdy już nie było mi dane tam wejść. Wylądowałam z kilkoma walizkami swoich rzeczy w jakimś mieszkaniu. Nie wiem nawet, kto mnie spakował, ale musiał to robić pośpiesznie. Wtedy jednak moje serce tak krwawiło z powodu odcięcia od dzieci, że ciężko było mi się przejmować tym, że mam mało ciuchów.

Ponieważ był to czerwiec, Krystian zabrał dzieci na wakacje ich życia. Pierwszy miesiąc podróżowały po Riwierze Francuskiej i Włoskiej, przenosiły się razem z tatą i nianią z jednego pięknego hotelu do drugiego. Drugi spędziły na Florydzie, zwiedzając Disneyland i inne parki rozrywki.

I w ten oto sposób nie widziałam ich przez dwa miesiące. Podczas tych upiornych tygodni odkryłam, że nasza gosposia była przekupiona, miała zeznawać przeciwko mnie w sądzie. Bo spraw przeciwko mnie Krystian założył dziewięć. W papierach figurowało między innymi, że jestem

alkoholiczką. Nawiasem mówiąc, pochodzę z rodziny alkoholików, więc akurat nie tykam alkoholu oprócz kropli żołądkowych i grappy.

Do pozwu o odebranie mi praw rodzicielskich były pisma od podstawionych psychiatrów informujące o tym, że jestem niestabilna psychicznie.

Nie wspomniałam jeszcze o moim biznesie... Podczas opiekowania się dziećmi zaczęłam z pasji projektowanie szyć ubranka i kocyki dla niemowląt. Wynajęłam showroom, który misternie urządziłam. Stworzyłam tam przestrzeń dla młodych mam. Mogłyśmy napić się kawy, porozmawiać. Przy okazji kobiety robiły zakupy, a że w naszej sieci znajomych było wielu ludzi zamożnych, interes kwitł.

Problem w tym, że cały biznes był zarejestrowany na Krystiana i przez niego kontrolowany. Dlaczego? Jako kobieta rozumiesz, że matka myśli głównie o dzieciach i na nich się skupia. Gdy ich ojciec mówi: „Ty zajmij się kreowaniem marki i PR, a ja ogarnę formalności”, to jest jej w ten sposób łatwiej... Ufa i przy takim podziale upraszcza sobie życie. A po czasie okazuje się to błędem i utrudnieniem... Słyszałaś zapewne nieraz historie kobiet, które rodziły i wychowywały dzieci, dokładały się do domu, mieszkania czy kredytu, a potem okazywało się przy okazji rozwodu, że partnerzy czy mężowie „zapomnieli” je dopisać do aktu własności... One nie dopilnowały, bo skupiały się na przykład na zdrowym odżywianiu malucha... No i po rozstaniu nie miały z dziećmi dachu nad głową...

Moja historia z pracą okazała się podobna.

Ja też wylądowałam bez pracy... i bez dachu nad głową.

Krystian chciał mnie niszczyć całościowo. Oczywiście, wraz z wyrzuceniem mnie z domu zablokował moją domenę, stronę internetową... Firma po miesiącu już nie istniała.

Poza tym byłam tak zrozpaczona, że nie miałam głowy do jakichkolwiek biznesów.

Strata firmy była niczym w porównaniu z odcięciem od dzieci.

Nie zapomnę swojego bólu, gdy z płaczem dzwoniły do mnie ze Stanów, pytając, kiedy mnie zobaczą, a ja słyszałam szorstki głos ich ojca nakazujący oddać mu telefon.

Zabrał naszej najstarszej córeczce jej smartfona, a pozwalał dzwonić do mnie ze swojego raz na kilka dni, w nagrodę za dobre zachowanie. Przez

ten czas opowiadał im, że „mama jest chora i trafiła do szpitala, więc nie może być z nami na wakacjach”.

Przez pierwsze tygodnie bez dzieci czułam, jakby ktoś mi wyrwał część mnie razem z sercem.

Nie byłam w stanie normalnie funkcjonować. Za namową przyjaciółki poszłam do psychiatry. Ten wytłumaczył mi, że w życiu są takie momenty, kiedy zaskakuje nas sztorm i wypadamy za burtę. Wtedy zażycie leku działa tak, jakby ktoś nam rzucił koło ratunkowe. Gdy dopłyniemy do brzegu i sytuacja się ustabilizuje, możemy lek odstawić.

Po pierwszej fazie płaczu i bolesnego marazmu przeszłam do desperackich aktów ogłaszania świata, jak bardzo jestem zraniona. Nie wiem, czy to za sprawą leków, które miały głównie podwyższyć mi poziom serotoniny we krwi, czy to za sprawą mojej wielkiej tęsknoty i poczucia niesprawiedliwości, ale zaczęłam działać z potrójną siłą.

Pisałam do przyjaciół, urzędów i instytucji. Uaktywniłam swoje konto na Facebooku. Chciałam, żeby wszyscy wiedzieli, jakim człowiekiem jest ojciec moich dzieci. Nawet udzieliłam wywiadu jednemu z popularnych pism. Wiem, że po nim usunięto Krystiana z rady nadzorczej. Skontaktowałam się nawet z Rzecznikiem Praw Dziecka.

Gromadziłam dowody na kłamstwa oraz łapówki, które stosował mój partner w całej procedurze zabierania mi dzieci. Byłam przerażona tym, co odkrywałam... Ilu ludziom wystarczy kilka lub kilkadziesiąt tysięcy, żeby składać kłamliwe zeznania...

Odbyło się kilka rozpraw, na szczęście oddalono wniosek o odebranie mi praw rodzicielskich.

Wydaje mi się, z perspektywy czasu, że najtrudniejszy moment po dwóch miesiącach niewidzenia dzieci spotkał mnie, kiedy stałam pierwszego września za ogrodzeniem szkolnym, patrząc, jak wchodzi ze swoim ojcem do szkoły. Nie widziałam ich całe wakacje. To taki ból, który rozdziera od środka i nie pozwala oddychać...

Czułam się, jakby ktoś mnie kroił na części. Nie dałabym sobie rady bez wsparcia dwóch przyjaciółek. Jedna z nich pożyczyła mi pieniądze na przetrwanie, druga prawie codziennie odwiedzała mnie, sprawdzając, czy cokolwiek jem.

Prawda jest taka, że przez pierwszy miesiąc zmuszałam się do jedzenia.

Moja cera zszarzała, zdrowie się pogorszyło. Najgorsze były bezsenne noce. Gdy tylko zamykałam oczy, śniły mi się dzieci. Paulinka z płaczem

wyciągająca ręce, a Mateuszek wołał: „Mamo! Chodź tu!”.

Wydałam wszystkie oszczędności. Gdy pojechałam do urzędu dzielnicowego, żeby złożyć wniosek o świadczenie 500 plus, okazało się, że Krystian już kilka miesięcy wcześniej zadbał o to, aby również i ta kwota szła na jego konto.

Myślę, że przycisnął guzik „Zniszczę cię”, gdy tylko powiedziałam mu, że chcę odejść.

Mieszkałam w tym wynajętym przez niego mieszkaniu do czasu, aż przestał nagle płacić czynsz. Gdyby nie to, że znajoma zaoferowała mi pracę u siebie w firmie, wylądowałabym chyba w jakimś domu opieki. Bo nawet do domu samotnej matki bez dzieci nie miałabym wstępu.

Obecnie jaką mam sytuację?

Ledwo wiązę koniec z końcem, wynajmuję skromne mieszkanie w pobliżu szkoły moich dzieci.

One mieszkają tylko z ojcem. Bezprawnie, bo nie pozbawiono mnie praw rodzicielskich. Widuję je „na SMS-a”. Krystian wysyła mi wiadomość i następnego dnia przywozi dzieci na dwa, góra trzy dni.

Nie mam pieniędzy. Kilka tygodni temu okazało się, że mam raka. Biorę chemię. Ale cieszę się, że w ogóle żyję. Przecież wiesz, jak łatwo jakiś wynajęty zbir mógłby na przykład „niechcący” potrącić mnie samochodem. Podobno w dzisiejszych czasach taką usługę można zamówić sobie online.

Czas bycia załęcznioną mam na szczęście za sobą.

Mój eks przestał mnie już straszyć. Myślę, że pomogło to, że ma kolejną partnerkę.

Nowa kobieta? Niezależna, na stanowisku, z dzieckiem w wieku idealnym do zabawy z moimi.

Uwiedzenie i podporządkowanie sobie silnej kobiety stanowi dla niego takie samo przeżycie jak kupienie sobie kolejnego samochodu sportowego. Jest wyzwaniem finansowym, cieszy i przy eksploatacji daje więcej satysfakcji niż związek ze „zwykłą” – czyli bez wysokiego stanowiska i należnych znajomości, które można w prosty sposób spożytkować.

Ten temat obchodzi mnie tylko dlatego, że dotyczy pośrednio moich dzieci... Ja teraz jedynie trzymam kciuki, żeby nie dochodziło do kolejnych sytuacji przemocowych wobec niej i przy moich dzieciach.

Paulinka mówi: „Ona czasem jest miła. Jeździ, mamo, twoim samochodem i z daleka wygląda, jakbyś to ty jechała” albo „Smaży nam naleśniki, ale nie są tak dobre jak twoje”.

Czasem smutnieje i opowiada mi, jak w restauracji tata razem z tamtą robią żarty na temat mojej tuszy. Na przykład Krystian mówi Tadziowi: „Nie jedz tyle, bo będziesz wyglądał jak świnia albo jak mama”. I wtedy wszyscy przy stole wybuchają śmiechem.

Ciężko jest mi tego słuchać. Ale jeśli wytrzymałam to wszystko, co przeszłam, to te żarty są akurat najmniejszym problemem.

Ale wiesz, ta nowa już chyba zorientowała się, z kim ma do czynienia. Paulinka opowiada, że codziennie się kłóca. Tych opowieści – często dla mnie bolesnych – wysłuchuję w milczeniu. Dzieci mają potrzebę wygadania się. Ale sama nie poruszam takich tematów. Życie na dwa domy i nowa partnerka taty to dla nich wystarczająco wiele wyzwań.

Kiedy myślę o mojej następczyni, to dziwię się, że nie chciała choćby napić się ze mną kawy, żeby zapytać o Krystiana. W końcu mam z nim troje dzieci i lata związku za sobą.

Wiesz, ja naprawdę bardzo dużo teraz czytam o tego typu osobowościach. Spotykam się z kobietami, które walczą z przemocą.

Może rozmowa ze mną sprawiłaby, że nie pozwoliłaby Krystianowi na tak wiele? Cofnij – to naiwna myśl! Przecież jeśli nie ta kobieta, z pewnością znalazłaby się kolejna...

Przecież my mówimy o „wspaniałym” przedsiębiorcy, milionerze jeżdżącym luksusowym samochodem z szoferem. Zapraszany na przyjęcia przez znanych i liczących się ludzi i zaangażowanym w sprawy polityczne...

A tam aż roi się od zaburzonych typów.

Tak... dużo czytałam na ten temat, ale uwierz mi, że wiedza teoretyczna, owszem, przydaje się, porządkuje, daje poczucie bezpieczeństwa. Wzmacnia. Ale gdy przychodzi rzeczywistość i ktoś cię niszczy, zabierając wszystko, co najdroższe, jesteś bezbronna i autentycznie cierpisz. Każda kobieta reaguje na swój sposób. Jedne się zamrażają, wypierają, inne idą w chorobę.

Ja, tak jak ci mówiłam, najpierw nie wychodziłam z łóżka, nie mogłam jeść ani spać. Bardzo dużo płakałam. Potem zaczęłam wymiotować, jak już coś zjadłam... Za tym automatycznie przyszła choroba.

Ale w trzeciej fazie obudziłam się i zaczęłam walczyć o dzieci i siebie. Tak, najpierw o dzieci...

Dopiero jak nowotwór zaczął się rozwijać i zaczęłam leczenie chemią, psychoonkolog wytłumaczyła mi, że muszę się skupić na sobie.

Dawać sobie należne mi miejsce i dbać o siebie jak o własne dziecko. To było dla mnie najtrudniejsze... Ale robię postępy.

Dlatego po tych wszystkich bolesnych doświadczeniach wiem, że moim zadaniem nie jest zastanawianie się „Co by było gdyby”. Mleko się rozlało, a ja muszę w tym wszystkim ogarnąć siebie i dzieci najlepiej, jak potrafię. Muszę dać im poczucie bezpieczeństwa i normalność.

Jestem bardzo z nich dumna i... Są kochane, mądre, czułe... I tak szybko rosną! Dla nich się nie poddam. To one dodają mi siły do życia i do walki z chorobą. A każdy dzień z nimi to moja wygrana.

Wiesz, ja teraz cieszę się z najprostszych rzeczy, na przykład z tego, że zadzwoniła koleżanka i powiedziała, że jak się tylko lepiej poczuje, da mi pracę i że nie będę się martwić o to, co włożę do garnka. Cieszę się, że dziś zobaczę dzieci i razem będziemy smażyć naleśniki. I zostaną u mnie do jutra. I będziemy czytać *Tajemniczy ogród*. I będziemy się przytulać. Z Paulinką zjemy kisiel – ona uwielbia poziomkowy. A Mateuszka pogilgoczemy – on się tak słodko śmieje... Dla Tadzia kupiłam kredki – on tak uwielbia rysować...

Moje dzieci czasem mi mówią, że jak będą starsze, to uciekną od taty i że będziemy razem żyć długo i szczęśliwie.

Ja się wtedy uśmiecham i myślę sobie, że może już być tylko lepiej.

KAROLINA

Dom na przedmieściach Paryża. Ceglane ściany gęsto obrośnięte dzikim winem. Mały wypielęgnowany ogródek, krótko przystrzyżona trawa. Obok huśtawka, piaskownica, grządka z kwiatami. Drzwi otwiera piękna kobieta w błękitnej sukience. Długie, jasne włosy miękko opadają na ramiona.

– Wejdz, proszę – zaprasza z uśmiechem.

Tylko podkrążone oczy zdradzają zmęczenie. Siadamy na sofie w salonie. Półki pełne są książek i zdjęć: Karolina z dwiema córkami na wycieczce w Krakowie; rodzinne święta w Polsce, dużo ludzi przy stole; na następnym młodsza na koniu, obok – starsza w objęciach mamy ściska sporych rozmiarów statuetkę. Karolina łapie mój wzrok:

– Inga wygrała konkurs talentów pół roku temu, Kama zakochała się w koniach. Chce startować w zawodach. Trochę się tego boję, to niebezpieczny sport, ale sama wiesz, jak się dziecko uprze...

W czajniku na stole parzy się herbata, na talerzu kusi wielka szarlotka. Pachnie cynamonem.

Karolina napełnia filiżanki, kroi ciasto, poprawia kwiaty w wazonie.

– Cieszę się, że jesteś. Z nikim, poza dziewczynkami, nie mogę tu porozmawiać po polsku. Czasem wpadnie koleżanka z szesnastej dzielnicy, wtedy jest szansa. Do kraju szybko nie pojedę. Mogę oczywiście sama, bez dziewczynek i tylko wtedy, gdy są pod opieką Wiktora. Inaczej – nie ma mowy. A urlop wolę wykorzystywać na bycie z dziewczynkami. Ich nie mogę zabrać do ojczyzny już prawie dwa lata. Taka była decyzja sądu. Dzięki temu Wiktor skutecznie odcina je od rodziny i ojczyzny. Dobrze, że przynajmniej znów mam swój paszport. A całkiem niedawno mi go odebrali.

OPOWIEŚĆ KAROLINY

Otwierają się drzwi, uderzają z hukiem o ścianę. Oto wchodzi pan i władca i rzuca od progu: „Co, smycz za długa? Wynocha do kuchni”. „Nie odzywaj się tak do mnie – wydukałam – przecież dziewczynki słuchają”. „I bardzo dobrze. Niech się uczą, że miejsce mamy i deski do krojenia jest w kuchni i w domu nie robimy syfu”.

Poznała nas moja koleżanka. Wiedziała, że jestem po rozstaniu z Alexandrem – Hiszpanem, miłością mojego życia – i że mam złamane serce. Potrzebowałam oddechu i odmiany. Potem okazało się, że działała na zlecenie Wiktora, ale o tym później.

„Chodźmy na to przyjęcie, proszę. Nie musisz się specjalnie szykować, to fajni, normalni ludzie. Rozerwiesz się, pogadasz. To ci dobrze zrobi” – mówiła. Uległam. Wiktora wypatrzyłam od razu. Stał oparty o futrynę drzwi do biblioteki gospodarzy. Przeglądał jakąś książkę. Idealny pretekst do rozmowy.

„Co czytasz?” – zapytałam. „Wkręciłem się w *Boże igrzysko*” – odpowiedział, nawet nie podnosząc wzroku. Wydał mi się nieco obcesowy. „Interesuje cię historia Polski?” – ciągnęłam niezrażona.

Rozmowa nie potoczyła się ani w kierunku literatury, ani w kierunku historii Polski – po czasie okazało się, że żaden z tych tematów zbytnio go nie interesował. Wrażenie samotnika i zainteresowanie książkami sprawiły, że złapał mnie jak rybkę na wędkę.

Sama się dziwiłam swojej zaczepności. Zwykle raczej brakuje mi odwagi i zdecydowanie nie odzywam się do nieznanym mężczyznom. Szczególnie wtedy, gdy najwyraźniej nie szukają towarzystwa. Do dziś nie umiem wyjaśnić, skąd się wzięła we mnie osobliwa determinacja do zawarcia tej znajomości. Kieliszek wina dodał mi odwagi? Nie, raczej nie. Niezrozumiałe „coś” ciągnęło mnie do tego, żeby poznać tego chmurnego jegomościa w domu przyjaciół mojej koleżanki. Kto wie, jak potoczyłoby

się życie, gdybym wtedy poddała się i nie próbowała przebić przez pierwszy mur obojętności. Kto wie, co by było, gdyby on później nie zechciał mnie odszukać.

Teraz tłumaczę sobie, że to pewnie lekcja, którą moja dusza musiała odrobić, żeby tym cierpieniem przejść na wyższy stopień świadomości. Że to moja karma.

„Jestem po kursie historii na prawie” – wydusił z siebie, spoglądając mi wreszcie w oczy. Widziałam, że nie żałował oderwania się od książki. To ten krótki moment, gdy kobieta nie ma cienia wątpliwości, że właśnie spodobała się mężczyźnie. „Przepraszam, wybacz moją arogancję” – wyprostował się jak struna. „Rzeczywiście, wsiąknęłam w Davisa, Wiktor Nowowiejski” – przedstawił się. „Karolina Łaniewska” – odpowiedziałam, lekko urażona początkowym ignorowaniem. „Teraz ja muszę cię przeprosić. Wracam do towarzystwa”.

Przez resztę wieczoru Wiktor uważnie mi się przyglądał. Tak, widziałam bardzo wyraźnie, że wodzi za mną wzrokiem, choć nie miał odwagi podejść. Może czuł się niezręcznie po niespecjalnie budującej scenie poznania? Tak właśnie to sobie tłumaczyłam. Czy czekałam na krok z jego strony? W jakimś sensie tak. Byłam przyzwyczajona, że mężczyźni się za mną uganiają. To pewnie zabrzmiało nieskromnie, ale wiedziałam, jakie robiłam na nich wrażenie. Jakie wciąż robię.

Kiedyś pracowałam jako modelka, reklamowałam ubrania i kosmetyki. Nasłuchiwałam się komplementów, ale też – muszę przyznać – poznałam od kulis tę branżę. Zawsze jednak stawiałam na intelekt, dobre studia i znajomość języków; modeling był tylko czymś dodatkowym.

Dobijałam wtedy trzydziestki. Wiesz, to niełatwy moment w życiu kobiety, która nie założyła jeszcze rodziny i nie urodziła dzieci. Bardzo, naprawdę bardzo chciałam je mieć. Ogromnie zależało mi na własnym domu, dużym stole, porannym gwarze, gotowaniu obiadów, na dzieleniu się szczęściem. Gdy na mojej drodze stanął Wiktor, byłam już kobietą spełnioną. Kierowałam dużym zespołem w międzynarodowej korporacji, zarabiałam spore pieniądze, miałam spłacone mieszkanie na Żoliborzu. Pełnia szczęścia. Prawie. Nie liczyłam na sklejenie serca po ostatnim związku z Alexem, nie liczyłam na wielką miłość. Brakowało mi tylko dzieci, o których zawsze marzyłam. Tak, zawsze chciałam być mamą...

Pochodzę z dużej, kochającej się rodziny. Kiedy myślę „dom”, mam przed oczami obraz moich rodziców, mamy piekącej ciasta, uśmiechniętego taty, który przynosi jej bukiet kwiatów czy robi inną niespodziankę. Widzę moją cudną siostrę wyprawiającą rodzinne przyjęcia w magicznym domu, który sama stworzyła, i rozgardiasz pełen śmiechu i miłości. Piękny, niedościgniony wzorzec. Jego odtworzenie było moim wielkim marzeniem. A czułam, że to już czas. Że jeśli go prześlę, to potem będzie za późno...

Kiedy więc następnego dnia zadzwonił telefon, domyślałam się, kogo usłyszę w słuchawce. „Cześć, tu Wiktor. Ten niewychowany gbur z Davisem w ręku. Poznaliśmy się wczoraj na przyjęciu, pamiętasz? Nie przeszkadzam? Zachowałem się jak dupek, dzwonię, żeby cię przeprosić i zapytać, czy nie przyjęłabyś zaproszenia na lunch na zgodę. Co o tym sądzisz?”

To było miłe, prawda? Facet się zmiłogował, zadał sobie trud, żeby zdobyć numer, zadzwonił. Jak to się mówi? Wyszedł ze swojej strefy komfortu. Spodobało mi się. Umówiliśmy się za kilka dni w małej knajpce w centrum. Czekał na mnie wyraźnie stremowany, pod krawatem i z kwiatami. Wydał mi się taki uroczy, trochę nieporadny, zakłopotany. Przepraszał kilka razy: „Nie mam pojęcia, dlaczego tak się zachowałem, raz jeszcze proszę, wybacz. Faceci pewnie baranieją na twój widok, mnie się to też najwyraźniej przytrafiło”. Uśmiechał się jak dziecko, które nabroiło i chce załagodzić sytuację. Potem już poszło.

Później dowiedziałam się od koleżanki, która nas poznała, że sobie mnie upatrzył i wybrał w necie. Nawet po latach pokazał mi moje zdjęcie w błękitnej bluzce z jakiegoś pokazu mody, które go zachwyciło. Wybrał, zdobył, po czym zaczął wdrażać swój mistrzowski plan niszczenia mnie, zaczynając od odizolowania mnie od rodziny, czyli wywiezienia z ojczyzny.

Gadaliśmy bardzo długo – o podróżach, filmach, o naszych marzeniach. Były zaskakująco zbieżne – chcieliśmy mieć do kogo wracać, z kim podróżować, cieszyć się życiem.

Wiktor był młodszy ode mnie o trzy lata, ale mówił, jakby był starszy o co najmniej dekadę. Wyglądał też na starszego, był przy kości i ubierał się staromodnie, ludzie więc dziwili się, gdy mówiłam, że to ja jestem starsza. Przekonywał, że odpowiedzialność jest najważniejszą cechą mężczyzny, że

ktoś, kto zakłada rodzinę, decyduje się na ważną rolę, którą będzie grać do końca życia.

„Co za facet!” – myślałam z podziwem. Ja też mu się podobałam. Widziałam to i czułam. Robił wszystko, żeby przedłużyć nasze spotkanie. Wymyślał nowe tematy i nowe preteksty, żeby odwlec moment rozstania. Odwiózł mnie do domu. Wyszedł z samochodu, otworzył mi drzwi, pomógł wysiąść, zanieść kwiaty. Pocałował w rękę i zapytał: „Dasz mi jeszcze jedną szansę? Obiecuję jej nie zmarnować”.

Zaczęliśmy się spotykać. Meldował się od razu, gdy wracał do kraju. Często wyjeżdżał, robił wtedy staż prawniczy w Luksemburgu, szykował się do pracy w kancelarii obsługującej Parlament Europejski. Imponowało mi to. Młody, niezwykle ambitny, wrażliwy, pełen pięknych myśli i ideałów o dobrze funkcjonującej unijnej maszynerii. Zawsze przynosił mi kwiaty, drobne prezenty. Zawsze starannie ubrany, w coraz to lepsze garnitury. Widziałam, jak się rozwija, że lepiej mu się powodzi. „Robię to dla nas, Karolinko” – wyznał pewnego dnia i już wiedziałam, że to coś więcej niż tylko randki i patrzenie sobie w oczy.

Zamieszkaliśmy razem. Wciąż było wspaniale, choć... no właśnie. Dwa, może trzy razy zdarzyło mu się wkurzyć. „Normalna rzecz – myślałam – ludzka”. A może to były sygnały, po których powinnam uciekać gdzie pieprz rośnie?

Nie przypominę sobie powodu pierwszych wybuchów. Pamiętam za to ten, nazwijmy go, „spektakularny”. Pracował wtedy w Brukseli i w Warszawie, właściwie nie wysiadał z samolotu; w domu był gościem. Wrócił któregoś wieczoru i zaczął szukać teczek z dokumentami na biurku.

„Widziałaś papiery? Kładłem je ostatnio obok drukarki”. „Kochanie, była pani Oksana, może przełożyła gdzieś na półkę, poszukaj sobie” – poradziłam. „Jakie: poszukaj sobie? Co ty do mnie mówisz, Karolina? To materiały z potężnej fuzji, dlaczego jakaś głupia sprzątaczką ich w ogóle dotyka?” „Nie wyrażaj się o Oksanie w ten sposób. Nie życzę sobie. A na przyszłość, jak masz coś tak niezwykle ważnego, to tego pilnuj, a nie, masz teraz pretensje”.

Szczeńka ruszała mu się od dłuższej chwili, ale nie sądziłam, że wybuchnie do tego stopnia. Nagle jak nie palnie laptopem o podłogę! „Kurwa mać!” – wrzasnął. „Ma się to znaleźć natychmiast, bo twój komputer też rozwalę!”

Zapomniałam dodać, że urządzenie, które padło ofiarą Wiktorowej wściekłości, to był jego własny, prywatny laptop, wychuchany i wygłaskany, oczko w głowie. Kiedy ochłonął, zaczął zbierać części z podłogi i był wściekły, że zniszczył swojego, a nie mojego laptopa.

„Psiakrew, no. Widzisz, poniosło mnie, ale to naprawdę dla mnie ważne. Zrozum, że jeśli coś położę w jednym miejscu, to chciałbym, żeby to w nim leżało, gdy będę tego szukać. Myślisz, że uda się poskładać tego kłamota? Znasz dobre miejsce?”

Znałam pana Darka, złotą rączkę od komputerów. Zniosłam laptopa do Hali Mirowskiej i jakoś się udało uratować chociaż twardy dysk.

My też ochłonęliśmy. Chyba go wtedy nawet usprawiedliwiałam, że ma nerwową pracę, niespokojny czas, że ma prawo się wkurzyć. Więcej do tego nie wracaliśmy.

Oświadczył się, gdy pojechaliśmy na majówkę, w Dolinie Chochołowskiej pełnej krokusów. Uklęknął i wyjął z kieszeni pudełeczko z najpiękniejszym – jak wtedy myślałam – małym różowym diamencikiem. Oczywiście, że się zgodziłam. Byłam najszczęśliwsza na świecie. Pierwszy – cywilny – ślub wzięliśmy na plaży na Sycylii. Kochaliśmy południe Włoch. „Tu będzie nasz dom” – powtarzał Wiktor. Towarzyszyli nam tylko nasi rodzice i moja siostra. Właśnie, rodzice. Mówiąc precyzyjnie – moi w komplecie, ze strony Wiktora – mama i ojczym, Kristof, Szwajcar. O biologicznym ojcu Wiktora nie dowiedziałam się niczego. Nie wiem nic do tej pory. Znam wersję, że zginął w wypadku samochodowym. Nigdy jednak nie widziałam żadnej jego fotografii ani grobu. Kiedy o nie pytałam, słyszałam, że nic się nie zachowało, bo „w tych czasach” rzadko robiło się zdjęcia. Moje zdziwienie było jeszcze większe, gdy któregoś dnia Wiktor wrócił do domu i oświadczył, że zmienia nazwisko. Już nie będzie się nazywać Nowowiejski, tylko Strups.

„Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego mówisz mi dopiero teraz?” – pytałam, nie kryjąc zdziwienia. „Karola, nie rób afery. To proste. Wiele zawdzięczam Kristofowi, był i jest dla mnie jak ojciec. Wychował, karmił,łożył na wykształcenie. Mojemu ojcu już wszystko jedno, a dla niego i matki to ważne. Rozumiem, że też zmienisz nazwisko, prawda?”

Tak, postawił mnie pod ścianą i oczekiwał deklaracji. Miałam gułę w gardle. Tak się mówi? Gułę? Wychodziłam za mąż za Nowowiejskiego, a teraz okazuje się, że jestem żoną (Von sTrupsa?) Strupsa... Byliśmy jeszcze przed ślubem kościelnym, może mogłam się wycofać? W końcu

rozwód cywilny jest dużo łatwiejszą procedurą niż unieważnienie ślubu kościelnego, prawda? Oczywiście, że mówię to z dzisiejszej perspektywy. Wtedy nie myślałam o żadnym rozstaniu. Było mi z nim dobrze, tzw. *perfect timing*, jeśli chodzi o związek i zakładanie rodziny. Wiedziałam, że on jest tą stroną, która kocha bardziej. Był czuły, serdeczny i bardzo hojny, przytulał mnie codziennie przed snem. Doskonale mnie znał, wiedział wszystko o moich potrzebach i marzeniach, bez przerwy trafiał w dychę.

„Dobrze” – zgodziłam się. Dziś wcale nie jestem pewna, że swoje ówczesne „dobrze” rzeczywiście przemyślałam.

Nie wyobrażałam sobie, żeby mieć inne nazwisko niż mój mąż. Nie mieściło mi się w głowie, żeby dzieci nosiły inne niż ja. Zostałam skonfrontowana z faktem, ale nie miałam siły ani odwagi na bunt i zadawanie kolejnych pytań. Stało się i koniec kropka. Nad czym tu dumać, kiedy w szafie wisiała już gotowa biała sukienka i długi welon?

Wesele nie było specjalnie huczne, ale gości zaprosiliśmy znacznie więcej niż na naszą sycylijską uroczystość, to fakt. Podobnie jak to, że ze strony pana młodego przybyła ledwie garstka. Mama, ojczym, jego syn z poprzedniego małżeństwa i siostra mamy z rodziną. Koniec listy. „Mamy specyficzne relacje rodzinne” – tak zwykle Wiktor kwitował moje próby dopytywania się o tamtą stronę drzewa genealogicznego naszych przyszłych dzieci.

Później dowiedziałam się, że rodzina po jego stronie jest duża, jednak z większością są skłócenia i nie utrzymują kontaktów.

Kontrast był ogromny – moja duża, kochająca się rodzina i jego trzy osoby przy wigilijnym stole. Teściowa nie utrzymywała kontaktu ani ze swoją matką, ani ojcem.

Bywało, że w święta pojawiała się jej siostra z dziećmi, w zależności od tego, czy była w łasce, czy w niełasce. Dodatkowo cała rodzina Kristofa, ojczyma Wiktora, mieszkała w Szwajcarii, a on widywał ich najwyżej raz w roku.

Dzieci nie mogłam się doczekać. Marzyła mi się gromadka, kiedy więc na świat przyszła Inga, zwariowałam ze szczęścia. Boże, ileż to było radości! Jeszcze z brzuszkiem urządziłam różowy pokój na Żoliborzu, kupowałam tony śpioszków, kocyków i mikroskopijnych sukieneczek. Wiktor z każdego wyjazdu też przywoził przepiękne rzeczy. Dwa miesiące przed

terminem wziął urlop, żeby na pewno być przy mnie, kiedy przyjdą skurcze i zaczniesz się poród. Byłam mu za to bardzo wdzięczna. Tak mnie wychowano – w przeświadczeniu, że trzeba dziękować, doceniać, okazywać szacunek i miłość. Myślałam, że takie zachowanie sprawi, że druga strona odwzajemni wszystkie dobre emocje. Wierzyłam, że dobro wraca. Niestety nie w przypadku Wiktora.

Po Indze na świat przyszła Kama. Jeszcze w Polsce. Wtedy nadal próbowałam być szczęśliwa, próbowałam zapewnić dzieciom szczęśliwy dom. Niestety dopadła mnie depresja poporodowa, którą trudno jest zrozumieć komukolwiek, kto tego nie doświadczył. Wydawało mi się, że otrzymałam wsparcie, kiedy na własne życzenie zgłosiłam się do szpitala, aby dojechać do siebie. Później w listach prawników czytałam, że jestem głęboko chora psychicznie i zostałam zamknięta w szpitalu psychiatrycznym.

Ważne też, żebyś wiedziała, że na depresję cierpiałam po skończeniu studiów i pięcioletniej relacji z moim pierwszym chłopakiem. Mówiłam o tym Wiktorowi przed ślubem – podkreślając, jak bardzo boję się powrotu depresji. Bo ten, kto jej zaznał, już zawsze boi się nawrotu choroby. Odpowiedział na to, że przy nim nigdy nie będę smutna.

Wiktor dużo wyjeżdżał w interesach, wkrótce dostał pracę na naszej wymarzonej Sycylii. Wyjechaliśmy całą czwórka. Musiałam zrezygnować z pracy, bo ktoś przecież powinien zajmować się dziewczynkami. Nie chciałam ich oddawać w ręce nianie i – żeby była jasność – nie żałuję ani chwili spędzonej razem, bo to najpiękniejsze doświadczenie, jakie mi się mogło przydarzyć – być mamą, podarować całkowitą uwagę dzieciom, zalewać je miłością i cieszyć się z każdej chwili razem. Oczywiście momentami nie było to łatwe, a później się okazało całkowicie niedoceniane, a wręcz obróciło się przeciwko mnie. Ponieważ porzuciłam pracę, nie zarabiałam, nie rozwijałam się zawodowo i nie piłam po szczeblach kariery, stopniowo zwiększając zarobki. Później, w batalii sądowej – której nigdy nie chciałam – nie było mnie stać na prawników i sama się nieudolnie reprezentowałam, co chwila wzywana do sądu.

Kiedy zauważyłam, że związek się sypie? Problem polega na tym, że wcale nie zauważyłam. Przemoc jest jak bezwonny trujący gaz, o którym się nie wie, aż cię zadusi.

Skupiłam się na dzieciach, przestaliśmy być małżeństwem, a zaczęliśmy być tylko rodzicami, a właściwie tylko ja byłam rodzicem za nas dwoje. On podróżował... policzyłam – nie było go 142 dni, prawie 5 miesięcy, czyli czterdzieści procent czasu w roku.

Przyzwyczaiałam się, że mąż popędza mnie i pokrzykuje. Coraz bardziej, z coraz bliższych powodów. Już nie byłam piękną, niedoścignioną najlepszą partią, kochanką wartą rozpieszczania, tylko stałam się kucharką i sprzątaczką. A właściwie kiepską kucharką i fatalną sprzątaczką. Pod każdym względem ułomną beznadzieją.

W rodzinnym domu nigdy tego nie słyszałam, ale po kilku latach przyzwyczajania się do podniesionego tonu traktowałam to jako oczywistą oczywistość. Dopiero moja znajoma zwróciła mi uwagę, że to nie jest w porządku, gdy pan domu od progu woła zdawkowe „Jeść!”, zanim powie „Dzień dobry” albo „Co słyhać?”.

Nagle zrobił się bardzo cięty na porządek. Bywało tak, że dzwoniłam do niego ze słowami: „Wiktor, daj mi jeszcze chwilę, nie śpiesz się. Jeszcze gotuję obiad, nie zdążyłam posprzątać, proszę, nie chciałabym, żebyś się niepotrzebnie denerwował”. Tak bardzo chciałam uniknąć spięcia, a i tak do niego dochodziło. Nawet jeśli jakaś część mnie czuła dyskomfort, to komu miałam się poskarżyć? Nikogo nie znałam w Palermo. Poza tym uchodziliśmy za wzorową, katolicką rodzinę, bez awantur i ekscesów. Zadzwonić do rodziców? I co miałam im powiedzieć? Że mąż ograniczył moją rolę do bycia kiepską służącą? Miałam ich denerwować? Rozczarować ich tym, że tak bardzo nie umiem sobie poradzić w życiu? Dziś myślę, że nasze oddalenie od kraju, przymusowa emigracja „za mężem” to była część jego planu obliczonego na wepchnięcie mnie w mysią dziurę. Żałuję, że mnie nie uderzył, wiesz? Pewnie wówczas szybko spakowałabym manatki. A tak – wydawało mi się, że wszystko da się posklejać, naprawić. Zrobił to tylko raz i wtedy sobie poprzysięgłam, że jeśli się to powtórzy, odejdę. Nie było następnego razu, tylko maltretowanie psychiczne i codzienne duże i małe upokorzenia.

Szukając pomocy, poszłam na grupę wsparcia dla kobiet w przemocowych związkach. Zrobiłam to z rezerwą, bo myślałam, że gdzie tam moja sytuacja w porównaniu z historią innych kobiet: bitych, przyduszanych czy gwałconych. Jedna z tych kobiet podeszła do mnie na przerwie i powiedziała, że słysząc moją historię, pomyślała, że właśnie psychiczna strona przemocy była według niej gorsza niż ta fizyczna.

Wiktor sprytnie dawkował mi emocje. Potrafił być kochany i czuły. Przychodził z kwiatami i szeptał do ucha, że jestem jego delfinkiem, kobietą jego życia, że mamy rodzinę, dom i trzeba zrobić wszystko, żeby być razem. Po epizodach szczęścia przychodziło piekło. Awantura dzień w dzień. O pierdołę. Najgorsze było to, że podnosił rękę na dzieci.

Kiedyś wrócił późno do domu, choć obiecywał, że poczyta dziewczynkom do poduszki. „Idź na górę, pożegnaj się chociaż z nimi, daj buziaka na dobranoc” – prosiłam. „Kobieto, dajże mi spokój, miałem ciężki dzień, pewnie już śpią. Jutro do nich pójdę” – odpowiedział, żeby zalec na kanapie. „Wiktor, one czekają”.

Zwłóknął się wkurzony i wdrapał się na górę. Słyszałam, że Inga wyszła z łóżeczka i nie chciała wrócić do niego. Usłyszałam krzyk, płacz i jego: „Kurwa mać!”. Nie wiem dokładnie, co się stało.

Kiedy wbiegłam po schodach, zobaczyłam Ingunię leżącą buzią do poduszki, zanoszącą się płaczem, i wielkiego, dorosłego faceta, który stał nad nią i darł się: „Przestań wyc, gówniario, daj mi spokój!”.

„Łączka, mama, łączka. Boli” – szlochała Inga. Kiedy próbowałam wziąć ją w ramiona, syczała z bólu. „Łączka, mama” – powtórzyła. Wiedziałam, że musiał ją mocno szarpnąć. Z dziecięcego opisu ułożyłam przebieg zdarzeń: przeciągnął ją kilka metrów przez cały korytarz do sypialni po podłodze, podniósł za sama rękę i rzucił z impetem do łóżka. Inga nie mogła jej zginać przez prawie miesiąc. Patrzyłam ze łzami w oczach, gdy w przedszkolu bawiła się tylko jedną rączką, a drugą miała podwiniętą i nieruchomą.

Żałuję, że nie poszłam do lekarza zrobić obdukcji, żałuję, że nie zrobiłam doniesienia na policję. Wstyd mi, wyrzucam to sobie. Zadzwoniłam tylko do wujka lekarza, wymyślając, że Inga naderwała ramię, zwisając z gałęzi. Wytłumaczył mi, co robić i jak dbać, żeby szybko doszła do siebie. Pamiętam, że malutka Inga prawie nie odzywała się do ojca, pewnie około miesiąca. Nie mogę sobie wybaczyć, że nie ochroniłam moich dzieci – przed przemocą, awanturami, ojcowską manipulacją. Przecież to główne zadanie matki, samicy. Cierpnie mi skóra na samo wspomnienie, że nie umiałam walnąć pięścią w stół, nie mogę sobie podarować, że nie zatrzymałam uniesionej w górę ręki, gdy ojciec wymierzał klapsy.

Miał tak zwany krótki lont. Wystarczyło dziecięce marudzenie albo płacz, żeby bez zastanowienia... no... wiesz... Nie zapomnę sceny, gdy

dwuipółletnia wtedy Kama dostała ataku hysterii. Chodziło o wyjście na spacer. Inga była już gotowa, ubrana w kurteczkę, a Kama uparła się, że będzie się bawić w domu klockami. Jak to dziecko – położyła się na podłodze i zaczęła uderzać małymi piąstkami o ziemię. Uspokajałam ją, chciałam załagodzić, przeczebrać atak i robić swoje, ale Wiktor nie wytrzymał.

„Ja cię nauczę, pierdolona wariatko!” – ryknął i całym ciałem przycisnął małą. Widzisz to? On, wielki, studwudziestokilowy facet siada z impetem na drobne, wierzgające i wyjące, dziecięce ciało. Próbowałam go odciągnąć, ale to było ponad moje siły.

„Zostaw ją, słyszysz? Natychmiast ją zostaw! Przecież to boli” – prosiłam.

Nie słuchał. Krzyczał na nią i przeklinał z pianą na ustach. Przerazona Kama krzyczała jeszcze bardziej, ja płakałam, aż w końcu Kama zsiadała się w majtki, ze strachu. Przed własnym ojcem.

„Psepraszam, psepraszam...” – powtarzała z główką schowaną w ramionach. Chciałam równocześnie tulić córeczkę i walić po gębie jej ojca. Tak, dokładnie tak. Takimi dokładnie słowami muszę to określić. Do dziś nie wiem, co mnie powstrzymało przed uderzeniem Wiktora. Strach, że odda? Dobre wychowanie? Wrodzony pacyfizm, który wyklucza wszelką agresję, nawet w obronie potomstwa? Boże drogi... Nie wiem. Nie każ mi stawiać diagnozy w mojej własnej sprawie.

Wtedy i w każdym następnym przypadku ojcowskich klapsów, kazałam Wiktorowi przeproszać dziewczynki. Wiedział, że nie żartuję, że nie ma szans na „wymiganie”. Pilnowałam tego. Wiem, marna pociecha i żadne to dla mnie usprawiedliwienie, ale za każdym razem, gdy widziałam, jak je krzywdzi, domagałam się słowa „przepraszam” dla nich. Kama długo pamiętała tę chwilę, bała się ojca. Uciekała od niego, chowała się za regał z lalkami, powtarzając po swojemu: „Ziostaw mnie, tata, nie jusz!”.

Pękało mi serce. Już wiedziałam, że dni życia w iluzji spokoju są policzone. Próbowałam jeszcze reanimować trupa naszego związku, wiedząc, że to wyłącznie – jak to mówią w medycynie – „uporczywa terapia”. Nie byłam gotowa na rozstanie. Nie byłam zdolna do eutanazji tej małżeńskiej fikcji. To by była absolutna klęska. Zawiodłabym siebie, rodziców, rozbiła świat dziewczynek. „Przecież jeszcze nic takiego złego się nie dzieje” – nie pije i prawie nie bije – próbowałam tłumaczyć sama sobie. Boże, jaka byłam nieludzko naiwna. Ślepa. Wstyd mi tego

tłumaczenia oprawcy, że „zawsze może być gorzej”. Dawałam grillować siebie i dziewczynki i jeszcze się do tego uśmiechałam i gotowałam zupełnie. Zgroza.

Przemoc finansowa? Od zawsze była, ale rosła coraz bardziej. Wyobraź sobie, że jesteś niepracującą żoną znanego i cenionego prawnika, specjalisty od spraw międzynarodowych, sownie opłacanego przez instytucje unijne i komórki rządowe, które zamawiały u niego drogie ekspertyzy. Mieszkacie kilka lat we Włoszech, potem w Brukseli i Paryżu. On zarabia krocie. Ty masz tylko pieniądze z wynajmu mieszkania na Żoliborzu, które, co do grosza, wydajesz na prowadzenie domu, jedzenie, utrzymanie dzieci, chesne za przedszkola i pensję gosposi. Wiktor utrzymywał, że to ja powinnam płacić za panią, która przychodziła sprzątać i prasować, bo – cytuję: „Ty nawet podłogi porządnie nie potrafisz umyć ściera”. Miał mi za złe, że „siedzę i zajmuję się pierdołami, zamiast iść do pracy zarabiać”. Chciał, żebym była od roboty w domu i w pracy równocześnie. Nie przyjmował tłumaczenia, że prowadzenie domu, ogarnianie sprawunków, dzieci, zakupów, kuchni to przecież też praca. Gdybym wróciła do biura, dzieci musiałyby wychowywać ktoś obcy. Bo przecież on był stale nieobecny, a nawet jak był, to i tak go nie było. Wiecznie zmęczony. Ciągłe uciszałam dziewczynki, prosiłam, żeby dały tacie spokój, bo tatuś jest zmęczony, bo ciężko pracuje, żeby nam było dobrze. Sama umniejszałam swoją rolę. Trzeba było odkładać te pieniądze z najmu albo chociaż dziesięć procent na czarną godzinę, których później było tysiące, a ja zostałam bez jakichkolwiek oszczędności.

Cokolwiek zrobiłam – było do bani. Łykałam tę krytykę bez szemrania. Nie była to ani pierwsza, ani ostatnia „żaba” w tym związku.

Wyobraź sobie, że bardzo chcesz wyjechać z dziećmi na tydzień wakacji i dajesz mężowi – bogatemu (jak się później okazało) bankierowi – tysiąc euro, żeby ci wymienił na wakacje, a on dolicza do tego prowizję. Wymienił, rzeczywiście, ale oddał tylko połowę sumy. „Dlaczego, Wiktor? – zapytałam. – Co z resztą? Miałam plany, chciałam kupić dziewczynkom kurtki na zimę, buty, upatrzyłam sobie płaszcz... Nie rozumiem...” „To nie kupisz. Z jaką resztą? Zapłaciłem pani Lenie i kupiłem bilety na sylwestra. Podobno chcesz dobrze żyć, więc spełniam twoje życzenie”.

Co mogłam powiedzieć? Że to raczej mężczyzna zaprasza kobietę na bal, a nie ona jego? Jak to miałam wyartykułować? Chciałam być niezależna, pokazać, że nie jestem na mężowskim garnuszku.

„OK” – powiedziałam, bo nie było mnie stać na nic więcej. Wiktor ranił mnie każdym słowem, a ja próbowałam udawać sama przed sobą, że to nic, że mąż ma ciężką pracę, dużo stresu i potrzebuje odreagowania. Nie chodzi przecież na siłownię ani na boks, nie gra w tenisa, nie biega. Typ raczej biurowy. Zastąpiłam mu worek treningowy.

Mało tego, niczym naiwna pensjonarka żyłam wspomnieniami z okresu narzeczeństwa. Karmiłam się nimi i doprawiałam je myślami, że trzeba trwać dla dobra dzieci, że rodzina jest największą wartością i trzeba ją ratować za wszelką cenę. Byłam rozdarta między potrzebą wołania o pomoc a paralizującym wstydem, który odbierał mi mowę. Zaczęłam spisywać awantury. Notowałam – data, godzina, powód i nagrywałam go. Chciałam mieć dowód koszmaru, w którym byłam zanurzona po uszy. Nie chodziło o żaden „dowód w sprawie”. Raczej o studium przypadku. Lustro, w którym miałabym szansę się przejrzeć, żeby wiedzieć, czy to już szaleństwo, czy jeszcze nie. Nie mogłam martwić starszych rodziców albo brata, który jakby coś wyczuwał i od początku nie kupił przedstawienia Wiktora z okresu narzeczeństwa.

Było strasznie, mogę śmiało powiedzieć, że moje życie było koszmarem, że byłam odizolowana od rodziny dystansem i wstydem ukrywania przemocy, że dzieci były jedyną dobrą stroną życia wtedy. Zapadałam się coraz bardziej, żyłam w lęku i z wielkim zawodem, jak się wszystko w moim życiu potoczyło – nie tak miało być.

Pewnej nocy obudził mnie krzyk: „Ty kurwo!” Stał przy łóżku nagi, z moim telefonem w ręku. Twarz wykrzywił mu grymas wściekłości. Złazł mnie zimny pot. Śmiertelnie się przeraziłam. „Dlaczego mnie nagrywasz, szmato?!” – krzyczał, a ja myślałam, co zrobić, żeby nie obudził dziewczynek. Spodziewałam się, że może mnie wyciągnąć z łóżka i skopać. Byłam pewna, że mój oprawca, który właśnie znalazł uwiecznione dowody własnej zbrodni – wymierzy mi karę. Był do tego zdolny. Miał to wypisane na twarzy. Świat zatrzymał się na chwilę. Serce waliło mi z całej siły. Zobaczyłam wielką jak bochen chleba dłoń, która z głuchym świstem rozcina powietrze i ląduje na moim policzku. Cios był silny. Bardzo silny. Osunęłam się na pościel. Nie pamiętam, ile leżałam bez ruchu. On wciąż stał nade mną, przeklinał i dyszał jak wściekłe zwierzę. Nie byłam w stanie zebrać myśli. W moim umyśle pojawiały się tysiące słów, ale żadne nie łączyły się w całość. Czułam, jak łzy palą rozgrzaną skórę. Wieczność.

„Tak, nagrywałam cię – wydusiłam w końcu – słuchałeś?” Nie wiem, skąd znalazłam siłę, żeby zapytać. Odpowiedź była... Nie spodziewałam się takiej. „Tak”.

„I co?” – spytałam. „Nie mogłem dosłuchać do końca” – odpowiedział.

Spodziewałabyś się? Ja też nie. Może to jeden jedyny raz, kiedy mój mąż zrozumiał, jak daleko zaszedł w swoim okrucieństwie. Może to krótka chwila, kiedy spojrzął w lustro i zobaczył potwora.

Myślisz, że widział go w sobie, gdy mną poniewierał? Chcesz obrazów? Opowiem ci.

Jesienne popołudnie. Kupiłam na targu cały kosz owoców, przytargałam go do domu. Planowałam zrobić dżem. By być bliżej dzieci, zamiast stać w małej kuchni, wyniosłam się do salonu. Dziewczynki rysowały na stole obok. Zabrałam deskę do krojenia, nóż. Chciałam obrać jabłka ze skórki, wyciągnąć pestki ze śliwek i przygotować wszystko na przetwory. Otwierają się drzwi, uderzają z hukiem o ścianę. Oto wchodzi pan i władca i rzuca od progu: „Co, smycz za długa? Wynocha do kuchni”. „Nie odzywaj się tak do mnie – wydukałam – przecież dziewczynki słuchają”. „I bardzo dobrze. Niech się uczą, że miejsce mamy i deski do krojenia jest w kuchni i w domu nie robimy syfu”.

Kurtyna.

Albo – innym razem – podaję obiad. W pięknej wazie zupa pomidorowa. Inga i Kama zajadają ze smakiem, a ich ojciec ostentacyjnie odsuwa talerz i wygłasza: „Co za syf, ta zupa jest jak zmiksowane wymioty”.

W obu przypadkach, podkreślam, zwraca się tak do mnie przy dzieciach.

Mało?

Kiedyś, po miesiącach siedzenia w domu, dałam się namówić koleżankom i poszłyśmy na dyskotekę na Polu Marsowym. Wróciłam tuż po północy, a mąż mnie wita: „I co, poruchałaś się? Zanim się położysz do naszego łóżka, zmyj z siebie te czarne soki. Cuchniesz na kilometr”.

Zabolało. Nie, nigdy go nie zdradziłam, nigdy nie poszłam z nikim do łóżka. Kolor skóry nie miał nic do rzeczy. Tylko że dla niego określenie „czarne soki” brzmiało jak dodatkowa obelga. Inwektywa w gratisie.

Pamiętasz, sama mi kiedyś zwróciłaś uwagę, żebym przestała pucować blaty w kuchni. Był wieczór, wróciłyśmy z kina. Pierwsze, co zrobiłam, to bieg po ściereczkę i gąbkę.

„Karola, daj spokój, jutro zajmiemy się porządkiem” – prosiłaś. A ja na to: „Jutro będzie za późno, Wiktor lubi, jak blat umyty jest na mokro i wytarty do sucha”.

Teraz, gdy o tym opowiadam, widzę cały absurd tej sytuacji, ale wtedy czułam się jak mały chomik w kołowrotku. Mój program brzmiał: pranie, sprzątanie, gotowanie. Oraz dom, przedszkole, zakupy, dom. I tak w kółko. Goniłam własny ogon, nie widząc jednocześnie, jak bardzo pozwoliłam się słamsić. Jak daleko pozwoliłam przesunąć granicę, która kiedyś była dla mnie nie do przekroczenia... Czara goryczy przelała się dopiero wtedy, gdy dziewczynki zostały na nocowanie u mojej kuzynki pod Paryżem. July miała swoją Margo w podobnym wieku, więc bał był na całego. Nie zdążyłam jeszcze powiedzieć o tym Wiktorowi, bo był w swojej kolejnej podróży, gdy już się dowiedział – od męża July. Mark napisał do niego, że „mają w domu straszny hałas, bo w pokoju jego córki powstaje chyba dżungla”. Niewinny SMS, opis sytuacji, a nie skarga. No i się zaczęło.

„Jak śmiesz decydować o nocowaniu Ingi i Kamy beze mnie! Co ty sobie wyobrażasz? Zapytałaś mnie? Moje dzieci nie będą łaźnić po obcych domach! Żadnych pielgrzymek, do kurwy nędzy! Od teraz nie życzę sobie, żeby moje dzieci nocowały u żadnych twoich kuzynów, rodziców, u siostry ani u nikogo obcego!”

Słyszysz? Powiedział „obcego”! Dla ojca moich dzieci bliskie mi, najbliższe osoby były „obce”. Miałam czarno na białym, że Wiktor jest gotów zwalczać każdego, kto był dla mnie ważny. W jednej chwili zobaczyłam jak na dłoni wszystkie jego chore rojenia i obsesje. Dla innych może i byłby to drobiazg niewarty uwagi, ale dla mnie to właśnie stanowiło punkt zwrotny. To była ta kropla, która przepełniła czarę goryczy.

„Mam tego dosyć – stwierdziłam – chcę rozwodu”.

Złożyłam papiery w Polsce, bez orzekania o winie, ale sąd polski uznał, że przez to, że mieszkamy w Paryżu, jurysdykcję ma sąd francuski. Wiktor się ucieszył i przeniósł wszystkie sprawy do Francji, używając swoich znajomości i kruczków prawnych, w których jest ekspertem. Wiedział, że poza granicami kraju jestem dużo słabsza od niego. Zdawał sobie sprawę, że przesłuchania w trybie online będą dla mnie uciążliwe. Traciłam słuch. Z każdym rokiem słyszałam coraz gorzej, zaczęłam nosić aparaty na obu uszach. To choroba, która zaczyna się w czasie ciąży i nasila się w momentach stresowych, wyczerpujących emocjonalnie. Słuch traci się albo szybko, albo wolniej, ale choroba postępuje.

Sprawa prowadzona we Francji przywiązywała mnie do naszego podparyskiego domu, czyniła jego więźniem. Wiktor domyślał się, że w moim stanie – psychicznym i finansowym – musiałam bardzo ograniczyć podróże. Dla pewności dołożył jeszcze sprawę o opiekę nad dziećmi.

Mieliśmy się rozstać polubownie, bez orzekania o winie, z ustaleniem naprzemiennej opieki rodzicielskiej. Na rozprawie okazało się jednak, że mój mąż zmienił front. Chciał być głównym opiekunem dziewczynek i żeby ja je odwiedzała. Matka, która je praktycznie sama wychowała, miała teraz odwiedzać. Ojciec nagle nabrał zainteresowania dziećmi, z którymi do tej pory specjalnie nie chciał spędzać czasu – okazało się, że to był jego wybór, że tak dużo podróżował, i to nie tylko służbowo, ale i dla przyjemności.

Myślisz, że powodowała nim wielka do nich miłość? Według francuskich paragrafów więcej czasu z dziećmi dawało mu prawo do większej części małżeńskiego majątku oraz do decydowania o miejscu zamieszkania Ingi i Kamy. Równocześnie zwalniało z alimentów na rzecz mnie i dzieci. Za to strona opiekująca się potomstwem mogła wystąpić o alimenty od byłego małżonka.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Polski, rozmawialiśmy o co najwyżej rocznej emigracji. Po wygaśnięciu jego kontraktu mieliśmy wracać do Warszawy, do rodziny. Bardzo mi na tym zależało. Wiktor się zgodził, tak ustaliliśmy; jak się okazało – tylko pozornie. Nigdy nie chciałam, żeby moje dzieci dorastały z dala od ojczyzny, języka, bliskich. To miał być ledwie epizod w ich życiu, w okresie gdy były malutkie. Czas mijał, a ja nieustannie słyszałam: „Jeszcze tylko pół roku, to świetna oferta. Chyba nie wyjedziesz i nie rozbijesz naszej rodziny?”. „Nie będziesz psuła mi kariery?” – szantaż emocjonalny działał na mnie doskonale. Kładłam uszy po sobie i liczyłam, że za pół roku będzie można spakować walizki i wrócić do mojego kochanego Żoliborza. Tęskniłam. Bardzo. Nikt, kto nie był na wygnaniu, nie wie, jakie to uczucie – marzyć o bliskości ludzi, których się kocha, o znajomych miejscach, zakupach w osiedlowym sklepie, noszeniu butów do szewca ze Śródmieścia i zapachu bułek z piekarni na rogu. Mieszkaliśmy w ładnym domu, dookoła było dużo zieleni, a ja chciałam pójść przed siebie w Łazienkach albo pojechać na ulubioną polanę

w Kampinosie. Czułam się jak ryba wyrzucona na brzeg. Samotna, wyczerpana, bez tchu.

Zastanawiałam się tylko, jak ktoś, kogo nie było w domu przez niemal sto pięćdziesiąt dni w roku, zamierza udowodnić, że to on głównie zajmował się dziećmi. Nie uwierzysz, ale na moich oczach, na oczach moich przyjaciół wydarzył się cud! Wiktor, który nie był nigdy zbyt aktywnym ojcem, nagle zabrał dziewczynki na wakacje do Stanów, obsypał je prezentami, gotował, sprzątał i plótł im warkocze. Wszystko oczywiście skrupulatnie dokumentował i umieszczał na swoich social mediach, choć wcześniej ustaliliśmy, że nie będziemy pokazywać dzieci. „Tata gotuje”, „robimy korale” – podpisywał zdjęcia. Albo „Rodzinka nad morzem” – i pokazywał, jak dowodzi z naszymi córkami w wodzie i buduje zamki z piasku. Czysta hipokryzja! Patrzyłam na to i nie miałam wątpliwości, że jestem oto świadkiem tego, jak rodzi się zbrodnia doskonała.

Wiktor osaczał mnie z każdej strony. Chcesz dowodu? Poszłam do dyrektora szkoły Ingi i Kamy, prosząc o zaświadczenie, że do tej pory to ja byłam głównym opiekunem dzieci, że to ja odbierałam je po lekcjach, ja chodziłam na wywiadówki, płaciłam za wycieczki, angażowałam się w szkolne uroczystości, nie opuściłam ani jednego występu dziewczynek czy apelu. Sekretarka napisała, dyrektor podstemplował. Bez problemu. Wiedzieli, jaka jest prawda. Szkolny psycholog i wszyscy nauczyciele byli oficjalnie poinformowani o przemocy w rodzinie, do sprawy była włączona opieka społeczna. Wszystko jasne i przejrzyste. Podobny dokument wzięłam od naszego pediatry. Zaświadczał, że „matka jest w stałym kontakcie z przychodnią i lekarzem prowadzącym Ingi i Kamy Strups”. Wydawało mi się to ważne przed sądową batalią o dzieci. Czułam, że mogę odetchnąć, bo prawda i sprawiedliwość są po mojej stronie. Jakież było moje zdziwienie, gdy dwa tygodnie potem Wiktor przyszedł do sądu z podobnymi oświadczeniami. Różniły się jedynie wstępem. Moje imię i nazwisko wymieniono na imię i nazwisko mojego męża.

„Ja, niżej podpisany, XY, dyrektor szkoły podstawowej, niniejszym oświadczam, że do mojego poprzedniego oświadczenia wkradł się istotny błąd rzeczowy. Pragnę poinformować i dowieść, że pan Wiktor Strups od pierwszych dni edukacji córek jest rodzicem aktywnie włączającym się w proces rozwojowy małoletnich. Zaznaczam, że zaangażowanie ojca jest godne pochwały i najwyższego uznania. Współpraca z nim z całą

pewnością przyczyni się do zbudowania w dziewczętach pięknych postaw, godnych wychowanków naszej szacownej placówki.

Z poważaniem,
XY, dyrektor”.

Nie mogłam uwierzyć! Jak to? To moja naiwność czy krótkowzroczność? A może jego pieniądze? Przekupstwo? Przecież i ja, i dyrektor doskonale znaleźmy prawdę. Jakim cudem ojciec, który był poza domem przez dwie trzecie roku, „aktywnie włącza się w proces rozwojowy małych dzieci”? W ciągu dwóch lat Wiktor był w szkole może ze trzy razy – na rozpoczęciu roku Ingi, na kiermaszu bożonarodzeniowym i raz, kiedy prosiłam, żeby odebrał dziewczynki, bo ja musiałam być u lekarza. A teraz czytam o wzorowej postawie rodzicielskiej? Normalnie człowiek pewnie zaciskałby pięści, szalał z gniewu – ja tylko opadłam na ławę w sądzie. Zaświadczenie z przychodni rodzinnej o „regularnych wizytach ojca u lekarza z córkami i pilnowaniu przez niego kalendarza szczepień” dobiło mnie już bez reszty. Wiedziałam, że to będzie walka Dawida z Goliatem, nie miałam cienia wątpliwości, że Wiktor wytoczy najcięższe działa i postawi przede mną całą armię prawników. On zarabiał czterysta tysięcy euro rocznie, a ja dysponowałam tylko pieniędzmi z wynajmu mieszkania w Warszawie. Wystarczyło na skromne życie, ale na gaże mecenasów już nie.

Kiedyś przypadkiem zobaczyłam jego tabelę wydatków. Był bardzo skrupulatny, wszystko dokładnie zapisywał. Kartka leżała obok niego na ławce przed wejściem do sali rozpraw. Spojrzałam. Na górze tytuł: „Rok 2019, kancelaria, koszty”. Pod spodem – rzędy cyfr, a na dole – podsumowanie: ponad 270 tysięcy euro. Dla mnie kosmos.

Broniłam się sama. Sama walczyłam o dzieci. Majątek oddałam walkowerem, bo nie miałam już energii ani przestrzeni, żeby boksować się o dom na Sycylii, naszą paryską willę, jego motocykle i samochody, które kupował przecież już podczas trwania małżeństwa. Mnie nie wystarczyło sił, ale Wiktor miał ich dosyć, żeby bardzo dokładnie sprawdzić księgę wieczystą mieszkania na Żoliborzu. Lata temu, jeszcze jako studentka i początkująca modelka, kupiłam je do spółki z moim tatą. Chodziło o zdolność kredytową i o to, że tata się jednak trochę dołożył. Mało tego, że Wiktor sprawdzał akt własności mojego panińskiego mieszkania, zajrzał także do zapisów dotyczących domu rodziców. Jest podobno we francuskich kodeksach jakiś stary przepis, który otwiera furtkę do ubiegania

się o część majątku, który ma być odziedziczony przez współmałżonka, jeśli to ten drugi przejmuje na siebie ciężar wychowania wspólnego potomstwa. Widzisz już zbrodnię doskonałą? Wiktor szykował się do tej wojny jak wytrawny generał. Ja szłam z bagnetem na czołg. Nie miałam większych szans, a ciosy sypały się gęsto.

To był czas, kiedy byliśmy w separacji i dzieliliśmy się opieką nad dziećmi. Źle to znosiłam. Rozbicie rodziny było dla mnie kompletną klęską, nie wiedziałam, jak mam poskładać nową rzeczywistość. Wiktor zabrał dziewczynki do naszego domu na Sycylię, ja poleciałam do rodziców, do Polski. Tęskniłam.

Któregoś dnia dzwonię na dobranoc. Telefon odebrała Inga. „Dobry wieczór, córeczko, jak się macie? Jesteście zdrowe, wszystko dobrze?” „Tak, mamusiu, wszystko dobrze, jeszcze się bawimy”. „Jak to, kochanie? Nie jesteście jeszcze w piżamkach, w łóżeczkach? Już późno, kochanie, jutro będziecie zmęczone”. „Nie, mamusiu, tata pozwala nam długo spać”. „Mogę z nim porozmawiać?” „Teraz nie. Nie ma go w domu. Pojechał z Ivonne do sklepu po zakupy”. „Inguniu, z jaką Ivonne? Na jakie zakupy? Jest prawie dziesiąta wieczór...” „Mówili, że zabrakło mleka. Tatuś często wychodzi z Ivonne. Ona mieszka obok nas. Ma trzy dziewczynki w naszym wieku, wiesz? Jest super. Właśnie się z nimi bawimy w chowanego”.

Tak dowiedziałam się, że mój mąż ma kochankę i zostawia dzieci w domu bez opieki, bo „właśnie skończyło się mleko”.

Decyzję podjęłam natychmiast – lecę do Włoch. Zaczęłam gorączkowo szukać biletów. Najbliższy lot bezpośrednio do Palermo był dopiero za dwa dni. Znalazłam przez Berlin i Rzym. Duże przerwy, po kilka godzin na lotniskach, ale i tak byłabym na miejscu dwanaście godzin wcześniej. Ruszyłam. Na miejscu zastałam zmienione zamki w drzwiach i zaskoczoną twarz Ingi: „Mama, co ty tu robisz? Przecież to czas taty... Tata mówił, że jak on się nami zajmuje, to ciebie nie będzie na pewno”.

Rozbrajająca szczerłość. Nie spodziewałam się takiego powitania. To było moje pierwsze rozstanie z dziewczynkami na dłużej niż kilka dni. Leciłam jak na skrzydłach, z gonitwą po kilku lotniskach, żeby tylko szybciej być przy nich, a na spotkanie wyszły mi... dwa roboty. Uwierz, nie przesadzam. Inga i Kama wyglądały jak miniżony ze Stepford – sztucznie uśmiechnięte, a w środku śmiertelnie przerażone i zastraszone.

„Kochanie, cieszę się, że was widzę – próbowałam niby beztrąsko – przywiozłam wam ulubione pianki”. Myślałam naiwnie, że to będzie frajda.

„Dobrze – powiedziała bez emocji Inga – pójdę po tatę”.

Czy mam ci opisywać, jak bardzo zdziwioną miał minę, gdy zobaczył mnie w salonie z walizką? Jego reakcja nie była oryginalna. „Co ty tu robisz?” – spytał i zmierzył mnie wzrokiem, który zamroziłby wrzątek. „Przyjechałam zająć się dziećmi, bo wczorajszy wieczór spędziły same, bez opieki. Chcesz, żeby ci wyrecytować paragraf o odpowiedzialności prawnego opiekuna za nieletnich?”

Nie musiałam. Wiktor miał to w małym palcu.

„Byłem w domu i dziewczynki to potwierdzą – międlil w ustach każde słowo – prawda?” Pytanie było skierowane do dziewczynek. Wypowiedziane długo, przeciągle, z przesadnym naciskiem na ostatnią samogłoskę. Prawdaaaaaaa? To ten typ pytania, na które można tylko przytaknąć. „Tak, tato” – brzmiała karna odpowiedź. „Ale przecież wczoraj słyszałam, że jesteście same” – próbowałam dociec prawdy. „Pewnie same w pokoju. Tego chyba ode mnie nie wymagasz”. Wiktor uprzedził reakcję dziewczynek. „Widzisz, jak wpadasz w obłąd? Masz jakieś zwidy i omamy, kobieto, weź się w garść, bo zaczniesz za chwilę opowiadać bajki o smokach”.

Pogarda w czystej formie. Byłam bezbronna. Miałam się spierać z własnymi dziećmi? Widziałam, że są przestraszone, że przy ojcu nie powiedzą prawdy. Mało tego, że próbując jej dowieść, tylko pogorszę sytuację. Opuściłam. Poszłam z nimi na górę, zaczęłyśmy czytać książeczki. Pomyślałam, żeby sprawdzić, czy nie mają śladów po specyficznych „metodach wychowawczych” Wiktora. Mówiłam ci, jak kiedyś uderzył Kamę tak mocno, że wielki czerwony ślad utrzymywał się na pupie przez kilka dni? Zrobiłam zdjęcie. Chciałam mieć dowód. Tak jak notatki i nagrania naszych awantur.

Dla sądu nie miało to znaczenia. „Znikoma moc dowodowa” – usłyszałam. Nawet trudno mi o tym opowiadać.

Powiem ci o poranku następnego dnia. Noc spędziłam w pokoju dziewczynek, skulona na materacu. Wiktor zajął naszą sypialnię i powiedział wprost, że mnie nie wpuści, że mogę sobie spać, gdzie chcę, ale on nie będzie tolerował takiego niszczenia jego wakacji (z kochanką).

Mniejsza o to, chciałam być bliżej dzieci, byłam stęskniona. Gdzieś około dziewiątej schodzę na dół. Stół nakryty do śniadania. Na patelni paruje jajecznicą, Wiktor gotuje! W koszu połamane bagietki, talerz z serami i słoiczki z różnymi dżemami. Przy stole już siedzą – moje

dziewczynki i troje obcych dzieci. Jest jeszcze jedno wolne nakrycie. Myślisz, że dla mnie? Na kanapie rozparta dość korpulentna kobieta z ciemnymi włosami. Skinęła mi głową.

„Jestem Ivonne” – Usłyszałam. „Chodź, usiądź już do stołu” – powiedział Wiktor. Nie, to nie było skierowane do mnie. Jejmość wstała majestatycznie i zajęła moje miejsce. Odwróciła się plecami i przestałam dla niej istnieć. Jakbym była powietrzem. Nie, na stół nie został dostawiony dodatkowy talerz dla mnie. Nawet moje dzieci o to nie zadbały, mimo że pewnie dobrze widziały, jak bardzo zrobiło mi się smutno. Przełknęłam łzę. Jedną, drugą. Rozmasowałam gulę w gardle. Miałam przecież wprawę w robieniu czary-mary na rzeczywiście. Sięgnęłam do chlebaka, czując na plecach świdrujące spojrzenia. Przebiegł mnie dreszcz. Ukroiłam kawałek chleba, położyłam plasterek żółtego sera i nie patrząc nikomu w oczy, usiadam koło Ingi. Wiele mi to dało do myślenia. Zasłona opadała z oczu. Nie było czego ratować. Moje miejsce zajęła już odrażająca i zadowolona z siebie kobieta, która nie czuła niezręczności całej tej sytuacji. Przeciwnie – panoszyła się na całego. Oboje zachowywali jeszcze pozory, ona wynajęła sąsiedni dom, jeszcze nie wprowadziła się do naszej sypialni, ale to tylko kwestia czasu.

Po śniadaniu odbyła się scena na basenie, którą ciężko mi wymazać z pamięci: moja słodka, siedmioletnia wtedy Kama, przytulająca się do Ivonne w basenie. Z odrętwienia wyrwał mnie po godzinie głos Kamy. Przysiadła koło mnie na leżaku. „Nie lubisz Ivonne? Ona jest taka miła. I jej dzieci są dla nas bardzo miłe, fajnie spędzamy czas. Tata mówi, że byłoby fajnie, jakbyśmy się zaprzyjaźnili”.

Pamiętam, że przed wyjściem z basenu powiedziałam Ivonne na stronie, że jestem wciąż żoną mojego męża i że walczę o to, żeby nas uratować, oraz że doceniłabym, gdyby zostawiła nas po prostu samych.

Wieczorem Wiktor zrobił mi awanturę, że obraziłam Ivonne – i kazał mi ją przeprosić. Zrobiłam to.

Nasz dom do końca pobytu należał już do Ivonne.

To ja urządzałam naszą sycylijską willę. Wybierałam firanki, biegałam po pchlich targach, szukałam pięknych mebli i bibelotów, włożyłam w to całe serce (i pieniądze). Boże, jak ja się wtedy cieszyłam. Unosiłam się nad ziemią. Chciało mi się śpiewać i skakać. Spełniało się moje marzenie. Nasze marzenie. Stół, przy którym teraz jedli jajecznicę i bagietki, też ja wybrałam i odrestaurowałam. Był wtedy pełen korników, miał odłupany

kawałek nogi. Spolerowałam ubytek, wywabiłam robale. Pamiętam, jak siedziałam na podwórku, umazana detergentami i lakierami, z pędzelkiem malutkim jak do makijażu, żeby najprecyzyjniej jak się da, uzupełnić wszystkie szczyrby. A teraz – nikt mnie nawet do niego nie zaprosił. Czułam się podle. Ale najgorsze było jeszcze przede mną.

Któregoś dnia, już po powrocie do Paryża, obudził mnie dźwięk wiadomości w telefonie. Nasza sąsiadka przysłała mi zdjęcia wielkich czarnych worków na śmieci stojących przed domem na Sycylii. Na następnym – moje ukochane komody i szafki wnoszone na pakę samochodu z napisem „Odpady”. „Chciałam, żebyś to zobaczyła, bo chyba nie wiesz, co tu się dzieje. Wiesz, że wasz dom jest sprzedany?” – napisała Mona.

„Jak to sprzedany?” – pomyślałam i krew odpłynęła mi z twarzy. Ukochane miejsce dziewczynek na wakacyjne wypady, nasze wymarzone oczko w głowie? Tego dnia dzwoniłam do Wiktora setki razy i setki razy mnie odrzucał. Rozumiem, miał dużo pracy i był zajęty, ale od rana do wieczora? Nie chciało mi się wierzyć, że w swoim arcyzajętym grafiku nie znalazł nawet ułamka chwili, żeby wytłumaczyć matce swoich dzieci, dlaczego sprzedał miejsce, które kochały najbardziej na świecie? Dlaczego ich ubranka i zabawki wylądowały w workach na wysypisku? Nie miałam pojęcia, jak o tym powiedzieć Indze i Kamie. Były już dość duże, miały po osiem i siedem lat. Wystarczająco, żeby rozpaczać za straconymi wspomnieniami z najpiękniejszych chwil w przeszłości. Dzwoniłam na zmianę do Wiktora i mojej znajomej prawniczki. Zajmowała się co prawda przepisami dotyczącymi spółek, ale sądziłam, że umie mi pomóc, wytłumaczyć, jak można sprzedać wspólną własność bez pytania o zgodę, ba, nawet bez poinformowania, że ma się takie właśnie plany. Bezradnie rozkładała ręce, ale pomogła mi dotrzeć do biura nieruchomości we Włoszech, które zajmowało się transakcją. I – nie uwierzysz – na umowie sprzedaży widniał mój podpis. Jak to? Niemożliwe! Przecież niczego nie podpisywałam. Niczego, co dotyczyłoby pozbycia się domu.

„Karolina, nic nie poradzę, na dokumentach jest twój podpis i to najpewniej jest oryginał” – usłyszałam od prawniczki i na potwierdzenie dostałam za chwilę zdjęcie zrobione przez uprzejmego agenta w Palermo.

Ręce mi opadły. Tak, to moje pismo. Wtedy nie miałam pojęcia, jak to się mogło stać, ale po kilku godzinach wróciła mi pamięć. Przypomniał mi się podsunięty do podpisu plik papierów, kiedy dopełnialiśmy formalności zakupowych. Wiktor podawał następne i prosił: „Podpisz, kochanie, nie ma

co zwlekać. Sprawdziłem każdą literkę, znasz mnie, wszystko się zgadza, dajesz mi prawo do kupna domu” (później się okazało, że również do sprzedaży). No i posłusznie robiłam, co chciał. Jestem przekonana, że wśród dokumentów były też takie, które podpisałam.

Co zrobić? Galopada myśli. Dzwonię do Wiktora, oczywiście nie odpowiada. Zamiast tego dostaję maila – po francusku – z informacją o sprzedaży nieruchomości pod Palermo i przeznaczeniu środków „zgodnie ze wspólną dyspozycją” na konto pana Wiktora Strupsa w banku w Grenoble.

Jakby tego było mało, następnego dnia przychodzi pismo z policji na Sycylii, a w nim raport doniesienia Wiktora.

„Chora psychicznie, głęboko niezrównoważona, przejawiająca zachowania agresywne wobec niego w przeszłości małżonka w okresie rozvodu nieoczekiwanie nachodzi ojca opiekującego się dziećmi poza granicami kraju zamieszkania w celu porwania jego dzieci z jego domu. Boi się o swoje bezpieczeństwo i bezpieczeństwo jego dzieci”.

Do raportu dołączona jest moja karta medyczna sprzed dziesięciu lat, od psychiatry, do którego chodziłam po stracie naszego nienarodzonego dziecka.

To było niedługo po ślubie, poronienie pod koniec drugiego trymestru. Nagły krwotok, bez powodu. Do szpitala pojechaliśmy na sygnale, od razu trafiłam na stół operacyjny. Więcej nie pamiętam. Obudziłam się cała napuchnięta, już bez dzieciątka pod sercem. Wiktor był przy mnie, trzymał za rękę, otulał kocem. Zachowywał się jak najczulszy mąż, we wspólnej żałobie po naszym synku. To był synek. Nie pozwolili mi go zobaczyć. Nigdy go nie przytuliłam, nigdy nie poczułam zapachu skóry... Macica kurczyła się pod wpływem leków, wszystko mnie bolało, a ja czułam się jak pusty balon, jak samica, której wydarto przemocą małe, jak zbyt cienki kawał mięsa, który nie umie dać życia drugiej istocie.

Wpadłam w depresję. Tygodniami nie wychodziłam z domu. Przestałam jeść, nie czułam pragnienia. Potrafiłam leżeć całymi dniami w ciemności w tej samej pościeli i tej samej piżamie. Życie straciło sens. Leczenie było konieczne. Długo nie chciałam o nim słyszeć. Wiktor przekonywał mnie do tego, prosił i błagał. Podziałała dopiero wizyta mojej mamy. To on ją

wezwał. Przyjechała z rosołem, świeżymi kwiatami do wazonu i dyspozycją: „Ubierz się, córeczko, zabieram cię na spacer”.

Pierwszy raz od dawna zobaczyłam słońce. I wcale nie byłam tym zachwycona. Zmuszałam się do każdego kroku, żeby nie robić jej zawodu. Była starszą, schorowaną osobą, która miała na twarzy samą miłość i troskę o mnie. Widzisz, nawet w depresji potrafiłam być „grzeczną dziewczynką”.

„Dobrze, mamo, poproszę o pomoc. Pójdę do doktora” – wyrzuciłam z siebie, gdy usiadłyśmy na ławce w parku.

I właśnie opinię od tego lekarza wykorzystał Wiktor. Podłe, co? Dołożył do niej jeszcze swoje „obserwacje” o matce, która od dwóch lat nie mieszka w domu z rodziną, jest groźna dla dobrostanu dzieci, nie wypełnia obowiązków i nie interesuje się ich postępami edukacyjnymi. Stek kłamstw! Mieszkałam z dziewczynkami, dbałam o nie, zawoziłam i przywoziłam ze szkoły, gotowałam obiady, biegałam na wywiadówki, organizowałam przyjęcia z okazji i bez okazji. To był stek kłamstw!

„Jak możesz mi to robić?!” – wykrzyczałam któregoś razu, gdy wreszcie odebrał telefon. „Że od dwóch lat nie mieszkam w domu? To aż mnie rozbawiło. Naprawdę ciekawa jestem, jak zamierzasz to udowodnić przed sądem. Oboje wiemy, jaka jest prawda”. On na to: „Moja droga, w tych pismach nie ma niczego, dosłownie niczego, czego nie byłbym w stanie dowieść przed sądem” – wycedził z lekkim uśmiechem wysoko funkcjonującego psychopaty.

Wiedziałam, że mówi prawdę. Zbrodnia doskonała i psychopatyczny perfekcjonista. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że uzbroił się na wojnę po zęby i przewidział wszystkie sytuacje. Grał całą talią, znaczył karty, nie przejmował się szwindlami, dawaniem łapówek i oszustwem. Widziałam, że zaczyna też angażować w to dzieci. Od pierwszej chwili, od pamiętnego spotkania w domu na Sycylii, oswajał je z Ivonne, a mnie próbował pokazać jako „zbyt nerwową i nieprzewidywalną w reakcjach”.

„Nie przejmujcie się, dziewczynki, kobiety w pewnym wieku nieraz się tak zachowują. To hormony, normalna rzecz. To przejdzie. Nic groźnego”.

Jakie „w pewnym wieku”? Nie miałam czterdziestu lat, daleko mi było do klimakterium. Zresztą, ten przekąs, wyższość w jego głosie. Cały czas nie mieściło mi się w głowie, że człowiek, który potrafił mnie wspierać w najtrudniejszym momencie, potrafi też zachowywać się niczym podstępny wąż. Kąsał w najczulsze miejsca. Doskonale wiedział, gdzie

trafiac. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo boli mnie lekceważenie, poniżenie, traktowanie kobiety jak „gorszego sortu”.

Czekałam półtora roku, żeby dziewczynki same odkryły, kim dla taty jest Ivonne. Widziały już wcześniej wiadomości, które do siebie wysyłali, okraszone serduszkami i słodkim *mon amour*.

„Tato, dlaczego wysyłasz Ivonne takie znaczki jak do narzeczonej? To twoja dziewczyna?” – pytały.

„Nieeee, tylko koleżanka, znajoma z wakacji. Przecież ja nawet do pani sprzątaczkę wysyłam serduszka. To nic takiego”.

Któregoś dnia sprawy zaszły za daleko. Siedzieliśmy w restauracji, o dziwo we czworo, bo obchodziliśmy urodziny Kamy. Telefon Wiktora leżał na stole. Dziewczynki spierały się, kto gra główną rolę w *Igrzyskach śmierci*. Żadna nie dawała za wygraną, żadna nie dawała się przekonać.

„Mogę sprawdzić?” – zapytała Kama i nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po aparat. Nie był zablokowany.

„Wujek Google pomoże” – orzekły.

Ale pod palcem zamiast wujka Google moja córka znalazła zdjęcie nagiego penisa ojca i numer adresatki – Ivonne. Telefon wylądował z hukiem na podłodze. Kama zamknęła oczy, zakryła je dłońmi.

„Nie chcę na to patrzeć! Słyszycie, nie chcę na to patrzeć! Nienawidzę was!”

Wybiegła z restauracji. Ledwie ją dogoniłam. Miała wtedy osiem lat. Nigdy, przenigdy nie powinna była zobaczyć w tym wieku takiego zdjęcia. A już na pewno nie zdjęcia ojcowskiego członka we wzwodzie okraszonego dopiskiem „jest twój” wysłanego do obcej kobiety. Boli mnie każde z tych słów. Zbiera mi się na mdłości. Wtedy też, ale musiałam pomóc zapłakanemu i roztrzęsionemu dziecku. Nie chciała wrócić do stołu i wcale jej do tego nie przekonywałam. Siedziałyśmy skulone na chodniku. Mała jeszcze przez chwilę okładała mnie pięściami, krzyczała: „Zostaw mnie, zostaw, zostaw!”.

Przechodnie zatrzymywali się, ktoś pytał, czy może pomóc. Jakaś pani dała nam całą paczkę chusteczek.

„Kochanie, bardzo mi przykro, że doświadczyłaś tego widoku, porozmawiamy o tym, jak ochłoniesz. A teraz wrócimy do domu, dobrze?”

Wiktor próbował dzwonić do dziewczynek, ale żadna nie chciała z nim rozmawiać.

„Zrobicie to, jak będziecie gotowe, a teraz chodźcie na budyń”, powiedziałam.

Uwielbiały budyń waniliowy. To był nasz niepisany sygnał, który oznaczał – trzeba pogadać. Siadałyśmy przy naszym maleńkim stole w kuchni i gadałyśmy godzinami. Teraz rozmowa niespecjalnie się kleiła. Nie wiedziałam, jak zacząć.

„Kama, przykro mi, że widziałaś to zdjęcie. Bardzo. To nie jest widok przeznaczony dla oczu dziewczynki. Dorośli, niektórzy dorośli...”

„Dobrze, mamó. Już wiem, kim jest Ivonne dla taty. Oszukuje nas. To pewnie do niej wychodził w nocy, kiedy twierdził, że miał męczący dzień i dobrze mu zrobi jazda na motocyklu. Na pewno wychodził do niej. Nie martw się, ona nigdy, przenigdy nie będzie naszą mamą”.

Pociekły mi łzy. Poczułam ulgę. Najprawdziwszą, autentyczną ulgę.

Przyznaję, przez moment czułam coś w rodzaju, zrozum mnie dobrze, zazdrości... Obca kobieta z moimi dziećmi, na wakacjach, podczas weekendowych wypadów. Dotykała je, gładziła po włosach, śmiała się z nimi, kąpała w morzu. Widziałam to na zdjęciach, słyszałam opowieści „o miłej pani”. Nie wiedziałam, jak im powiedzieć prawdę. Uważałam, że są za małe; wszyscy radzili: powiedz im, a ja wytrwale słuchałam swojej intuicji. Nie chciałam wciągać dziewczynek w rodzicielskie potyczki. Psuć im obrazu ojca. Czy był dla nich wzorem? Do końca nie wiem. Pamiętały awantury, jego krzyki, klapsy, pamiętały to, jak zwracał się do mnie i kiedy zostawiał je bez opieki. Nigdy z nimi o tym nie rozmawiałam, nie zadałam pytania, czy ojciec jest dla nich bohaterem, czy oprawcą. Może dla dzieci nic nie jest czarno-białe? Może między jednym a drugim biegunem jest cały ocean możliwości? Kiedy o tym myślę, uświadamiam sobie, ile wiedziały, co mogły obserwować. Choćby moje nerwy, gdy Wiktor kolejny raz oskarżył mnie o próbę porwania dzieci.

Trafiłam na międzynarodową listę porywaczy z nakazem aresztowania, gdybym chciała przekroczyć granicę.

A wszystko zaczęło się niewinnie. Serio. To było po świętach Bożego Narodzenia. Przyjechaliśmy do Polski. Wszyscy. Mieliśmy spędzić Wigilię u moich rodziców, potem pierwszy dzień u rodziny Wiktora. Tak się stało. Rozmowa przy stołach niczym wędrówka po polu minowym, ostrożnie, żeby nie zahaczać o konfliktowe tematy. Koszmar.

Mieliśmy wracać dwa dni przed sylwestrem, osobnymi rejsami.

Tymczasem sytuacja covidowa zaostrzyła się i w kraju, gdzie mieszkaliśmy, było ponad dziesięć razy więcej zgonów niż w Polsce – odwołali zarówno mój lot z dziewczynkami, jak i Wiktora. Musieliśmy przedłużyć pobyt w ojczyźnie. Zaczęłam go prosić, abyśmy zostali jeszcze dłużej – póki szkoły pracują online – żeby dziewczynki mogły pobyc z rodziną – skoro nie mieszkamy w ojczyźnie przez jego jednostronną decyzję o emigracji. Jednak z nim się nie dało dyskutować. Jest albo tak, jak on chce, albo tak, jak on chce.

Przede wszystkim zaczęłam się bać o siebie, o swoje zdrowie, chciałam być wśród najbliższych, a dzieci były bardzo szczęśliwe z kuzynami, z dużą, kochającą rodziną.

Wtedy właśnie, na początku roku, gdy robiłam rutynowe badania w Polsce (ze względu na niższy koszt), dowiedziałam się, że mam nowotwór. Byłam przerażona i nie wiedziałam, co będzie dalej, przychodziły mi tylko czarne scenariusze do głowy. Nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym zostawić moje dziewczynki, ukochane córeczki na tym świecie same, beze mnie.

Chciałam dowiedzieć się więcej, zrozumieć, poznać prognozy i leczyć się w Polsce, otoczona wsparciem rodziny, lecz to wszystko działo się równolegle i nawet nie miałam szansy dalej chodzić po lekarzach i oswoić się z diagnozą, bo chodziłam po sądach.

To typ raka, w którym stres i emocje bardzo wpływają na wyniki i postępowanie choroby. A moje się pogarszały w zastraszającym tempie, a zarazem nie mogłam zatrzymać tej sądowej maszyny.

Przez to, że sprawa była w sądzie, musiałam powiedzieć rodzicom, że mam raka. Bo mieli być świadkami na rozprawie. Bardzo nie chciałam ich znowu martwić i zaburzać im czasu spokojnej starości. Nie było wyjścia. Oczywiście kwestia mojego zdrowia została wykorzystana przeciwko mnie.

Wiktor zarzucił mi w sądzie, że to kłamstwo. Że cały ten rak to oszustwo i bzdura, a ja mam się świetnie, a pomógł mi mój wujek, który jest lekarzem.

Zaznaczam tutaj, że choć wyglądam zdrowo, żyję z pięcioma przewlekłymi chorobami: Hashimoto, obustronnym niedosłuchem,

nawracającą depresją, atakami padaczki, i teraz jeszcze dodatkowo nowotworem.

Jego prawnicy zaczęli wypisywać do mojego lekarza z żądaniem dowodów na chorobę i ujawnienia prognoz, mimo że w sądzie przedstawiłam pięć różnych opinii pięciu różnych lekarzy z Polski i z Francji z taką samą diagnozą.

Sędzia w Polsce orzekł, że skoro matka ma raka, to dzieci tym bardziej powinny być z ojcem, gdy matka będzie w szpitalach i żeby w razie czego się przyzwyczaić do życia bez niej. Tak więc powinny wrócić na obczyznę. Kto ma pieniądze, ten ma rację.

Przestałam wierzyć w jakąkolwiek sprawiedliwość i nie mogłam uwierzyć, jak mogłam być tak naiwna i się łudzić, że prawo mnie obroni, nawet jeśli ja sama nie będę potrafiła – Matkę Polkę z rakiem, z przemocowego związku, bez jakichkolwiek oszczędności i z marnymi perspektywami na rynku pracy, która zarzuciła swoją karierę, żeby mąż mógł robić swoją, która tworzyła dom i wychowywała dzieci, rezygnując dla dobra rodziny z niezłych zarobków w biurze.

Pod koniec roku wróciła mi padaczka. Mam taki rodzaj, że nie mam drgawek, tylko mdleję. Mdlałam kilka razy dziennie. Przyjeżdżała do mnie karetka jedenaście razy w ciągu trzech miesięcy. To był najczarniejszy okres w moim życiu pod względem zdrowotnym i nałożył się z końcówką postępowania sądowego dotyczącego zakazu podróży do ojczyzny oraz rozprawy finansowej.

Okazało się w trakcie rozwodu, że mój mąż jest dużo majątniejszy, niż sądziłam, bo utrzymywał mnie w przekonaniu, że zarabia podobnie jak na początku naszego małżeństwa. Nie byłam aż tak naiwna i wiedziałam, że zarabia więcej (choć nie myślałam, że dziesięciokrotnie więcej), ale dla mnie nie miało to znaczenia, gdyż mieliśmy jeden dom, do którego oboje się dokładaliśmy. Na siebie i tak nie wydawałam, całe pieniądze szły na dzieci, a ja jak głupia nie miałam większych potrzeb. Tylko raz do roku przywoziłam sobie z Włoch trochę nowych ubrań.

Ciągle wpędzał mnie w wyrzuty sumienia, że żyjemy ponad stan. Ja się bardzo tym stresowałam i brałam na siebie dużą część kosztów, wydając wszystkie pieniądze z najmu mojego mieszkania w Polsce. Zwykle robiłam zakupy w najtańszym sklepie, trzymając na przykład ulubionego łososa córki w ręce i obliczając, czy starczy mi pieniędzy na koncie.

Nigdy nie miałam jego karty kredytowej, z wyjątkiem krótkiego okresu, gdy dał mi Amexa. Tej niestety prawie nigdzie nie przyjmowali, w szczególności nie w tych tańszych sklepach spożywczych, w których robiłam zakupy. Niejednokrotnie najadłam się wstydu, gdy próbowałam zapłacić, cała kolejka czekała, i okazywało się, że nie mam już pieniędzy na polskiej karcie. Wtedy zwykle płakałam i dzwoniłam do niego, prosząc o przelew. Robił to, a po powrocie do domu dawał mi pięćdziesiąt euro, żebym wydała, na co chcę, w ramach nagrody pocieszenia za kolejne upokorzenie w sklepie.

W czasie rozprawy finansowej okazało się, że zarabia ponad czterysta tysięcy euro rocznie i jego firma wypłaca mu pieniądze w trzech różnych krajach ze względów podatkowych, a on je po cichutku rozmieszcza w różnych miejscach i bankach.

Wiktor wystąpił do sądu o połowę mojego przedmałżeńskiego mieszkania oraz część domu moich rodziców, do której miałam prawo. Rodzice mieszkali w tym domu!! To było dla mnie najbardziej zadziwiające – totalny brak uczciwości, jakiegokolwiek honoru i wstydu. Ale jak mówiłam – niczego człowieczego się już po nim nie spodziewałam.

Napisał również, że dom na Sycylii jest w całości jego i dlatego pieniądze należą się wyłącznie jemu. Prawie połowę pieniędzy ze sprzedaży tego domu wydał na swoich prawników. Tak wołał.

Wykończyć matkę swoich dzieci. Dla niego to była najlepsza inwestycja i nie było śladu po jego wcześniejszym skąpstwie. Na swoje potrzeby i na wykańczanie mnie wydawał chętnie.

Ja wtedy byłam w najgorszym momencie pod względem zdrowotnym, od karetki do karetki, od ataku do ataku, od szpitala do szpitala. Napisałam podanie do sądu z prośbą o odroczenie sprawy finansowej. Napisałam o swoim stanie, padaczce, omdleniach, niedawnej diagnozie nowotworowej.

Prosiłam, aby odroczone rozprawę i aby nie odbywała się przez telefon, bo to dyskryminacja niepełnosprawności. Nie jestem w stanie usłyszeć wszystkiego...

Ku mojemu zdziwieniu w kolejnym dokumencie, na prawie czterysta stron, przeczytałam opinie, że to wszystko kłamstwa i mam się świetnie, że nawet podróżuję; zobaczyłam swoje zdjęcie z Madrytu (gdzie byłam u jednego z najlepszych onkologów na konsultacji).

Sędzia nie zgodził się na odroczenie rozprawy. Zostałam pokonana na polu bitwy, poddałam się goła, leżąca, on stał nade mną z psychopatycznym uśmiechem triumfu.

W pliku dokumentów do sądu były również duże odbitki kolorowych, pięknych zdjęć mojego mieszkania na Żoliborzu, które robiłam kiedyś ze specjalną agencją wspierającą mnie w wyszykowaniu mieszkania do wynajęcia.

Jeśli chodzi o to mieszkanie, to mój przezorny mąż już jakiś rok po ślubie wziął kontakt od moich rodziców do ich notariusza, aby upewnić się, że mój tata przepisał swoją część mieszkania na mnie. To było kilkanaście lat temu. On już wtedy się zabezpieczał na wszelki wypadek. Mnie się wydawało, że to z jego strony przejaw troski o moje interesy, o naszą przyszłość. Nie przyszło mi do głowy, że są kraje, w których bierze się pod uwagę i dzieli w razie rozwodu majątek przedmałżeński.

Jego prawnicy proponowali, żeby nie łożył na dzieci, bo jest głównym opiekunem, a ja przecież mam piękne mieszkanie i dochody w Polsce i mogę się sama utrzymywać. Usłyszałam nawet, że znam sześć języków, jestem bardzo mądra i mogę świetnie zarabiać, tylko mi się nie chce. Zapomnieli o nowotworze i braku większych perspektyw na rynku pracy?

Mogli tylko jeszcze żądać, żebym to ja mu płaciła. Miał naprawdę świetnych prawników.

Według prawa nikt inny nie może być obecny z tobą w czasie rozprawy przez telefon, chyba że masz prawników, oczywiście. Wspominam to jako koszmar.

Sędzia skłaniał się do tego, aby faktycznie uznać majątek przedmałżeński do podziału i że wystarczy, jeśli małżonek zapewni nam wynajem mieszkania przez dwa lata. Żadnych pieniędzy na dzieci.

Ja oczywiście mogłam się dalej sądzić, bo to nie był wyrok, tylko sugestia, jaki może zapaść po kolejnych miesiącach tej katorgi i kolejnych rozprawach sądowych przez telefon. Zgodziłam się na to wszystko, bo miałam wrażenie, że jak tak dalej pójdzie, to po prostu zejdem z tego świata.

Tak więc użeranie się z potworem, który robi wszystko, aby mnie wykończyć, nie miało sensu. Pięknie wygrał wszystko. Brawo. Kurtyna.

Wracając do sytuacji w święta podczas pandemii... Wiktor już odleciał. Ja zostałam z dziewczynkami. Rano tego dnia, kiedy miałyśmy samolot, obie

dostały silnych torsji. Wyglądało na zatrucie. Do tego u Kamy doszła wysoka gorączka. „Musimy zostać jeszcze kilka dni, dziewczynki chore, według prawa musimy się izolować, przebukowuję bilety” – napisałam do niego. I tak nie było powodu, żeby wracać. Szczyt pandemii, szkoły zamknięte, lekcje w trybie online. Nawet jeśli posiedziałybyśmy dłużej u dziadków – edukacyjnie niewielka strata. Zresztą ich objawy też mogły wskazywać na covid.

„Wracaj natychmiast! Dziewczynki muszą być tutaj” – odpisał. Człowiek, który właśnie rozbił rodzinę, wprowadzając do niej panią, której wysyła zdjęcia gołego ptaka, pisze, że „rodzina ma być razem”! Niedoczekanie.

To już był nonsens. Tak uznałam. Miałam wracać do Paryża z chorymi dziećmi w czasie, kiedy w Polsce zaczynało się robić bezpieczniej, bo pandemia powoli się wyciszała, a we Francji rozpędzała jak TGV? Strategicznie to był błąd. Próbowałam tłumaczyć. Napisałam, że trzeba jeszcze poobserwować objawy, może zrobić testy, ale w tym stanie na pewno nie można zaczynać żadnej podróży. „U moich rodziców jesteśmy bezpieczne, zaopiekują się nami, nie musisz się martwić”. Ha, przecież nie o opiekę chodziło! Wiktor oszalał. Zaczął wydzwaniać co chwila – do mnie i dziewczynek. Odebrałam raz. I ponownie wszystko cierpliwie wyjaśniłam. Użyłam wszelkich argumentów. Sensownych. Po drugiej stronie wrzask i agresja: „Wracaj! Natychmiast! Chcę was tu widzieć najpóźniej jutro! Masz czas do wieczora!”. „Wiktor, to drugi dzień biegunki, nie wsiądę do samolotu”. „Sama masz sraczkę! Nie chcę słyszeć tych głupich wymówek. Masz tu być. Koniec dyskusji!”

I trzask telefonem. Król wydał dyspozycje, a ja śmiałam je zignorować. Ot, co. Po dwóch dniach przysłał maila – po francusku – z żądaniem natychmiastowego powrotu do domu.

„Lekceważenie polecenia uznaję za próbę porwania dzieci”. „Niech mnie ktoś uszczypnie” – pomyślałam i machnęłam ręką. Himalaje absurdu. Niestety, nie dla mojego – prawie byłego – męża.

Sprawa trafiła do sądu najwyższego we Francji, a w Polsce założył mi sprawę z konwencji Haskiej, a moje nazwisko trafiło na listę przestępców. „Poszukiwana Karolina Łaniewska” – to nie żart. I nie film. To było jak zły sen, który nie chciał się skończyć.

Potem rozprawy online w Paryżu, wiele rozpraw w Warszawie. Pamiętam korytarz w sądzie. Siedziałam tam zdeptana, bezsilna, pogubiona. I nagle obie przyszłyście do mnie. Ty i moja siostra. To było dla mnie bardzo ważne. Po drugiej stronie korytarza siedział Wiktor z mamą i ojczymem. Mierzyli mnie wzrokiem od dołu do góry. Jakbym siedziała przed plutonem egzekucyjnym. Pamiętasz twarz Wiktora? Wystudiowany uśmiech, pełen wyższości i pogardy dla mnie, matki jego dzieci, która chciała tylko zadbać o zdrowie córek. Potem, na sali sądowej, słyszałam o sobie taki stek bzdur, że przygwoździło mnie do ziemi. Że jestem nieodpowiedzialna, zapominam o dzieciach, nie zapewniam im odpowiedniej opieki, zaniedbałam ich dietę i szczepienia. Kama miała wtedy lekką nadwagę, jak to dorastająca dziewczynka. Nic groźnego, może pięć, sześć kilogramów.

„Matka karmi dzieci fast foodami, zaprzestała gotowania, bo jest zbyt zajęta swoim życiem prywatnym” – usłyszałam z ust mojej teściowej.

Roztrząsano też moją chorobę psychiczną. Przyjazd na Sycylię pokazany był jako akt desperacji kobiety w stanie załamania nerwowego. Kłamliwe argumenty, sfałszowane dowody, jacyś biegli, którzy wygłaszali opinie na mój temat, a których nigdy w życiu nie widziałam na oczy. Teściowa oczerniająca mnie w sądzie i kłamiąca pod przysięgą, na przykład potwierdziła, że po porodzie praktycznie ona wychowywała dzieci, bo ja nic nie robiłam i spałam do 15.00. Czy za chwilę wejdzie reżyser *Psychozy* i powie: „Stop, cięcie, mamy to”? Stan odrealnienia *level hard*. Próbowałam się bronić. Sama. Nie było mnie stać na prawnika. Poprosiłam o panią mecenas z urzędu, ale narobiła więcej szkody niż pożytku. Kazała mi ustępować, godzić się na jego warunki. „Nie mamy czym z nim walczyć, pani Karolino” – Usłyszałam.

„Wysoki sądzie, niczego nie chcę od mojego byłego męża. Nie chcę orzekania o winie, nie chcę opowieści o zdradach i upokorzeniach. Chcę tylko spokojnie żyć, wrócić z dziewczynkami do ojczyzny, być blisko moich rodziców, siostry, brata i przyjaciół. Chcę wrócić z emigracji. Tylko o to proszę”.

Sąd mnie nie wysłuchał. Moje państwo nie chciało mnie na swojej ziemi, odesłało nas do mieszkania na obczyźnie. Wyrok brzmiał: „Do ukończenia pełnoletności dzieci ich miejscem pobytu będzie kraj przebywania ojca. Matka nie może podróżować z córkami bez wyraźnej zgody ojca na piśmie”. Paszporty Ingi i Kamy miały zostać zdeponowane u Wiktora.

Koniec i kropka. Mamy wracać do Francji. Z dokładnie rozpisany grafikiem opieki nad córkami. Z rejestrem kar i konsekwencji w przypadku opóźnień „dostarczenia” dzieci pod adres pobytu ojca. Płakałam cały dzień. Nie umiałam opanować żalu. Zostałam pokonana. Leżałam na łopatkach jak bokser po stoczonej walce, a sędzia już dawno przestał odliczać do dziesięciu. Mimo absurdu sytuacji i świadomości, że polski sędzia był przekupiony (nie byłby to pierwszy raz; sam mi opowiedział, jak kiedyś miał kłopoty z prawem i dzięki łapówce wymigał się od więzienia), poddałam się. Mogłam odwoływać się od wyroku i składać apelacje, ale już szkoda mi było i dziewczynek, i siebie.

W związku z tym podpisaliśmy „porozumienie”, według którego ja nie będę się odwoływać i dobrowolnie wrócę z dziewczynkami do Francji, a on zobowiązuje się nie zakładać mi kolejnych spraw sądowych i wszystko wraca do normy, czyli naprzemiennej opieki nad dziećmi.

Nic bardziej mylnego. Już niecałe dwa miesiące od naszego powrotu do Francji wręczono mi – w najbardziej kuriozalny sposób, przez jakiegoś podejrzanego typa, który dopadł mnie wieczorem w uliczce i wcisnął plik dokumentów do ręki, po czym zrobił „pamiątkowe zdjęcie” – kolejny pozew od niego.

Popłakałam się z braku sił, z bezradności, lęku, upokorzenia, i braku nadziei, że to się kiedykolwiek skończy. To już cztery lata ciągnięcia mnie po sądach. Wiktor założył mi kilkanaście spraw, byłam na kilkudziesięciu przesłuchaniach, ale wyglądało na to, że on się dopiero rozkręcał.

Kilka dni później, po północy, ktoś zadzwonił do drzwi mojego i dziewczynek nowego domu. Szybko zbiegłam na dół, żeby nie obudzić dzieci, a tam policja i radiowóz rozświetlający całą okolicę. Niezła reklama dla nowych sąsiadów.

Policjanci grzecznie oświadczyli, że przyszli odebrać mi paszporty dzieci, bo tak nakazał sąd. Spokojnie wytłumaczyłam, że to mąż trzyma te paszporty. Tymczasem starsza córka wyszła z łóżka i ze schodów przyglądała się całej sytuacji. Policjanci na to odpowiedzieli, że bardzo im przykro, ale będą musieli mnie zaarrestować, jeśli nie oddam im tych paszportów. Przysięgałam, że to Wiktor trzyma te dokumenty. Inga też im to mówiła, płacząc z przerażenia. Próbowałam się dodzwonić do męża, ale

nie odbierał przez ponad czterdzieści minut. W tym czasie dołączyła do nas również Kama, która też płakała i była roztrzęsiona.

Policjanci na szczęście cierpliwie czekali na wyjaśnienie tej sytuacji. W końcu Wiktor odebrał telefon, gdy zadzwoniłam ze smartfona córki. Spytałam, dlaczego nasyła na mnie policję o północy, skoro wie doskonale, gdzie są paszporty. Odpowiedział, że uważa, że znowu planuję porwanie dzieci, i w związku z tym mam oddać swój paszport i dowód osobisty.

Powiedziałam policji, że to przecież pogwałcenie mojej wolności i nie rozumiem, dlaczego mąż każe mi oddać moje dokumenty. Wydawało się, że się ze mną zgadzali...

Okazało się, że odbyła się bez mojej wiedzy i obecności niejawną rozprawa, na której Wiktor zdołał uzyskać od sędziego nakaz zabrania moich dokumentów.

Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że czekają nas dwa lata bez możliwości jakichkolwiek podróży za granicę – pojechania do ojczyzny do rodziny lub gdziekolwiek indziej.

Za to ojciec nadrabiał z podróżami podwójnie i zabierał dziewczynki przy każdej nadarzającej się okazji na wspaniałe wakacje, podczas gdy w „moim” czasie siedzieliśmy w domu...

Powiedziałam Wiktorowi, że celuje we mnie, a trafia i naprawdę krzywdzi własne dzieci. Nie wiem, czy kiedykolwiek to zauważy.

Musiałam nauczyć się żyć pod dyktando człowieka, którego jedynym celem i jedyną namiętnością było moje upokorzenie. Myślisz, że na tym poprzestanie?

Spodziewam się kolejnych ciosów z jego strony, kolejnych rozpraw...

Wiesz, czego żałuję? Że nie odeszłam wcześniej. Że zabrakło mi siły i odwagi, żeby spakować walizkę i trzasnąć drzwiami. Nie obroniłam wówczas ani siebie, ani dzieci. Wiele blizn zostało im po bagnie zafundowanym przez ojca. Patrząc na nie i boję się, żeby idąc tym wzorcem, nie wybrały podobnie przemocowych partnerów, zastanawiam się, jaki obraz mężczyzny wezmą ze sobą na życie?

Ale jeszcze stoję. Podniosłam się mimo całej tej traumy, depresji i nowotworu i daję radę. My, matki, jesteśmy silne. Dla swoich dzieci. I gdzieś tam w rezultacie również dla siebie.

Wróciłam po piętnastu latach do pracy biurowej. Jestem wysoko wykwalifikowaną headhunterką na najwyższe stanowiska. W pracy doceniane jest moje doświadczenie, znajomość pięciu języków i dyplom psychologa. Jestem chwalona za pracowitość. Podczas okresowej oceny moja szefowa wskazała tylko jeden słaby punkt, nad którym mam popracować. Jestem zbyt empatyczna i daję sobie wchodzić na głowę.

Już nie. Ostatecznie małymi kroczkami wyszłam z tej wojny zwycięsko, bo nie wdawałam się w utarczki, nie wydałam majątku na prawników i chroniłam swoje dzieci najlepiej, jak umiałam.

Znowu jestem silna i szczęśliwa. Moje zdrowie się ustabilizowało. Jestem spełniona w miłości, z zakochanym we mnie wspaniałym, mądrym i dobrym mężczyzną, który nosi mnie na rękach, jest uczciwy i delikatny.

Powstałam i kwitnę.

ANNA

Przychodziłam czasem na wspaniałe przyjęcia do Anny i Karola. Piękny dom w podwarszawskim Konstancinie, elegancki podjazd, ogród jak ze snu, wianuszek dzieci. W stylowo urządzonej willi na pierwszy plan wysuwały się obrazy gospodyni w subtelnych kolorach i lejących opływowych formach.

Ania była duszą towarzystwa. Nie tylko pięknie wyglądała, ale też miała wiele talentów. Czasem pod koniec przyjęcia – gdy kelnerzy roznosili już herbatę, kawę i wymyślne desery – siadała do fortepianu i grała...

Nie zapomnę wieczoru, kiedy miała na sobie obcisłą czerwoną suknię... Jak ona wyglądała przy tym fortepianie. Czułam się wtedy, jakbym oglądała przepiękny hollywoodzki film. Myślę, że wszyscy tam obecni też myśleli: „Ci to mają życie! Taka miłość się nie zdarza. A do tego ten piękny dom i czwórka dzieci!”.

OPOWIEŚĆ ANNY

Pytałam męża, dlaczego jest między nami taki chłód... Odpowiedział żartem: „Mięso trzymane w chłodzie dłużej trzyma świeżość”.

Nie wiem, jak i kiedy to się stało...

Z przebojowej i pewnej siebie dziewczyny, która mogła wszystko i wierzyła, że świat jest piękny, a ludzie dobrzy, stałam się zaleknioną, niepewną siebie kobietą w średnim wieku. Pogodę ducha zastąpiłam zgorzknieniem, a co mnie martwiło najbardziej, zaczęłam zaniedbywać i kwestionować sprawy, które wcześniej były dla mnie ważne i niepodważalne.

Karola poznałam w momencie, kiedy obydwójce wychodziliśmy z naszych poprzednich związków. Nie planowaliśmy tak szybko rozpocząć kolejnych, ale myślę, że obydwójce czuliśmy, że spotkaliśmy osobę, z którą możemy podjąć się tak poważnego projektu jak rodzina.

Dwa ambitne i przebojowe astrologiczne byki. Popracowali, pojeździli po świecie, a teraz mogą przejść do kolejnych wyzwań.

Mój mąż jako bardzo młody przedsiębiorca tuż po zagranicznych studiach założył firmę telekomunikacyjną, która zamieniła się w olbrzymi biznes.

Ja natomiast po malarstwie na Akademii Sztuk Pięknych wymyśliłam z przyjaciółmi agencję reklamową, w której pracowałam jako dyrektor artystyczny i czasami grafik. Pieniądze same do mnie przychodziły, a woda ze źródeł obfitości lała się z każdej strony. Mam wrażenie, że przez życie nie przechodziłam, tylko biegłam, czasem tańcząc walca na płatkach róż – jak w reklamie kawy...

Pomiędzy komercyjnymi zleceniami starałam się nie zaniedbywać sztuki, malując i co jakiś czas organizując wystawy swoich prac.

Karol na randkach był ujmujący i czarujący. Uwielbiał opowiadać mi o sobie, swoich podróżach oraz licznych sukcesach i biznesie. Ja słuchałam

totalnie nim oczarowana.

Co mnie do niego przyciągnęło?

Umiłowanie natury, mądrość, kultura, erudycja, czytanie, pewność siebie. Brak nachalności, cierpliwość. Szczególnie zachwycił mnie fakt, że się na mnie nie rzucał. Był jakby dużo chłodniejszy niż inni mężczyźni. I to było wtedy ujmujące. Bo adoratorów miałam zawsze mnóstwo; prześcigali się w pomysłach, byleby mi zaimponować i mnie zdobyć. Mężczyźni czasem zamieniają się w myśliwych, zapominając, że kobieta to nie sarna.

W Karolu ekscytujący był dla mnie nawet fakt, że wcale się mną aż tak bardzo nie zachwycał. Ze zdziwieniem zauważyłam, że on zbytnio nie okazywał też zazdrości. Kiedy dzwonił do mnie z Mediolanu mój były narzeczony, ceniony architekt, do dziś mój przyjaciel, i pytałam Karola, czy mu nie przeszkadza, że przy nim rozprawiamy w języku, którego nie rozumie, odpowiadał: „Luz. Wybrałaś mnie – jesteś ze mną. Gdybyś wybrała jego, byłabyś z nim”. Takie proste i takie piękne.

Uwielbialiśmy razem chodzić po górach, jeździć na rowerach i podróżować. Nieważne, czy był to weekend w Tatrach z plecakiem, czy luksusowa impreza w Paryżu lub kolacja na pustyni w Maroku, wszędzie czułam się z nim doskonale i potrafiłam się odnaleźć w każdej sytuacji.

Właściwa kobieta znalazła właściwego mężczyznę. Naturalna więc była wspólna decyzja o założeniu rodziny.

Bo ja tak naprawdę od dziecka marzyłam jedynie o gromadce dzieci i swoim idealnym domu z pachnącym ciastem i wazonem kwiatów... Karol doskonale znał te pragnienia...

Spotkałam go na imprezie biznesowej, na którą poszłam z Marcinem, moim byłym i partnerem w agencji reklamowej. Karol zachowywał się absolutnie czarująco, ale w kręgu znajomych powiedział coś ogólnie niepochlebnego o kobietach. Od razu mnie zdenerwował i popatrz, mam z nim czworo dzieci. Tak, życie bywa przewrotne.

Zamieszkanie z nim diametralnie zmieniło jego podejście do mnie, a wspólne życie stało się najtrudniejszą próbą...

Okazało się, że gdy tylko wzięliśmy ślub, jakby o mnie zapomniał i po prostu zajął się pracą. Zrobiłam się niewidoczna.

Z początku zupełnie tego nie rozumiałam.

Wykazywał po pierwsze zerowe zainteresowanie codziennością, po drugie relacją i wszelkimi wiążącymi się z nią dodatkami. Zostawił to na mojej głowie, a ja dzielnie się wszystkim zajęłam, jednocześnie kontynuując moją pracę zawodową, potem rodząc kolejne dzieci... Nie dostrzegłam momentu – z przepracowania i jakiejś swoistej ślepoty – kiedy z Karolem w tym wszystkim zgubiliśmy siebie nawzajem.

I nie byłoby w tym może nic aż tak dramatycznego, gdyby nie fakt, że mój mąż zaczął mnie karać – słownie, emocjonalnie, przez zaniechanie. I nie wiem, co robił świadomie, a co nieświadomie – wiem tylko, że po urodzeniu czwartego dziecka, dopiero jak ból przez niego zadawany stał się nie do wytrzymania, zaczęłam na to wszystko otwierać oczy.

Zauważyłam na przykład, że kiedy urządzałam kolację albo urodziny dzieci i prosiłam, żeby był na czas, to wtedy celowo się spóźniał... Oczywiście nie dzwoniłam, tylko pisałam SMS-y. Nauczył mnie tego, żeby mu nie zawracać głowy. Zresztą na SMS-y też rzadko odpowiadał.

Gdy pytałam o przyczynę milczenia, odpowiadał, że nie ma czasu na rozmowę. Kiedy po trzech miesiącach wreszcie dochodziło do jakiegoś kontaktu, byłam już strzępkiem nerwów, a on mówił wtedy: „Spójrz na siebie. Nie da się z tobą rozmawiać. Im głośniej krzyczysz, tym mniej cię słyszę”.

Niezwykle silnie to odczułam, kiedy trafiłam do szpitala. Zasnęłam na PPM-ie – to taki najważniejszy moment etapu preprodukcji – i Marcin, z którym czasem do dziś współpracuję, zawiózł mnie do szpitala. Wyszło, że po prostu byłam odwodniona i miałam silną anemię.

Mój mąż był wtedy w Londynie i wyobraź sobie, że po powrocie nawet nie zapytał, jak się czuję. I teraz myślę, że było w tym sporo mojej winy, bo przecież sama zadzwoniłam ze szpitala, mówiąc: „Wiesz, wszystko jest OK, tylko wiedz, że jestem w szpitalu”. Tak byłam nauczona, żeby swoją osobą innym nie dodawać stresu... On zapewne, jak większość mężczyzn, usłyszał tylko pierwszą część wypowiedzi i to ją przyjął do wiadomości, z wygody.

Po powrocie ze szpitala czułam się bardzo zawiedziona i smutna. Zaczęłam się dystansować i popłakiwać w samotności, ale z pracą nie odpuszczałam. Starłam się też być mamą, dla której dzieci są zawsze priorytetem.

Natomiast coraz bardziej zaczęłam odczuwać brak bliskości i seksu. Po kilku porodach jest to oczywiście bardzo praktyczne, bo mnie samej spadał

z przepracowania poziom libido...

Pytałam męża, dlaczego jest między nami taki chłód... Odpowiadał żartem: „Mięso trzymane w chłodzie dłużej trzyma świeżość”. I praktycznie po pierwszym czy trzecim zbliżeniu zachodziłam w kolejną ciążę... A w ciąży znowu mnie nie dotykał, mówiąc, że to niebezpieczne dla dziecka.

Wraz z odrzuceniem mojej kobiecości powoli, ale systematycznie zaczęła znikać we mnie pewna siebie i atrakcyjna kobieta. Na jej miejsce przysła gosposia, mamusia i opiekunka domowego ogniska.

Okazało się jednak, że wcale nie jestem idealną gospodynią, bo na przykład wracając z pracy, zrobiłam zakupy, potem upiekłam chleb, ugotowałam kolację, ale... zabrakło pomidorków.

Znasz ukraińską opowieść ludową o tym, jak mucha i pszczoła lecą nad łąką? Pszczoła zachwyca się morzem kwiatów, a mucha dostrzega jedynie krowie placki. Tak...

I choć byłam przez cały okres trwania mojego małżeństwa wdzięczna za to, co mam, i starałam się ogarnąć całą rzeczywistość najlepiej, jak umiałam, to dostawały mi się nie dobre słowa, ale coraz więcej krytyki. Nigdy nie byłam wystarczająco dobra.

Zacęłam starać się bardziej, żeby zasłużyć choćby na zauważenie czy pochwałę, ale one nie przychodziły. Za to krytyka – codziennie, i to bardzo różnorodna. Czasem wprost, a czasem owinięta w bawełnę.

Po latach, patrząc na swoje życie z dystansem, nieraz zadawałam sobie pytanie: „Co było tym moim jednym procentem szczęścia, skoro nie dostawałam od męża ani dobrego słowa, ani zapewnień o poprawie, ani wspólnych wyjazdów, ani nawet ich obietnicy?”.

Nie dostawałam też seksu, czułości ani nawet życzliwości, a co najgorsze, ba, nie dostawałam też szacunku, o który bardzo najpierw prosiłam, a którego potem ostro i stanowczo się domagałam. I to właśnie przyczyniło się do rozpadu naszej rodziny.

Moim błędem pod koniec był brak umiejętności spokojnej komunikacji. Po pierwsze, rzadko miałam możliwość rozmowy z moim unikającym konfrontacji mężem, po drugie, jak już do niej dochodziło, to dostawała mi się zawsze wiązanka krytyki i wyrzutów, na które zawsze reagowałam emocjonalną obroną, przez co kończyło się często moim krzykiem lub łzami i jego wyjściem z pokoju.

Z początku w ten sposób konfrontowałam się z nim raz na miesiąc, a potem raz na kilka miesięcy. Co było oczywiście mocno przez mojego męża krytykowane. Patrzył na mnie z politowaniem i mówił: „Spójrz na siebie. Jak mógłbym kochać taką histeryczkę?”.

Często powtarzał: „Na szacunek to trzeba sobie zasłużyć”.

I ja służyłam. Podczas całego naszego małżeństwa, mimo urodzenia i wychowywania czwórki dzieci, pracowałam zawodowo, dokładając się do naszych domowych wydatków, edukacji dzieci i wyjazdów, nie odkładając nic na czarną godzinę.

Prowadziłam nasz dom, do pomocy mając gosposię – co często wymawiał mi Karol, deprecjonując moją pracę – ale to ja płaciłam jej pensję. Nasz dom zawsze był urządzony, zadbany, z obrazami na ścianach, pasującymi kolorystycznie poduszkami na sofie i kwiatami w wazonie.

Wszystko – od a do zet – łącznie z najmniejszymi detalami w domu kupowałam ja.

Przeszliśmy razem cztery przeprowadzki i dwa remonty oraz dwie budowy i za każdym razem to na mnie spoczywała logistyka i koordynacja ekip. Po zbudowaniu naszego docelowego domu dowiedziałam się tylko, że powinnam była lepiej pilnować finansów. Mój mąż studiował finanse i zarządzanie w kilku zagranicznych szkołach, a ja w Warszawie malarstwo na ASP...

O wszystkie nasze niedociągnięcia oraz brak cielesności w związku ja byłam obwiniana i – co najgorsze – brałam tę winę na siebie.

Znasz to nasze polskie, katolickie, odebrane w pakiecie z genami po przodkiniach: „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina”. I dziwię się teraz z perspektywy czasu, że nie wypadły mi wszystkie włosy z głowy i że nie zachorowałam poważniej... Ale o tym później opowiem.

Karol jest erudyta. Po mistrzowsku znajdował na mnie określenia z pogranicza psychiatrii i psychologii, wskazując ich przyczyny w moim dzieciństwie. Winę za każdym razem ponosiłam ja. Co kilka lat zmieniały się tylko powody.

Kiedy wychodziłam do pracy, słyszałam komentarze: „Czy musisz uprawiać to swoje kosztowne hobby?”. Tak nazywał moje obrazy, które rzeczywiście czasem ciężko było sprzedać, ale pieniądze za nie często stanowiły spory wkład do naszego budżetu. A bywały dni, że nas po prostu ratowały. Pomijam fakt, że często nocami wykonywałam zlecenia grafika komputerowego, a zajęcie to było bardzo dobrze płatne. Pomijam też fakt,

że przez pierwszych piętnaście lat małżeństwa pracowałam przez cały czas, a dodatkowo dochód za wynajęcie mojego mieszkania również zapewniał naszym dzieciom ubrania, a naszemu domowi wszelkie potrzebne akcesoria i meble.

Kiedy o tym wspominałam, mówił, że to się nie liczy, bo ja to mieszkanie dostałam od rodziców, a powinnam wreszcie zobaczyć, co to jest ciężka praca, bo „nigdy nie wylądowałam w życiu twardo na tyłku”.

Nawet moja pierwsza ciąża nie wzbudziła w moim mężu jakiegokolwiek dodatkowego zainteresowania moją osobą. Ale wtedy byłam zbyt zajęta zadaniami i pracą, aby na to zwrócić uwagę.

Wspominając tamte czasy, zastanawiam się, skąd miałam na to wszystko siłę? I uśmiech. Przy tak mało wspierającym partnerze... Mężczyźnie, przy którym czułam się jak inkubator na dzieci, gosposia i opiekunka. Wiem teraz, że sama wsadziłam się w tę rolę.

Mąż nie chciał ani trzeciego, ani czwartego dziecka, ale moje zaślepienie w realizacji planu „szczęśliwa rodzina” było ogromne. Nie czerpiąc satysfakcji z życia małżeńskiego, wkładałam całe serce, energię i entuzjazm w wychowanie naszych dzieci. Dlaczego ja tego wszystkiego nie zauważyłam wcześniej?

Dlatego że dostawałam nagrodę w postaci cudownego ojca dla moich dzieci. Im okazywał wszelkie uczucia i empatię, których tak bardzo brakowało mi w naszym związku.

Nie mogłam uwierzyć, że mężczyzna tak niemiły dla mnie, cierpki i oschły, władczy i krytyczny, czasem złośliwy, może być jednocześnie tak czuły, kochany i dobry dla swoich dzieci. Odwrócony plecami i obojętny dla żony, może okazywać tyle uwagi i serca swojemu potomstwu.

W trakcie wszystkich ciąż jeździłam sama na badania. W wakacje z dziećmi – też najczęściej sama. Mój mąż w tym czasie zawsze miał coś ważniejszego na głowie. Zmieniał świat na lepszy, otwierał firmę, fundusz, udzielał porad największym przedsiębiorstwom. Więc nauczyłam się ze wszystkim radzić sobie bez niego...

Tak więc, wracając do pytania, co mnie w tym wszystkim trzymało? Gdzie były te ulotne chwile szczęścia? Dlaczego tak chętnie przyjąłam rolę ofiary? Tej cierpiętnicy, której i tak przecież nic się nie należy...

To szczęście znajdowałam w szczęściu moich dzieci, tak więc na polu ogólnie rozumianej instytucji rodzinnej mogłam się rozwijać do woli... nie wyobrażam sobie odcinania dzieci od taty.

Poza tym rozumiejąc, że na seks ani czułość nie zasłużyłam, już samo to, że mąż mnie objął, pozując do zdjęć rodzinnych, sprawiało, że byłam w siódmym niebie.

Dodatkowo zawsze, gdy już dochodziło do łez z mojej strony i mówiłam mu, że nie daję rady i chcę rozwodu, to on następnego dnia był bardzo miły albo mówił mi jakiś komplement.

To mnie trzymało przy nim naprawdę długo.

Że coś jest nie tak, jak być powinno, odkrywałam bardzo powoli i boleśnie. Najpierw zbuntował się mój organizm.

W trakcie rutynowego USG piersi okazało się, że mam w nich dwa guzy, dostałam skierowanie na biopsję. Kolejny guz pojawił się na tarczycy – też biopsja. A ostatni na jajniku.

Kiedy jechałam na biopsję, dostałam list od komornika, że wchodzi mi na oba konta. Mam rozdzielność majątkową z mężem, ale to dotyczyło firmy, którą on kiedyś ode mnie przejął. To było niczym scena z jakiegoś kiczowatego filmu... „Jeszcze to?” – pomyślałam.

Odpowiedział mi, że myślał, że tę firmę zamknął. „Myśleć, że się zamknęło, to można o klapie w toalecie” – opowiedziałam. Nie mogłam sobie tego wyobrazić. Ja pilnuję mojego biznesu, choć mam w rodzinie łatkę artystki.

Karol zawsze podkreślał, że na pierwszym miejscu jest dla niego rozwój. Dlatego prócz intensywnej pracy bardzo często w weekendy brał udział w warsztatach. Pamiętam, jak poinformował mnie, że zamierza pójść na wyprawę w góry, by wziąć udział w warsztacie na temat wewnętrznego dziecka. Pamiętam też, jak nie odbierał moich telefonów i jak bardzo prosiłam w myśli, żeby odebrał, bo czułam się kompletnie wystraszona i zagubiona przez pierwsze dni wojny, tak jak chyba większość z nas.

Wrócił z tego warsztatu po pięciu dniach, a ja przygotowałam kolację. Poprosiłam go, SMS-em, bo nie lubił, jak mówiłam do niego podniesionym lub zdenerwowanym głosem, żeby opowiedział dzieciom o wojnie, zaszczepiając w nich poczucie bezpieczeństwa. Młodsze oglądały straszne sceny na TikToku... Poza tym one czuły moje samopoczucie, bo choć chciałam dać im spokój, to w środku byłam rozedrgana.

Karol spytał: „Kto się boi wojny?”. Żadne dziecko się nie zgłosiło.

„No widzisz? Ty to jesteś *drama queen!*” – usłyszałam.

Miałam cztery guzy, komornika na obu kontach, zaczęła się wojna, a ja usłyszałam od męża, że jestem *drama queen*... Uwierzyłam, że ze mną jest

coś nie tak.

Dziwił mnie fakt, że czasem moje reakcje i ból działały na niego jak odżywka proteinowa na kulturystę.

Wyczuwał moje słabe punkty i rzeczy, na których mi zależy, a potem pytał: „Dlaczego tak podnosisz głos? Nie wiedziałem, że dla ciebie to takie ważne”.

Albo najgorsze:

„Nie było takiej rozmowy. Nie deklarowałem się, że to zrobię”.

„Wcale ci czegoś takiego nie obiecywałem”.

„Spójrz na siebie i swoje emocje. Musisz iść z tym do psychologa”.

I poszłam!

A ten psycholog właśnie okazał się moim wybawcą.

Tam otworzyłam szeroko oczy i dostrzegłam, że od lat nie byłam sobą. Sfrustrowana, czułam się nieszanowana i opuszczona. Opuściłam sama siebie: swoje potrzeby, swoje marzenia. Stałam się zgorzkniała i było we mnie mniej entuzjazmu i radości niż kiedyś.

Po latach bycia krytykowaną i obwinianą o wszelkie niepowodzenia – jak to sarkastycznie ktoś powiedział: „żona jest po to, żeby klęski mężczyzny miały twarz” – wreszcie przestałam brać winę na siebie.

Myszę, że na terapię poszłam w ostatniej chwili.

Moje dzieci, a szczególnie córka, zauważały, czuły, że jest ze mną coraz gorzej. Widziały mamę, która już nie piekła tak często jak kiedyś chleba i ciast, która miała podkrążone oczy, często zaczerwienione od płaczu, i która była niemila dla taty. Tata natomiast był zawsze miły i kulturalny. Rzadko podnosił głos, ale mówiąc o mamie, krytykowała ją i deprecjonował: „Ach, pewnie mama ma okres” albo „Znowu mama przeżywa i ma jakieś emocje”.

A mama się czepiała... Mama zaczęła zasypiać w ubraniu, usypiając najmłodsze dziecko. Zdarzało jej się to wcześniej, ale tym razem jej organizm był tak wykończony, że budziła się nad ranem.

Byłam karmiona i sama karmiłam się wyrzutami sumienia.

Zaczęłam winić moje ciało za brak seksu już po trzydziestym roku życia. Zrzucałam to na karb pięciu dodatkowych kilogramów, na rozstępy na brzuchu po czterech ciążach i na piersi, które po wielu latach karmienia dzieci nie były takie jak kiedyś.

Czułam się nieatrakcyjna dla męża i świata, bo przez niego odrzucona. Dopiero dużo później zrozumiałam, jak ważne jest to, jak same na siebie patrzemy. To, że kiedyś byłam modelką i że wciąż miałam wianuszek wielbicieli, uznawałam za pomyłkę, bo „oni się nie znają”, jedynie mój mąż był ekspertem, bo to on znał mnie najlepiej, co mi często powtarzał.

Po osiemnastu latach związku niemal bez intymności, kiedy ginekolog zapytał mnie o mój sposób na antykoncepcję, rozplakałam się, mówiąc, że takiej nigdy nie było z uwagi na kiedyś rzadkość, a teraz brak zbliżeń.

Gdy kazał się rozebrać nie tylko od pasa, rozplakałam się po raz drugi. Tłumacząc, że mam dziś gorszy dzień, a rozebranie się całościowe dla osoby, która ma tak obwisłe piersi i rozstępy na brzuchu, stanowi duży stres.

Lekarz stwierdził, że widział niejednego takiego przypadek i podejrzewa u mnie depresję. Co ostatecznie się nie potwierdziło.

Czułam się w tamtym czasie tak, że miałam ochotę głową walić w ścianę. Każda próba rozmowy z moim mężem kończyła się oporem z jego strony.

Do tego nie okazywał wcale emocji, a jak już po dwudziestu latach doszło między nami, z mojej inicjatywy, do rozmów o rozwodzie, omawiał tę procedurę, jakby był to plan trzech wizyt u stomatologa i usunięcia dwóch zębów trzonowych.

Pytałam siebie, jak to możliwe? Dlaczego tkwiłam tyle lat u boku kogoś, kogo nie znałam? Jak to możliwe, że mu zaufałam, wierząc, że mamy podobne wartości i cele?

Ponieważ ból psychiczny robił się nie do wytrzymania, a mnie zdarzyło się dwa razy stracić przytomność – co napędziło mi wielkiego stracha – zapisałam się na warsztaty kobiece.

Terapia i warsztaty uświadomiły mi, że zasługuję na szacunek i miłość tak jak każdy inny człowiek. Że związek dwojga ludzi to obustronna deklaracja szanowania siebie nawzajem i słuchania swoich potrzeb. Że istnieją mężczyźni, którzy w naturalny sposób zauważają i doceniają swoje partnerki.

Dzielenie się emocjami i poczuciem winy okazało się bardzo wzmacniające. Po kilku miesiącach, kiedy to moja terapeutka bardzo cierpliwie wysłuchiwała mojej historii, wzięłam życie we własne ręce.

Co tydzień pytałam się jej, czy wszystko ze mną OK. Czy nie powinnam skonsultować się z psychiatrą. Terapeutka odpowiadała, że jeśli

przyjdzie taki moment, to mnie o nim zawiadomi. Nie miałam zaburzeń osobowości ani nie brałam leków... A z pewnością Karol by tego chciał. Łatwiej byłoby się rozstać z „psychiczną” żoną.

Był to proces bolesny, ale dziękuję za wszystko, czego nauczyłam się o sobie w tej ciężkiej podróży.

Pamiętam też, jak od terapeutki usłyszałam słowo „przemoc” i jak ciężko było się przyznać samej przed sobą, że ona mnie dotyczy.

Nauczyłam się, że to my – kobiety, które dają się włożyć w rolę ofiary – musimy pracować nad poczuciem własnej wartości. W efekcie terapii otworzyłam też oczy na zakamuflowane formy agresji, takie jak ignorowanie, witanie się tylko z dziećmi, mówienie tylko do nich, brak powitania czy pożegnania, brak zainteresowania moim dobrostanem...

Zauważyłam, że Karol zainstalował kamery, przez co sprawował nade mną kontrolę. Finansową też. Dzięki aplikacji w telefonie wiedział, gdzie jestem. Znał moje hasła, miał wgląd w moje konto. Ja nie znałam jego ani nie wiedziałam, co dokładnie robi w pracy czy ile zarabia. Mówił mi, że to dla mojego bezpieczeństwa, a mi było jakoś łatwiej i wygodniej w to wierzyć i przystawałam na to.

Zawsze kochałam mój czas dla siebie, kiedy cały dom już śpi. I już resztką sił wchodziłam do mojego atelier. Tam był mój świat. Uwielbiam malować... To dla mnie sposób na dopieszczenie mojej duszy.

Niekiedy emocje dawały wtedy o sobie znać... Malowałam i płakałam...

Bywało, że sny informowały mnie o czymś, co potem starałam się przetransferować na płótno.

I pewnego dnia przyśniło mi się, że mój mąż ma inną kobietę. Wszystkie wyjazdy, nagłe wieczorne telefony, długie godziny w pracy – wszystko ułożyło się w logiczną całość.

Mąż przez trzy kolejne lata wyśmiewał moje podejrzenia, mówiąc, żebym swoją wyobraźnię zachowała na malowanie obrazów.

I tak trwałam w przeświadczeniu, że jestem niekompletną, nadwrażliwą panikarą z bujną wyobraźnią i histerycznym charakterem...

Moje guzy na szczęście okazały się niegroźne – zdaniem lekarza powstały przez podwyższony poziom stresu.

Próbowałam jeszcze kilkakrotnie skomunikować się z mężem, pisząc do niego.

Im więcej łez wylałam podczas pisania, tym więcej dni zajmowało mu przeczytanie maila ode mnie. Im bardziej go prosiłam, aby mi odpowiedział, tym większe robił uniki.

Przyjaciółce mówiłam czasem, że on zachowuje się, jakby kogoś miał i jakby chciał, żebym to ja się z nim rozwiodła. A ja, jak na złość, biegałam co tydzień na różaniec, modląc się o uzdrowienie rodziny. Tak doradziła mi teściowa i to była jedyna rada, którą od niej dostałam.

Na szczęście w miarę postępów terapii skierowałam moją energię nie przeciwko sobie – tak jak robiłam wcześniej pełna wyrzutów sumienia – tylko ku sobie. Terapeutka zasugerowała mi coś, co z początku wydawało mi się totalnie abstrakcyjne, abym spróbowała potraktować siebie tak jak swoje dziecko. Musiałam znaleźć dla siebie miłość – to było najtrudniejsze – cierpliwość, zrozumienie. Musiałam dać sobie czas, zanim zaczęłam na nowo malować. Bo ewidentnie również do mojej twórczości wkradł się kryzys, choć zleceń graficznych nie porzuciłam nigdy.

Wtedy przyszła do mnie gratyfikacja; po pierwsze w postaci lepszego samopoczucia i wyższego poczucia własnej wartości. Następnie poszerzyłam pulę swoich zainteresowań – zaczęłam wreszcie robić rzeczy, o których wcześniej tylko marzyłam.

Zauważyłam też, że szacunek ze strony mojego męża przyszedł dopiero wtedy, kiedy sama dałam go sobie.

I niestety dopiero gdy podpisałam z nim porozumienie rozwodowe, w którym nie chcę od niego nic prócz tego, żebyśmy niekiedy pobyli z rodziną w naszym domu na wsi, wspólnych świąt i czasu spędzonego z dziećmi przy grach planszowych i filmach. Poprosiłam o możliwość pozostania w naszym domu, którego miałam formalnie większość, bo więcej w niego włożyłam, i zgodziłam się na pół czasu z dziećmi. To było dla mnie najtrudniejsze...

Za to moje samopoczucie systematycznie się poprawiało. Lepiej się czułam, miałam więcej sił. Przyjaciółki zauważyły, że tryskam energią. Po raz pierwszy od lat nie miałam anemii. Pytałam terapeutkę, czy to normalne tak dobrze się czuć po rozstaniu. Ona odpowiedziała: „Tak, pani Anno. Po tego typu związkach można czuć się lekko i dobrze, gdy się zakończą”.

I wtedy dowiedziałam się zupełnie przypadkiem, od koleżanki kochanki mojego męża, że Karol pięć lat temu poznał na warsztatach właścicielkę agencji PR, która prowadzi w telewizji programy coachingowe o bliskości par.

Na swojej stronie głosi, że najlepsze, co ojciec może zrobić dla rodziny, to pokazać dzieciom, jak kocha ich matkę...

To zdanie z Coveya zaznaczyłam dwa sezony wcześniej Karolowi i zostawiłam na biurku naszego domu na wsi...

Cóż. Teraz wolę już nie opowiadać, czym to było dla mnie – szczególnie w kontekście zawiedzionego zaufania, wyśmiewania mojego przeczucia i lekceważenia moich emocji.

Jak bolało rozpamiętywanie scenek z domu, kiedy odmawiał nam zjedzenia wspólnej kolacji, mówiąc, że jadł już na mieście.

Jak ja naiwnie uciszałam dzieci, gdy tata wracał z „delegacji”, i prosiłam, żeby go nie budziły, bo musi się zregenerować.

Po koszmarnych trzech dniach postanowiłam dać sobie tydzień, żeby mu wybaczyć dla naszego dobra.

Tydzień okazał się wyzwaniem, choć ciężiej było mi wybaczyć jej. Ona uwodziła go wtedy, gdy my jeszcze bardzo walczyliśmy... Zastanawiałam się, jak można wchodzić do łóżka z ojcem czworga dzieci i z tak długą historią z inną kobietą? Ale przecież Karol musiał ją też nieźle omamić i zachęcać. Naiwnie się zastanawiałam, dlaczego nie zaprosiła mnie na kawę? Mogła spytać, czy my chcemy być razem. Przecież żaden mąż nie mówi, że jest na etapie walki o małżeństwo, ale kiedy patrzy w dekolt innej kobiety, to się zastanawia, czy jest sens walczyć.

W każdym razie podwójne życie Karola było dla mnie szokiem, a dałabym sobie wcześniej za niego uciąć rękę. Nie rozumiałam, jak można komuś tak kłamać prosto w oczy?

Przecież przed rozwodem zapewniał mnie, że nie umawia się na żadne randki, i przysięgał na wszystko, że to prawda. Mówił, że jak się zacznie umawiać, to będzie mieć problem, bo ja jestem najładniejsza i najfajniejsza... Mistrz manipulacji. A ja wypierałam i łykałam tę historię. Nawet potem myślałam, że może rzeczywiście jakaś kobieta była z nim raz na lunchu, a teraz opowiada o ich związku, bo sobie go uroiła... To mnie uspokajało.

Przyznał się dopiero po rozwodzie, gdy pokazałam mu, że mam jej numer telefonu, zdjęcie i stronę internetową – specjalność „Bliskość”.

Wyznał mi, że zasłużyłam sobie na to. „Czym?” Spytałam. „Praniem? Sprzątaniem? Braniem na siebie codzienności?” „Tym, że ty nie potrafiłaś mnie słuchać, a ona potrafiła”.

Cóż, ta pani za słuchanie ze zrozumieniem bierze pieniądze... I za uczenie bliskości.

Ja rzeczywiście słabo słuchałam, szczególnie gdy byłam krytykowana tak mocno, że broniłam się, przerywając Karolowi.

Odpowiedziałam mu: „Dla niej miałeś czas, szacunek, adorację i uśmiech. Dla mnie nic z powyższych”.

I to było ostateczne zamknięcie mojego małżeństwa. Jakże potrzebne.

Moja bujna wyobraźnia szalała, a jej instagramowe zdjęcia miłosnych schadzerek z szampanem na hotelowym tarasie nakładały się z WhatsAppami w moim telefonie z rezerwacją terminów wyjazdów służbowych Karola.

Nawet nie chcę o tym teraz opowiadać, bo nie chcę wracać do tamtej energii...

Gniew i pretensja jednak siedziały głębiej, niż myślałam. Musiałam wyjechać aż na dwa tygodnie, żeby wybaczyć też sobie. Bo tego typu ciężkich emocji z tylu lat nie załatwia się w tydzień...

Ten wyjazd był dla mnie zbawienny. Miałam wrażenie, że pierwszy raz w życiu dałam sobie dużo czasu, uwagi i wreszcie miłości. To tak, jakbym urodziła się na nowo. Wróciłam wzmocniona i pełna wiary, że wszystko ma głębszy sens. Na wyjeździe dużo spacerowałam, czytałam i medytowałam. Codziennie rano wysyłałam wszystkim znanym mi osobom dobrą energię i miłość. Również tym, które mnie zraniły. To pomagało.

Wciąż jednak wracam myślami do mojego poczucia winy.

Jak można, zdradzając kogoś, jednocześnie obwiniać go o rozpad związku i wszelkie niepowodzenia? I skąd ten gniew, który Karol mi serwował, jednocześnie sam mając kochankę? Staram się coraz mniej o tym myśleć.

Wybaczyłam jemu i sobie, biorąc też odpowiedzialność za moje zaniedbania. Ale nie zapomnę tego nigdy. Bo czy muszę uczyć się zapomnienia?

Tematy, które chciałam zamknąć w tydzień, zamykały się przez trzy miesiące. Wypłakałam i wykrzyczałam nasze małżeństwo. Wtedy bardzo pomogła mi moja wiara i czytanie Nowego Testamentu.

Obiecałam sobie wtedy, że zawsze będę wierna sobie i swojej intuicji.

Będę stawiać siebie na pierwszym miejscu.

Teraz jesteśmy po przyjaznym rozwodzie – przyjaznym, bo nic nie chciałam, i okazało się, że też nic nie straciłam. Bo moje dzieci wciąż mają dobrego ojca, a ja partnera nie miałam przecież już wiele lat temu.

Tak więc moje życie zyskało nowe barwy. Przestałam być krytykowana. Jestem wreszcie szanowana. Automatycznie wpłynęło to na moje lepsze samopoczucie.

Realizuję się w pracy i lepiej zarabiam. Karol na piętnaście dni w miesiącu przejmuje dzieciaki i mimo że w praktyce jest to zwykle dużo mniej, ja nie narzekam, bo to otworzyło mi perspektywę bycia bardziej efektywną w swoim tworzeniu.

Teraz przygotowuję dużą wystawę w Rzymie. Wraz z wyjściem z tego związku zaczęłam się czuć coraz zdrowiej, zaczęłam lepiej o siebie dbać i moje wyniki się poprawiły.

Od niedawna umawiam się na na razie niewinne spotkania z mężczyznami i sam fakt, że jestem na nowo adorowana, jest przyjemnym dodatkiem, a komplementy od nich działają jak pianka do kąpieli. Nie planuję jeszcze stałego związku. Prawda jest taka, że nie myślę o tym z lęku.

Wiem, że moim postępowaniem dałam mojej córce i synom przykład silnej kobiety.

To doświadczenie pokazało mi prawdziwe cierpienie i sprawiło, że bardziej doceniam wszystko, co dobre. Poznałam też, czym jest pokora, i chyba to zbliżyło mnie do prawdziwego człowieczeństwa.

Uwielbiam kobiece warsztaty i kręgi. I zawsze będę wspierać swoje przyjaciółki, które przechodzą podobną drogę.

ALICJA

Z Alicją spotykamy się w uroczej knajpce na plaży niedaleko Lizbony. Czas surferów. Potężne fale i ludzie, którzy nie znają strachu. Wspaniały widok za przeszkloną ścianą. Moja bohaterka wchodzi trochę spóźniona. Tłumaczy się „awarią” w domu, korkami, koniecznością odwiezienia syna na zajęcia.

– Nie ma sprawy. Mam na co popatrzeć, nie przejmuj się.

– Lubię to miejsce. I też lubię patrzeć na tych wariatów. Sto procent genu wolności. Nawet dwieście. Zazdroszczę im. Igrają z żywiołem, jakby nie były to potężne fale, tylko pagórki dobre na sanki.

Siedzi przede mną piękna kobieta z długimi włosami spiętymi w wysoki koński ogon. Duże ciemne oczy, mocno zarysowane kości policzkowe. Kwintesencja słowiańskiej urody. Wysoka, piekielnie zgrabna, budzi zainteresowanie obsługi. Kelner wyrasta jak spod ziemi. Odnoszę wrażenie, że się znają. No tak, mówiła, że lubi to miejsce i że często wraca na tę plażę.

– Dobrze mi tutaj. Nawet bardzo. Daleko od naszego szołbizu. Od wszystkich szmatławców, pudli i wszelkich zjadliwych brukowców. Tysiące kilometrów od rodzimej szczujni. Tego mi było trzeba. Tu mogę być sobą, bez konieczności oglądania się przez ramię, czy ktoś mnie przypadkiem nie ściga, nie podgląda, nie nagrywa.

Alicja sporo przeszła. Toksyczny związek z liderem rockowej kapeli, szczegółowo relacjonowane rozstanie i głośny rozwód. Sensacyjne tytuły i krzykliwe nagłówki: „Przemoc w domu gwiazdy!”, „Upadek idola!”, „Gdzie ta wzorowa rodzina?!” Itd., itp. Zdjęcia z czarnym paskiem na oczach i inicjał zamiast nazwiska, choć wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Towarzyska ciuciubabka z jedną niewiadomą.

Alicja wciąż wiele znaczy w tak zwanej branży. Wciąż jest jedną z najlepszych i najskuteczniejszych menedżerek. Kobieta legenda. Lwica i pitbull w jednej osobie. To zdecydowanie komplement. Zastanawiam się, jak powinno brzmieć pierwsze pytanie. Tylko przez chwilę. Historia zaczyna się sama.

OPOWIEŚĆ ALICJI

W domu rodzinnym bili mnie ojciec i matka, potem – w dorosłym życiu – ojciec mojego dziecka. I tak postęp, prawda?

Zawsze chciałam mieć dom. Pełen miłości, ciepła, zaufania, poczucia bezpieczeństwa. Pachnący chlebem i drewnem w kominku. Ze świeżymi kwiatami w wazonie i gromadką uśmiechniętych dzieci. Upiornie sielankowy obrazek, co? Pełna utopia. Marzyłam o czymś, czego nigdy nie zaznałam, co było wyłącznie dziewczynską fantazją, opowieścią z disnejowskich bajek. Nawet nie miałam pojęcia, czy taki świat w ogóle istnieje. Bo skąd miałam wiedzieć? Znasz te dziecięce wyobrażenia o tym, że jeśli tata jest muzykiem, to wszyscy ojcowie grają w kapelach? Że jeśli ojciec w ramach wychowania podnosi rękę, to wszyscy tak robią? Taki był mój świat. Dorastałam w krzyku, przemocy i na walizkach. Rodzice wiecznie byli w trasie. Ja, urodzona podczas tournée, w szpitalu we Wrocławiu, spędzałam dzieciństwo w hotelach w Niemczech, Anglii, na Węgrzech, w Jugosławii, Bóg wie, gdzie jeszcze. Wiecznie w drodze, wiecznie w fazie „przeprowadzka”. Zmiana była normą. Krzyk i wrzask były normą. I to nie przez alkohol, rodzice darli koty ze sobą zupełnie na trzeźwo. Tata znikał co kilka tygodni na kilka tygodni, po czym wracał z pustym kontem i obitą twarzą. Matka najpierw rzucała w niego czym popadnie, a potem przyjmowała go do gniazda.

Bardzo się bałam tych ich awantur. Siadałam w najciemniejszym kącie, podkurczałam nogi pod brodę i płakałam. Pół biedy, jeśli nikt mnie nie znalazł. Gorzej, jeśli chlupanie usłyszało któreś z nich. Wtedy dostawałam podwójnie w skórę. Równo – od matki i od ojca. Bili do granicy zmęczenia. Dopiero wtedy się uspokajali. Wiesz, co było w tym wszystkim najdziwniejsze? Że zaraz po laniu czy awanturze życie wracało do normy.

„Ala, co zjesz na obiad? Pierogi czy kotleta?” – pytała mama po odwieszeniu paska do szafy. „Wychodzimy za chwilę. Córnka, ubierz się

jakoś!” – rozkazywał ojciec, rozcierając obolałą rękę. Taka była moja codzienność. Chleb powszedni. Myślałam, że tak wygląda normalne dzieciństwo.

Uciekałam w fikcję. Miałam cały pokój zavalony książkami. Czytałam w każdej sytuacji. Nawet z latarką pod kołdrą. Za to też dostawałam baty. Pretekst? Niszczę oczy i wyczerpuję baterie, a przecież szkoda jednego i drugiego. No i kto będzie ze mną ganiać po okulistach i płacić miliony za leczenie i okulary? No kto? I łup po plecach. Łup po twarzy. Norma. Nigdy nie byłam dość dobra. Nigdy nie potrafiłam zadowolić moich rodziców.

„Czwórka? A dlaczego nie piątka, nieuku? Gośka jakoś potrafi. A tobie czego brakuje?” „Znowu plama na bluzce? Nowe pranie mam nastawiać? Jasna cholera!” „Ile razy mam powtarzać, że musi być porządek w pokoju? Co to za chlew, do cholery, gówniarno jedna?”

Oboje byli siebie warci, choć to ojciec szczególnie mocno dokręcał śrubę. Miotał przekleństwa i przytulał niemal w tej samej chwili. Był uzależniony od awantury. Kłótnia stanowiła dla niego źródło adrenaliny. Kochał to. Oboje kochali. Rzucali się sobie i nam do gardeł tylko dlatego, że po chwili można było się godzić. Dlaczego mówię „nam”? Mam brata. Ojciec nigdy go nie uznał, choć Michał wygląda jak jego lustrzane odbicie. Tata do końca utrzymywał, że to bękart, że mama się „puściła”, kiedy on właśnie „obracał” jakąś pannę z chóru. Wariactwo.

Potem odszedł. Może byłoby łatwiej, gdyby zrobił to tak skutecznie, jak robi to wielu tatusiów, ale on lubił o sobie przypominać. Zawsze z awanturą i przytupem. Wiesz, co poczułam, gdy przyszła informacja, że umarł? Wszystkim nam ulżyło. Wreszcie skończył się koszmar.

W domu rodzinnym bili mnie ojciec i matka, potem – w dorosłym życiu – ojciec mojego dziecka. I tak postępowanie, prawda? Wiem, że mówię o tym z sarkazmem. Może komuś wydać się to nie na miejscu, ale oddałam siedem lat życia, żeby wygrzebać się z bagna, do którego wpadłam po same uszy. Siedem lat terapii, rozmów, rozgrzebywania przeszłości, leczenia, pigułek. Nałożyłam zbroję. Teraz niełatwo do mnie dotrzeć.

Zresztą od zawsze miałam opinię herod-baby. Takiej, że bez kija nie podchodź. Klasyka gatunku w tym zawodzie. Albo masz twardy tyłek, albo nie masz tu czego szukać. Od początku moim zadaniem było bić się w imię dobra artysty. Dbać o kontrakty, trasy koncertowe, sesje, wywiady i nagrania. Człowiek orkiestra. To standard we wczesnych latach 90., gdy zaczynałam tak zwaną karierę. Myślisz, że jestem zbyt skromna, biorąc to

w cudzysłów? Może. Tak, naprawdę byłam dobra. Dobra i pyskata. Dlatego budziłam skrajne emocje. Ludzie mnie kochali albo nienawidzili. Twarda sztuka. Znałam swoją wartość. Znałam się na tym, co robię. Mówiłam kilkoma językami, a to wtedy wcale nie było takie oczywiste. W robocie było atutem, ale i powodem zawiści. Nigdy wszystkim nie dogodzisz.

Mój poliglotyzm w połączeniu z silnym charakterem nie ułatwiał mi kontaktów z szefem wytwórni. Grupę Krzyśka dostałam za karę. Grali trudną muzykę. Wtedy sprzedawał się miły i przyjemny dla ucha pop, a oni zasuwali z grubej rury. Ciężkie brzmienie, ostre teksty. Na pewno nie nadawali się na wieczór panieński ani imprezę dla młodzieży z dobrych domów.

Krzysiek już wtedy piekielnie gwiazdorzył. Chciał wszystkiego – kariery, koncertów, wywiadów, spotkań z fanami, sławy. Uważał, że mu się to należało. Jego ego było wielkie jak Himalaje. Najpierw wchodziło jego przekonanie o geniuszu, a potem dopiero on sam. Wszystko dla sztuki. Potrafił nie jeść, nie pić, pisać do rana i nagrywać całą dobę. Tytan roboty i despota. Bardzo mi się to podobało. Wydawał się niesamowicie bezkompromisowy, prawdziwy, oddany muzyce bez reszty. Dopiero znacznie później zrozumiałam, że nie chodziło o muzykę, sztukę ani tworzenie. Chodziło o niego. Tylko i wyłącznie o niego. Był jak Król Słońce – „Państwo to ja”.

Tyle że pod koniec lat 90. nie miałam jeszcze o tym pojęcia. Zupełnie inaczej go odbierałam. Dla mnie był wielkim artystą, który potrafił podporządkować swojemu dziełu całe życie. Tego samego wymagał od swojego „dworu”. Tyrałam więc jak wściekła. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Piątek, świątek i niedziela. Półtora roku mieszkałam w wytwórni, spałam pod stołem. Serio. To nie przesada.

I odnosiłam sukcesy. Pierwszą płytę nieznaną nikomu kapeli wydałam poza Polską. Sama nie wiem, jak to się stało. Masz pojęcie? Niszowa, twarda muza tłoczona na krążkach w Ameryce, Pakistanie i Izraelu! Świat nie miał dla nas granic. WOW! Koledzy z pracy, widząc mnie na korytarzu, bili brawo, mój zespół trafił na czołówki branżowych tytułów. Panie i panowie, oto sukces. To jeszcze czas przed epoką internetu, telefonów komórkowych i portali, ale gazety pełne były zdjęć Krzyśka. Skaner to, Skaner tamto. Posypały się zaproszenia do programów telewizyjnych, oszalał dla nas show-biznes. Każdemu mogło się przewrócić w głowie.

Tylko że Krzysiek miał w niej bałagan znacznie wcześniej. Nie bez powodu.

Matka wychowała go na królewiątka. Wiele wysiłku włożyła w przekonanie synka, że jest wyjątkowy i stworzony do wyższych celów. Wyrastał w przeświadczeniu, że świat istnieje po to, żeby sypać mu złoto pod stopy. Wszyscy do usług jaśnie paniątka. Mnie, menedżerkę, też chciał mieć na wyłączność. Szalał z zazdrości, gdy mówiłam: „Krzysiek, daj mi chwilę, ogarniam teraz kogo innego”. Zajmowałam się koncertami zagranicznych grup. Metallica, Rammstein – to byli moi podopieczni. Krzysiek zażądał, żebym z nimi zerwała. Zrobiłam to. Imponowało mi wtedy, że taki wielki muzyk chce tylko mnie. Podsypywał to zresztą bardzo sprytnie słodzikami komplementów i karmą uznania. „Ala, kto jak nie ty. Królowa Midas, wszystko obracasz w złoto. Idziemy na świat. *Sky is the limit! Megadream team!* Damy radę! Z tobą pójdziemy jak burza!” – powtarzał. Uwierzyłam.

Wyczyściłam wszystko i wszystkich. Został tylko Krzysztof i jego chłopaki. A tu na zmianę kij albo marchewka. Wychwalanie pod niebiosa albo zjebka i przekleństwa. Nie bolało mnie nazywanie „kurwą” i „debilką”, bo dokładnie takie same słowa słyszałam w rodzinnym domu. Byłam przekonana, że to normalny język, że wszyscy się tak porozumiewają. Zresztą – przymykałam na to oczy, bo przecież mówi do mnie muzyk, lider zespołu, człowiek pełen emocji, a takiemu więcej się wybaczają.

W całym środowisku panowało spore przyzwolenie na takie zachowania. Nikt nie mówił jeszcze o mobbingu, molestowaniu ani chamstwie. Taki język obowiązywał, koniec kropka. Skaner zresztą też wyrastał w przemocowym domu. Ojciec tłukł matkę do nieprzytomności, a kiedy uznał, że się postarzała i już go nie kręci – zostawił ją z gromadką dzieci i zniknął niczym kamfora. Jeśli sądzisz, że ona go znienawidziła, to się mylisz. Wciąż go kochała. Tak samo najstarszego syna, którego traktowała jak udzielnego księcia. Utrzymywała, że jest cudem, wybranym i wszelkie przyziemne czynności są poniżej jego godności. „Krzysio jest artystą i nie będzie wynosił śmieci” – mówiła. Albo: „Synku, zostaw te talerze, ja pozmywam”.

Spuszczała po nim wodę w toalecie, wycierała lustro oplute pastą do zębów, pastowała buty, składała majtki i skarpetki. Wychowała potwora. Ja? Ja też byłam przekonana, że artyście wolno więcej. Znosiłam obelgi

i czekałam na komplementy. Dostawałam jedno i drugie niemal w tej samej chwili. Tak samo jak kiedyś od ojca. Krzysiek potrafił powiedzieć, że jestem najpiękniejsza, najlepsza i świat bez mnie jest bez sensu, a za pięć minut – że jestem tępa, beznadziejna i można mną sobie dupę podetrzeć. Jak to przyjmowałam? Ze spokojem. Przecież „artyście wolno więcej”.

Żeby przetrwać, starałam się skupiać tylko na tym, co dobre. Obelgi puszczałam mimo uszu. Zakochiwałam się tylko w dobrych słowach. Wiesz, *bad boy* potrafi wyrazić uwielbienie na tysiąc sposobów. Bardzo jest w tym dobry. A ja – wychowana na książkach, wrażliwa na język – pielęgnowałam te wszystkie „królowo moja”, „pierwsza dama mojej muzyki”, „najpiękniejsza muza”. Nawlekałam je jak koraliki i oglądałam pod słońce. Cieszyłam się każdym hołdem. To naprawdę było niesamowicie karmiące.

Szybko zaszłam w ciążę. Trochę się bałam mu o tym powiedzieć. Nie miałam pewności, jak zareaguje. Potrafił wpaść w szał, kiedy któryś z chłopaków nie przyjechał na próbę albo nie znał nut przed nagraniem. Zdarzało mu się walnąć gitarą w podłogę czy roztrzaskać perkusie wszystkie bębny. Wtedy wyglądało to dla mnie jak słuszny gniew twórcy, demiurga, który nie godzi się na fuszerkę i bylejakość. A może na widok testu i dwóch kresek też tak zrobi? Nie miałam pewności, czy nie zacznie na mnie wrzeszczeć. Truchlałam na myśl, że usłyszę: „Dlaczego nie uważałaś, do kurwy nędzy? To też potrafisz spierdolić?”.

Wezwałam na noc mojego byłego chłopaka. Leon był mi bliski niczym brat.

„Zamknij się w małym pokoju i siedź cicho. Usłyszysz, jak będziesz potrzebny. Jeśli będzie cicho – możesz wyjść. Postukam w ścianę”.

Interwencja okazała się niepotrzebna. Krzysiek bardzo się ucieszył. To znaczy przez kilka pierwszych chwil nie wiedziałam, co robi, bo siedział z nieruchomą twarzą, zupełnie bez słowa. Trochę to trwało. Serce biło mi jak oszalałe. Błogosławiłam pomysł z Leonem na wyciągnięcie ręki. Zawsze obok był ktoś, kto mógł mnie uratować. A tu nagle, po chwili zamrożenia – euforia! Gejzer szczęścia, fontanna radości. Krzysiek zaczął się śmiać i tańczyć. Skakał po sofie i wołał: „Jak megazajebicie, będę tatą, będę tatą! Alka, ale zajebicie!”.

Zapukałam w ścianę. Leon mógł się zmywać. W domu trwał karnawał szczęścia.

Zaczęliśmy planować ślub, bo przecież dziecko musi mieć „normalną” rodzinę, „normalną” mamę i „normalnego” tatę. Tak ustaliliśmy. Postanowiliśmy to jednak utrzymać w tajemnicy – dla dobra zespołu. Szykowaliśmy wtedy nową płytę. Miała być petardą. Każdy nasz ruch w tamtym czasie podporządkowywaliśmy krążkowi. Jakoś poszło. To był też czas ustalania nowej trasy chłopaków. Okazja do naszej „manipulacji” podsunęła się sama. Długo wisałam na telefonie z szefem w centrali w Dortmundzie. Gadaliśmy po niemiecku, dość ekspresyjnie, wszyscy więc byli przekonani, że kłócimy się o dziecko. Miałam niezły ubaw i nie wyprowadzałam koleżeństwa z błędu. Prawda oczywiście wyszła na jaw, ale dopiero wtedy, gdy kontrakty były już podpisane, teledyski nagrane i trasa zapięta na ostatni guzik.

Termin premiery został ustalony na 10 listopada. Termin porodu miałam wyznaczony na 15 listopada. Jedyna dogodna data na dziecko. Plany jednak sobie, a życie sobie. Płyta się spóźniała, bo zepsuła się matryca. Może i dobrze, bo chłopaki chcieli coś jeszcze poprawić, a na okładce mogło się znaleźć zdjęcie nowo narodzonego Janka.

„To już – dzwonię do Krzyśka – rodzę”. Był w studio, kończyli finałowy numer. „Jadę, czekaj!” – wrzeszczał i słyszałam, jak biegnie po korytarzu, zatraskuje drzwi auta i rusza z piskiem opon. Zdążył. Siedział przy mnie, wycierał pot z czoła.

„Królowo moja, dasz radę! Kto jak nie ty! Boże, jaki jestem szczęśliwy!” – powtarzał.

Urodziłam, trzymając go z całej siły za rękę. Ależ to było szczęście. Piękny, zdrowy chłopak, 10 w skali Apgar. Krzysiek pojechał z małym na wazenie i mierzenie, potem pocałował mnie w czoło i wrócił na nagranie. Przecież termin gonił, a on jeszcze chciał „dopieścić” drobiazgi.

Nie miałam mu tego za złe. Artystom wolno więcej, pamiętasz? Wtedy zresztą materializowało się moje odwieczne marzenie o rodzinie. Facet, dziecko, dom. Czego chcieć więcej?

Został tylko ślub. Kto się zajął organizacją? No, oczywiście, pani menedżer. W tym czasie mój gwiazdor szykował się do kolejnej roli życia – tym razem ojca. Kiedy próbowałam mu się później przyjrzeć podczas wielu lat terapii, zrozumiałam, że jego najmocniejszą cechą jest tak zwane myślenie tunelowe. Był do bólu zero-jedynkowy, widział tylko jedno rozwiązanie i potrafił się skupić tylko na jednym zadaniu. Obecne brzmiało: zostanę ojcem stulecia. Najpierw wyposażył po sufit cały pokój dziecięcy,

potem – zwariował na punkcie Jaśka. Był z nim niemal cały czas i zabierał go wszędzie. W studiu – z Jankiem, na Fryderyki – z nim, spacer z wózczykiem, jazda z nosidełkiem. Oszalał dokumentnie. Media też. Wyobrażasz sobie? Duży, wytatuowany facet z wielkimi kolczykami w uszach, cały w dżinsie i czarnej skórze z ćwiekami tulący do klaty kruszynkę nie większą niż lalka ze sklepu z zabawkami? Totalny obłęd. „Skaner w parku z małym synkiem”. „Metalowy ojciec z gołębiim sercem”. „Mały skarb wywrócił życie wielkiego artysty”. „Rockowe ballady do dziecinnej poduszki”.

Dziennikarze prześcigali się w wątpliwej zresztą pomysłowości. Takie tytuły zapamiętałam. Było ich na pęczki. Pismaki ganiały za nim na wyścigi. Paparazzi wisieli na drzewach przed naszym domem. Kamery śledziły każdy ruch Krzyśka. A on pęczniał z dumy. Wcale się przed nimi nie chował, żeby była jasność. Nie wyglądało na to, że robi to z wyrachowania, o nie. Każdy gest zdawał się szczery i prawdziwy. Jestem święcie przekonana, że w tamtej chwili „tata stulecia” sam w to wierzył. Żart. A tak na serio – śmiało mógł dostać medal za wzorcową opiekę nad małym. Był w nim na zabój zakochany. Siedział godzinami przy kojcu, a potem na podłodze. Bawili się pluszakami, samochodzikami, klockami, czym popadnie. Gaworzyli razem i śpiewali razem. Pełna symbioza. Dorosły facet wyglądający jak zbir, o mentalności dziecka. Egzotyczne połączenie. Zespół, ja, cały świat, słowem wszystko poszło w ką. Nic nie miało znaczenia. Tylko Jasio i Jasio. Ósmy cud świata. Krzysiek stał się innym człowiekiem – złagodniał, wyciszył się. Przestał przeklinać. Już nie nazywał mnie „tępą dzidą”, tylko „matką jego syna”. Byliśmy szczęśliwi. To był naprawdę fajny czas. Czułam totalne połączenie dusz, myślałam, że razem możemy wszystko. Krzysiek dokarmił mnie słowami: „Caryco moja, wasza wysokość! Moja ty piękna żono, jaki ja jestem cholernie szczęśliwy”.

Ślub wzięliśmy rok po urodzeniu się Jaśka. Bez ceregieli, skromny, ale za to na pełnym rock and rollu. Sobie kupiłam srebrną suknię w Berlinie za trzydzieści euro i granatowy, marokański płaszcz. Krzysiek wystąpił w srebrnej piżamie, która „robiła” za garnitur. Przyszły wszystkie możliwe media. Co tu dużo gadać – sensacja – gwiazda twardego rocka żeni się z własną menedżerką. Jest co podziwiać.

Nawiasem mówiąc – niewiele brakowało, a ślub by się nie odbył. Ostatnią noc spędziliśmy w domu jego matki. Strasznie się denerwowałam.

Było zimno. O drugiej w nocy zaczęłam myć włosy, a miałam bardzo długie, do pasa. Szampon na głowie, a tu nagle bulgot w rurach i kończy się woda. Moja przyszła teściowa specjalnie ją wyłączyła. Tandetny numer, ale potwornie mnie to wkurzyło. Przecież słyszałam nie raz i nie dwa wymianę zdań między nimi: „Daj sobie z nią spokój, nie jest dla ciebie, tylko się kłócicie. Nie trawię tej baby. Posłuchaj się mnie”. „Mamo, przestań. Urodziła mi syna, to ta jedna jedyna. My się nie kłócimy, po prostu mamy temperament”.

Dlaczego znów mówię o matce Skanera? Bo jestem przekonana, że szczyła go na mnie. Połamana przez życie, rzucona przez męża, jednocześnie miała potrzebę kontrolowania każdego naszego ruchu. „A dlaczego ta umowa jeszcze niedokończona? Myślę, że Krzysio nie powinien tyle koncertować. Poza tym wynegocjowałeś za małą stawkę”. „Zacznij ubierać Janka jakoś normalnie, bo będą się z niego dzieci śmiały”. „Naucz się wreszcie, że mój syn nie jest od prania brudnych pieluch. Chciałaś dziecko, to się nim zajmij, jak na kobietę przystało”.

Miara się przebrała. Odcięłam ją od wszystkiego. Zabranie teściowej kontroli to był dla niej absolutny koniec. Na chwilę zapanował spokój. Pozorny. Skaner zawsze wracał od matki dziwnie naładowany, „elektryczny”. Wybuch wisiał na włosku.

Na razie jednak on smarował mnie komplementami, ja zasuwałam jak mały samochodzik. Koncerty – pach. Duet z gwiazdą ze Stanów – pach. Program w telewizji – pach. Oferty sypały się jak z rogu obfitości. Kiedy nasz synek podrósł i efekt nowości nieco osłabł, potrafiłam pojechać do redakcji pewnego liczącego się magazynu i czekać na reporterkę, żeby ją przekonać, że wypiercingowany ojciec z dzieckiem w przedszkolu na lekcji rytmiki to świetny materiał na reportaż. I tak było. Przez media przeszła kolejna fala zachwytów nad fenomenalnym tatą innym niż wszyscy. To ja wpadłam na pomysł – z przeproszeniem – ocieplenia wizerunku mojego artysty. Tak, wykorzystałam do tego nasze dziecko. Miałam niszową gwiazdę, a myślałam o niej totalnie mainstreamowo. Działo jak cholera. I wiesz, teraz wiem, że dokładnie wtedy powinnam sobie wytatuować na czole, najlepiej gotykiem, „Idiotka”. Żeby każdy na widok tatuażu pytał „Why?”, bo wtedy mogłabym mu opowiedzieć swoją historię. Dziewczynki z toksycznego domu, która wybrała sobie toksycznego chłopaka.

Mój szatański plan zakładał, że on jest dobrym, a ja złym policjantem. Szykowałam go do każdego wywiadu, obkładałam książkami,

podpowiadałam zdania klucze, autoryzowałam każde zdanie i każdy przecinek. Skaner – trzeba przyznać – długo był nieskończenie plastyczny. Słuchał się mnie. Zależało mu na zespole i na sukcesie, swoim, i potrafił wiele temu poświęcić. Chcieliśmy Grammy, marzyliśmy o muzyce filmowej, o Oskarze, wydawało nam się, że niebo jest w zasięgu ręki.

Sielanka skończyła się, gdy nasz syn skończył siedem lat i zaczął mieć własne zdanie w wielu sprawach. Szybko, fakt. Już nie chciał się ubierać tak, jak wymyślił sobie tata. Odrzucił ciemne bluzy i dzinsowe spodnie. Wolał nosić coś kolorowego. Na ubiorze nie koniec. Tata na obiad proponował kotleta, a mały wolał pizzę. Foch ojca gotowy. Podobnie było z wyjazdami na koncerty. Do pewnego momentu Jasiek czekał na nie jak na zbawienie. Cieszył się, że znów będzie z tatą i tymi „fajnymi wujkami”. Ale z czasem przestało to być aż tak bardzo atrakcyjne. Mały zaczął się buntować, gdy Krzysiek zarządzał wyjazd. Mówił: „Już nie chcę z tobą jechać, tato. Grasz za głośną muzykę, nie dam rady siedzieć nawet w przyczepie”.

O, niedoczekanie! Jak to? Tak stawać okoniem? Przecież dotąd było tylko: „Tak, tatusiu”, „Dobrze, tatusiu”, „Kocham cię, tatusiu, i kiedyś pojedę z tobą w trasę i zagram ci na gitarze”. Kult i hołdy bardzo pasowały cesarzowi. Protest – ani trochę.

Janek powoli dorastał. Już nie patrzył na Krzyśka jak na największego kowboja w okolicy. Ojciec już nie był nieomylny w każdej sprawie. Ten nie potrafił tego znieść. Któregoś razu, wkurzony odmową, walnął Janka w tyłek. Z całej siły. Małego zatkało. Do tej pory nikt go nie uderzył. A tu nagle robi to jego dotychczasowy bohater...

„Jak możesz, Krzysiek? Umówiliśmy się, że nigdy nie uderzymy dziecka!” – wrzasnęłam. „Ty też oberwiesz!” – warknął i popchnął mnie. Musiał w to włożyć sporo siły, wykorzystał też fakt, że kompletnie nie byłam na to przygotowana. Odwykłam od bicia. Poleciałam z całym impetem na ścianę. Uderzyłam w kaloryfer. Poszła krew z nosa. Osunęłam się na ziemię. Czerwone smugi na dłoni, plamy na koszulce. Krzysiek się nie przejął. Nawet na mnie nie spojrzął. Wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Nie było go przez kilka dni. Nie dzwonił, nie pisał. Po prostu przepadł.

W kapeli też nie działało się wtedy najlepiej. Odszedł świetny gitarzysta, wypadło kilka koncertów z zaplanowanej trasy. O wszystko obwiniał oczywiście mnie. Kiedy wrócił, jak gdyby nigdy nic, zaczęło się dziać tylko

gorzej. Popychanie było na porządku dziennym. Do tego wyzwiska i rynsztok. Mnie też wróciły wspomnienia. „Pamiętaj, nie zasługujesz na nic dobrego, ty się urodziłaś zła. Do szpiku kości zła. Takie jak ty idą na dno” – słowa matki brzęczały w uszach z nową siłą.

Od tamtego dnia usłyszałam wszystkie przekleństwa, jakie wymyślili ludzie. Byłam kurwą, wywłoką, pierdoloną suką, wszą i gnidą. Debilem, kretynką, nieudacznikiem i imbecylem. Obiecywał, że mnie zniszczy, zajebie, że „rozmaże mój tępy mózg na ścianie”. Wiesz, że przyszedł moment, gdy chciałam, żeby naprawdę to zrobił? Wolałam bicie niż słowa. One bolały tysiąc razy bardziej niż ojcowski klaps w dzieciństwie.

Wtedy znieczulałam się książkami, teraz – wspomnieniami z lepszych czasów. Wciąż miałam w pamięci to, co mi mówił, gdy urodził się Janek. Jak pięknie potrafił nazywać mnie, dziecko, dom, emocje. Ten sam człowiek, ten sam głos.

Im bardziej Krzysiek mieszał mnie z błotem, tym bardziej poświęcałam się pracy. Robiłam mu koncerty z ekipą na sześćdziesiąt osób, wyrzucałam ze sceny innych artystów, bo przecież „gwiazda musi mieć własny show”. Bo chciałam wreszcie zasłużyć na pochwałę i cukierka. Wiecznie było mu mało.

Wyrzucał mi, że któryś z chłopaków nie przyszedł na próbę, bo oczywiście „jebana pani menedżer, kurwa, nawet wiadomości nie umie wysłać”. Wściekał się na kogoś ze studia i wyżywał na mnie, bo „było umówić, ja jebię, jakichś zawodowców, a nie patałachy zasrane, wstyd mi tylko przed zespołem przez ciebie”. Kłóciliśmy się zwykle, gdy Janka nie było w domu, gdy siedział w szkole albo był na spacerze z opiekunką.

Chciałam jakoś łagodzić te sytuacje, nie dawać Krzyškowi pretekstu do wybuchu agresji. Bez skutku. Coraz mniej było trzeba, żeby wyjechał z więzanką albo pięściami.

Sięgnęłam dna. Pamiętam siebie stojącą na krawędzi dachu wieżowca. Raz w Warszawie, raz w Berlinie. Pod stopami huczająca ulica, w głowie jazgot myśli: „Skończ z tym, zaraz, teraz; jeden ruch stopy i lecisz, będzie po sprawie, przestanie boleć”. Zrobiłabym to, gdyby nie obraz Janka, który stanął mi przed oczami. Zeszłam z gzymsu. Trzęsły mi się nogi i ręce. Nie mogłam złapać oddechu. Dokładnie jak wtedy, gdy Krzysiek uderzył mnie w gardło.

Nie miałam siły odejść, nie chciałam już w tym trwać. Wymyśliłam mu wyjazd do Stanów. Umówiłam studia, producentów i mieszkanie w Los

Angeles. To nas wyżyłowało finansowo, ale uznałam, że warto zainwestować. Nigdy nie opływaliśmy w luksusy. Te wszystkie legendy o bajecznym życiu muzyków są bajką. No, może w przypadku kilku osób faktycznie można powiedzieć, że żyją jak królowie, ale reszta walczy o byt. Mój artysta wyjechał na długie trzy lata. On zajmował się szukaniem dźwięków na wzgórzach Hollywood i nagrywaniem projektów z egzotycznymi muzykami, a ja w kraju pilnowałam jego ZAiKS-ów i zmagalam się z depresją.

Byłam wrakiem człowieka. Ruszałam się wyłącznie siłą woli, mocą przetrwania. Pewnie trochę z przyzwyczajenia. Pewnie myślisz, że najprościej byłoby odwrócić się na pięcie i zostawić drania. Ja nie umiałam. Przecież to ojciec mojego dziecka, mój artysta, część mojego mitu o rodzinie, choć mój kat i oprawca. Odejście nie mieściło mi się w głowie. Wybrałam rozwiązanie pośrednie.

Przeniosłam się z małym do Lizbony. Nie mogłam się odnaleźć w naszym starym domu, wśród ludzi, którzy chcieli widzieć we mnie silną babę bez emocji, prącą do przodu jak sowiecki czołg. Nie byłam już tą dziewczyną. Miałam w środku zgliszcza. Wypaloną ziemię. Potrzebowałam odpocząć, złapać grunt pod nogami, odbudować się jakimś cudem.

Krzysiek przyjechał do nas tylko raz. „Taki sam slums z tego zrobiłaś jak z naszego domu w Warszawie. To było do przewidzenia”.

Niezły komentarz, prawda? Na synka nawet nie spojrzał. Na swoje ukochane dziecko, które nosił na rękach, z którym kiedyś bawił się jak szalony. Ojciec stulecia wypełnił misję, skończył zadanie i wypiął się na obiekt swojej miłości. Syn nie był mu już do niczego potrzebny. Kogo wzruszy stary rockandrollowiec z dorastającym chłopakiem? Niemowlę, mały szkrab – to co innego. „Stare” dziecko? Zawracanie głowy.

Wrócił do Polski. On, wielki Skaner, po paśmie amerykańskich sukcesów, z nowym materiałem pachnącym wielkim światem, Kalifornią. On, cesarz rocka i alternatywy, król już bez ziemi. Wrócił z kompleksem przebrzmiałej gwiazdy, której teraz nikt już nie chciał. Gazety nie pisały o Krzysku. Zespół przestał być sławny. Skończyły się zaproszenia do programów i wywiadów. Zgadnij, kto był temu winny? No właśnie. Posypały się inwektywy. Cały arsenał. Do znanych wcześniej, polskich, dołączyły slangowe prosto z przedmieść LA, gdzie włóczył się całymi dniami. Nie pojmował, jak działa zainteresowanie mediów. Nie chciał zrozumieć, że już przyszli inni, lepsi, młodszy. Że trzeba nieustannie być na

topie, podgrzewać kocioł, żeby funkcjonować. Uważał, że sama jego jaśnie oświecona obecność wystarczy...

Chcesz się ze mnie pośmiać? Tak à propos tego tatuażu na czole z napisem „Idiotka”. Tydzień po przyjeździe do kraju mój mąż mówi tak: „Tramwajem mam jeździć po tym pierdolonym grajdole? Co to ja, kurwa, zwykły Kowalski jestem?”. Co robi żona menedżerka? Kupuje gwieździe samochód. W Niemczech, bo tam lepsza oferta i bardziej atrakcyjna cena, i chce go osobiście przyprowadzić w nadziei, że pan i władca wreszcie się ucieszy. Parkuję obok domu, licząc na wdzięczność i pochwałę, a jego wysokość pyta uprzejmie: „I po chuj przyjechałaś? Kierowcę mogłaś wysłać”.

OK, racja. Położyłam uszy po sobie. Rzeczywiście. Niepotrzebnie jechałam po nocy. Znów, jak idiotka, chciałam zasłużyć na ochłap uwagi, a dostałam obuchem w łeb. „To nic – myślałam – nadstawię drugi policzek. Po chrześcijańsku”.

Kilka dni później król orzeka, że „chce poprawić kondycję, crossfit będzie dobry”. Co robi „suka na posyłki”? Oczywiście znajduje najlepsze studio i bardzo utytułowaną trenerkę. Pani fitnesska ma świetne referencje i kolekcję pucharów na półce w szatni. Tydzień, może dwa tygodnie później słyszę słowa: „Dość już mam twojej nudnej, szarej gęby. Jesteś skończona, słaba, stara i tępa. Mnie trzeba kobiety silnej, kolorowej i fascynującej. Wypierdalaj z mojego życia raz na zawsze”.

Mówiąc uczciwie, „wypierdalaj” oznaczało w tym przypadku, że to on wyniesie się do nowej „miłości”. Zabrał resztkę rzeczy z domu i wyprowadził się do dwudziestoletniej pani od podnoszenia ciężarów. Wybrał pieniądze z naszego konta i otworzył jej wypasioną siłownię. Niech cię nie zwiedzie mój pozornie lekki ton. Taka maska. Próbowałam nie zwariować. Każdego dnia walczyłam, by nie rzucić się pod pociąg, nie podciąć sobie żył albo nie nałykać się xanaxu. Bolał każdy milimetr skóry, cała dusza.

Nawet jak się już wyniósł, chciałam resztką sił doprowadzić ostatni projekt do końca. Wierzyłam w sukces. I jednocześnie bałam się, że jeśli wypuszczę lejce z rąk, stracę pieniądze. A przecież kapela Krzyśka była jedynym bandem, którym się zajmowałam. Z czego miałam żyć? Przestałam być żoną, ale menedżerką wciąż byłam.

„Wypierdalaj, kurwo, z sali!” – ryknął do mnie przy wszystkich chłopakach.

Wyszłam z podkulonym ogonem. Myślałam, że go wyciszę, jeśli nie będę reagować. Kiedyś to działało. Teraz nie.

Wiesz, może machnęłabym ręką, dała sobie spokój. W końcu znam się na robocie, za chwilę przyjdą propozycje. Dokładnie tak myślałam między jednym dołem a drugim. Tylko że Krzysiek nadepnął mi na odcisk. Zaczął mnie atakować. Pisał o tym w internecie, powtórzył w kilku wywiadach, że zniszczyłam legendę zespołu, że rozwalłam go od środka, że go wpakowałam w dziecko, a poza tym zdradzałam go na lewo i prawo z każdym, kto się nawinął. Przesadził. Grubo przesadził. Złożyłam papiery do sądu. Pozwałam go o alimenty dla naszego syna.

„Podaj mi swój adres w Portugalii – pisał do niego jeszcze przed rozprawą. – Ile ty właściwie lat kończysz?” I tyle. Ten sam kiedyś taki kochany i troskliwy tata.

Był grudzień 2018 roku, sądowy korytarz. Krzysiek przyszedł w asyście prawnika i swojej nowej narzeczonej. Na Janka nawet nie spojrzął. Widziałam, jak w jednej chwili dziecku pęka serce. Mógł wszystko naprawić jednym ruchem. Mógł zetrzeć na proch lata niepamięci i zaniedbań. Jasiek wybaczyłby mu jego nieobecność. A nawet zdanie, które usłyszał, gdy czekał na niego w Poznaniu. „Nie, nie przyjadę po ciebie. Nie jestem taksówkarzem. Mam próbę”. Wcześniej ojciec obiecał, że go zabierze stamtąd na spotkanie do Warszawy.

„Mamo, czy tata zostawił ciebie, czy mnie? Dlaczego się nie odzywa?” – zapytał tuż po tym, jak Krzysiek się wyniósł. „Mnie, synku”. „To dlaczego udaje, że ja nie istnieję?”

Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Wiem tylko, że zrobię wszystko, żeby moje dziecko uporało się z odrzuceniem przez tatę. Jeszcze jest trudno. Jeszcze wyrzuca sobie, że to jego wina, że zrobił coś, czym zawiódł Krzyśka. Dzieci często biorą na siebie odpowiedzialność za rozpad związku rodziców. To nigdy nie jest ich wina. Nigdy, przenigdy. Jan jest fantastycznym, wrażliwym, wartościowym chłopakiem. Cudownie śpiewa, gra na fortepianie. Cholernie zdolny. Jest pod opieką psychologa. Ja też. Damy radę. Wyjdziemy z tego. Oboje.

I – mam nadzieję – dziesiątki kobiet, które tkwią w truciźnie niezdrowej relacji. Uciekajcie! Zawsze jest dokąd. Nawet jeśli ktoś wam wmówił, że jesteście złe, beznadziejne, do niczego się nie nadajecie – to nieprawda. Jest życie po życiu. Jeszcze to wszystkim pokażę.

DARIA

Daria jest ciepłą, najczęściej promiennie uśmiechniętą, otwartą i empatyczną kobietą. Zawsze nienagannie ubrana, kocha jakościowe ubrania ze szlachetnych tkanin. Najczęściej nosi rzeczy swojego projektu. Piękne włosy w jasnym odcieniu zbiera w kitkę, a wówczas pojedyncze pasemka wysypują się wokół jej twarzy, co dodaje jej uroku.

Nie lubi się malować. Uważny obserwator dostrzeże delikatne zmarszczki wokół jej oczu i bardzo wrażliwą cerę. Tak, delikatna skóra – to delikatny charakter...

Daria jest zawsze wymieniana wśród kobiet z klasą. Słynie jako wzorzec idealnej matki – jej dzieci są nie tylko piękne, ale też mądre, zaradne i kontaktowe... – i zaradnej gospodyni.

Prowadziła słynnego bloga o modzie dziecięcej. Zdjęcia jej przepięknie ubranych i promiennie uśmiechniętych dzieciaków z reklamową urodą do tej pory biją rekordy popularności na Pinterescie.

Znam tę kobietę od lat i podziwiam ją za świadomość, styl i mądrość życiową. Każde spotkanie z nią wnosi coś w moją duszę.

Bardzo długo musiałam ją namawiać, żeby podzieliła się swoimi wspomnieniami.

Daria zaczyna mówić cicho i drżącym głosem, powoli odsłaniając obraz kobiety delikatnej, kruchej i mocno zranionej, która chyba z nieba dostała siłę lwicy i powstała niczym Feniks z popiołów.

OPOWIEŚĆ DARI

Dostałam od niego wiadomość, że zawsze wiedział, że go opuszczę i że będę tego żałowała. I że nic mi nie zostawi, bo zaraz sobie kogoś znajdę.

Kamila – ojca moich dzieci – poznałam jeszcze na studiach.

Ujął mnie tym, że nie był efekciarzem. Cichy, miły i skromny introwertyk. Nie lubił być w centrum zainteresowania.

Otwierał się zwykle dopiero po dwudziestej drugiej i zwykle po dwóch kieliszkach mocno wytrawnego czerwonego wina. Do niego serwował najlepiej usmażone steki, jakie w życiu jadłam.

Zakochałam się w nim na naszej pierwszej wycieczce rowerowej, gdy zerwał dla mnie dzikie konwalie na Szlaku Motławskim i tak się delikatnie uśmiechnął, wręczając mi bukiet. Pomyślałam, że to właśnie z nim moja przyszłość będzie bezpieczna.

Poczucie bezpieczeństwa... Tak, tego z moim złamanym sercem potrzebowałam najbardziej. Gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, odczuwałam brak stabilizacji. Moja rodzina często się przeprowadzała, nigdzie nie mogłam zapuścić korzeni. Do tego mój młodszy brat był chorowity, a tata przy każdej kłótni rodziców straszył mamę swoim odejściem. Kłótni, często nocnych, które doskonale słyszałam przez cienkie ściany swojego pokoju. Pamiętam też, że jak już zasnęłam, to często budziłam się w nocy po strasznym śnie, złana potem.

Mimo to z domu wyniosłam wielką miłość, szacunek do drugiego człowieka i pracowitość. Moi rodzice mimo wcale niełatwej historii potrafili zwalczyć kryzys i przekuli go w dobry i stabilny związek, w którym wspierali się potem całe życie. To dało mi tarczę ochronną na chwile, kiedy jej najbardziej potrzebowałam.

Kamil miał polot, świetne poczucie humoru. Lubiliśmy podobną muzykę i kino, czytać książki... Okres narzeczeństwa wspominam

z rozrzewnieniem; to był świetny czas naszego życia. Wspólne wypadki do teatru i pod namiot... To wszystko skończyło się wraz z jego pierwszym wielkim sukcesem zawodowym.

Ale po kolei.

Oświadczył mi się w Nowym Jorku, tuż po ekskluzywnej kolacji w restauracji na trzydziestym piętrze. Pamiętam, że miałam na sobie tamtego wieczoru czarną obcisłą satynową sukienkę z kołnierzykiem i srebrne matowe szpilki. Uśmiechnięty kelner wręczył nam szampana oraz wykwintny deser... Coś na kształt trzypiętrowego minitortu. Na najwyższym piętrze leżało pudełeczko od Tiffany'ego, a w nim piękny pierścionek z brylantem.

Nie pytał mnie wcześniej o rozmiar, ale pierścionek pasował idealnie na mój serdeczny palec. Piękniej być nie mogło. Czułam się jak Michelle Pfeiffer w jakimś świetnym filmie.

Kamil wraz z pierwszym sukcesem kupił hotel w Zakopanem, potem wielki okręt w Gdańsku i jacht, żebyśmy mieli czym pływać w wakacje. Aczkolwiek te wakacje ciągle się oddalały, bo wraz z większymi zarobkami Kamil oddawał więcej czasu swojej pracy.

Obydwoje kochaliśmy podróże. Ja czerpałam z nich inspiracje i robiłam zdjęcia do mojego bloga. Jednak przez pierwsze lata głównie podróżowaliśmy tam, gdzie załatwiał biznesy. Czekałam wtedy na swoje pięć minut i... było wciąż pięknie. Od zawsze doceniałam każdą małą rzecz. A wtedy było dużo i tych małych, i tych wielkich. No i jestem cierpliwa; potrafię czekać. Długo czekać. Mam to po mamie.

Wszystko się układało. Pierwszego urodziłam Janka – wyczekanego pierworodnego. Szczęścia, którego dotknęłam przy Jasiu, poznając smak miłości matki do dziecka, nawet nie jestem w stanie opisać. Zmieniło to diametralnie moją optykę na życie i wszystkie jego aspekty. Po prostu dzieci i radość z codziennego obcowania z nimi, możliwość dawania im miłości i bezpieczeństwa oraz wpływ na ich rozwój, to stało się moją totalną pasją i esencją życia. Jaś rozwijał się ku naszej radości doskonale. Po dwóch latach pojawił się Michaś. Mieć dwóch zdrowych i wspaniałych chłopców to podwójne szczęście. A tu na deser po sześciu latach dostaliśmy od losu córeczkę – Klaudunię – moją iskierkę. Ta trójka była moją wielką radością i motywacją do działania. W naszym domu panowała miłość, uśmiech, radość...

I mogłoby tak zostać. Tak skończyłby się piękny film, a zaraz po nim pojawiłby się napis: „I żyli długo i szczęśliwie”. Nam niestety przeznaczenie napisało inny scenariusz.

To był czas, kiedy kończyłam urządzać nasz nowy dom. Szczególnie chłopcy byli przeschczęśliwi, bo mieliśmy tam wielki basen. Klaudunia uwielbiała tam biegać po ogrodzie pełnym kwiatów, o które dbał nasz kochany ogrodnik pan Wiesio.

Kamil lubił kopać z chłopakami piłkę, uczył ich jazdy na rowerze. Powtarzał mi wtedy, że jest świetnym ojcem i nigdy nie skrzywdzi swoich dzieci tak, jak sam był skrzywdzony.

Gdy Kamil miał sześć lat, jego mama wyjechała do Berlina do pracy. A kiedy po czterech latach wróciła, rozwiodła się z jego ojcem. Okazało się, że oboje znaleźli sobie kogoś innego. Kamil częściowo wychowywany był przez babcię ze strony taty, bo tego większość czasu nie było.

W naszym nowym domu coraz częściej zdarzały się prozaiczne scenki rodzinne, które kończyły się kłótniami.

Na początku tego najgorszego okresu Kamilowi przestało się układać zawodowo. Zaczął więc jeszcze więcej pracować. Wracał późnymi wieczorami – często po jakichś przyjęciach i rautach – był coraz bardziej rozbity i zły. Zaczął coraz dłużej zostawać wieczorami na dole na sofie. Nie potrzebował już tak jak kiedyś mojego towarzystwa. Zamykał się w swojej jaskini i otwierał wino, czasem drugie... Patrzył często nieruchomym wzrokiem w ekran telewizora. Wszelkie pytania ucinał, mówił, że jest przepracowany. Niepokoiło mnie, gdy stawał się agresywny po alkoholu.

Zauważyłam, że przestał mieć też cierpliwość do dzieci i czas dla nich. Choć wciąż powtarzał swoje sztandarowe zdanie, że on „Nigdy nie unieszczęśliwi swoich dzieci tak jak jego unieszczęśliwili rodzice”.

Właśnie w tamtym okresie bardzo oddaliliśmy się od siebie. Zachowywał się wobec mnie tak, jakby on był panem, a ja służącą.

Cała proza życia, ale również wyjazdy, szkoły, lekarze dzieci i ich zajęcia dodatkowe... wszystko było na mojej głowie. Również wyjazdy planowałam ja, bo jeśli tego bym nie zrobiła, to nigdzie byśmy nie wyjechali... Kamil był już wtedy tak pochłonięty pracą, że nic innego go nie interesowało.

Przestał zapraszać mnie na wspólne wyjścia, a latem coraz częściej okazywało się, że nie może dołączyć do nas na wakacje.

Wciąż w tamtym okresie mówiłam sobie: „To minie. Każda para ma ciężki moment i w każdej pracy zdarzają się wpadki”.

Zakasałam wtedy rękawy – bo Klaudia skończyła trzy lata i mogłam ją wysłać do przedszkola – i otworzyłam swoją firmę. Kontynuowałam mody bloga, na którym chłopcy i małeńka bili rekordy popularności, jak również zaczęłam prowadzić zajęcia jogi i aqua aerobic u nas na basenie. Basen miał osobne wejście oraz przestrzeń łazienkowo-prysznicową, dzięki temu okazało się to bardzo proste logistycznie.

Cztery razy w tygodniu przychodziły cudowne kobiety, które miały wykupione karnety na zajęcia i na basen. Moja firma rozwinęła się na tyle, że mogłam pomyśleć o zatrudnieniu większej liczby osób.

Ale Kamilowi nie podobał się ten pomysł, mimo że narzekał na swoje deale i powtarzał, że musimy zacisnąć pasa, bo czasy trudne.

Czasy okazały się tak „trudne”, że jedna z koleżanek mojego brata opowiedziała mu, jak zobaczyła Kamila w sopockim hotelu na śniadaniu z atrakcyjną brunetką w zielonej sukience. Byli podobno bardzo rozbawieni i wpatrzeni w siebie.

Kamil wyśmiał mnie, gdy go o to zapytałam, mówiąc, że tysiąc razy jadał posiłki ze swoimi pracownikami, ale jednocześnie jakby odsunął się ode mnie, zaczął mnie unikać. Nie rozumiałam tego, bo wciąż był o mnie bardzo zazdrosny. Pytał, gdzie wychodzę, z kim itp., itd.

Kiedy którejś nocy znowu wrócił pijany do domu, powiedziałam, że tak nie możemy dalej żyć, i spytałam, czy może nie powinniśmy się rozwieść.

Następnego dnia po powrocie z zakupów zastałam zamknięty dom ze zmienionymi zamkami i wielki łańcuch na bramie. Zamknięte przede mną były również pomieszczenia basenowe i domek ogrodnika. Tego widoku nigdy nie zapomnę...

Ponieważ mój mąż podpisał ze mną przed ślubem intercyzę, zostałam w zasadzie z niczym, bo konta też były zablokowane... Gdyby nie rodzice, nie miałabym gdzie się podziać. Niestety Kamil znał hasła do domeny mojego bloga i również mi go zarekwirował – moją kilkuletnią pracę, ot tak.

Dostałam od niego wiadomość, że zawsze wiedział, że go opuszczę i że będę tego żałowała. I że nic mi nie zostawi, bo zaraz sobie kogoś znajdzie...

Na szczęście dzieci były w przedszkolu i szkole...

Przeniosłam się z nimi do mamy, a na moje błagania i prośby o nasze rzeczy przysłał nam dwie walizki.

Zaczęła się fala oskarżeń o moje rzekome zdrady, obsesyjne wrzucanie na Facebooka moich nieładnych zdjęć. Na przykład z plaży, jak karmiłam Klaudię piersią, lub z innych intymnych sytuacji u nas w domu. To wszystko było dla mnie bolesne i szokujące.

Powtórzę, że bez pomocy rodziców nie dałabym sobie rady.

Wydzwaniał do moich przyjaciółek, bluzgając na mnie i wypytując je, z kim się spotykam.

Jeździł po naszego najstarszego syna, Janka, do szkoły, potem woził go do restauracji i całymi godzinami opowiadał mu, jak go kocha i jaką krzywdę mu zrobiłam. Ciekawe, że o innych dzieciach jakby zapomniał...

Dzieciaki nie rozumiały tej całej sytuacji. Staralam się, żeby nie miały traumy, więc pobyt u dziadków przyjęły w miarę naturalnie, tym bardziej że lubiły tam być.

Naszym czternastoletnim wówczas Jasiem ewidentnie manipulował...

Kamil przez dwa kolejne lata przeprowadził kilkanaście spraw notarialnych, przepisując wszystkie swoje nieruchomości, udziały, samochody – ogólnie cały majątek – na swoją siostrę. A następnie wyjechał na Hawaje.

Nie dostawałam od niego żadnych wiadomości. Odzywał się jedynie do Jasia.

Nie ukrywam, że było mi z dziećmi bardzo ciężko u rodziców mimo pomocy z ich strony, bo dzieciaki tęskniły za domem i za tatą...

Kamil tymczasem zaczął wciągać Jasia w swoje interesy i często buntował go przeciwko mnie.

Dwa razy w roku przylatywał na święta do Polski i brał dzieci do restauracji na kilka godzin. Ale mnie karał. Uciął ze mną zupełnie kontakt i wstrzymał wszelkie wsparcie finansowe.

W tamtych chwilach trzymała mnie chyba jedynie miłość do moich dzieci i wiara, że kiedyś wyjdziemy na prostą.

Michał jest świetnym lekkoatletą. Zdobył pierwsze miejsce w ogólnopolskich zawodach w biegach. Po tym złotym medalu dostał propozycję reklamy słynnych napojów i jego uśmiechnięta buzia świeciła na wielu billboardach w całej Polsce. Do tego wszystkiego gra na fortepianie... Jak go słucham, to czuję się, jakby mi bandażował duszę i lał miód do serca. Potem jego urodę i talent zauważył pewien reżyser. Michał jest zaproszony do zagrania roli w disnejowskiej produkcji.

Domyślałam, że przeprowadzka do Warszawy dobrze nam zrobi. Przed wszystkim pozwoli mieszkać bez moich rodziców, a poza tym oddali od tamtych wspomnień. Dzieci w miarę dobrze się zaadaptowały, choć różnica w poziomie życia jest drastyczna... W Warszawie żyjemy w dwupokojowym mieszkaniu oddaleni mocno od centrum. Chłopcy mają wspólny pokój, a ja z Klaudunią śpimy w salonie.

Pół roku po naszej przeprowadzce Jaś pojechał w odwiedzinach do Kamila i nie wiem, co dokładnie się tam zdarzyło, ale wrócił odmieniony. Zamknął się w sobie, zdystansował ode mnie. Całymi dniami grał w gry komputerowe i widywał się z nami jedynie podczas posiłków. Czułam się całkowicie bezradna. Na każdą próbę rozmowy o pobyciu u taty wychodził z pokoju.

Nie mogłam uwierzyć, że moje ukochane pierworodne dziecko tak oddaliło się ode mnie. Mój ukochany Jaś, z którym rozumieliśmy się bez słów, który, gdy byłam w ciąży z Michasiem, przytulał się do mojego brzucha, słuchając bicia serduszka brata, a miesiąc przed urodzeniem Klaudii pytał codziennie, czy mogę już dziś tę siostrę mu urodzić... Mój ukochany Jaś, który codziennie mnie czymś zadziwiał i zachwycał. Nagle, ot tak, jego oczy zrobiły się chłodne i oddalone, a my przestaliśmy być dla niego ważni... Dosłownie jakby miał kawałek szkła w oku od Królowej Śniegu.

Kilkakrotnie robił mi awantury, że chce wyjechać na Hawaje do ojca na zawsze. Powiedział, że tata pokazał mu już nawet szkołę, do której by chodził.

Czasem oczywiście zastanawiam się, czy gdybym go wtedy puściła, to uniknęlibyśmy dzięki temu tragedii?

Bo ta historia kończy się tragicznie.

Wygrałam sprawę o opiekę nad dziećmi. Kamil starał się o opiekę nad Jasiem, co oczywiście zostało odrzucone, potem wywierał na mnie presję, żebym pozwoliła przeprowadzić się Jasiowi do niego na Hawaje.

Tylko raz do mnie zadzwonił, nocą, mocno pijany...

Powiesił się dzień po szesnastych urodzinach Jasia tuż po północy. Ja dostałam wiadomość dobie później.

Co ciekawe, wytatuował sobie imiona dzieci na lewym ręką, a zawsze mówił, że tatuaże noszą szumowiny...

Zostawił mnie rzeczywiście z niczym i z wielkim zdziwieniem.

Okazało się, że kilkanaście spraw notarialnych i sądowych, które dopiął skrupulatnie przed śmiercią, zamknęło moją drogę do jakiegokolwiek opieki materialnej z jego strony.

Nie pojmuję, jak można swoim własnym dzieciom coś takiego zrobić z nienawiści do ich matki. Bo to przecież musiał być jakiś rodzaj nienawiści.

A przecież wiele razy powtarzał, że nigdy swoim dzieciom nie zrobi takiej krzywdy, jaką mu zrobili jego rodzice...

Jaś dostał podobno po ukończeniu osiemnastego roku życia list, który Kamil napisał przed śmiercią. Nie wiem, jakiej treści. Wiem, że mój ukochany pierworodny syn wyprowadził się od nas i nie utrzymuje z nami kontaktu. Dostał od taty hotel do prowadzenia, ma więc swoje źródło dochodów.

Nie jestem w stanie zrozumieć, jak to możliwe, że tak nas przekreślił. Nie wiem też, co mógł jego ojciec mu opowiadać i jaka była treść jego pożegnalnego listu.

Ja ani nigdy Kamila nie zdradzałam, ani nie byłam nielojalna. Prawdę mówiąc, przez pierwszy rok po jego śmierci nie wierzyłam, że on w ogóle zrobił coś takiego.

Tak jakbym tym wypieraniem prawdy próbowała chronić siebie i dzieci.

A chronienie dzieci było moim zadaniem podstawowym. Michaś i Klaudunia codziennie serwowali mi tyle uśmiechu i miłości, że to mnie napędzało.

Codziennie na nowo moje dni były szczelnie wypełnione obowiązkami, tak abym broń Boże nie miała czasu na myślenie i zastanawianie się co dalej.

Szykowanie dzieci do szkoły, planowanie posiłków, zakupy, sprzątanie, wspólne pieczenie ciasteczek, jazda z Michasiem na plan zdjęciowy.

Mój środkowy syn tak jakby podświadomie wziął na siebie utrzymanie rodziny. Zaczął robić wielką karierę. Wygrywał praktycznie każdy casting – gdziekolwiek się pojawił. Jego promienna buzia reklamowała w telewizji ulubione czekoladki i uśmiechała się z billboardów, zapraszając do kin na film, w którym grał główną rolę i który stał się hitem wśród filmów dla młodzieży. Michał jest chłopcem z prawdziwą pasją i czegokolwiek się dotknie, zamienia w złoto... Klaudunia zresztą też ma talenty... Taki był również mój Jaś.

Nie ma dnia, żebym za Jasiem nie tęskniła...

Od czasu, kiedy się od nas wyprowadził, minęło już kilka świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy – przepłakanych przeze mnie w poduszkę.

Napisałam do niego list na portalu społecznościowym, nie wiem, czy przeczytał. Nie wiem, gdzie teraz mieszka, bo poucinał kontakty ze wszystkimi.

Żyję nadzieją, że pewnego dnia do nas wróci. Że zrozumie, o ile uboższe i smutniejsze jest nasze życie bez niego. Szczególnie Michał za nim tęskni...

Czuję, jakby w moim sercu było pomieszczenie pełne kamieni zaryglowane na cztery spusty. Bardzo się pilnuję, żeby na co dzień nie otwierać tego miejsca, bo każdy kamień wtedy uderza we mnie najokrutniej. A ja muszę być uśmiechnięta, pełna siły i zdrowia dla Michała i Klaudii. Od niedawna też myślę, że dla siebie.

Po śmierci mojej ukochanej mamy poczułam, że ja też mam na tym świecie misję bycia szczęśliwą i zaopiekowaną. To tak, jakby mama z góry podarowała mi dodatkowe źródło siły, światła i miłości.

Zacząłam wreszcie na nowo świadomie tworzyć swoje życie. Rozwijam własną firmę i osiągam w niej sukcesy, mam upragnioną stabilność finansową.

Zacząłam otwierać się na myśl, że czeka mnie jeszcze coś pięknego. Może mężczyzna, z którym będę mogła się pięknie zestarzeć w miłości i wsparciu.

Moje mieszkanie pachnie teraz czystym praniem i świeżym ciastem. Jest nam dobrze i bezpiecznie. Co wieczór siadam z moimi dziećmi przy herbacie, rozmawiamy, śmiejemy się, czasem płaczemy czy się kłócimy. Jak w każdej rodzinie. Gramy w gry planszowe, oglądamy filmy.

I codziennie czekamy na Jasia. Choć nikt o tym nie mówi, to wszyscy wiemy i czujemy tak samo.

Moja nadzieja nie umrze nigdy.

POSŁOWIE

Przemoc domowa kojarzy się z patologią. Oczyma wyobraźni widzimy melinę, przepitą i napuchniętą twarz mężczyzny w brudnym podkoszulku, na stole walają się resztki jedzenia, stoją puste butelki po tanich alkoholach. Umęczona i zaniedbana kobieta, tłuste włosy, workowata sukienka, sińce pod oczami. To bardzo silny stereotyp zakorzeniony w naszej psychice – jak każdy zawiera elementy prawdy. Jednak nie oddaje rzeczywistości, generalizuje, a z przerysowanych przypadków buduje obraz całego zjawiska.

Pracując jako biegły sądowy, a wcześniej jako psycholog policyjny, spotkałem się z różnymi formami przemocy między partnerami. Zarówno z przemocą prymitywną i brutalną, jak i tą wysublimowaną, sadystycznie finezyjną, do której dochodziło w ekskluzywnych apartamentowcach. Jedna i druga jest obrzydliwa. Może ta wyrządzana w „białych rękawiczkach” lub ukryta, jak podbite oko pod ray-banami, bardziej zaskakuje. Ale w pewnym momencie to nie ma już znaczenia. Zaciśnięta pięść i krwawiący nos z bliska wyglądają tak samo, wtedy scenografia nie gra roli.

Warto pamiętać, że przemoc przybiera różne formy i nie ogranicza się tylko do wulgarnych inwektyw, bicia, szarpania czy gwałtów – a o tym mówi przecież stereotyp. Oprócz tej oczywistej, fizycznej i seksualnej, jest również przemoc psychiczna i emocjonalna, przemoc ekonomiczna czy też przemoc poprzez zaniedbanie¹. Każde zachowanie naruszające czyjeś granice należy uznać za przemocowe. Jego intensywność i gwałtowność mogą być różne. Bardzo często jest to proces.

W początkowej fazie znajomości chodzi o zdobycie partnera, więc ludzie pokazują się z najlepszej strony, wkładają wysiłek w tworzenie relacji. Do tego dochodzi naturalna skłonność do idealizowania tej drugiej strony, trwa okres fascynacji. Dlatego kobiety ignorują niepokojące

sygnały, a niektóre oceniają wręcz bardzo pozytywnie. Na przykład dbanie o partnerkę i chęć dogadzania jej jest przecież tym, czego oczekuje się w związku od mężczyzny. Jeżeli on robi to po swojemu i nie zawsze trafia w jej potrzeby, to kobieta może to rzucić na karb docierania się: „Jeszcze mnie nie zna”. Przypisuje mu też dobre intencje, bo niby dlaczego od razu zakładać złe? Zwłaszcza gdy pokłada duże nadzieje w relacji (ma przecucie, że to jest „właśnie to”), stara się jej bronić.

Troska o partnerkę nie powinna przejawiać się w nadopiekuńczości, ponieważ jest to już forma kontroli. Do tego dochodzi przekonywanie, że „to dla twojego dobra”. To wszystko może być też połączone z obrażaniem się i stawianiem się w roli osoby niedocenionej: „Ranisz mnie po tym, co dla ciebie robię”. Sprawcy chodzi o wzbudzenie poczucia winy w ofierze. Stosuje zachowania bierno-agresywne. Mogą pojawić się też zarzuty: „Bo ty mnie nie kochasz” lub „Gdybyś mnie kochała, to...”. To jest szantaż emocjonalny. Aby wzmocnić uzależnienie od siebie, mężczyzna zobowiązuje partnerkę lub wręcz ją zmusza do wyznań miłości i udowadniania uczucia. „Kochasz mnie? To pokaż!” Samo powtarzanie „Kocham cię” jest rodzajem programowania. Kobieta mówiąca to w kółko, nie może potem sama w to zwątpić. A jak pojawią się wątpliwości, to szybko je rozwiewa, przekonując samą siebie, że to nieprawda, bo przecież wszystko dzieje się w „imię miłości”. Takie wątpliwości w psychologii nazywają się dysonansem poznawczym. Jest to stan, gdy w głowie pojawia nam się myśl niepasująca do naszych schematów lub gdy mamy dwie wykluczające się myśli. To wywołuje dyskomfort psychiczny, wiąże się z odczuwaniem negatywnych emocji. Tutaj włączają się mechanizmy obronne. Najprostsze z nich to zaprzeczanie i wypieranie. Oba polegają na nieprzyjmowaniu takich „zagrożających” myśli do świadomości. Bardziej złożony mechanizm obronny to racjonalizacja, czyli przyjęcie „zagrożającej” myśli, a potem „rozbrojenie” jej przez odpowiednie wytłumaczenie. Do tego może dojść myślenie życzeniowe, że „w przyszłości to na pewno się zmieni”. Oczywiście na lepsze. Rzeczywistość jest niestety zupełnie inna. Zazwyczaj się zmienia, ale na gorsze: zachowania stają się częstsze, intensywniejsze, a przemoc nie jest już owinięta w bawełnę.

Naruszanie granic często odbywa się powoli i trudno je dostrzec. Można to porównać do manipulacyjnej techniki sprzedażowej nazywanej „stopą w drzwiach”: akwizytor zaczyna od drobnych propozycji, uzyskując

początkowo mniejsze ugody, a potem naciska na rozmówcę coraz bardziej. Dokładnie to samo robią policyjni negocjatorzy. W naszych historiach kobiety też coraz szerzej uchylają drzwi przemocy. Choć zachowania mężczyzny są coraz groźniejsze, one stosują racjonalizację – mechanizm obronny, który ma utrzymać pozytywny wizerunek partnera. Bagatelizują to, co się stało, i tłumaczą sobie, że to był tylko incydent. „Zdarzyło się” – to bardzo często słyszymy z ust naszych bohaterek. Co ciekawe, gdyby notować te wszystkie epizody, okazałoby się, że wyraźnie widać ich powtarzalność, a najprawdopodobniej i eskalację. Żeby osoba doświadczająca przemocy mogła to zobaczyć, musi dojść do przekroczenia masy krytycznej, co często przybiera ekstremalną formę: publicznego upokorzenia, pozbawienia środków do życia, pobicia, zgwałcenia, itp. Niestety „na bieżąco” bardzo trudno to dostrzec, zwłaszcza będąc w środku wydarzeń. Kobieta przyznająca przed sobą, że partner jest zły, jednocześnie ocenia własną decyzję o jego wyborze. Uderza to w obraz jej samej, w poczucie własnej wartości. „Jak mogłam tego nie zauważyć?” „Jak mogłam dać się oszukać?” „Jestem ślepa, naiwna, głupia?” – takie myśli wywołują dyskomfort psychiczny, dlatego się ich unika. Należy jednak zrozumieć, że obdarzenie kogoś zaufaniem i działanie w dobrej intencji nie jest niczym złym, wręcz przeciwnie, to są zalety. Wina zawsze jest po stronie sprawcy. Dyskomfort, który odczuwamy, wynika ze zranienia naszego zaufania. Uczucie przykrości jest naturalne i adekwatne do tej sytuacji. Ofiara nie może wstydzić się tego, że jest ofiarą.

Zapoznając się z historiami kobiet opisanymi w tej książce, zwróciłem uwagę na pewien powtarzający się schemat. Niemal wszystkie bohaterki wpadały w ręce swoich przysłych oprawców stosunkowo szybko po rozstaniu z poprzednim partnerem. Te wcześniejsze związki były nieudane, rozczarowujące i oceniane przez nie jako porażki. Rozstanie jest stratą. Najpoważniejsza strata to śmierć osoby bliskiej. Jej skutkiem jest przeżywanie żałoby, a bardzo ważnym i naturalnym czynnikiem uzdrawiającym jest czas. Mądrość ludowa mówi, że „czas leczy rany”. Ważne jest „przerobienie” straty. Trzeba zrozumieć to, co się stało, poczuć, że coś się skończyło i że jest to nieodwracalne. Wypłakać się, oczyścić i nauczyć się żyć na nowo. Bardzo ważne jest też otrzymanie odpowiedniego wsparcia społecznego, które pomaga przejść przez żałobę, bo w pojedynkę jest to bardzo trudne. Podobnie jest z rozstaniem. Trzeba je przeżyć, a to wymaga czasu. A jednak bardzo częstym zachowaniem jest

znalezienie „plastra na rany”. Żeby zapomnieć o poprzednim związku, kobieta rzuca się w wir nowego. Jest mało krytyczna, zwraca uwagę jedynie na różnice między eks a obecnym mężczyzną. Oczywiście z korzyścią dla tego ostatniego. Myślę, że większość bohaterek tej książki po tym, co je spotkało, swoich wcześniejszych partnerów oceniała jako „nie takich najgorszych”, mimo że się nie sprawdzili.

Moja praca polega na analizowaniu przestępstw. Ich podstawową kategoryzacją jest podział na przestępstwa planowane i nieplanowane. Te pierwsze sprawcy popełniają w sposób świadomy. Jest to decyzja podyktowana wybranym przez nich sposobem zaspokajania swoich potrzeb. Robią tak, ponieważ tak chcą. To się im opłaca, to sprawia im przyjemność, to jest ich sposób na życie. Przestępstwa nieplanowane są dokonywane spontanicznie i impulsywnie. Wynika to ze słabych mechanizmów kontroli zachowania u sprawcy. On często nie ma takiego zamiaru, ale w wyniku czynnika sytuacyjnego, który wyzwała ciąg reakcji, po prostu „tak się dzieje”. Po tym, co się stało, winowajca może nawet żałować i okazywać autentyczną skruchę. Istotna jest jednak przyczyna tego, dlaczego mechanizmy kontroli zachowania zawiodły i późniejsza chęć do pracy nad nimi. Jeżeli powodem był na przykład alkohol, to sprawca nie powinien już więcej pić. Jeżeli sam sobie z tym nie radzi, to musi pójść na leczenie. Słowo „przestępstwo” zastąpmy teraz słowem „przemoc”. Mamy przemoc, która jest planowana, stosowana w sposób zamierzony, oraz przemoc impulsywną, kiedy następuje wybuch gromadzonych emocji. Mam nadzieję, że nikt nie odbierze tego wyводу jako usprawiedliwienia którejś z form. Przemoc to przemoc, tak jak przestępstwo to przestępstwo. Jednak za występkami planowanymi stoją inne mechanizmy psychologiczne niż za tymi popełnianymi spontanicznie. Jedne i drugie wynikają z zaburzeń, które ma sprawca – najczęściej w sferze osobowości, rzadziej z procesów typowo chorobowych.

Słaba kontrola impulsów wpisana jest przede wszystkim w zaburzenia osobowości, które posiadają cechy niedojrzałości. Po pierwsze, człowiek niedojrzały jest zazwyczaj – podobnie jak małe dziecko – egocentryczny i odbiera wydarzenia tylko przez pryzmat siebie. Czuje się pępkiem świata, więc dlaczego miałby tego nie robić? Przy niestabilnym obrazie własnej osoby i samoocenie z tendencją do spadku wiele neutralnych spraw czy komentarzy traktuje się jako wymierzone w siebie. Rodzi się subiektywne

poczucie skrzywdzenia, które automatycznie pcha do zemsty – oko za oko, ząb za ząb.

Po drugie, jeżeli ktoś zachowa się nie w porządku lub nawet skandalicznie, to po otrzymaniu informacji zwrotnej od otoczenia próbuje coś z tym zrobić, a przede wszystkim zapobiec takim wydarzeniom w przyszłości. Niestety osoby niedojrzałe, czyli między innymi narcyzowie i socjopaci, nie wyciągają wniosków ze swoich porażek. Na prawdziwych psychopatów kary nie działają. Badania pokazały, że oni bardzo rzadko wyciągają wnioski z negatywnego wzmocnienia². Zazwyczaj jego źródło przypisują środowisku, nie dostrzegają związku z własnym działaniem. Ich naturalnym mechanizmem obronnym jest projekcja, czyli przypisywanie własnych stanów psychicznych ludziom w otoczeniu, rzutowanie na nich własnych przekonań i standardów. Dlatego też oszust często dopatruje się oszustwa u innych. Stosując projekcję, bardzo łatwo uznać się za stronę pokrzywdzoną. A to jest usprawiedliwieniem dla działań, chociażby wspomnianej wcześniej zemsty.

Wszyscy antybohaterowie tej książki są egocentrykami. Z tym się wiąże egoizm, czyli skupienie wyłącznie na zaspokajaniu własnych potrzeb. Bardzo często kosztem innych osób. Dlatego relacje z ludźmi realizowane są instrumentalnie. Z instrumentalizmem związane są manipulacja oraz kłamstwo. Manipulatorzy są zazwyczaj dobrymi obserwatorami. Odczytują reakcje emocjonalne otoczenia, jednak analizują je przez pryzmat swoich korzyści. Trochę jak Pawłow i jego psy. Prowadzą społeczne eksperymenty i patrząc, jakie metody przynoszą pozytywne skutki, uczą się je stosować. Jeśli chodzi o sprawność działania, można powiedzieć, że są nawet w pewien sposób empatyczni. W psychologii nazywamy to „poziomem operacyjnym empatii”, to zdolność do rozpoznawania i nazywania czyichś emocji. Zupełnie inna, bo dużo głębsza empatia wynika z syntonii, czyli współodczuwania. Wtedy widząc czyjaś krzywdę, samemu odczuwa się przykrość i cierpienie. Silni i skrajni egocentrycy są takiej empatii pozbawieni. Dlatego oprócz manipulacji polegającej często na grze na emocjach innych osób, stosują kłamstwo. Brak współodczuwania wiąże się z brakiem wyrzutów sumienia. Kłamstwo jest skutecznym środkiem do osiągnięcia własnych celów, więc dlaczego nie ma być wykorzystane? Wybór konkretnych technik manipulacji, od topornych po bardzo wysublimowane, czy jakość kłamstw, od naiwnych do sprawiających

wrażenie wiarygodności, zależy od ważnych czynników, jakimi są inteligencja i obycie. Im wyższy ich poziom, tym lepsza mistyfikacja.

Wszyscy antybohaterowie książki są też mężczyznami sukcesu lub przynajmniej są nastawieni na jego odniesienie. Lubią wyzwania, lubią, jak się dużo wokół nich dzieje. Mają zapotrzebowanie na stymulację. Jest to cecha, która w większym stopniu jest wrodzona niż nabyta. Wiąże się z budową mózgu. Wspomniany Iwan Pawłow podzielił układy nerwowe na wrażliwe i mocne. Wrażliwy układ nerwowy łatwo pobudzić nawet słabym bodźcem. Mocny potrzebuje do tego silnego impulsu. Każdy z nas ma swój optymalny poziom pobudzenia, w którym czuje się najlepiej. Można to porównać do silnika samochodowego i liczby obrotów, jaka powoduje najbardziej efektywną pracę, najlepsze spalanie paliwa i wywołuje unikalny dźwięk, jaki wydobywa się spod maski. Naciskając lub odpuszczając pedał gazu, możemy to regulować. Podobnie jest z dostarczaniem lub ograniczaniem sobie stymulacji. Osoby z wrażliwym układem nerwowym muszą się co jakiś czas wyciszyć, wołać mniej huczne imprezy, spędzają czas bardziej kameralnie. Ludzie z silnym układem nerwowym, aby osiągnąć swój optymalny poziom stymulacji, muszą działać, otaczać się innymi, często podejmować zachowania, które są postrzegane jako ryzykowne.

Egocentryzm, instrumentalizm w relacjach międzyludzkich, manipulacja i kłamstwo oraz zapotrzebowanie na dużą stymulację składają się na obraz psychopaty. Podobnie funkcjonuje również socjopata. Określenia te możemy w zasadzie traktować jako synonimy, bo powstały trochę z takim zamysłem. Socjopatia jako termin została wprowadzona w 1909 roku przez niemieckiego psychiatrę Karla Birnbauma. Był to konkurencyjny koncept do istniejącej wtedy już ponad 20 lat psychopatii. Socjopaci i psychopaci dzielą ze sobą większość wyżej wymienionych cech. Specjaliści często jednak dopatrują się innego źródła ich zaburzeń. Psychopatia ma mieć podłoże biologiczne, jest dziedziczona w genach i wiąże się ze specyficzną pracą mózgu. Socjopatia natomiast jest wynikiem nieprawidłowego rozwoju społecznego i ma swoje korzenie w traumach z dzieciństwa i okresie dorastania, czyli powstaje w wyniku nieprawidłowej socjalizacji.

Tytułowi prezesi są w zdecydowanej większości psychopatami lub socjopatami. U wielu z nich występuje również rys narcystyczny. Wszyscy wiemy, że narcyz to osoba, która kocha siebie samą. Jednak zagadnienie

z punktu widzenia mechanizmów psychologicznych jest bardziej złożone. Osoba narcystyczna zachowuje się wielkościowo. Wprost lub w sposób zakamuflowany pokazuje, że jest lepsza od innych, od większości lub wręcz całego otoczenia. Ponieważ czuje się wyjątkowa, chce być tak traktowana: na osobnych zasadach, jej zasadach. Rys narcystyczny, jeżeli chodzi o konkretne zachowania, może objawiać się w bardzo różny sposób. Wiele zależy od innych istotnych cech osobowości. Na przykład od poziomu ekstrawertyzmu i introwertyzmu.

Skąd bierze się narcyzm? Zgodnie z założeniami psychologii każdy z nas kształtuje się w dzieciństwie i okresie dorastania. Wtedy to utrwala się wzorce zachowania, które mają wpływ na resztę życia. Większość narcyzów w swoich wczesnych wspomnieniach, które są głęboko ukryte przed ich świadomością, jest ośmieszana, krytykowana czy wręcz wyszydzana. W tych przypadkach narcyzm jest jakby odreagowaniem kompleksów z dzieciństwa, przypomina trochę postawę obronną. Ta druga, trochę mniej liczna część narcyzów przeciwnie – byli oni hołubieni przez rodziców, wmawiano im, że są wyjątkowi i przez to należy im się więcej niż innym. Tutaj często rodzice odreagowują swoje kompleksy, rozpuszczając swoje dziecko.

Trudno rozpoznać narcyza lub socjopatę na odległość czy pierwszy rzut oka. W ich sposób funkcjonowania wpisane jest robienie dobrego pierwszego wrażenia. Ale czy powinniśmy wycofywać się od razu, kiedy ktoś nas oczaruje i nam się podoba? Może w ten sposób zaprzepaścimy szansę na miłość naszego życia? Trudno oczywiście zachować zimną krew i zdrowy rozsądek w momencie pierwszej fascynacji, kiedy pojawia się między dwojgiem ludzi chemia, czyli przyciąganie zmysłowe. Jednak nie trzeba spieszyć się z powiedzeniem wiążącego „tak”. Warto trochę ze sobą pomieszkać, sprawdzić się w różnych sytuacjach, przeżyć wspólnie wszystkie cztery pory roku. W momencie, kiedy jesteśmy proszeni przez partnera o zrobienie czegoś wbrew sobie, powinna włączyć nam się czujność. Przymuszanie niech będzie jak czerwona lampka albo wręcz jak syrena alarmowa. Bardzo ważna jest też komunikacja między partnerami. Otwarte wypowiedzianie oczekiwań i potrzeb oraz dawanie informacji zwrotnej z ich realizacją. Zakładanie, że ta druga strona domyśli się czegoś, jest stratą czasu. Niewypowiedziane oczekiwania rodzą frustracje, które najczęściej również pozostają niewypowiedziane. Jednak osoby narcystyczne i socjopatyczne nie dają drugiej stronie przestrzeni na otwartą

komunikację. Są egocentryczne, więc inny punkt widzenia traktują jak niezasłużoną krytykę. Przy niskim poziomie empatii nie widzą potrzeb drugiego człowieka. Przechodzą zatem do najlepszej dla siebie formy obrony, czyli ataku. Ci bardziej introwertyczni mogą wybrać ucieczkę i nagle zniknąć ze związku.

W historiach przedstawionych w książce widać pewien (kolejny) powtarzający się schemat. Mężczyzna poznaje i zdobywa atrakcyjną kobietę. Sam jest osobą wyróżniającą się z tłumu, więc wybiera sobie podobną partnerkę. Musi być reprezentacyjna – podbija jego atrakcyjność społeczną. Widać to na przykład w show-biznesie, gdy dwie gwiazdy łączą się w parę, dzięki czemu mają kilkukrotnie lepsze notowania i jeszcze bardziej przyciągają fotoreporterów. Zazwyczaj do załamania relacji dochodzi po przyjściu na świat dziecka. Dla każdego związku jest to wyzwanie, ponieważ musi on wejść w inną fazę. Partnerzy nie są już sami, nie mogą żyć wyłącznie dla siebie, pojawia się więcej obowiązków, wkrada się rutyna. Narcyzowie i psychopaci jednak szybko się nudzą. Ta sama kobieta od tylu lat, teraz jeszcze z dzieckiem. Egocentrykom ciężko też zaakceptować, że partnerka nie skupia się już tylko na nich, ale także na dziecku. Zazdrość o jej uwagę może być silnie destrukcyjnym uczuciem. To jest moment, w którym mężczyzna zaczyna rozglądać się za nową kobietą, która może mu dostarczyć podobnych przeżyć co związek na samym początku.

Osobowość jest stałym regulatorem naszego zachowania. Oznacza to, że we wszystkich sytuacjach zachowujemy się z grubsza tak samo, chodzi o taki fundament. Osobowość kształtuje się przez wczesne (najważniejsze) lata naszego życia. Psychologowie nie są do końca zgodni co do precyzyjnej granicy, za którą ten proces się kończy, ale można umownie określić ją na dwudziesty rok życia. Potem osobowość – prawidłowa lub zaburzona – już tylko się utrwala. Ukształtowaną bardzo trudno zmienić, a w zasadzie jest to niemożliwe. Jedyne, co można zrobić, to poznać samego siebie i nauczyć się zarządzać psychologicznymi i emocjonalnymi mechanizmami. Zaburzenia osobowości nie tylko uderzają w otoczenie, ale są również źródłem dyskomfortu lub wręcz cierpienia dla osoby, która je posiada. Nie jest to choroba psychiczna i nie da się tego leczyć lekami. Jedyne, co jest możliwe, to psychoterapia. Jest to proces długotrwały i wymaga zaangażowania i konsekwencji. Nie muszę chyba dodawać, że w przypadku psychopatów i narcyzów otwarcie się na pracę psychologiczną

z sobą samym jest utopią. Niewielki promil z nich jest tym zainteresowanych, ponieważ do tego jest konieczne przyznanie się do własnych braków i trudności oraz wzięcie za nie odpowiedzialności. Zatem wiara, że psychopata sam z siebie się zmieni, zrozumie swoje postępowanie czy da się do czegoś przekonać, w praktyce prowadzi do rozczarowania. Jedyne, co można zrobić, to ratować siebie przez jak najszybsze zerwanie kontaktu i odseparowanie się.

Dlaczego jednak ofiary tak długo tkwią w związkach ze swoimi oprawcami? Bohaterki książki często powtarzają, że dawno powinny odejść. A jednak zostawały na lata w niszczącej je (i często ich dzieci) relacji. Można powiedzieć, że są ofiarami nie tylko partnerów, ale także swoich mechanizmów obronnych i iluzji, jakie tworzą. Najpierw nie chcą uwierzyć, że mężczyzna stosuje przemoc. Nie nazywają tak tego. „Zły humor”, „Zdarzyło się”. Potem żyją nadzieją, że on się zmieni. Początkowo wierzą, że sam się zorientuje, na czym polega problem, a potem, że weźmie do serca ich uwagi. Zawsze pojawia się też tłumaczenie, że utrzymanie związku nazywanego rodziną, mimo stosowania przemocy i braku partnerstwa, jest konieczne dla dobra dzieci. To najczęściej jest okłamywanie siebie i przedłużanie krzywdy dzieci, które tylko pozornie nie zdają sobie sprawy, co się dzieje między rodzicami. Jeżeli pojawia się przemoc, a partner nie zamierza jej zaprzestać i nie chce korzystać z profesjonalnej pomocy (na przykład terapii), to trzeba się rozstać. Mimo trudności, jakie podsuwa nam wyobraźnia.

W takich sytuacjach często pojawia się zjawisko syndromu sztokholmskiego. Pojęcie to ukuł szwedzki psychiatra, który zwrócił uwagę, że niektóre ofiary brutalnego napadu na bank w Sztokholmie czuły pozytywne emocje do napastników. Jedną z zakładniczek, kasjerka, nawet wyszła za mąż za swojego oprawcę. Rzeczywiście, istnieje taki psychologiczny mechanizm, że ofiara ma pozytywne nastawienie, a nawet zakochuje się w sprawcy swojego cierpienia. W Sztokholmie było to szokujące, ponieważ dotyczyło obcych sobie osób. Tutaj nie było randek i czułych słów na początku, tylko od razu przemoc fizyczna i terror. Zakładnicy byli traktowani brutalnie. Przykuci w niewygodnych pozycjach do drzwi bankowego skarbcza, odarci z godności, potrzeby fizjologiczne mogli załatwiać publicznie do kosza na śmieci. Psychologowie tłumaczą przyczyny syndromu sztokholmskiego traumą, czyli poczuciem zagrożenia własnego życia. Ale nie występuje on u każdego, komu śmierć zajrzała

w oczy. Zatem to nie czynniki sytuacyjne odgrywają główną rolę, ważne są także i te osobowościowe. Silna trauma uruchamia mechanizmy przystosowawcze leżące w naszej zwierzęcej naturze, którą ukształtowała ewolucja. Przeżyć za wszelką cenę i przystosować się do zagrażających warunków. Gdy pojawia się bodziec, który jest nieprzyjemny lub zagrażający, staramy się go unikać. Głośną muzykę można ściszyć, gdy kaloryfer grzeje za mocno, przykręcamy go. Kiedy zobaczymy na ulicy groźnego psa, wycofujemy się i idziemy w innym kierunku. Co zrobić, gdy jesteśmy pozbawieni wpływu na bodziec? Gdy nie możemy go unikać? Musimy go zacząć akceptować. Do wytworzenia syndromu sztokholmskiego konieczne są też huśtawki, jakie serwuje ofierze oprawca, czyli zmiany w sposobie jej traktowania. Oprócz zachowań zagrażających pojawiają się co jakiś czas zachowania wspierające. W szwedzkim banku tak postrzegano rozwiązanie zsiniałych rąk i pozwolenie na załatwienie się do kosza. Podanie łyku wody było odbierane jako bardzo ludzki gest. Zakładnik chwytą się tego rozpaczliwie i zaczyna tłumaczyć sobie, że ten, kto mu zagraża i w czyich rękach spoczywa teraz jego życie, nie jest aż taki zły. Przecież dał się napić wody. Pozwolił zmienić skrajnie niewygodną pozycję, od której już czuło się ból w całym ciele. Wiele naszych bohaterów opisuje właśnie takie huśtawki. Osoby zajmujące się przemocą w związkach dobrze znają te cykle przemocy przeplatane bardzo pozytywnymi zachowaniami – obdarowaniem prezentami, przynoszeniem kwiatów i mówieniem czułych słówek. Nazywa się to miesiącem miodowym, co – patrząc na kontekst – jest bardzo sarkastycznym sformułowaniem.

Jan Gołębiowski

Kinga i Marek – osobowość schizoidalna, wycofany samotnik

Bardzo prawdopodobne, że Marek wyniósł z domu rodzinnego schemat apodyktycznego i oceniającego ojca. Czasami ludzie otwarcie deklarują, że nigdy nie będą postępować tak jak ich rodzice, nigdy nie potraktują swoich dzieci tak, jak oni sami byli traktowani. Najczęściej przy takich zapewnieniach w rzeczywistości robią zupełnie odwrotnie, czyli powielają schemat, w jakim się wychowali.

Marek nie miał kolegów, dopóki nie poznał Kingi, wiódł dość samotnicze życie. Może to być objaw osobowości schizoidalnej. Wycofanie, dystans i chłód emocjonalny wobec innych ludzi to cechy charakterystyczne dla schizoida. Osobowość tego typu ma oczywiście duży problem ze zbudowaniem autentycznej relacji z drugim człowiekiem, w której komponent emocjonalny odgrywa istotną rolę. Osoby schizoidalne mogą być w związku, jednak ten opiera się na płaszczyźnie intelektualnej, fizycznej lub ekonomicznej. Czyli jest to kwestia interesów – bardziej zaspokajania konkretnych potrzeb niż poczucia bliskości. Schizoidzi nie mają przyjaciół, takie pojęcie jest im obce. Osoby o takiej osobowości charakteryzują się rysem introwertywnym, są skierowane do wewnątrz, skupione na własnych procesach psychologicznych i emocjonalnych. Nie potrzebują otoczenia i towarzystwa, żeby żyć. Typowy dla nich jest też rys narcystyczny. Przez brak więzi emocjonalnej z innymi ludźmi nie szanują norm społecznych. Oczywiście pamiętają, kiedy przekroczenie jakiejś granicy uznane jest za przestępstwo, i mogą wtedy kontrolować swoje zachowanie. Podobnie jest z krytyką, jaką słyszą pod własnym adresem. Nie ma dla nich wydzwisku emocjonalnego. Podobnie jak seks, więc są znacznie mniej nim

zainteresowani niż reszta populacji. Zaburzenia osobowości występują w różnym stopniu intensywności. Psychopata nie jest równy drugiemu psychopacie, osoby z borderline również są inne, podobnie i schizoidalny może mieć różne natężenie cech charakterystycznych. W skrajnych przypadkach życie seksualne schizoida sprowadza się do szybkiej masturbacji, aby rozładować popęd, natomiast seks z drugim człowiekiem jest męczący przez relację, jaką trzeba nawiązać. Część osób schizoidalnych korzysta z usług prostytutek, bo właśnie ten kontakt jest dla nich esencją życia erotycznego. W małżeństwie seks przybiera formę czynności mechanicznych, które na przykład służą głównie prokreacji. Psychologowie nie są zgodni co do przyczyn osobowości schizoidalnej. Wiadomo, że dotyczy około jednego procenta populacji, są to głównie mężczyźni. Według niektórych psychologów geneza leży w relacjach między członkami rodziny we wczesnym dzieciństwie. W takiej rodzinie panuje chłód emocjonalny, kontakty między członkami są niemal oficjalne. Zazwyczaj jeden z rodziców jest bardzo wymagający lub wręcz despotyczny. Co pasuje do opisu rodziny Marka, jaki podała Kinga. Część specjalistów dopatruje się przyczyn w uwarunkowaniach genetycznych. Osobowość schizoidalna może przeobrazić się w schizofrenię, a w rodzinach schizoidów zdarzają się częściej przypadki tej choroby.

Kinga opowiedziała, że Marek wybuchnął po kieliszku wina. Jak wiadomo, alkohol działa rozhamowująco na nasz układ nerwowy, dając uczucie miłego rozluźnienia. Każdy, kto kiedyś sięgnął po drinka, zna to z autopsji. Jednak u Marka już niewielka ilość zwalniała hamulce, co oznacza, że musiał kumulować w sobie duże pokłady emocji, które jak para spod pokrywki w garnku czekały na ujście. Osoby schizoidalne odczuwają chłód emocjonalny wobec innych ludzi oraz sytuacji społecznych, ale też jak introwertycy mają sporo emocji, które dotyczą ich procesów wewnętrznych. Często ich powodem jest zdawanie sobie sprawy ze swojego społecznego nieprzystosowania. Stosowanie zachowań uciezkowych, które są tak naprawdę bierną agresją, również wpisuje się w obraz tej osobowości. Metodą Marka było na przykład milczenie czy znikanie z domu na jakiś czas.

W charakter osoby schizoidalnej wpisuje się też pedantyzm i przywiązanie do niektórych detali. Marek urządzał awantury o drobiazgi, o źle odłożone naczynia itp. Jest to objaw pewnej sztywności mentalnej, przywiązania do schematu i braku tolerancji dla inności. Podobnie z pisaniem maili do swojej żony. Rozmowa twarzą w twarz ma komponent emocjonalny, co dla większości ludzi jest bardzo ważne. Dla Marka wszystkie te funkcje komunikacyjne spełniała wysłana wiadomość. Może na poziomie racjonalnym unikał też w ten sposób kolejnej awantury.

Szwedzki psycholog Heinz Leymann jest uznawany za jeden z największych światowych autorytetów w dziedzinie zjawiska mobbingu. Jego lista zachowań krytycznych jest do dzisiaj główną metodą identyfikowania przemocy w środowisku pracy. Ograniczanie możliwości wypowiadania, przerywanie wypowiedzi, nieodpowiadanie na pytania czy unikanie kontaktu znajduje się w katalogu zachowań mobbera.

Leymann zrobił listę zachowań mobbingowych³. Jeżeli przełożymy je na sytuację domową, łatwo można rozpoznać, czy jesteśmy ofiarami przemocy. Większość mężów lub partnerów naszych bohaterek wchodziło w relacji z nimi w rolę szefa. Tym bardziej poniższa lista znajduje zastosowanie w identyfikacji przemocy w domu.

I. Działania utrudniające proces komunikowania się:

- ograniczanie lub utrudnianie ofierze możliwości wypowiadania się
- ciągłe przerywanie wypowiedzi
- reagowanie na wypowiedzi ofiary krzykiem i wyzwiskami
- ciągłe krytykowanie wykonywanej pracy
- ciągłe krytykowanie życia osobistego
- nękanie przez telefon
- stosowanie gróźb ustnych i pisemnych
- prezentowanie ofierze poniżających i obraźliwych gestów
- stosowanie aluzji i zawołowanej krytyki, brak wypowiedzi wprost wobec ofiary

II. Działania wpływające negatywnie na relacje społeczne:

- unikanie przez przełożonego kontaktu z ofiarą, rozmów z nią
- ograniczenie możliwości wypowiedzenia się ofiary
- fizyczne i społeczne izolowanie ofiary (np. umieszczenie jej w osobnym pokoju z zakazem komunikowania się z innymi osobami; zakazanie pracownikom kontaktowania się z izolowaną osobą), ostentacyjne ignorowanie i lekceważenie (traktowanie ofiary „jak powietrze”)

III. Działania naruszające wizerunek ofiary:

- obmawianie
- rozsiewanie plotek
- ośmieszanie
- sugerowanie zaburzeń psychicznych; kierowanie na badania psychiatryczne
- żartowanie i wyśmiewanie życia prywatnego
- parodiowanie sposobu chodzenia, mówienia, gestów ofiary
- atakowanie poglądów politycznych lub przekonań religijnych
- wyśmiewanie i atakowanie ofiary z uwagi na jej narodowość
- wyśmiewanie niepełnosprawności lub kalectwa
- obrażanie słowne w postaci wulgarnych przezwisk lub innych upokarzających wyrażań
- insynuacje o charakterze seksualnym, składanie propozycji seksualnych, zaloty

IV. Działania uderzające w pozycję zawodową ofiary:

- wymuszanie wykonywania zadań naruszających godność osobistą
- kwestionowanie podejmowanych przez ofiarę decyzji
- nieprzydzielanie ofierze żadnych zadań do realizacji
- przydzielanie zadań bezsensownych, zbędnych
- przydzielanie zadań poniżej kwalifikacji i kompetencji
- przydzielanie zadań zbyt trudnych, przerastających kompetencje i możliwości ofiary
- ciągle przydzielanie nowych zadań do wykonania (z nierealnym terminem realizacji lub ilością pracy do wykonania)

- ostentacyjne odbieranie zadań przekazanych do realizowania
- wydawanie absurdalnych i sprzecznych poleceń

V. Działania uderzające w zdrowie ofiary:

- zlecanie prac szkodliwych dla zdrowia, niedostosowanych do możliwości ofiary i bez zapewnienia odpowiednich zabezpieczeń
- groźby użycia siły fizycznej wobec ofiary
- stosowanie przemocy fizycznej o nieznacznym nasileniu
- znęcanie się fizyczne
- działania o podłożu seksualnym, wykorzystywanie seksualne
- przyczynianie się do powstawania strat materialnych powodowanych przez ofiarę
- wyrządzanie szkód psychicznych w miejscu pracy lub miejscu zamieszkania ofiary

Ewelina i Fryderyk – wywyższający się socjopata

Prośba, aby mówić do niego Fred, pokazuje kreację własnej osoby. Fred brzmi bardziej światowo, z angielska. Fryderyk kojarzy się staromodnie, głównie z Chopinem. Imię-pseudonim to była część jego opowieści, tworzył pewną iluzję rzeczywistości. Głównie robił to na swoje potrzeby. Z jednej strony był to jego lepszy świat, a z drugiej – narzędzie do manipulowania otoczeniem.

Fryderyk notorycznie posługiwał się kłamstwem i to takim, jakie możemy nazwać patologicznym. Czasami robił to wręcz na siłę. Niektóre kłamstwa miały krótkie nogi – na przykład to, że jego była dziewczyna wyjechała do Australii. Sam tak wierzył w swoje słowa, że nie wziął pod uwagę, że razem z Eweliną mogą ją gdzieś spotkać na mieście. Kłamstwo to był jego sposób na życie. Mieściły się w nim również oszustwa finansowe, jakich dokonywał.

Twierdzenie Fryderyka, że wszyscy poza nim to „przydatni idioci”, pokazuje jego socjopatyczną naturę. Mimo takiego przekonania na ogół nie mówił tego ludziom w twarz, przeciwnie – udawał przyjaciela. Wiedział, że dbając o sympatię innych, może więcej zyskać. Jednak gdy ktoś utrudniał mu osiągnięcie celu, stawał się momentalnie jego wrogiem. To pokazuje instrumentalne traktowanie ludzi i interakcji z nimi. Jeżeli dodamy do tego egocentryzm i manipulacje, to mamy zestaw cech charakteryzujących socjopatę.

Dlatego też Fryderyk działał w świecie polityki. Polityka i biznes mają wspólny mianownik: władzę. Tam się często prowadzi nieczyste gry. Jednak jego zachłanność przekroczyła granice nawet w tym środowisku i został wyrzucony z partii.

Fryderyk wprost wyraził swoją postawę wobec dzieci. Nie interesują go, dopóki nie ma z nimi kontaktu intelektualnego. Relacja emocjonalna nie dawała mu żadnej korzyści, nawet w formie czystej

ojcowskiej przyjemności obcowania z własnym dzieckiem. U Fryderyka dominują intelekt i racjonalizm. W tym się realizował. Socjopaci mają różne sposoby na osiągnięcie swoich celów. Ci bardziej prymitywni i jednocześnie sprawni fizycznie rozwiązują sprawy siłowo. Fryderyk był inteligentny a chyba do tego fizyczność nie była jego mocną stroną. Socjopaci też są dość leniwi, tzn. nie lubią się do czegokolwiek zmuszać (dlatego często wybierają drogę przestępczą, która jest łatwiejsza i szybsza w osiąganiu korzyści). Robią to, co im przychodzi łatwo i przynosi maksimum szeroko pojętego zysku. Być może regularne chodzenie na siłownię było dla niego zbyt męczące.

Mimo pewnej zmienności zachowań ludzie jednak są stali w sposobie funkcjonowania wyznaczanym przez podstawowe schematy. Warto odrzeć różne ich zachowania z dodatkowych elementów i zobaczyć ich wspólny mianownik. Sposób, w jaki ktoś na przykład traktuje zwierzęta, pokazuje, jak traktuje ludzi, traktowanie innych ludzi pokazuje, jakie ma podejście do swojej rodziny. Oczywiście nie trzeba lubić każdego i mieć w każdym przyjaciela, jedną osobę lubi się bardziej, inną mniej, a trzeciej się nie znosi. Jednak mówienie o wszystkich z pogardą i traktowanie ich jako środka do swoich celów jest niepokojące. Oczywiście taki typ powtarza swojej żonie: „Ty jesteś wyjątkowa”, „Ty nie jesteś taka jak oni”. Dlaczego ona w to wierzy? Być może w okresie fascynacji partnerem zwraca uwagę wyłącznie na zdanie „Jesteś wyjątkowa”, nie bacząc na cały kontekst wypowiedzi.

Fryderyk grał na emocjach, mówiąc, że jego córeczka ma chorą i niebezpieczną matkę. Stawiał się w roli ofiary, przekonując, że ona ciągle robi awantury lub się nie odzywa. Poniżał ją i wypominał, że pochodzi ze „słabej rodziny”. Widać, że budował swój wizerunek kosztem innych. To jest bardzo ważny sygnał, który nasza bohaterka zignorowała. Mówienie źle o byłym partnerze i rodzicu swoich dzieci pokazuje sposób traktowania swoich bliskich. Oczywiście rzeczowe i krytyczne podanie przyczyn nieudanego związku nie jest tym samym. Stwierdzenie, że były mąż lub żona byli alkoholikami, zdradzili czy mieli wybuchowy charakter, nie jest ich deprecjonowaniem. Zazwyczaj krytyczna ocena odnosi się do konkretnego zachowania czy jakiejś cechy. Deprecjonowanie uderza

w całościowy wizerunek osoby, nie tylko jako partnera, ale i człowieka w ogóle. No i wyznanie, że „Nigdy jej nie kochałem” czy „Wybrałem ją z desperacji”, powinno zapalić Ewelinie czerwoną lampkę. Bardzo ważny jest przy tym dobór słów. Im więcej nacechowanych emocjami, tym gorzej. Cięte riposty to zawoalowana agresja, świadczą o skłonności do dominacji i mściwości. Ostatnie słowo musi należeć do niego.

Kontrola swojej żony, zazdrość, podejrzewanie o zdrady to w przypadku Fryderyka czysta projekcja. Oszust, który krzyczy, że oszukują. W swoim egocentryzmie zmierzył żonę własną miarką, skoro on ją notorycznie zdradzał, to czemu ona miałaby tego nie robić.

Barbara i Paweł – niedojrzały narcyz

Barbara jak w klasycznej psychoanalizie przyznaje się do fascynacji osobą własnego ojca, który staje się dla niej idealnym wzorcem mężczyzny. Będzie szukała takiego partnera. Oczywiście drugi taki sam człowiek nie istnieje. Mężczyzna, którego wybierze, będzie imitacją postaci ojca, można powiedzieć „podróbką”. Taki związek ma nikłe szanse na powodzenie. Bohaterka tej historii wybiera więc znacznie starszego od siebie reżysera – samca alfa, w którego rolę zawodową wpisane jest dyrygowanie ludźmi. Rzuca się w oczy stwierdzenie: „Kobiety oglądały się za Pawłem. Tak, to przyjemnie łechtało moje ego, że wybrał właśnie mnie”. Barbara buduje poczucie swojej wartości, porównując się z innymi kobietami, jego ważnym elementem jest mężczyzna, w którego towarzystwie się obraca. Można powiedzieć, że świeci odbitym od niego światłem. Rdzeniem tego jest stwierdzenie „To mnie wybrał”. Pokazuje, w jak pasywny sposób Barbara postrzega swoją rolę i w czyje ręce oddaje stery całej relacji.

Paweł, jak to osoby narcystyczne, ma osobowość niedojrzałą. Często funkcjonowanie takich ludzi przypomina zachowanie dzieci lub nastolatków. Barbara opisuje zmianę postawy swojego męża wobec niej, co można określić jako „znudzenie się” nią. Opowiada, że w pierwszym okresie ich znajomości Paweł się starał i pokazywał, że mu na niej zależy. Nie powiedziałbym, że chodziło o zaangażowanie i to, że mu zależało. Raczej bawiła go nowa zdobycz, nowa zabawka, bo tak zapewne widział Barbarę. Dlatego był w tym okresie autentyczny. To, co Barbara brała za prawdziwe uczucie, było oddaniem własnej grze, „zabawie w dom”.

Zacząła się więc kontrola. Paweł izolował partnerkę, odcinał ją od kontaktów z innymi ludźmi. W ten sposób chciał ograniczyć

możliwość weryfikacji jego działania poprzez informacje z otoczenia. Starał się być głównym źródłem „prawdy o sobie” dla swojej żony.

Nieustannie pokazywał swoją wyższość, czuł się lepszy i uprawniony do oceniania. Jego ciągła krytyka pokazuje, jak niestabilny i kruchy jest wyidealizowany obraz narcyza. Wymaga ciągłego potwierdzania, co niestety odbywa się kosztem najbliższych. „Trzymanie” żony w domu i zazdrość to również oznaki głęboko ukrytej niskiej pewności siebie. Odpuszczenie kontroli dawało mu poczucie zagrożenia, bał się straty. Widać, że im bardziej Barbara rozwijała się i usamodzielniała, tym bardziej Paweł ją atakował i deprecjonował. „Siedź, dziewczyno, na tyłku, jesteś w ciąży, hoduj dziecko” – to uprzedmiotawiające określenie, zupełnie odwrotne do zwracania się po imieniu. Zapewne robił tak, ponieważ czuł, iż traci nad nią kontrolę, wymyka mu się ona z ręki. Narcyzowie nie akceptują rozwiązań połowicznych, nie satysfakcjonuje ich „trochę” ani nawet „większość”. Dla nich do przyjęcia jest wszystko albo nic, a przede wszystkim wszystko.

Zdrady Pawła to szukanie „nowych zabawek”. Dla Barbary bycie razem to kwestia relacji, zaufania, lojalności, posiadania wspólnoty, dzieci, itd. Dla Pawła to bardziej jak jeżdżenie innym samochodem niż własny. Ten ostatni nie powinien być zazdrosny o auto zastępcze. Tym bardziej że w tym momencie nie nadaje się do jazdy, ponieważ znajduje się w warsztacie. Porównanie jest szokujące, ale właśnie takie powinno być. Dopiero w ten sposób można pokazać sposób myślenia narcystycznego socjopaty. Zdrady mogą dostarczać wielu satysfakcji (językiem Iwana Pawłowa mówiąc: pozytywnych wzmocnień). Oczywiście jest przyjemność seksualna, ale zdrada może podnieść poczucie własnej wartości jako osoby atrakcyjnej, może zapewnić zastrzyk adrenaliny osobom, które mają zapotrzebowanie na stymulację, satysfakcję, że kogoś się przy tym oszukało. Socjopaci czerpią z tego wszystkiego przyjemność.

Barbara mówiła, że kiedy Pawłowi coś nie pasowało, to wychodził. Inne znaczenie ma wyjście w celu przerwania spirali konfliktu. Wyjść, aby ochłonać, dosłownie przewietrzyć głowę, nabrać dystansu, ale potem wrócić i spróbować konflikt rozwiązać. Znikanie na dłuższy czas i unikanie zmierzenia się z tematem jest przejawem biernej agresji. Zwłaszcza w momencie, kiedy samemu

inicjowało się sytuację konfliktową i brało w niej aktywny udział. Nie można po prostu nagle zniknąć, nie biorąc za swoje zachowanie odpowiedzialności.

Barbara oczekiwała, że po udanym seksie Paweł będzie dla niej czuły i miły. Działo się tak, ponieważ dla niej seks był elementem relacji, która ich łączyła (wyrażając się precyzyjnie, powinienem zamiast „ich łączyła” napisać „łączyła ją z nim”). Dla niego natomiast seks był głównie przyjemnością zmysłową, aktywnością fizyczną, po której trzeba było wziąć prysznic, co było wyraźnym znakiem, że aktywność została zakończona.

Z opowieści Barbary rysuje się obraz sadystycznych skłonności Pawła, którego przemoc słowna podniecała. Poniżanie partnerki w pełni wpisuje się w praktyki sadystyczne. Tutaj też może kryć się odpowiedź na pytanie, dlaczego nie interesował się podarowanymi zabawkami z sex shopu. Zabawki są używane w ramach jakiejś konwencji, a dla sadysty przemoc nie może być odgrywana czy udawana, musi być autentyczna. Bardzo możliwe, że Paweł stosował mechanizmy obronne, np. wypieranie czegoś ze świadomości lub wręcz zaprzeczanie swoim prawdziwym upodobaniom seksualnym. Korzystanie z seksualnych gadżetów byłoby przyznaniem się do tego, co naprawdę sprawia mu przyjemność. A tak, zapytany z zaskoczenia o swoje życie seksualne odpowie szczerze, że jest zupełnie zwyczajne i normalne.

Robienie wyrzutów, że przez żonę nie wrócił do Stanów Zjednoczonych, miało z kolei na celu wzbudzenie w niej poczucia winy.

Joanna i Piotr – niedojrzały ekstrawertyk, Nikodem Dyzma

Piotr patrzył w oczy, w ten sposób pokazywał zainteresowanie. Kto patrzy w oczy, poświęca uwagę rozmówcy. Był pomysłowy. Wyjazdy, spontaniczny seks w miejscach publicznych zapewniały mu dreszcz emocji, poszukiwał doznań, co świadczy o ekstrawertycznym typie osobowości. Jednak brak tolerancji na odroczenie gratyfikacji i brak tolerancji na frustrację wskazuje, że posiadał przy tym niedojrzałą osobowość. Był jak Nikodem Dyzma – kosztem innych budował swój wizerunek i zaspokajał potrzeby, głównie hedonistyczne. Sam nic nie osiągnął, nie zbudował niczego. Oszukiwał nie tylko kobiety, ale i samego siebie.

Piotr to dandys dbający o wygląd, korzystający ze SPA. Przywiązywał dużą wagę do wizerunku, atrakcyjna Joanna była jego uzupełnieniem. Nie był zainteresowany nią jako taką, ale chciał ją uformować pod siebie i swoje potrzeby. Ona zorientowała się, że nie jest sobą, ale dostosowywała się do jego oczekiwań. Dowartościowywał ją, prawiąc jej komplementy i spełniając zachcianki. Dostarczał przyjemności: od seksu po atrakcyjne wyjazdy. Uzależniał ją od siebie w ten sposób.

Ciąża i przyjście dziecka na świat to koniec bez troski i początek zobowiązań. Piotrowi to nie pasowało, bo nie traktował Joanny do końca poważnie, była jedną z kilku pobocznych kochanek. Niepełnosprawne dziecko tym bardziej nie pasowało do jego idealnego wizerunku.

Dorota i Darek – infantrylny, niedojrzały, agresywny bachor

Agresywne zachowania Darka można fachowo określić terminem *acting out* – są to ekspresyjne i dynamiczne formy zachowania, które możemy obrazowo określić wybuchami. Mają na celu rozładowanie uczucia napięcia wynikającego z nieuświadomionych procesów wewnętrznych: impulsów i oczekiwań. *Acting out* jest zaliczany przez psychologów do formy mechanizmu obronnego, czyli ma chronić wizerunek własnej osoby przed zagrażającą prawdą. Specjaliści oczywiście podkreślają, że jest to bardzo niedojrzały mechanizm, naturalny dla małych dzieci, które nie potrafią jeszcze wyrażać słowami swoich wewnętrznych stanów i w zamian za to na przykład uderzają zabawką w podłogę.

W tę infantrylną formę uzewnętrzniania procesów wewnętrznych wpisuje się to, na co zwróciła uwagę Dorota, czyli udawanie przez Darka, że „nic się nie stało”, a nawet tak jakby nigdy się nie wydarzyło. To cały czas forma ucieczki od zmierzenia się z trudnymi kwestiami odnośnie do własnej osoby i odpowiedzi na pytania: „Może nie mam racji? Może sobie nie radzę? Boję się?” itp.

Darek nie pił alkoholu, ponieważ wiedział, że jeszcze łatwiej straci kontrolę nad swoim zachowaniem. Widać, że na trzeźwo nie potrafił jej utrzymać i nie mógł uchwycić tego, co się z nim dzieje i dlaczego tak robi. U takich osób stan nietrzeźwości wywołuje lęk.

Wybuchy agresji Darka zdarzały się między innymi w sytuacjach, kiedy Dorota wskazywała, że nie dotrzymał słowa, spóźniał się, a potem rzuciła podejrzenie zdrady.

Normalnym i dojrzałym zachowaniem byłaby refleksja i zrobienie rachunku sumienia. Należałoby przyznać się do błędu i przeprosić. Dla osoby niedojrzałej taka autokrytyka rozlewa się na całe ja, a nie

tylko na negatywne zachowania. Pokazuje to, jak niestabilna i krucha jest samoocena takiej osoby.

Nadmierna wrażliwość na krytykę wynika z tego, że taki człowiek nie patrzy na swoje postępowanie z uwzględnieniem własnego wpływu na to, co robi. Jeżeli ktoś ma stabilną i pozytywną samoocenę, to myśli: „To, że coś źle zrobiłem, nie oznacza, że jestem bezwartościowym człowiekiem. To ode mnie przecież zależy, jak będę się zachowywał. Jestem porządnym i zdolnym człowiekiem, więc wyciągnę wnioski z tej sytuacji i następnym razem postąpię lepiej”.

Darek wydawał się Dorocie bardzo pewny siebie. Taka postawa zazwyczaj wynika z przekonania o swojej dużej wartości. Świadomość własnych mocnych stron nie wydaje się niczym złym, a wręcz przeciwnie – jest przydatną cechą. Nie można jednak realizować się poprzez poniżanie innych. Jeżeli tak się dzieje, to najprawdopodobniej pewność siebie jest tylko maską, pod którą kryje się człowiek niepewny swojej wartości, ktoś z głęboko ukrytymi kompleksami. A te najsilniejsze mają źródło w doświadczeniach z dzieciństwa.

Bardzo widoczny jest wpływ matki na sposób funkcjonowania Darka; to ona w dużej mierze tak go uformowała. Sama miała bardzo trudne doświadczenia (była wychowanką domu dziecka). Nie została nauczona ciepła, by przeżyć, musiała za wszelką cenę się przystosować. Pozbawiona wsparcia, mogła polegać tylko na sobie. Jej komentarz o dokonywaniu aborcji pokazuje, jak mechanicznie traktuje ludzkie życie, zarówno swoje, jak i swoich nienarodzonych dzieci. Darek dosłownie wyssał z mlekiem matki taki sposób funkcjonowania.

W sytuacjach, gdy nie spełnił jej oczekiwań, odcinała się od niego, i to w sposób dosłowny, zamykała drzwi na klucz. Darek zostawał sam na sam ze swoimi emocjami. Jako dziecko nie miał narzędzi do poradzenia sobie z nimi w sposób konstruktywny. Dlatego stosował naturalne i prymitywne mechanizmy, które utrwaliły się i ujawniały potem w jego dorosłym życiu.

Zgodnie z systemem wartości, jaki panował w domu rodzinnym Darka, kobieta znajduje się na bardzo niskiej pozycji. W taki sposób matka Darka była traktowana przez swoich rodziców, być może

podobne doświadczenia miała w domu dziecka, potem spotykało ją to ze strony męża – alkoholika i przemocowca.

Bicie matki przez ojca również musiało zostawić jakiś ślad w psychice Darka, jako dziecko zobaczył, że to naturalna forma relacji. Poznał przemoc jako nieodzowny składnik małżeństwa.

Chęć posiadania wyłącznie syna to element patriarchalnego (związanego z kulturą macho) sposobu postrzegania rzeczywistości, który jest głęboko zakorzeniony w tradycji i kulturze. Męski potomek jest lepszy, bo to on jest przedłużeniem rodu i dziedzicem spuścizny. Co więcej, może być postrzegany jako kopia ojca.

Egocentryk łatwiej dostrzeże wartość drugiej istoty, jeżeli jest podobna do niego. Darek od początku znajomości z Dorotą wprost komunikował swoje poglądy macho. Pozamałżeńskie kontakty seksualne nie były przez niego postrzegane jako zdrady, lecz potwierdzenie jego męskości, sprawności i atrakcyjności. Podobnie oceniał agresywne formy zachowania czy wręcz popełnianie przestępstw. Według etosu macho były to powody do dumy, a nie wstydu.

Sonia i Roman – narcyz

Sonia powiedziała, że mąż pierwszy raz mocno ją pobił, ponieważ nie patrzyła na niego, gdy mówił. Poczuł się zlekceważony. I chodzi nawet nie tyle o szacunek, ile o oddanie. Musiał mieć oddaną widownię, do której mógł mówić, a ona miała dosłownie spijać słowa z jego ust. To pasuje do rysu narcystycznego i odczucia tzw. narcystycznego zranienia. Większość narcyzów, być może zabrzmiało to paradoksalnie, jest wrażliwa na negatywne sygnały płynące z otoczenia. Brak podziwu odbierają oni jako krytykę. To cios w ich samoocenę i poczucie własnej wartości. Obraz siebie to monument, który faktycznie okazuje się zrobiony ze szkła. Gwarantuje niesamowite pierwsze wrażenie, ale pod naciskiem zaczynają się w nim pojawiać rysy i pęknięcia. To u narcyza wyzwala bardzo silny dyskomfort psychiczny. Zazwyczaj radzi sobie z tym, deprecjonując osobę, którą uznaje za źródło krytyki. Do tego użala się nad sobą i skupia na krzywdzie, jakiej rzekomo doznał. Krzywda jest zaś przyczyną zemsty. Narcyz zawsze czuje też gniew wywołany niezasłużoną, w jego percepcji, krytyką, brakiem uwagi czy zachwytem, jakich oczekiwał.

Roman rozładowywał go poprzez agresję bezpośrednią. Bijąc żonę, narzucał jej swoją fizyczną i psychiczną kontrolę. Po akcie agresji robił się miły i przeproszał, kupował drogie prezenty, fundował wyjazdy i podróże. Aż do kolejnego wybuchu. To był schemat. Mężczyzna jakby miał dwa oblicza – był jak dr Jekyll i Mr Hyde. Może przyjął mechanizm obronny polegający na wypieraniu, wręcz dysocjacji psychologicznej, czyli „odcięciu się” od pewnych swoich stanów psychicznych. A może chodziło tutaj o problem z kontrolą impulsów i własnego zachowania. Silne emocje szybko się wzbudzały, a on nie mógł nad nimi zapanować. Sposobem na ich rozładowanie był negatywny schemat zachowania polegający na wybuchach agresji. One się powtarzają, bo osobowość Romana jest

na tyle niedojrzała, że mężczyzna nie uczy się konstruktywnych sposobów radzenia sobie z tym, co czuje.

Druga możliwość zakłada, iż bicie po prostu sprawia mu przyjemność, co wpisuje się w rys sadystyczny. Mamy do czynienia z biciem słabszego, kobiety. Można dostrzec w tym patologiczną potrzebę zaspokojenia władzy. Za potrzebą kryją się jakieś deficyty. Potocznie ludzie nazywają to kompleksami. A tak też tłumaczy się przyczyny narcyzmu – kompensowanie swoich głęboko ukrytych braków.

Roman zdradzał Sonię, a jednocześnie sam był zazdrosny i wynajmował detektywa, który miał ją śledzić. Jest to typowe dla osób egocentrycznych, które wszystkich „mierzą swoją miarą”, dokonując projekcji własnych stanów psychicznych i sposobów funkcjonowania. Sprzyjał temu również spożywany coraz częściej alkohol. Jednym z objawów psychozy alkoholowej jest tzw. syndrom Otella, czyli patologiczna zazdrość i urojenia zdrady małżeńskiej. W przypadku Romana nie wystąpiły pełne objawy, ale widać było w tym obszarze paranoiczne nastawienie. W niektórych typach osobowości pewne schematy się łatwiej aktywizują.

Beata i Karol – kontrolujący egocentryk

Karol robił prawie wszystko sam. Mogło to sprawiać wrażenie, że jest osobą zaradną, pracowitą i opiekuńczą. Gdy jednak przyjrzymy się przyczynie takiego zachowania i potrzebom, jakie zaspokaja, to dostrzeżemy kontrolę i rys wielkościowy. Nadmierna samodzielność Karola pozwalała mu utrzymywać w ten sposób kontrolę nad otoczeniem. Równocześnie miał poczucie, że nie może nikomu oddać tych zadań do wykonania, skoro nikt nie zrealizowałby ich w sposób odpowiedni, nikt nie zrobiłby tak dobrze jak on.

Karol nie wywiązał się z przysięgi „na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie”. On tylko był na dobre. Wynika to z jego egocentryzmu. Beata opisuje, że duża część okresu małżeństwa była bardzo dobra, między małżonkami się układało – wspólne wyjazdy, przyjęcia, Karol dbał o potrzeby żony, kupował ubrania, sprzęty do domu itd. Beata odbierała to jako działania dla ich wspólnego dobra, a nawet jako specjalnie dla niej. Niestety była to mylna ocena, ponieważ egocentryk robi wszystko tylko dla własnych korzyści.

Angażowanie się w pomoc innym ludziom, a zwłaszcza pod postacią dużych akcji charytatywnych, nie ma nic wspólnego z rzeczywistą troską o otoczenie. Egocentryk w ten sposób pieści swoje próżne ego, nie myśli o innych, ale o sobie: jestem szczodry, łaskawy, pomocny i dobry. Jednak jest to płytkie. Kiedy nasyci się takimi myślami, nagle zajmuje się czymś innym, ale jego uwaga cały czas jest skierowana na niego samego. Ci, którym pomagał, są tylko tłem dla myślenia o sobie samym.

Psychologowie zajmujący się związkami wyróżniają kilka faz, które występują w relacjach partnerskich. Są to kolejno: zakochanie, romantyczne początki, związek kompletny, związek przyjacielski, związek pusty i jego rozpad [4](#).

Etap przyjacielski jest kluczowy dla dalszego przetrwania relacji. Gdy silna namiętność i fascynacja opadają i do życia wkrada się rutyna dyktowana różnymi obowiązkami, partnerzy muszą być przyjaciółmi, żeby razem dalej funkcjonować.

Natomiast skrajny egocentryk nie ma prawdziwych przyjaciół, jest zbyt skupiony na sobie, żeby te relacje budować i pielęgnować. W momencie trudniejszym, kiedy Beata straciła pracę, Karol ocenił, że nie ma między nimi partnerstwa, ponieważ żona przestała się dokładać do wspólnego życia. Do tego doszły naturalne procesy, jak przyzwyczajenie przeradzające się w znudzenie, zmiany w wyglądzie związane z wiekiem i związek stał się mało atrakcyjny dla niego. Bez relacji przyjacielskiej musiały pojawić się pustka i rozpad.

Ewa i Krystian – egocentryk, seksoholik

Krystian to skrajny egocentryk traktujący otoczenie instrumentalnie. Do tego seksoholik z licznymi perwersjami. Seks, jaki go kręcił, jest typowo dominacyjny z uprzedmiotowieniem partnerki. Ulubiona pozycja „od tyłu” jest pozycją depersonalizującą kobietę, ponieważ mężczyzna nie widzi jej twarzy i nie ma z nią kontaktu wzrokowego. Oczywiście w normalnych związkach uprawianie seksu w różnych pozycjach nie jest niczym złym i ma dostarczać urozmaicenia w pożyciu. Gdy jednak pojawia się jakieś zawężenie, warto na to zwrócić uwagę. Uprzedmiotowienie partnerki jest zaliczane do zachowań sadystycznych. Ewa stwierdziła, że jej brak ochoty na seks podniecał męża.

Tutaj też pojawia się biseksualizm Krystiana – seksualna relacja ze znajomym z pracy. Także uprawianie seksu z użyciem sztucznego penisa, gdzie to on przyjmował rolę kobiety. Osoby z rozbuchanymi potrzebami seksualnymi często szukają nowych doznań. Trochę jak narkomani, którzy przyzwyczajają się do stałych dawek i muszą je zwiększać, żeby znowu przeżyć odłot. W seksie szybko rośnie tolerancja na dotychczasowe doznania. Dużą rolę w tym odgrywają fantazje seksualne, które są motorem napędowym eskalacji praktyk. Odniosę się w tym momencie do przestępców działających na tle seksualnym. Wszystkim nam przychodzi do głowy hasło „popęd”, przypominamy sobie też postulaty stosowania „chemicznej kastracji” przestępców. Oczywiście ponadprzeciętny poziom testosteronu sprzyja wzmożonej aktywności seksualnej, ale nie jest tu kluczowy. Dlatego też „chemiczna kastracja” nie ma większego sensu, oprócz zaspokojenia oczekiwań opinii publicznej co do traktowania gwałcicieli, pedofili czy innych dewiantów. Źródło przestępczości seksualnej nie jest umiejscowione w gonadach, ale

w głowie sprawcy. Właśnie w jego fantazjach i sposobie myślenia o tym. To jest siła napędowa seryjnych gwałcicieli i zabójców. Stosunki z mężczyzną czy użycie sztucznego penisa w seksie może być właśnie eksperymentowaniem, poszukiwaniem nowych przeżyć. Warto jednak rozważyć, czy nie ma w tym ukrytych skłonności seksualnych. Być może Krystian nie akceptuje homoseksualizmu, zwłaszcza w wydaniu męskim. Taka postawa zazwyczaj jest sposobem wychowania i wpływu kulturowego otoczenia. Prawdopodobnie stereotyp homoseksualisty, jaki posiada Krystian, jest niemęski, więc dostrzeżenie u siebie takich upodobań uderzyłoby w jego obraz samego siebie. Przyczyn homoseksualizmu jest kilka. W dzisiejszych czasach nie jest łatwo o tym pisać ze względu na poprawność polityczną. Nie każdy rodzi się homoseksualistą i nie dla każdego jest to po prostu inna orientacja. U części osób, dotyczy to w zasadzie wyłącznie mężczyzn, homoseksualizm może być skutkiem narcyzmu. Miłość do siebie samego przenoszona jest na osoby tej samej płci. Często atrakcyjni partnerzy są wyidealizowanym obrazem samego siebie. U narcyzów, którzy są homoseksualistami, nie chodzi o uczucie. Nie są zainteresowani związkiem z drugim mężczyzną, tylko relacją cielesną. Tutaj przypomina się Zygmunta Freuda i obsesja związana z penisem, a nie całą osobą kochanką. Z penisem jako esencją męskości, symbolem. Używanie dilda przez Krystiana wydaje się potwierdzeniem tej hipotezy. Kolejne to hipermaskulinistyczne stwierdzenie wypowiedziane do córki, że „płaczą tylko mięczaki”. Oczywiście znowu może to wynikać z tradycyjnego wychowania, w którym role społeczne (gender) były dla każdej z płci bardzo jasno i precyzyjnie określone. Cechy im przydzielone rzadko się pokrywały. Mądrość życiowa mówi jednak, że „prawdziwi faceci” nie wstydzą się płakać czy okazywać innych uczuć, bo to nie zagraża ich obrazowi własnej osoby ani tożsamości. Prawdziwy mężczyzna, który ma stabilną samoocenę i jest „osadzony” w swojej męskości, nie czuje się mniej męski w sytuacjach emocjonalnych.

Poprawa zachowania Krystiana w momencie, kiedy Ewa zapowiedziała mu, że odejdzie, jak widać była przemyślaną strategią przejęcia dzieci. Pozornym uspieniem jej czujności, w percepcji Krystiana – wroga, który chce go pozbawić własności, czyli

potomstwa. Zapowiedź rozstania uświadomiła mu realne zagrożenie, więc musiał ubiec Ewę, ale do tego potrzebował się przygotować. Rola lepszego męża była po prostu grą na czas.

Karolina i Wiktor – osobowość chwiejna (borderline), impulsywny, niestabilny egocentryk

Wiktor swoje zachowania przemocowe przejawiał w sposób impulsywny. Kiedy pierwszy raz stracił kontrolę nad emocjami, roztrzaskał komputer na podłodze.

Karolina określiła, że mąż „miał krótki lont”, czyli łatwo wybuchał. Z jej opowieści wynika, że stała za tym niska tolerancja na frustrację. Frustracja jest bardzo trudnym i nieprzyjemnym uczuciem. Rodzi się w momencie, kiedy działanie, chęć realizacji celów jest zablokowana. Opierając się na moich doświadczeniach zawodowych, muszę stwierdzić, że to najbardziej kryminogenny stan emocjonalny. Kryje się on u podstaw wyjątkowo drastycznych zbrodni. Osoba, która nie radzi sobie ze swoimi emocjami, może być więc zagrożeniem dla otoczenia. Na czym polega radzenie sobie? Przede wszystkim na świadomości. Musimy zauważyć nasze emocje, zaakceptować fakt, że się pojawiły. Znacnie widok osoby czerwonej na twarzy z zaciśniętymi do białości pięściami, która na pytanie, co ją tak zdenerwowało, odpowiada przez zęby, że nic, że wcale nie jest zdenerwowana, tylko spokojna? Akceptacja emocji polega też na tym, że przynajmniej chwilę trwamy w tym stanie, dopiero wtedy możemy nad nimi zapanować. Na przykład negocjator policyjny w czasie szkolenia uczy się rozpoznawania własnych emocji i sygnałów z nimi związanych, jakie wysyła mu organizm. Musi wiedzieć, kiedy zapala mu się czerwona lampka, która oznacza pobudzenie afektywne – czy to jest drżenie mięśni twarzy, czy suchość w ustach, pocenie się dłoni czy ucisk w żołądku. Potem, w czasie akcji, może uchwycić ten moment i opanować emocje. Niestety większość ludzi nie przechodzi szkolenia dla negocjatorów

policyjnych, a w szkole nie jesteśmy przygotowywani do sytuacji społecznych.

Niski próg znoszenia frustracji mają psychopaci oraz osoby chwiejne emocjonalnie. Zupełnie jak małe dzieci, które płaczą, gdy nie dostaną szybko butelki z mlekiem. Duża część z nich uczy się jednak, że w końcu butelka się pojawia. Trzeba tylko trochę dłużej poczekać.

Huśtawki nastrojów, jakie dostrzegają Karolina u Wiktora, były wyraźniejsze niż te, które zdarzają się każdemu z nas. Wpływ na nie mają wydarzenia zewnętrzne i nasza ich interpretacja. Siła nastroju, który w psychologii nazywamy afektem, jest kluczowa. Afekt nie powinien „zalewać” danej osoby i dominować nad jej zachowaniem. Huśtawki występują również z powodów psychopatologicznych.

Może to być wręcz choroba – afektywna dwubiegunowa, w której faza depresji występuje na zmianę z manią⁵. Czas trwania faz jest indywidualny dla każdego chorego, ale zazwyczaj trwają one miesiącami, rzadziej tygodniami, nie zmieniają się w ciągu kilku godzin. Każdy chory ma też różne proporcje tych faz. Czasami latami występuje lekka mania, potem przychodzi faza depresji i wtedy człowiek orientuje się, że jest chory. Szybkie zmiany nastrojów pojawiają się w zaburzeniach osobowości – głównie tzw. osobowości z pogranicza określanej z języka angielskiego jako borderline. Ten typ zaburzenia nazywany jest również osobowością chwiejną emocjonalnie. Rzeczywiście huśtawki nastrojów mogą być duże, a różne skrajne afekty mogą się zmieniać kilka razy w ciągu dnia. Ludzie z osobowością z pogranicza cierpią na brak stabilnego wizerunku własnej osoby i relacji, w jakie wchodzi. Nie wiedzą, kim tak naprawdę są i co czują. Nie wiedzą też, jak mają postrzegać związku, w jakich się znajdują. Typowe jest naprzemienne idealizowanie partnera, a następnie deprecjonowanie go. W tle kryje się też lęk przed rozstaniem. Osoby z borderline nie rozumieją swoich emocji, które silnie przeżywają i które często się zmieniają, próbują je uchwycić. Najłatwiej złapać i zatrzymać na chwilę te skrajne. Stąd też częste zachowania ryzykowne i autodestrukcyjne. Osoba z borderline w fazie pozytywnego afektu przypomina trochę człowieka w manii. Jest jak po dawce kokainy. Może wtedy być bardzo urocza i czarująca. Wydaje się „szalona”, w pozytywny

sposób, spontanicznie robi różne rzeczy, zachowując się jak duże dziecko czy niepokorny nastolatek. Może to być na przykład spontaniczny seks w toalecie w miejscu publicznym, gdzie za drzwiami kręci się gromada ludzi, a cała sytuacja wywołuje dreszczyk emocji. Jednym ze sposobów przystosowania się do funkcjonowania „na pograniczu” jest postawa wielkościowa ujawniająca się w obliczu narcyza.

Deprecjonowanie Karoliny przy dzieciach jest uderzeniem w wizerunek ofiary w jej najbliższym otoczeniu. W tym przypadku można nawet nazwać to „budowaniem koalicji anty”. Dzieci, słysząc komunikat od osoby wiarygodnej, jaką jest jeden z rodziców, w tym przypadku ojciec, przyjmują jej opinię za swoją. Jest to rodzaj izolowania ofiary poprzez wpłynięcie na jej kontakty z innymi. Spowodowanie, że ktoś nie jest traktowany poważnie, nie jest wysłuchiwany, tylko lekceważony lub odbierany jako dziwak albo osoba zaburzona, jest niczym innym jak jego izolowaniem. Nie zawsze musi to być więc dosłowne uniemożliwianie kontaktów społecznych – unikanie spotkań towarzyskich i rodzinnych, zabronienie chodzenia do pracy itp. Chociaż w rzeczywistości sposoby są najczęściej mieszane.

Wiktor także krytykował Karolinę i wzbudzał w niej poczucie winy. Uderzał w samoocenę żony i obwinał ją o wszystko, co się działo złego. Ofiara o niskiej samoocenie wątpi w siebie i jest jeszcze bardziej bezbronna.

Uwagi na temat zdrowia psychicznego niestety często pojawiają się w związkach przemocowych. Są dowodem na brak tolerancji i akceptacji dla kogoś, kto jest inny niż ja. Tutaj powtarza się słowo „wariat” – ktoś inny, dziwny, nienormalny, którego nie da się zrozumieć. Czyli „Ty wariatko, jesteś chora psychicznie” to komunikat „Nie toleruję, że jesteś inna niż ja”. Jego druga część to pejoratywna ocena: „Jesteś inna i przez to gorsza”. Do tego dochodzą negatywne skojarzenia ze stereotypem osoby chorej psychicznie. Jeszcze innym działaniem jest wmawianie komuś konkretnych objawów choroby. To tzw. gaslighting – działanie, które może być metodą stosowaną celową lub intuicyjnie (wiem, że ciężko uwierzyć, że ktoś może mieć taką intuicję, ale niestety to się zdarza). Wśród psychologów śledczych zwanych profilerami, specjalizujących

się zwłaszcza w tropieniu seryjnych morderców, używa się określenia „ludzkie drapieżniki”. Są to skrajni psychopaci działający w sposób zorganizowany⁶ w swoich zbrodniach. „Ludzkie drapieżniki” są jakby naturalnie wyposażone w instynkt polowania na ofiary. Nie będę ich porównywał do polującego lwa na sawannie, ponieważ lew kieruje się instynktem, by zdobyć pożywienie dla siebie i swojego potomstwa. „Ludzki drapieżnik” robi to dla swojej hedonistycznej przyjemności. Potrafi jednak intuicyjnie wybrać słabą ofiarę – kogoś atrakcyjnego dla siebie, a jednocześnie bezbronnego. W trakcie „polowania” może stosować techniki, które mają naukowe nazwy. Choć on ich oczywiście nie zna.

Gaslighting możemy porównać z praniem mózgu. Wmawia się komuś, że to, co się z nim dzieje, nie jest rzeczywistością, a wytworem jego chorej wyobraźni czy wręcz schizofrenii. Powtarza się wtedy zwrot „Wydaje ci się”, zaprzecza się oczywistym faktom, mówiąc, że tak nie było, że przebieg wydarzeń był zupełnie inny. W najbardziej rozbudowanej formie można preparować dowody na fałszywe wydarzenia lub usuwać dowody wydarzeń prawdziwych. W sztuce teatralnej (a następnie jej ekranizacji z Ingrid Bergman w roli głównej), od której tytułu pochodzi ten termin, mąż – gdy giną różne przedmioty lub słysząc odgłosy kroków – wmawia żonie, że to tylko jej wyobraźnia, że nic takiego się nie zdarzyło, a ona popada w obłąd. Działanie takie doprowadza ofiarę do powątpiewania we własne zmysły i zdrowie psychiczne. Zwłaszcza jeżeli w parze idzie izolowanie od otoczenia i nikt nie może potwierdzić czy zaprzeczyć temu, co się dzieje.

Anna i Karol

– chłodny emocjonalnie psychopata

Komunikat „jesteś zbyt emocjonalna” jest oceniający. „Zbyt”, czyli za bardzo, a nie tyle, ile potrzeba. Arbitrem jest wypowiadający, to według jego miarki jest oceniany nadmiar lub deficyt. Tak naprawdę ten sam sens mają stwierdzenia: „Nie odpowiada mi twój sposób reagowania” oraz „Nie akceptuję tego, że możesz działać w inny sposób niż ja”.

Anna opisywała Karola następująco: „Na randkach był ujmujący i czarujący. Uwielbiał opowiadać mi o sobie, swoich podróżach oraz licznych sukcesach i biznesie”. Warto zwrócić uwagę, że chodzi o opowiadanie o sobie. Osoba narcystyczna jest w tym dobra. Jest bardzo przekonująca, ponieważ głęboko w siebie wierzy, słysząc w jej głosie zaangażowanie i pasję. Łatwo pomylić to z charyzmą, ponieważ dzieli je cienka granica. Jednak ludzie charyzmatyczni inspirują innych, dają im energię, czasami wręcz uskrzydłają. Przy narcyzie nie ma przestrzeni dla drugiej osoby, zatem taka relacja na dłuższy czas jest toksyczna.

Annie Karol wydawał się „chłodniejszy” niż inni mężczyźni, „nie rzucał się” na nią, nie był aż tak zazdrosny. Wiele zachowań jest uwarunkowanych temperamentem i cechami osobowości. Widać jednak, że mężczyzna miał mniejszą ekspresję emocji i również mniej im ulegał, nie działał w sposób impulsywny. Jednak komentarze, które kierował do żony, wskazują, że przyczyną może być brak zrozumienia tego, co ona czuje. Z powodu niskiego progu wzbudzenia emocji taka osoba nie potrafi wyobrazić sobie, jak to jest reagować emocjonalnie. Przyczyną może być zamrożenie. Ona tak naprawdę doznaje wielu emocji, ale błyskawicznie je tłamsi albo, jak wskazuje nazwa, „zamraża”. Najczęściej robią to ludzie, którzy w dzieciństwie i okresie dorastania doznali trudnych czy wręcz

traumatycznych przeżyć w związku ze swoją emocjonalnością. Albo zostali ukarani za to przez któregoś z rodziców, albo ocenił to negatywnie nauczyciel, albo wyśmiała grupa rówieśnicza. Człowiek, który otrzymał silnie negatywne wzmocnienie (jak pies Pawłowa, który był rażony prądem), zaczyna ukrywać emocje, jak tylko się pojawiają. Z czasem odrywa się od nich zupełnie i na poziomie świadomym działa wyłącznie racjonalnie, czyli kieruje się rozsądkiem. Oczywiście osobami o niskim progu wzbudzenia emocji są też urodzeni psychopaci. Są to mocne układy nerwowe, na które działają dopiero silne bodźce. Nasze komórki nerwowe możemy wyobrazić sobie niczym struny w gitarze. Cienką strunę jest łatwo wzbudzić, wystarczy delikatnie jej dotknąć, a już wydaje z siebie dźwięk. Grube struny wymagają silniejszego szarpnięcia. Zatem niektóre mózgi przypominają delikatne skrzypce, a inne masywne kontrabasy. Psychopaci zdecydowanie mają te drugie. Są również pozbawieni umiejętności współodczuwania. Nie potrafią zrozumieć punktu widzenia drugiej osoby, postawić się na jej miejscu.

Brak zazdrości u Karola też jest znaczący, a zwłaszcza sposób, w jaki to tłumaczy. Po pierwsze, ma stabilną samoocenę i nie czuje zagrożenia ze strony innych mężczyzn, w tym byłego narzeczonego Anny. Za zazdrością kryje się na ogół niepewność i wątpliwości odnośnie do swojej pozycji i własnej wartości. „Czy jestem wystarczająco atrakcyjny?” „Czy z kimś innym byłoby jej lepiej?” „Czy była szczęśliwsza ze swoim eks?” Są to koncepcje, które nakręcają zazdrość. Karol nie ma takich wątpliwości. A zasada regulująca rzeczywistość, jaką wypowiada, jest typowa dla psychopatów: „Wybrałaś mnie – jesteś ze mną. Gdybyś wybrała jego, byłabyś z nim”. Czy może być prostsze wytłumaczenie? Ktoś, kto czuje wielką miłość do partnera, nie wyobraża sobie życia bez niego. Osoba, którą się kocha, staje się częścią nas. Poeci czy artyści, nie bez powodu opisując jej stratę, używają określenia: „Z tobą odeszła część mnie”. Dla psychopaty, który jest skrajnym egocentrykiem i żyje w swoim jednoosobowym świecie, inni ludzie są tylko gośćmi.

Alicja i Krzysztof – egocentryczny narcystyczny psychopata

Krzysztof jest skrajnym egocentrykiem i narcyzem. To ten typ, który został jakby „wyhodowany” przez swoją matkę. Jak wspominałem wcześniej, zazwyczaj narcyzm jest nieświadomą kompensacją swoich kompleksów i niskiego poczucia własnej wartości. Jednak leczenie kompleksów może odbywać się też w drugim pokoleniu. To matka Krzysztofa nadrabiała swoje porażki i deficyty, dokonując projekcji na swego syna. Wychowała go, wmawiając mu jego wyjątkowość. Rodzice mogą też przekazać to dziecku w sposób zdrowy. Przekonanie o własnej wyjątkowości może zagwarantować im poczucie własnego indywidualizmu i pozytywną samoocenę. W procesie wychowywania rodzice pokazują dziecku jego prawa oraz obowiązki. Osoba z poczuciem własnej wyjątkowości i znająca swoje obowiązki jest wartościowym członkiem społeczeństwa. Jednak gdy rodzic wpaja maluchowi wyłącznie świadomość praw i oczekiwanie ich bezgranicznego respektowania bez zobowiązań, sytuacja robi się niebezpieczna. Rośnie wtedy dziecko, które uważa, że ogólnie obowiązujące normy społeczne jego nie dotyczą, że jest ponad nie.

Alicja wprost przyznaje, że w relacji z Krzysztofem powielala schemat z własnego przemocowego domu. Tutaj pojawia się stara prawda, która mówi: „Czym skorupka nasiąknie za młodu...”. W dzieciństwie przyswajamy schematy zachowań ze świata dorosłych, to on jest naszą rzeczywistością. Z punktu widzenia psychologii można wyróżnić kilka sposobów uczenia się. Jednym jest modelowanie, czyli nauka przez obserwacje wzorców – modeli. Są to nasi opiekunowie, najczęściej rodzice, dziadkowie itp. Jeżeli ojciec bije matkę lub krzyczy wulgarnie na dziecko, to widać, że taki

jest sposób ich komunikacji. Takie mają zwyczaje. Drugi sposób uczenia się to warunkowanie, o którym już kilkakrotnie wspominałem. Powtarzamy zachowania, które zapewniają nam nagrody, i unikamy zachowań, które kończą się dla nas karą. Zatem wychowywanie się w domu, w którym jest przemoc, tworzy przekonanie, że znęcanie się, krzyki, kary fizyczne to norma. Z drugiej strony wypracowujemy własne strategie, które pozwalają nam maksymalizować zyski i minimalizować straty. Oczywiście nie jest to zdrowe przystosowanie. To trochę jak odnalezienie się w więzieniu lub innym podobnym miejscu, gdzie obiektywnie panują nieludzkie warunki, a subiektywnie można je trochę przekształcić. Formą przystosowania się jest przyjęcie roli ofiary i pogodzenie się z tym. Niestety tę rolę zabiera się w dorosłe życie, nie odgrywa się jej tylko w domu rodzinnym.

Alicja postrzegała swojego przyszłego męża (a potem męża) jako artystę z charyzmą. Wiele bohaterów tej książki opisywało w podobny sposób swoich partnerów. Narcyz w miłości do siebie jest bardzo autentyczny, więc w pierwszym kontakcie niemal zaraża podziwem dla jego osoby. Robert Hare, jeden z największych autorytetów w dziedzinie badania psychopatii, stworzył listę charakterystycznych cech i zachowań, którą nazwał Skalą Obserwacyjną Skłonności Psychopatycznych. Na pierwszym miejscu znajdują się komunikatywność i powierzchowny urok. To właśnie jest ta cecha, którą postrzegamy jako charyzmę. Adolfa Hitlera również możemy określić jako osobę charyzmatyczną, która przy pomocy szczególnie opracowanej propagandy porwała cały naród do wojny światowej.

Kolejne cechy, jakie umieścił Hare na swojej liście, to: egocentryzm i wielkie poczucie własnej wartości, potrzeba stymulacji i powiązana z nią skłonność do szybkiego nudzenia się, patologiczne kłamstwo (kłamanie, gdy nawet nie ma takiej potrzeby), rządzenie otoczeniem i stosowanie do tego manipulacji, brak żalu i poczucia winy, brak głębokich i złożonych ⁷ uczuć, niewrażliwość i brak empatii, pasożytniczy styl życia, brak kontroli behawioralnej (brak kontroli impulsów i swojego zachowania), wyuzdane zachowania seksualne, zaburzenia zachowania w dzieciństwie oraz wieku dorastania, brak realistycznych, długoterminowych celów,

niebranie odpowiedzialności za swoje czyny, wiele krótkich relacji partnerskich i małżeńskich, łamanie norm społecznych i prawnych⁸.

Alicja opisała, że jej mąż stosował wobec niej podejście „kija i marchewki”, przypominało to huśtawki nastrojów. Przypisywanie takiego zachowania zmianom nastrojów jest projekcją osoby funkcjonującej normalnie. Bo czym można tłumaczyć takie zachowania jak nie złym i dobrym humorem. W przypadku psychopaty nie musi to być związane z jego nastrojem, tym bardziej że dość płytko przeżywa swoje emocje. Kiedy wszystko idzie po jego myśli, jest po prostu zadowolony i wtedy zachowuje się, jakby wręczał tę marchewkę. Jednak kiedy coś nie idzie zgodnie z jego planami i oczekiwaniami, zaczyna się irytować. Przypominam, że psychopaci mają niski próg tolerancji frustracji. Wtedy pojawia się w jego rękach kij, czasami wręcz dosłownie. Psychopaci nie mają stanów pośrednich, które są typowe dla reszty społeczeństwa. Subtelne emocje są po prostu dla nich niedostępne.

Opowieść Alicji o naprzemiennych krzykach i czułym przytulaniu przypomina eksperymenty Pawłowa na psach, u których naukowiec inicjował laboratoryjnie stan nerwicy. Badanie polegało na pokazywaniu psu okręgu i dawaniu mu wtedy jedzenia. Następnie prezentowano psu elipsę i wtedy rażono go prądem. Na koło – pozytywne wzmocnienie, a na kształt jajka – negatywne. Po pierwszej fazie, kiedy pies nauczył się rozpoznawać znaki i to, co po nich następuje, Pawłow zaczął rozciągać koło i zwięźać elipsę. Symbole stawały się coraz bardziej podobne do siebie i pies miał trudności z ich rozróżnieniem, nie wiedział, czy dostanie jedzenie, czy uderzenie prądem. Zaczynał wtedy panikować, okazywał silny stres. Podobnie jest w związku przemocowym, kiedy pozytywne zachowania przeplatają się z negatywnymi, a nie ma zachowań zwiastunowych, które by je uprzedzały. Dobrze obrazuje to fragment opowieści Alicji o tym, jak powiadomiła partnera o ciąży. Nie wiedziała, jak on zareaguje, i bała się do samego końca. Widać, że tkwienie w takim związku wytwarza i podtrzymuje stan nerwicy.

Dziecko nie jest traktowane przez narcyza jak autonomiczna istota, tylko bardziej jak jego „klon”. On dostrzega w nim wyłącznie część siebie, zapomina nawet o tym, że w dziecku jest jeszcze część partnerki. Krzysztof, będąc artystą, mógł być postrzegany

przez otoczenie jako osoba mało poważna. Młodzieżowy styl życia, zarabianie graniem trudnej muzyki ma inny społeczny wydźwięk niż bycie prawnikiem czy lekarzem. Bycie ojcem dodaje powagi i prestiżu społecznego, ponieważ mężczyzna osiągnął w ten sposób bardzo ważny i wartościowy cel społeczny. Narcyz widzi reakcje otoczenia i pompuje to jego próżne ego. Bobas jednak z wiekiem zmienia się w niepokornego nastolatka i przestaje pełnić wizerunkową funkcję. Narcyz przestaje się więc nim interesować, bo nie ma z tego wyraźnej korzyści.

Daria i Kamil

– egocentryczny introwertyk

Kamil nie radził sobie ze swoimi emocjami. Daria zauważyła, że otwierał się dopiero po kilku kieliszkach wina. Samo w sobie nie jest to nic wyjątkowego, zazwyczaj uchodzi za sposób radzenia sobie z nieśmiałością. Pasowało to oczywiście do introwertycznego obrazu Kamila.

Sukces zawodowy, który odniósł, na pewno go dowartościował. Oddał się więc swojej pracy, co dostarczało mu satysfakcji. Poświęcił się jej, oddalając się od rodziny. Jest to dość typowe u mężczyzn, zwłaszcza tych postrzegających role społeczne dość tradycyjnie. Realizują się w wykonywaniu zadań według własnego planu. Rywalizują z innymi, co dostarcza im adrenaliny. Kobiety często w takim „układzie” zajmują się domem oraz dziećmi. Mężczyzna, utrzymując finansowo rodzinę, uważa, że wypełnia wobec niej swoje obowiązki. Zapewne doświadczenia z dzieciństwa Kamila miały na to wpływ. Nikt nie poświęcał mu odpowiedniej uwagi, rodzice byli zajęci swoimi sprawami. Widać, że w rodzinie nie było więzi. Wyrósł na samotnika i egocentryka. Skoro nikt nie skupiał na nim uwagi, to musiał zrobić to sam. O nieprzerobionej traumie z dzieciństwa świadczy powtarzana przez niego mantra: „Nie będę dla moich dzieci taki, jacy dla mnie byli moi rodzice”.

Gdy zaczęły się kłopoty zawodowe, Kamil musiał zmierzyć się z negatywnymi emocjami, jakie się w nim pojawiły. Widać nikt nie nauczył go, jak sobie z tym radzić. Rodzice i opiekunowie dają nam podstawy. Oczywiście można też spotkać kogoś tak ważnego jak oni na swojej dalszej drodze, od księdza przez trenera sportowego po partnera życiowego. Czasami dzieje się to dopiero na psychoterapii. Jednak trzeba być otwartym na takich ludzi i takie sytuacje. Kamil najprawdopodobniej w najważniejszych momentach swojego życia

był sam i utrwalił mu się taki schemat. W dorosłym życiu również wybierał samotność, gdy pojawiały się kłopoty. Kiedy emocji było zbyt dużo, rozładowywał je na Darii, była najbliższej. Spotykane się z inną kobietą pewnie było próbą dostarczenia sobie pozytywnych doznań, podobnie jak picie alkoholu. Rozpatrując style radzenia sobie ze stresem, postępowanie Kamila to styl polegający na unikaniu. Może to być właśnie ucieczka w alkohol, leki, objadanie się lub płytkie kontakty towarzyskie.

Informację od Darii o rozstaniu Kamil odebrał przez pryzmat doświadczeń z dzieciństwa. Przestraszył się opuszczenia, bo opuścili go rodzice. Przypomniał sobie tamtą krzywdę i rozszerzył ją na związek z Darią. Poczucie zranienia naturalnie pcha każdego do zemsty i jeżeli człowiek nie jest świadomy tego stanu, to bardzo łatwo pomysł wcielił w czyn. Pytanie Darii o rozwód było komunikatem dotyczącym kryzysu ich relacji i informacją o tym, że jest jej źle z tym, że jest samotna, że czuje się niepotrzebna itd. Kamil dostrzegł tylko aspekt pozostawienia go. Dalsze jego działanie – oskarżanie żony o zdrady, uderzanie w jej wizerunek – było racjonalizacją i uzasadnieniem dla zastosowania mechanizmu ucieczki. Zostawił ją, bo była zła, nielojalna, mało atrakcyjna. Nie ma czego żałować. Widać jednak, że desperacko chciał mieć kogoś bliskiego i zobaczył taką osobę w swoim synu. Być może dostrzegł w nim też samego siebie i dlatego wybrał właśnie jego spośród reszty dzieci. Cały czas stosował ucieczkę, przeniósł się za granicę. W sytuacji kolejnego stresu, czyli przegranej sprawy sądowej o opiekę nad dziećmi, znowu postanowił uciec, tym razem bezpowrotnie.

Jan Gołębiowski

Przypisy

1. Przemoc przez zaniedbanie jest perfidna w swej pasywności, można ją porównać do nieudzielenia pomocy ofierze wypadku czy pozostawienia małego dziecka na długi czas bez pokarmu. [\[wróć\]](#)

2. Negatywne wzmocnienie to pojęcie zaczerpnięte z psychologii behawioralnej i najbardziej kojarzone jest z Iwanem Pawłowem, rosyjskim fizjologiem, który prowadził badania nad procesem uczenia się pod wpływem różnych bodźców. Pawłow nazwał to warunkowaniem. Wyróżnił dwa rodzaje bodźców warunkujących zachowanie – nagrody i kary, czyli właśnie wzmocnienia pozytywne i negatywne. [\[wróć\]](#)

3. Heinz Leymann (1996), cyt za:

<https://www.sw.gov.pl/assets/83/44/95/5c6c99fd50d3ee04fca1e2bbb797304c3769deb6.pdf> (dost. 17.12.2022). [\[wróć\]](#)

4. B. Wojciszke, *Psychologia miłości*, GWP, Gdańsk 2010. [\[wróć\]](#)

5. Mania jest przeciwieństwem depresji, jest to podwyższony nastrój (w lekkiej postaci) lub stan euforyczny (w silnej). Towarzyszy temu pobudzenie psychoruchowe, słowotok, brak potrzeby snu, poczucie siły. W języku potocznym często mówi się o „manii prześladowczej”, co fachowo nazwalibyśmy urojeniami prześladowczymi. [\[wróć\]](#)

6. Ojcowie profilowania kryminalnego nieznanymi sprawcami przestępstw, agenci FBI Robert Ressler i John Douglas (znany z serialu Netfliksa *Mindhunter*) podzielili seryjnych morderców na typ zorganizowany i dezorganizowany. Ci pierwsi działają w sposób kalkulacyjny, planują swoje zbrodnie i dobrze się do nich przygotowują, są zazwyczaj ponadprzeciętnie inteligentni. Ci drudzy działają impulsywnie, chaotycznie, zazwyczaj cierpią na silne zaburzenia psychiczne lub są na pograniczu upośledzenia. [\[wróć\]](#)

7. Psychologia dzieli emocje na podstawowe i złożone. Podstawowe to: radość, złość, strach, wstręt, smutek, zaskoczenie, zaciekawienie, akceptacja. Natomiast złożone to na przykład: miłość, nienawiść, zazdrość i nadzieja. Zatem miłość będzie składała się z radości i akceptacji, może jeszcze zaciekawienia, nienawiść zaś ze złości, wstrętu i strachu. [\[wróć\]](#)

8. Normy prawne wywodzą się z norm społecznych, ale są szczegółowo opisane w przepisach, np. w kodeksie karnym, i za ich złamanie grozi sankcja karna, np. wyrok pozbawienia wolności. Pozostałe normy społeczne są zwyczajowe i jedyne konsekwencje za ich przekroczenie to reakcja otoczenia. W Polsce zdrada małżeńska nie jest karana, ale jest źle postrzegana. Oczywiście jest pewna sankcja prawna, czyli możliwość rozwodu z orzeczeniem o winie. [\[wróć\]](#)